03 Mroczne Oblężenie

R.A. Salvatore

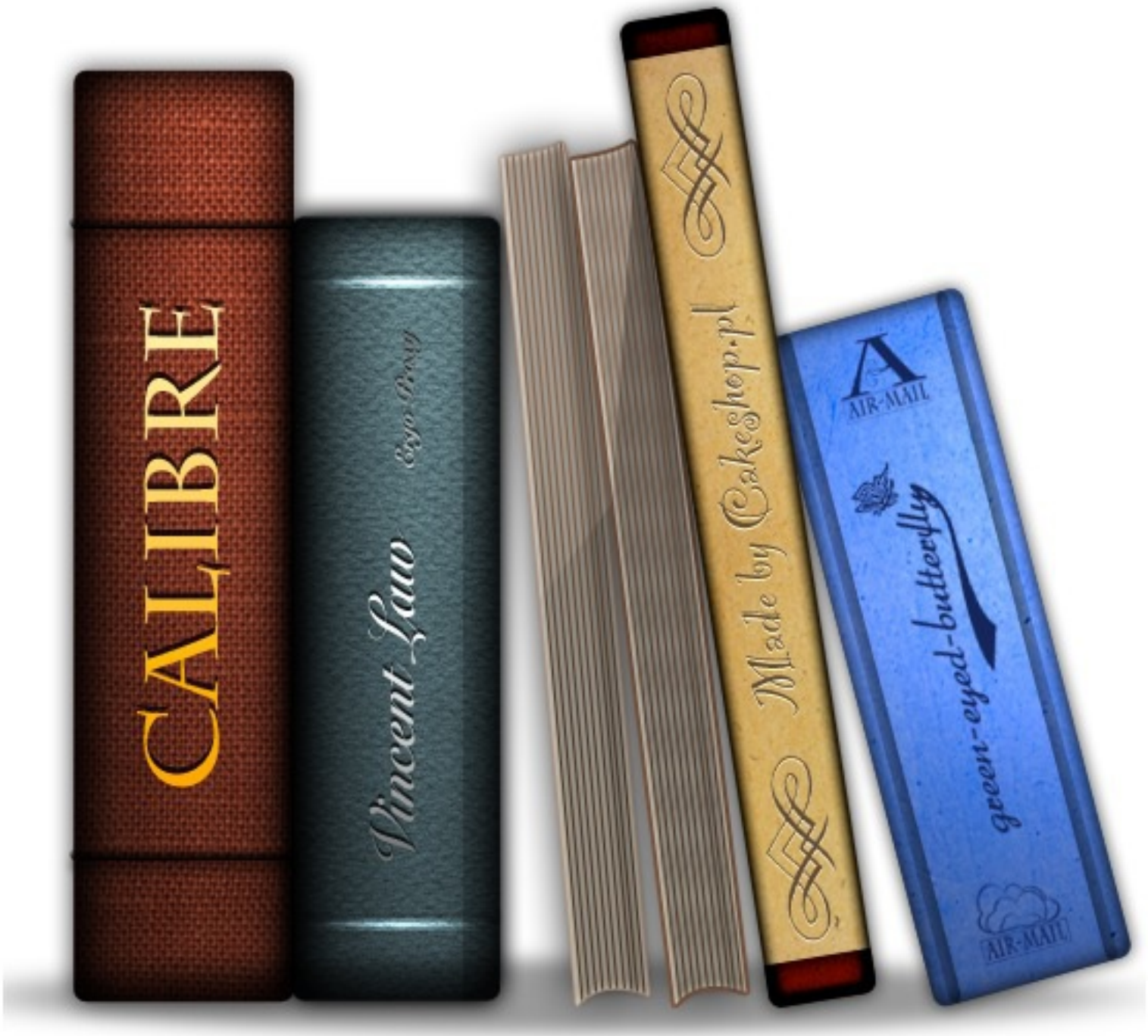

calibre 0.7.37

R. A. Salvatore

Mroczne Oblężenie

(Siege of Darkness)

Dziedzictwo mrocznego Elfa 3

Tłumaczenie: Piotr Kucharski

Dla Lucy Scaramuzzi, najprawdziwszej z nauczycielek, która nauczyła mnie, jak stworzyć książkę - nawet mimo tego, że wszystkie moje pomysły w drugiej klasie zostały skradzione ze Snoopy'ego!

PROLOG

Na pozór wydawała się zbyt pięknym stworzeniem, by przemierzać wirujący szlam tej zadymionej warstwy Otchłani. Zbyt pięknym, bowiem jej rysy były doskonale wycyzelowane i delikatne, a lśniąca mahoniowa skóra dawała jej wygląd ożywionego dzieła sztuki, obsydianowej rzeźby, w którą tchnięto życie.

Otaczające ją potworne istoty, pełzające ślimaki i nietoperzoskrzydłe stwory, obserwowały każdy jej ruch, miały na nią baczenie. Nawet największe i najsilniejsze z nich, gigantyczne czarty, które mogłyby zniszczyć spore miasto, utrzymywały bezpieczną odległość, bowiem wygląd mógł być zwodniczy. Choć piękna kobieta wydawała się delikatna, nawet krucha jak na standardy potwornych stworów Otchłani, z łatwością mogła zniszczyć każdego obserwującego ją teraz czarta, dowolnych dziesięciu czy pięćdziesięciu z nich.

One to również wiedziały i jej przejście nie było zakłócane. Była to Lloth, Pajęcza Królowa, bogini drowów, mrocznych elfów. Była ucieleśnieniem chaosu, instrumentem zniszczenia, potworem pod delikatną fasadą.

Lloth spokojnie wkroczyła w region wysokich, grubych grzybów, zebranych w kępki na małych wysepkach pośród brudnego wiru. Przechodziła bez obaw z jednej wyspy na drugą, krocząc tak lekko po przelewającym się szlamie, że nie brudziły się nawet podeszwy jej delikatnych, czarnych pantofli. Natknęła się na wielu najsilniejszych mieszkańców tego poziomu, nawet prawdziwe czarty tanar'ri, śpiące pomiędzy owymi kępami grzybów. Wszystkie te zirytowane stworzenia budziły się powarkując i obiecując wieczne tortury i wszystkie odczuwały ogromną ulgę, gdy Lloth domagała się od nich zaledwie jednej odpowiedzi na jedno pytanie.

- Gdzie on jest? - pytała za każdym razem i choć żaden z potworów nie znał dokładnego miejsca pobytu wielkiego czarta, ich odpowiedzi prowadziły Lloth dalej, aż odnalazła poszukiwaną bestię, wielkiego dwunożnego tanar'ri z psim pyskiem, rogami byka i strasznymi skórzastymi skrzydłami, zwiniętymi za jego ogromnym cielskiem. Wyglądając na dość znudzonego, siedział w fotelu, jaki wyrzeźbił z jednego z wielkich grzybów, ułożywszy groteskową głowę na podniesionej dłoni. Brudne, zakrzywione pazury ocierały się rytmicznie o blady policzek. W drugiej dłoni bestia trzymała rozwidlony bicz, którym zamachiwała się co jakiś czas, smagając bok grzybowego fotela, gdzie przykucnęło nieszczęsne pomniejsze stworzenie, jakie wybrała na tortury w tej chwili wieczności.

Pomniejszy stwór zawył i zaskomlał żałośnie, a to ściągnęło na niego kolejne bezlitosne uderzenie bicza czarta.

Siedząca bestia warknęła nagle, podnosząc głowę i wpatrując się bacznie czerwonymi oczyma w dym, wirujący wszędzie dookoła grzybowego tronu. Wiedziała, że coś znajduje się w pobliżu, coś

potężnego.

W pole widzenia weszła Lloth, nie zwalniając nawet w najmniejszym stopniu, gdy przypatrywała się potworowi, największemu w tej okolicy.

Gardłowy warkot wydobył się spomiędzy warg tanar'ri, warg, które wykrzywiły się w paskudny uśmiech, po czym opuściły w grymasie, gdy potwór przyjrzał się pięknemu kąskowi wchodzącemu do jego leża. Z początku czart uznał Lloth za dar, zagubioną mroczną elfkę, z dala od Planu Materialnego i swego domu. Niewiele czasu zajęło jednak czartowi domyślenie się prawdy.

Usiadł prosto w swym fotelu. Następnie z niewiarygodną szybkością i płynnością jak na kogoś o swych wymiarach podniósł się do pełnej wysokości czterech metrów, górując nad intruzką.

- Usiądź, Errtu - poprosiła go Lloth, machając niecierpliwie ręką. - Nie przyszłam tu, by cię zniszczyć.

Dumny tanar'ri wydał z siebie drugi warkot, jednak nie zbliżył się do Lloth, rozumiejąc, że z łatwością mogłaby zrobić to, czego jak twierdziła, nie przyszła tu zrobić. Errtu wciąż stał, po prostu po to, by zachować odrobinę swej dumy.

- Usiądź! - powiedziała nagle Lloth, a Errtu, zanim jeszcze zarejestrował swój ruch, zauważył, że siedzi z powrotem na grzybowym tronie. Zdenerwowany podniósł bicz i smagnął skamlającą bestię, która rozpłaszczyła się przy nim na ziemi.

- Dlaczego tu jesteś, drowko? - mruknął Errtu. Jego głęboki głos przechodził w zgrzytliwe, wyższe tony niczym drapanie paznokciami po talerzu.

- Słyszałeś o zamieszaniu w panteonie? - zapytała Lloth. Errtu przez długą chwilę zastanawiał się nad tym pytaniem. Słyszał oczywiście, że bogowie Krain kłócą się, przechodząc samych siebie w knowaniach, walce o władzę i wykorzystując inteligentne pomniejsze stworzenia jako marionetki w swych prywatnych gierkach. W Otchłani oznaczało to, że mieszkańcy, nawet większe tanar'ri takie jak Errtu, były często angażowane w niechciane polityczne intrygi.

Errtu uznał, że właśnie coś takiego się tutaj dzieje, i obawiał się tego.

- Zbliża się czas wielkich sporów - wyjaśniła Lloth. - Czas, kiedy bogowie zapłacą za swą głupotę.

Errtu zachichotał chrapliwym, strasznym głosem. Padł na niego ganiący wzrok Lloth.

- Dlaczego taki przypadek miałby cię niepokoić, Pani Chaosu? - spytał czart.

- Kłopoty te będą wykraczać poza mnie - wyjaśniła ze śmiertelną powagą Lloth. - Będą wykraczać poza nas wszystkich. I ktoś z przyjemnością mógłby obserwować, jak to głupcy z panteonu

miotają się dookoła, odarci ze swej fałszywej dumy, niektórzy nawet zostaną zabici, lecz każda czczona istota, która nie będzie ostrożna, znajdzie się w kłopotach.

- Lloth nigdy nie była znana z ostrożności - wtrącił się cierpko Errtu.

- Lloth nigdy nie była głupia - szybko odparła Pajęcza Królowa. Errtu przytaknął, lecz siedział przez chwilę w ciszy na swym grzybowym tronie, przetrawiając to wszystko.

- Co to ma wspólnego ze mną? - zapytał w końcu, bowiem tanar'ri nie były czczone, tak więc Errtu nie czerpał swych mocy z modlitw jakichkolwiek wiernych.

- Menzoberranzan - odparła Lloth, nazywając osławione miasto drowów, największą siedzibę swych wyznawców w całych Krainach.

Errtu przekrzywił swą groteskową głowę.

- Miasto już jest w chaosie - wyjaśniła Lloth.

- Tak jak sobie tego życzyłaś - wtrącił się Errtu i parsknął. - Tak jak to zaaranżowałaś.

Lloth nie zaprzeczyła.

- Istnieje jednak niebezpieczeństwo - ciągnęła piękna drowka. - Jeśli dopadną mnie kłopoty panteonu, modlitwy moich kapłanek pozostaną bez odpowiedzi.

- Czy oczekujesz, że ja na nie odpowiem? - spytał z niedowierzaniem Errtu.

- Wierni będą potrzebować ochrony.

- Nie mogę iść do Menzoberranzan! - ryknął nagle Errtu, wylewając z siebie swą wściekłość, nagromadzoną przez lata wygnania. Menzoberranzan było miastem w Podmroku Faerunu, wielkim labiryncie, leżącym pod powierzchnią świata. Choć jednak było oddzielone od powierzchni kilometrami grubej skały, wciąż należało do Planu Materialnego. Przed laty Errtu był na tym planie, na wezwanie pomniejszego czarodzieja, i pozostał tam w poszukiwaniu Crenshinibona, kryształowego reliktu, potężnego artefaktu z przeszłości, z czasów wielkiej magii. Ogromny tanar'ri był tak blisko reliktu! Wszedł do wieży, jaką stworzył on na swoje podobieństwo, i współpracował z jego właścicielem, żałosnym człowiekiem, który i tak wkrótce po tym zginąłby, pozostawiając czartowi swój hołubiony skarb. Wtedy jednak Errtu natknął się na mrocznego elfa, renegata z trzódki samej Lloth, z Menzoberranzan, miasta, którego ochrony najwyraźniej teraz od niego wymagała.

Drizzt Do'Urden pokonał Errtu, zaś dla tanar'ri porażka na Planie Materialnym oznaczała sto lat wygnania w Otchłani.

Teraz Errtu trząsł się wyraźnie z wściekłości, a Lloth cofnęła się o krok, przygotowując się na

wypadek, gdyby bestia zaatakowała, zanim zdąży przedstawić swą propozycję.

- Nie możesz iść - zgodziła się - jednak twoi słudzy mogą. Dopilnuję, żeby brama była otwarta. Wszystkie kapłanki z mojej domeny będą się nią bez ustanku zajmować.

Słowa zatonęły w donośnym ryku Errtu.

Lloth rozumiała źródło tego bólu - największą przyjemnością dla czarta było swobodne przemierzanie Planu Materialnego, wyzywanie słabszych dusz oraz słabszych ciał rozmaitych ras. Lloth rozumiała, lecz nie czuła do niego sympatii. Lloth nigdy nie czuła sympatii do żadnego stworzenia.

- Nie mogę ci odmówić! - przyznał Errtu, a jego wielkie, wybałuszone, przekrwione oczy paskudnie się zmrużyły.

Jego słowa były dość prawdziwe. Lloth mogła zapewnić sobie jego pomoc, ofiarowując mu po prostu w zamian życie. Pajęcza Królowa była jednak sprytniejsza. Gdyby uwięziła Errtu i, jak się spodziewała, zostałaby porwana przez nadciągającą burzę, Errtu mógłby uciec z niewoli albo też, co gorsza, odnaleźć sposób, by uderzyć w samą Lloth. Pajęcza Królowa była do granic niegodziwa i bezlitosna, jednak, ponad wszystko inne, była inteligentna. Miała w zanadrzu lep na tę muchę.

- To nie jest groźba - powiedziała do czarta. - To propozycja.

Errtu nie przerywał jej. Znudzony i rozwścieczony czart drżał na skraju załamania.

- Mam dar, Errtu - wycedziła. - Dar, który pozwoli ci zakończyć wygnanie nałożone na ciebie przez Drizzta Do'Urdena.

Tanar'ri nie wydawał się przekonany.

- Żaden dar - mruknął - żadna magia nie może przełamać zasad wygnania. Zakończyć je może tylko ten, kto je nałożył.

Lloth przytaknęła twierdząco. Nawet bogini nie miała dość mocy, by wystąpić przeciwko tej zasadzie.

- Jednak dokładnie o to chodzi! - krzyknęła. - Dar ten spowoduje, iż Drizzt Do'Urden zechce, żebyś znalazł się z powrotem na jego planie egzystencji, z powrotem w jego zasięgu.

Errtu nie wydawał się przekonany.

W odpowiedzi Lloth uniosła rękę i zacisnęła mocno pięść, a wirującym szlamem zatrząsł wybuch wielokolorowych iskier oraz grzmot pioruna, na chwilę pozbawiając ten pogardzany poziom wiecznej szarości.

Pełen rozpaczy i udręczony - ponieważ niewiele czasu zajmowało komuś takiemu jak Lloth zabranie dumy - wyszedł z mgły. Errtu nie znał go, rozumiał jednak znaczenie tego daru.

Lloth znów zacisnęła mocno pięść, rozległ się kolejny wybuch i jej więzień zapadł się z powrotem w kłąb dymu.

Errtu przyjrzał się podejrzliwie Pajęczej Królowej. Tanar'ri był oczywiście bardziej niż trochę zainteresowany, zdawał sobie jednak sprawę, iż zdecydowana większość tych, którzy kiedykolwiek zaufali diabolicznej Lloth, zapłaciła drogo za swą głupotę. Mimo to przynęta była zbyt wielka, by Errtu mógł się jej oprzeć. Jego psi pysk wykrzywił się w groteskowym, paskudnym uśmiechu.

- Doglądaj Menzoberranzan - powiedziała Lloth i machnęła ręką przed grubym trzonkiem niedalekiego grzyba. Jego włókna stały się szkliste, odbijając dym, i chwilę później Lloth oraz czart ujrzeli miasto drowów. - Twoja rola w tym będzie mała, zapewniam cię - rzekła Lloth - jednak istotna. Nie zawiedź mnie, wielki Errtu!

Czart wiedział, że była to w równym stopniu prośba, co groźba.

- Dar? - spytał.

- Gdy wszystko zostanie doprowadzone do porządku.

Na ogromnej twarzy Errtu znów pojawiło się niedowierzanie.

- Drizzt Do'Urden to drobiazg - powiedziała Lloth. - Daermon N'a'shezbaernon, jego rodzina, już nie istnieje, tak więc on nic dla mnie nie znaczy. Mimo to z przyjemnością obserwowałabym, jak wielki Errtu odpłaca się renegatowi za wszelkie niedogodności, jakie spowodował.

Errtu nie był głupi, zdecydowanie nie. To, co mówiła, miało sens, a jednak nie mógł zlekceważyć faktu, że owe kuszące propozycje były składane przez Lloth, Pajęczą Królową, Panią Chaosu.

Nie mógł również zlekceważyć faktu, że obiecywany przez nią dar przyniósłby mu ulgę od nie kończącej się nudy. Mógł każdego dnia dręczyć setki pomniejszych czartów, torturować je i odsyłać czołgające się żałośnie w błocie. Nawet gdyby jednak robił to przez milion dni, nie dorównywałoby to jednej godzinie na Planie Materialnym, kroczeniu pośród słabych, dręczeniu tych, którzy nie zasługiwali sobie na jego zemstę.

Wielki tanar'ri zgodził się.

Część 1

POGŁOSKI O NIEZGODZIE

Obserwowałem przygotowania dokonywane w Mithrilowej Hali, przygotowania do wojny, bowiem choć my, a zwłaszcza Catti-brie, wymierzyliśmy w Menzoberranzan dotkliwą porażkę domowi Baenre, nikt z nas nie wątpił, że mroczne elfy mogą nam znów wejść w drogę. Opiekunka Baenre była najprawdopodobniej wściekła, zaś ja, spędziwszy całą młodość w Menzoberranzan, wiedziałem, że niedobrze jest robić sobie wroga z pierwszej matki opiekunki.

Mimo to podobało mi się to, co widziałem w krasnoludzkiej fortecy. Przede wszystkim cieszył mnie widok Bruenora Battlehammera.

Bruenor! Mój najdroższy przyjaciel! Krasnolud, u którego boku walczyłem, odkąd znalazłem się w Dolinie Lodowego Wichru - za czasów, które wydawały się niezwykle odległe! Obawiałem się, iż duch Bruneora załamał się na zawsze po śmierci Wulfgara, że ogień, który przeprowadził tego najbardziej upartego z krasnoludów przez, wydawałoby się, przeszkody nie do pokonania w jego wyprawie, by odzyskać straconą ojczyznę, zgasł na zawsze. Podczas owych dni przygotowań dowiedziałem się, że nie do końca. Fizyczne blizny Bruenor a były teraz głębsze - stracił lewe oko, a na ukos przez twarz, od czoła do żuchwy, biegła sina linia - jednak płomienie jego ducha rozgorzały na nowo.

Bruenor kierował przygotowaniami, począwszy od zgadzania się z projektami fortyfikacji konstruowanych w niższych tunelach, a skończywszy na wysyłaniu emisariuszy do pobliskich osad w poszukiwaniu sojuszników. Nie prosił o pomoc przy podejmowaniu decyzji i nie potrzebował jej, był bowiem Bmenorem, ósmym królem Mithrilowej Hali oraz weteranem wielu przygód, krasnoludem, który zasłużył sobie na swój tytuł.

Teraz żal go opuścił. Znów był królem, ku radości jego przyjaciół i poddanych. „Mech te cholerne drowy przyjdą!" - Bruenor powarkiwał dość często i zawsze, jeśli byłem w pobliżu, kiwał głową w moją stronę, jakby przypominając mi, iż nie zamierzał mnie urazić.

Tak naprawdę ten pełen determinacji okrzyk wojenny ze strony Bruenora Battlehammera był jedną z najsłodszych rzeczy, jakie kiedykolwiek słyszałem.

Cóż było tym, zastanawiałem się, co wyciągnęło pogrążonego w żalu krasnoluda z rozpaczy? I nie chodziło tu tylko o Bruenora - wszędzie wokół siebie widziałem ekscytację, w krasnoludach, w Catti-brie, nawet w Regisie, choć halling był bardziej znany z przygotowywania posiłków oraz drzemania niż umiłowania wojny. Ja również odczuwałem chęć do walki. To wywołujące mrowienie oczekiwanie, to koleżeństwo, kiedy to wraz z pozostałymi klepaliśmy się nawzajem po

plecach, dziękując za najprostsze uzupełnienia w ogólnych środkach obronnych i wznosząc wspólnie glosy w radości za każdym razem, gdy była ogłaszana jakaś dobra wiadomość.

Cóż to było? Było to coś więcej niż wspólny strach, więcej niż dziękowanie za to, co mamy, gdy zdawaliśmy sobie jednocześnie sprawę, iż wkrótce możemy to stracić. Nie rozumiałem tego wtedy, w tym szaleńczym okresie, w tej euforii gwałtownych przygotowań. Teraz, gdy spoglądam wstecz, łatwiej to rozpoznać.

To była nadzieja.

Dla każdej inteligentnej istoty nie ma uczucia ważniejszego niż nadzieja. Nieważne czy indywidualnie, czy zbiorowo, musimy mieć nadzieję, że przyszłość będzie lepsza od przeszłości, że nasze potomstwo, i jego z kolei, znajdzie się trochę bliżej społeczeństwa idealnego, niezależnie od naszych wyobrażeń co do niego. Z pewnością nadzieja na przyszłość barbarzyńskiego wojownika może różnić się od ideału powstałego w wyobraźni ceniącego sobie pokój rolnika. Krasnolud zaś nie będzie walczył, by żyć w świecie przypominającym ideał dla elfa! Sama nadzieja nie jest wszakże tak odmienna. To właśnie w takich chwilach czujemy, że przyczyniamy się do owego ostatecznego celu, jak to było w Mithrilowej Hali, gdy wierzyliśmy, że wkrótce czeka nas wojna z Menzoberranzan - że pokonamy mroczne elfy i raz na zawsze pozbędziemy się zagrożenia ze strony tego miasta z Podmroku - czuliśmy prawdziwą radość.

Nadzieja jest kluczem. Przyszłość będzie lepsza niż przeszłość lub teraźniejszość. Bez tego przekonania pozostaje jedynie niepohamowana walka o teraźniejszość, jak w społeczeństwie drowów, lub też zwyczajna rozpacz, życie tracone w oczekiwaniu na śmierć.

Bruenor odnalazł przyczynę - wszyscy ją odnaleźliśmy - nigdy nie byłem bardziej żywy niż w owych dniach przygotowań w Mithrilowej Hali.

Drizzt Do'Urden

ROZDZIAŁ l

DYPLOMACJA

Za gęstymi, kasztanowymi włosami, odbijającymi się od ramion, Catti-brie starała się zaciekle utrzymać z dala od siebie wirujące sejmitary drowa. Miała solidną budowę ciała, składającego się z sześćdziesięciu pięciu kilogramów mięśni ukształtowanych przez życie w krasnoludzkim klanie Bruenora. Nieobca była jej kuźnia czy młot.

A także miecz, zaś ta nowa klinga, o głowicy wyrzeźbionej na podobieństwo głowy jednorożca, była bez wątpienia najlepiej wyważoną bronią, jaką kiedykolwiek wymachiwała. Mimo to owego dnia Catti-brie była w ciężkiej sytuacji, szczerze mówiąc przeciwnik ją przytłaczał. Niewielu w Krainach mogło dorównać w walce Drizztowi Do'Urdenowi, drowowi tropicielowi.

Nie był wyższy od Catti-brie, może trochę cięższy, o sylwetce złożonej ze zbitych mięśni. Białe włosy zwisały mu tak nisko jak czupryna Catti-brie i były równie gęste, zaś mahoniowa skóra połyskiwała strużkami potu, świadectwem dzielności młodej kobiety.

Dwa sejmitary Drizzta skrzyżowały się przed nim (jeden z nich błyszczał jaskrawym błękitem nawet przez pokrywający go ochronny pokrowiec), po czym rozeszły się szeroko, zapraszając Catti-brie, by wykonała pchnięcie.

Wiedziała, że lepiej nie czynić tej próby. Drizzt był zbyt szybki i mógłby jednym ostrzem trafić w jej klingę tuż pod czubkiem, drugim zaś wykonałby jednocześnie niską zastawę, uderzając z przeciwnej strony obok rękojeści. Po wykonaniu jednego kroku na ukos w bok wraz za parującym bliżej ostrzem, Drizzt by ją pokonał.

Zamiast tego Catti-brie cofnęła się o krok i wystawiła przed siebie miecz. Jej granatowe oczy wyjrzały zza ostrza, które zostało okryte grubym materiałem, i skrzyżowała spojrzenia z lawendowymi gałkami ocznymi drowa.

- Stracona okazja? - drażnił się Drizzt.

- Uniknięta pułapka - szybko odparła Catti-brie.

Drizzt natarł pospiesznie, krzyżując ostrza, rozwierając je i wykonując cięcia w poprzek, jednym wysoko, drugim nisko. Catti-brie opuściła za sobą lewą stopę i przykucnęła, obracając miecz, by sparować pędzącą nisko klingę, oraz pochylając głowę, by uniknąć wysokiego cięcia.

Nie musiała się trudzić, bowiem krzyż został wykonany zbyt szybko, zanim stopy Drizzta

zakończyły ruch, i obydwa sejmitary przecięły powietrze daleko przed celem.

Catti-brie nie przegapiła luki i wystrzeliła do przodu, wykonując pchnięcie mieczem.

Ostrza Drizzta cofnęły się gwałtownie, niemożliwie szybko, uderzając w miecz z obydwu stron. Stopy Drizzta nie były jednak ustawione odpowiednio, by podążyć za ruchem, aby przejść na ukos do przodu i wykorzystać obrócony miecz Catti-brie.

Młoda kobieta przeszła zamiast tego do przodu i w bok, wyślizgując broń ze zwarcia i wykonując prawdziwy atak, cięcie w biodro Drizzta.

Cofnięta ręka Drizzta powstrzymała ją, skierowała jej miecz nieszkodliwie wysoko.

Znów się rozdzielili, przyglądając się sobie. Catti-brie uśmiechała się przebiegle. Podczas wszystkich miesięcy wspólnych treningów nigdy jeszcze nie była tak blisko zranienia zwinnego i wyszkolonego drowa.

Mina Drizzta skradła jej jednak chwałę i drow opuścił czubki sejmitarów na podłogę, potrząsając w zdenerwowaniu głową.

- Bransolety? - spytała Catti-brie, mając na myśli magiczne opaski na nadgarstki, szerokie kawałki czarnego materiału z naszytymi błyszczącymi, mithrilowymi pierścieniami. Drizzt zabrał je Dantragowi Baenre, byłemu fechmistrzowi pierwszego domu Menzoberranzan, po pokonaniu go w śmiertelnej walce. Pogłoski mówiły, iż owe wspaniałe bransolety pozwalały dłoniom Dantraga poruszać się niemożliwie szybko, dając mu przewagę w walce.

Po walce z szybkim jak błyskawica Baenre Drizzt zaczął wierzyć w te pogłoski, zaś po noszeniu przez ostatnich kilka tygodni bransolet podczas sparingów, potwierdził ich właściwości. Drizzt nie był jednak przekonany, czy bransolety były dobrą rzeczą. W walce z Dantragiem wykorzystał jego przewagę przeciwko niemu, bowiem dłonie fechmistrza poruszały się zbyt szybko, by mógł zmienić jakikolwiek rozpoczęty ruch, zbyt szybko, by Dantrag mógł improwizować, jeśli jego przeciwnik wykonał nieoczekiwany zwrot. Teraz, podczas owych treningowych sparingów, Drizzt dowiadywał się, iż bransolety mają jeszcze jedną niedogodność.

Stopy nie mogły nadążyć za dłońmi.

- Poznasz je - zapewniła go Catti-brie. Drizzt nie był taki pewien.

- Walka jest sztuką równowagi i ruchu - wyjaśnił. - I jesteś szybszy! - odparła Catti-brie.

Drizzt potrząsnął głową.

- Szybsze są moje dłonie - powiedział. - Wojownik nie wygrywa za pomocą dłoni. Wygrywa dzięki swoim stopom, ustawiając się tak, by jak najlepiej ugodzić w luki w obronie przeciwnika.

- Stopy nadążą - odrzekła Catti-brie. - Dantrag był najlepszym, kogo mogło zaoferować Menzoberranzan, a sam powiedziałeś, że powodem tego były te opaski.

Drizzt nie mógł się nie zgodzić, że bransolety bardzo pomagały Dantragowi, zastanawiał się jednak, jak bardzo mogą wspomóc kogoś o umiejętnościach jego bądź Zaknafeina, jego ojca. Możliwe, zdawał sobie sprawę Drizzt, że bransolety mogły pomóc słabszemu wojownikowi, komuś, kto musiał polegać na szybkości swej broni. Wszelako doskonały wojownik, mistrz, który odnalazł harmonię pomiędzy swymi mięśniami, zostanie pozbawiony równowagi. Bransolety mogły również przysłużyć się komuś dzierżącemu cięższą broń, potężny młot bojowy, jak Aegis-fang. Sejmitary Drizzta, wąskie ostrza nie ważące więcej niż kilogram, doskonale wyważone zarówno dzięki precyzji wykonania, jak i zaklęciom, mogły być używane bez wysiłku, i nawet bez opasek jego dłonie były szybsze od stóp.

- No to chodź - rzuciła kpiąco Catti-brie, wymachując przed sobą mieczem i mrużąc mocno szerokie, granatowe oczy, podczas gdy jej kształtne biodra zafalowały, gdy łapała nisko równowagę.

Drizzt uświadomił sobie, że wyczuła swą szansę. Wiedziała, że jest on pozbawiony przewagi i w końcu wyczuła szansę, by odpłacić za choć jeden z piekących ciosów, jakie otrzymała podczas sparingu.

Drizzt wziął głęboki oddech i uniósł ostrza. Był winien Catti-brie podporządkowanie się poleceniu, chciał jednak sprawić, żeby sobie na to zasłużyła!

Podszedł powoli do przodu. Jej miecz wystrzelił szeroko i trafił dwukrotnie, zanim jeszcze się zbliżył. Powstrzymała go skierowana w dół zastawa.

Catti-brie podążyła za pędem podwójnego bloku, wykonując pełen obrót, oddalając się od przeciwnika. Kiedy się odwróciła, jak można było się spodziewać, Drizzt znajdował się blisko, wymachując sejmitarami.

Cierpliwy drow wciąż kalkulował swe ataki, nie rzucił się na nią szybko i mocno. Skrzyżował i rozłożył klingi, drażniąc młodą kobietę.

Catti-brie warknęła i znów zamachnęła się mieczem, zdecydowana odnaleźć tę nieuchwytną lukę. Również sejmitary wystrzeliły, uderzając jeden zaraz po drugim w lewą stronę miecza Catti-brie. Podobnie jak wcześniej Catti-brie obróciła się w prawo, jednak tym razem Drizzt natarł mocniej.

Młoda kobieta przykucnęła nisko, pośladkami ocierając się o podłogę, i cofnęła się. Obydwie klingi Drizzta przecięły ze świstem powietrze nad i przed nią, bowiem cięcia znów nastąpiły, zanim stopy zdołały odpowiednio go ustawić.

Drizzt był zdumiony widząc, że Catti-brie nie znajduje się już przed nim.

Nazwał ten manewr „widmowym krokiem" i nauczył go Catti-brie zaledwie tydzień temu. Trik

polegał na tym, by wykorzystać zamachującą się broń przeciwnika jako optyczną tarczę, aby wejść w ograniczony przez wzrok obszar tak idealnie i szybko, że twój adwersarz nie będzie wiedział, iż przeszedłeś do przodu i w bok, że tak naprawdę przeszedłeś za jego wysunięte do przodu biodro.

Kierując się refleksem, drow szarpnął wyciągnięty sejmitar prosto do tyłu, celując ostrzem nisko, bowiem Catti-brie przykucnęła. Skierował klingę na cel zbyt szybko i pęd sejmitara posłał go wprost pod ostrze kobiety.

Drizzt skrzywił się, gdy miecz o rękojeści w kształcie jednorożca uderzył go mocno w biodro.

Dla Catti-brie była to chwila czystej radości. Wiedziała oczywiście, że to bransolety ograniczają Drizzta, powodują, że traci równowagę - jednak nawet z niewygodnymi bransoletami drow był potężnym przeciwnikiem i pokonałby większość mieczników.

Jakże wspaniale czuła się Catti-brie, widząc, że jej nowy miecz prześlizguje się nie zatrzymany.

Jej radość zniknęła natychmiast, zastąpiona na chwilą przez pragnienie, by zanurzyć klingę głębiej, nagłą, niewytłumaczalną złość, skierowaną bezpośrednio przeciwko Drizztowi.

- Dotknięcie! - zawołał Drizzt, sygnalizując, że został trafiony, a gdy Catti-brie wyprostowała się i objęła wzrokiem scenerię, zauważyła, że drow stoi kilka kroków dalej, pocierając obolałe biodro.

- Przepraszam - powiedziała, zdając sobie sprawę, że uderzyła za mocno.

- Nie martw się - odparł z przebiegłą miną Drizzt. - Z pewnością twoje jedno trafienie nie może równać się z połączonym bólem wszystkich bólów, jakie zadały ci moje sejmitary. - Wargi mrocznego elfa wykrzywiły się w łobuzerskim uśmiechu. - Albo też z bólami, jakie zadam ci w zamian!

- Sądzę, że cię doganiam, Drizzcie Do'Urdenie - odrzekła spokojnie i pewnie Catti-brie. - Trafiasz, lecz jesteś trafiany!

Obydwoje roześmieli się z tego, po czym Catti-brie przeszła na bok pomieszczenia i zaczęła zdejmować z siebie osprzęt do ćwiczeń.

Drizzt zsunął pokrowiec z jednego z sejmitarów i zastanowił się nad ostatnimi słowami. Zgadzał się, Catti-brie naprawdę stawała się coraz lepsza. Miała serce wojowniczki, utemperowane przez filozofię poetki, co było naprawdę śmiertelną kombinacją. Catti-brie, podobnie jak Drizzt, wolałaby rozstrzygnąć walkę za pomocą rozmów niż potyczki, jednak gdy tylko wyczerpywały się możliwości dyplomacji, kiedy walka stawała się kwestią przetrwania, wtedy młoda kobieta walczyła z czystym sumieniem i pasją. Wkładała w to całe swe serce i umiejętności, zaś w przypadku Catti-brie obydwa te składniki były znaczne.

I była zaledwie po dwudziestce! W Menzoberranzan, gdyby była drowką, znalazłaby się w Arach-

Tinilith, szkole Lloth, i każdego dnia jej silne zasady moralne byłyby bombardowane kłamstwami kapłanek Pajęczej Królowej. Drizzt otrząsnął się z tych myśli - nie chciał nawet myśleć o Catti-brie w tym paskudnym miejscu. Załóżmy, że zamiast tego poszłaby do szkoły wojowników, Melee-Magthere, zamyślił się. Jak poradziłaby sobie z młodymi drowami?

Dobrze, uznał Drizzt. Catti-brie znajdowałaby się na szczycie swojej klasy, z pewnością pośród najlepszych dziesięciu czy piętnastu procent, i doprowadziłyby ją tam pasja oraz poświęcenie. Jak bardzo mogła się poprawić pod jego kierunkiem? - zastanawiał się Drizzt, a oblicze mu spochmurniało, gdy rozważył konsekwencje dziedzictwa Catti-brie. Sam był po sześćdziesiątce, co czyniło go niewiele więcej niż dzieckiem jak na standardy drowów, bowiem mogły one żyć do siedmiu stuleci, kiedy jednak Catti-brie osiągnie jego niedojrzały wiek, będzie stara, zbyt stara, by dobrze walczyć.

Myśl ta bolała wielce Drizzta. Jeśli ostrze wroga bądź pazury potwora nie skrócą mu życia, będzie obserwował, jak Catti-brie starzeje się, jak odchodzi z tego życia.

Drizzt spoglądał na nią teraz, gdy zdejmowała miękki pas z ramienia i odpinała metalową osłonę szyi. Pod okryciem nad talią miała na sobie jedynie prostą koszulę z lekkiego materiału. Była ona teraz mokra od potu i kleiła się do ciała.

Była wojowniczką, z tym Drizzt się zgadzał, jednak oprócz tego piękną, młodą kobietą, kształtną i silną, o duszy źrebięcia uczącego się biegać i sercem pełnym pasji.

Odgłos odległych palenisk, nagłe zwiększenie brzęku młotów o stal, powinien był ostrzec Drizzta, że otworzyły się drzwi od pomieszczenia, jednak Drizzt tego nie zarejestrował.

- Hej! - dobiegł ryk z boku komnaty i Drizzt odwrócił się, by ujrzeć, jak Bruenor wpada do środka. Niemal spodziewał się, że krasnolud, przybrany i nadopiekuńczy ojciec Catti-brie, zapyta się na co, na dziewięć piekieł, Drizzt się tak gapi, i westchnienie, jakie drow wydał z siebie, było pełne szczerej ulgi, gdy Bruenor, z ogniście czerwoną brodą, zamiast tego rozpoczął tyradę na temat Settlestone, osady barbarzyńców na południe od Mithrilowej Hali.

Mimo to drow uznał, że się czerwieni (i miał nadzieję, że jego skóra o odcieniu mahoniu to ukryje), gdy potrząsnął głową, przejechał palcami po białych włosach, by odgarnąć je z powrotem z twarzy, i również zaczął zdejmować osprzęt do ćwiczeń.

Catti-brie podeszła, potrząsając swą gęstą, kasztanową czupryną, by pozbyć się kropelek.

- Berkthgar robi trudności? - stwierdziła, mając na myśli Berkthgara Śmiałego, nowego wodza Settlestone.

Bruenor parsknął.

- Berkthgar nie potrafi robić nic poza trudnościami!

Drizzt podniósł wzrok na piękną Catti-brie. Nie chciał wyobrażać sobie, jak się starzeje, choć wiedział, że zrobi to z większym wdziękiem niż większość.

- Jest dumny - Catti-brie odparła do ojca - i boi się.

- Ba! - wypalił Bruenor. - A czego ma się bać? Ma wokół siebie parę setek silnych mężczyzn i żadnego wroga w polu widzenia.

- Boi się, że nie wykaże się w cieniu swego poprzednika - wyjaśnił Drizzt, a Catti-brie przytaknęła.

Bruenor zatrzymał się w połowie wybuchu i zastanowił nad słowami drowa. Berkthgar żył w cieniu Wulfgara, w cieniu największego bohatera, jakiego kiedykolwiek znały barbarzyńskie plemiona z odległej Doliny Lodowego Wichru. Mężczyzny, który zabił Dracosa Lodową Śmierć, który w niedojrzałym wieku dwudziestu lat zjednoczył zaciekłe plemiona i pokazał im lepszy sposób życia.

Bruenor nie sądził, by jakikolwiek człowiek był w stanie przeświecać przez cień Wulfgara i jego zrezygnowane przytaknięcie pokazywało, że zgadzał się i akceptował prawdę tego rozumowania. Wielki smutek okalał mu twarz oraz oczy, bowiem Bruenor nie mógł nie myśleć o Wulfgarze, człowieku, który był dla niego synem, bez tego smutku.

- W czym robi takie trudności? - spytał Drizzt, starając się ominąć tę kłopotliwą chwilę.

- W tym całym cholernym sojuszu - prychnął Bruenor. Drizzt oraz Catti-brie wymienili zaciekawione spojrzenia. To nie miało oczywiście sensu. Barbarzyńcy z Settlestone i krasnoludy z Mithrilowej Hali już byli sojusznikami, pracując ramię w ramię, kiedy to lud Bruenora wydobywał drogocenny mithril i formował go w kosztowne artefakty, zaś barbarzyńcy prowadzili handel z kupcami z pobliskich miast, jak Nesme na Wrzosowiskach Trolli czy Silverymoon na wschodzie. Obydwa ludy, Bruenora oraz Wulfgara, walczyły wspólnie, by oczyścić Mithrilową Halę ze złych szarych krasnoludów, duergarów, i barbarzyńcy przybyli tu ze swych domów w odległej Dolinie Lodowego Wichru z postanowieniem pozostania jedynie z powodu tej trwałej przyjaźni oraz sojuszu z klanem Bruenora. Nie miało więc sensu, że Berkthgar robił trudności, nie wobec perspektywy ataku drowów wiszącą im nad głową.

- On chce mieć młot - wyjaśnił Bruenor, dostrzegając wątpliwości Drizzta i Catti-brie.

To wszystko wyjaśniało. Młot był bronią Wulfgara, potężnym Aegis-fangiem, który Bruenor wykuł samodzielnie jako dar dla Wulfgara podczas lat, jakie młody mężczyzna spędził w służbie u rudowłosego krasnoluda. Bruenor, Drizzt i Catti-brie nauczyli zapalczywego młodego barbarzyńcę lepszych zwyczajów.

Oczywiście, że Berkthgar chce Aegis-fanga, zdał sobie sprawę Drizzt. Młot bojowy stał się czymś więcej niż bronią, stał się symbolem dla krzepkich mężczyzn i kobiet z Settlestone. Aegis-fang

symbolizował pamięć Wulfgara i jeśli Berkthgar zdoła przekonać Bruenora, by to on go dzierżył, jego pozycja wśród barbarzyńców wzrośnie po dziesięciokroć.

Było to jak najbardziej logiczne, lecz Drizzt wiedział, że Berkthgar nigdy, przenigdy nie zdoła przekonać Bruenora, by oddał mu młot.

Krasnolud zaczął wtedy patrzeć na Catti-brie i Drizzt również na nią spojrzał, zastanawiając się, czy sądzi ona, iż oddanie młota nowemu przywódcy barbarzyńców byłoby dobrą rzeczą. Jakże wiele emocji musiało kłębić się w myślach młodej kobiety! Ona i Wulfgar mieli się pobrać. Razem dorastali i ramię w ramię przeszli przez wiele danych przez życie lekcji. Czy Catti-brie mogła teraz wyjść poza to wszystko, poza własny żal, i podążyć drogą logiki, by przypieczętować sojusz?

- Nie - powiedziała w końcu ze zdecydowaniem. - Nie może dostać młota.

Drizzt pokiwał twierdząco głową i cieszył się, że Catti-brie nie chciała pozbyć się wspomnień o Wulfgarze, swej miłości do tego mężczyzny. On również kochał Wulfgara jako brata i nie mógł wyobrazić sobie, by ktokolwiek inny, ani Berkthgar, ani nawet sam bóg Tempus, mógł nosić Aegis-fanga.

- Nigdy nawet nie myślałem, by mu go dać - zgodził się Bruenor. Pokiwał groźnie pięścią w powietrzu i mięśnie na jego ręku napięły się wyraźnie. - Jednak jeśli ten bękart renifera znów poprosi, dam mu coś innego, bez wątpienia!

Drizzt zauważył, że robi się poważny problem. Berkthgar chciał młot, to było zrozumiałe, nawet oczekiwane, jednak młody, ambitny barbarzyński przywódca najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy z głębi swej prośby. Drizzt wiedział, iż ta sytuacja mogła się stać o wiele gorsza. Mogła doprowadzić do otwartej walki pomiędzy obydwoma ludami, bowiem Drizzt ani przez chwilę nie wątpił w roszczenia Bruenora. Jeśli Berkthgar żądał młota jako okup za to, co powinien dać bez warunków, będzie miał szczęście, zachowując przy sobie wszystkie kończyny.

- Ja i Drizzt pójdziemy do Settlestone - zaproponowała Catti-brie. - Weźmiemy od Berkthgara słowo i nie damy mu nic w zamian.

- Ten chłopak jest głupcem! - prychnął Bruenor.

- Ale jego ludzie nie są głupcami - dodała Catti-brie. - Chce młota, by zrobić z siebie przywódcę. Nauczymy go, że proszenie o coś, czego nie może mieć, uczyni go gorszym wodzem.

Silna, pełna pasji i taka mądra, dumał Drizzt, obserwując młodą kobietę. Rzeczywiście osiągnie to, co twierdzi. Wraz z Catti-brie pójdą do Settlestone i wrócą ze wszystkim, co właśnie obiecała ojcu.

Drow wydał z siebie długie westchnienie, gdy Bruenor i Catti-brie odsunęli się, a młoda kobieta poszła zabrać swoje rzeczy spod ściany. Obserwował odnowiony wigor w krokach Bruenora, życie

powracające do żarliwego krasnoluda. Jak wiele lat będzie rządził król Bruenor Battlehammer? - zastanawiał się Drizzt. Sto? Dwieście?

Jeśli ostrze wroga bądź pazury potwora nie skrócą mu życia, on również będzie obserwował, jak Catti-brie starzeje się i odchodzi.

Był to obraz, którym Drizzt, obserwujący lekkie kroki tego źrebięcia, nie będzie mógł się cieszyć.

* * *

Khazid'hea, bądź Przecinaczka, spoczywała cierpliwie na biodrze Catti-brie, jej chwila złości przeminęła. Myślący miecz był zadowolony z jej postępów jako wojowniczki. Bez wątpienia była zdolna, lecz Khazid'hea mimo to pragnęła więcej, pragnęła być dzierżona przez najdoskonalszego wojownika.

W tej chwili owym wojownikiem wydawał się być Drizzt Do'Urden.

Miecz udał się za Drizztem, gdy drow renegat zabił jego poprzedniego właściciela, Dantraga Baenre. Khazid'hea zmieniła rękojeść, jak to zwykle robiła, z rzeźbionej głowy czarta (która skusiła Dantraga) na jednorożca, wiedząc, że to symbol bogini Drizzta Do'Urdena. Mimo to drow tropiciel poprosił, by Catti-brie wzięła miecz, bowiem on wolał sejmitar.

Wolał sejmitar!

Jakże Khazid'hea żałowała, że nie może zmienić ostrza tak, jak to zrobiła z rękojeścią! Jeśli broń byłaby w stanie wygiąć ostrze, skrócić je i pogrubić...

Khazid'hea nie mogła jednak tego, a Drizzt nie chciał dzierżyć miecza. Kobieta była jednak dobra i stawała się lepsza. Była człowiekiem i nie będzie żyć tak długo, by osiągnąć biegłość Drizzta, jednak jeśli miecz zdoła skłonić ją, by zabiła drowa...

Istniało wiele sposobów, by stać się najlepszym.

* * *

Opiekunka Baenre, wyniszczona i zbyt stara by żyć, nawet jak na drowkę, stała w wielkiej kaplicy

pierwszego domu Menzoberranzan, jej domu, obserwując powolne postępy, gdy niewolnicy starali się wydobyć urwany stalaktyt z dachu pokrytej kopułą budowli. Wiedziała, że miejsce to wkrótce zostanie odbudowane. Gruzy na podłodze już były sprzątnięte, a krew tuzina drowów zabitych w tej tragedii już dawno zmyta.

Wszakże ból tej chwili, największego wstydu opiekunki Baenre w obliczu wszystkich istotnych matek opiekunek z Menzoberranzan, w momencie gdy pierwsza matka opiekunka była na szczycie potęgi, pozostawał. Podobny włóczni stalaktyt wbił się w dach, mógł jednak równie dobrze rozerwać serce opiekunki Baenre. Zawiązała sojusz pomiędzy skorymi do wojny domami miasta drowów, łącząc je i spajając obietnicami większej chwały, gdy armia drowów podbije Mithrilową Halę.

Większej chwały dla Pajęczej Królowej. Większej chwały dla opiekunki Baenre.

Roztrzaskanej przez czubek stalaktytu, przez ucieczkę tego renegata Drizzta Do'Urdena. Przez Drizzta straciła swego najstarszego syna, Dantraga, chyba najlepszego fechmistrza w Menzoberranzan. Przez Drizzta straciła swą córkę, niegodziwą Yendes. Poza tym, co dla starej wiedźmy było najboleśniejsze, przez Drizzta oraz jego przyjaciół straciła sojusz, obietnicę większej chwały. Kiedy bowiem matki opiekunki, władczynie Menzoberranzan oraz kapłanki, obserwowały, jak stalaktyt przebij a dach tej kaplicy, tego najbardziej uświęconego miejsca Lloth, ich przekonanie, że bogini usankcjonowała zarówno ten sojusz, jak i nadchodzącą wojnę, legło w gruzach. Opuściły dom Baenre w pośpiechu, wracając do własnych domów, gdzie zapieczętowały bramy i próbowały rozszyfrować wolę Lloth.

Status opiekunki Baenre wielce na tym ucierpiał.

Nawet po tym wszystkim, co się stało, pierwsza matka opiekunka była wszakże pewna, że zdoła przywrócić sojusz. Na naszyjniku trzymała pierścień wykonany z zęba pradawnego krasnoludzkiego króla, Gandaluga Battlehammera, patrona klanu Battlehammer, założyciela Mithrilowej Hali. Opiekunka Baenre posiadała duszę Gandaluga i mogła z niej wydostać odpowiedzi na temat krasnoludzkich kopalni. Pomimo ucieczki Drizzta Do'Urdena mroczne elfy mogły udać się do Mithrilowej Hali, mogły ukarać Drizzta i jego przyjaciół.

Mogła przywrócić sojusz, jednak z jakiegoś powodu, którego opiekunka Baenre nie rozumiała, Lloth, sama Pajęcza Królowa, powstrzymywała ją. Yochlol, sługa Lloth, przybył do Baenre i ostrzegł ją, by odłożyła sojusz na bok, zamiast tego skupiając uwagę na własnej rodzinie, na zabezpieczeniu środków ochronnych domu. Było to żądanie, którego żadna kapłanka Pajęczej Królowej nie śmiałaby zlekceważyć.

Usłyszała za sobą głośne stukanie twardych butów o posadzkę oraz brzęk obfitej biżuterii i nie musiała się odwracać, by wiedzieć, że wszedł Jarlaxle.

- Zrobiłeś, o co prosiłam? - zapytała, wciąż spoglądając na prace trwające przy sklepionym stropie.

- Również cię witam, pierwsza matko opiekunko - odparł zawsze sarkastyczny mężczyzna. To spowodowało, że Baenre obróciła się do niego i skrzywiła, jak ona oraz tak wiele innych rządzących w Menzoberranzan kobiet to robiło, patrząc na najemnika.

Chełpił się - nie istniało inne słowo, by go opisać. Mroczne elfy z Menzoberranzan, zazwyczaj mężczyźni, przywdziewali ciche, praktyczne ubiory, ciemne szaty ozdobione pająkami lub pajęczynami lub też czarne kurtki pod giętkimi kolczugami. Oprócz tego, niemal zawsze, zarówno męskie jak i żeńskie drowy nosiły kamuflujące, ciemne płaszcze, które mogły osłonić je przed szpiegującymi oczyma licznych wrogów.

Nie było tak w przypadku Jarlaxle'a. Jego głowa była ogolona i zawsze zwieńczona krzykliwym kapeluszem o szerokim rondzie z zatkniętym gigantycznym piórem ptaka diatryma. W miejsce płaszcza bądź szaty nosił błyszczącą pelerynę, która odbijała każdy kolor spektrum, zarówno w świetle, jak i w wyczuwającej ciepło infrawizji. Pozbawiona rękawów kamizelka była wysoko wycięta, by ukazać mięśnie brzucha. Jarlaxle miał na sobie również szereg pierścieni oraz naszyjników, bransolet, które dźwięcznie dzwoniły - lecz tylko wtedy, gdy najemnik tego chciał. Podobnie jak buty, dudniące tak donośnie o posadzkę kaplicy, biżuterię można było całkowicie uciszyć.

Opiekunka Baenre zauważyła, że zwyczajowa przepaska na oko najemnika znajdowała się tego dnia na lewym oku, lecz co, jeśli w ogóle, to oznaczało, nie była w stanie powiedzieć.

Któż bowiem wiedział, jaka magia gnieździła się w owej przepasce lub w biżuterii i butach, albo w dwóch różdżkach, które trzymał zatknięte za pas, bądź w wiszącym obok nich wspaniałym mieczu? Połowa z tych rzeczy, nawet jedna z różdżek, jak sądziła opiekunka Baenre, była najprawdopodobniej fałszywa, z niewielkimi lub żadnymi właściwościami magicznymi nie licząc może zdolności uciszania się. Połowa wszystkiego co robił Jarlaxle, była blefem, jednak druga była diabelska i niezwykle śmiercionośna.

To właśnie dlatego chełpiący się najemnik był tak niebezpieczny.

To właśnie dlatego opiekunka Baenre tak nienawidziła Jarlaxle'a, lecz jednocześnie tak go potrzebowała. Był przywódcą Bregan D'aerthe, sieci szpiegów, złodziei i zabójców, głównie mężczyzn banitów, pozbawionych domu, jako że ich rodziny zostały starte przez jedną z licznych wojen. Równie tajemniczy jak ich niebezpieczny dowódca członkowie Bregan D'aerthe nie byli znani, jednak byli naprawdę potężni - równie jak większość ze stabilnych domów miasta - i bardzo skuteczni.

- Czego się dowiedziałeś? - spytała bez ogródek opiekunka Baenre.

- Całe wieki zajęłoby mi wyrzucenie tego wszystkiego z siebie - odparł czupurny łotr.

Płonące czerwienią oczy Baenre zwęziły się i Jarlaxle zdał sobie sprawę, że nie jest ona w nastroju na jego impertynencję. Wiedział, że się boi i, zważywszy na katastrofę wysokiego rytuału,

słusznie.

- Nie widzę żadnego spisku - szczerze przyznał najemnik. Oczy opiekunki Baenre rozszerzyły się i drowka zakołysała się na piętach, zaskoczona bezceremonialną odpowiedzią. Rzuciła oczywiście zaklęcia, które pozwoliłyby jej wykryć wszelkie wygłoszone przez najemnika bezpośrednie kłamstwa. Jarlaxle zaś oczywiście wiedział o tym. Czary te nigdy nie wydawały się stanowić problemu dla przebiegłego dowódcy najemników, który balansował na obrzeżach każdego pytania, nigdy nie mówiąc do końca prawdy, lecz nigdy otwarcie nie kłamiąc.

Tym razem jednak odpowiedział bez ogródek i prosto w serce wyraźnego pytania. Z tego zaś co opiekunka Baenre mogła stwierdzić, mówił prawdę.

Baenre nie mogą tego zaakceptować. Być może jej zaklęcie nie działało tak, jak zamierzała. Być może Lloth rzeczywiście porzuciła ją za jej porażkę i teraz oszukiwała ją.

- Opiekunka Mez'Barris Armgo - ciągnął Jarlaxle, mając na myśli matkę opiekunkę Barrison del'Armgo, drugiego domu miasta - pozostaje lojalna tobie i twojej sprawie, pomimo... - szukał odpowiedniego słowa - ... zakłóceń - powiedział w końcu - podczas wysokiego rytuału. Opiekunka Mez'Barris rozkazała nawet swemu garnizonowi, by zachowywał gotowość na wypadek, gdyby marsz na Mithrilową Halę został podjęty. Są zaś bardziej niż chętni, by iść, zapewniam cię, zwłaszcza że... - najemnik przerwał i westchnął z ironicznym smutkiem, zaś opiekunka Baenre zrozumiała jego tok myślenia.

Logicznie rzecz biorąc, Mez'Barris była chętna, aby iść na Mithrilową Halę, bowiem po śmierci Dantraga Baenre jej własny fech-mistrz, potężny Uthegental, był niezaprzeczalnie największy w mieście. Jeśli Uthegental zdołałby pokonać banitę Do'Urdena, jakiej chwały dostąpiłby dom Barrison del'Armgo!

Właśnie ten tok myślenia oraz najwyraźniej szczere słowa Jarlaxle'a urągały obawom opiekunki Baenre, bowiem bez pomocy Barrion del'Armgo żadna kombinacja domów w Menzoberranzan nie mogłaby zagrozić domowi Baenre.

- Wystąpiły oczywiście drobne tarcia pomiędzy twoimi ocalałymi dziećmi - kontynuował Jarlaxle. - Mieli jednak ze sobą mało kontaktu i jeśli którekolwiek z nich zamierzałoby wystąpić przeciwko tobie, odbyłoby się to bez pomocy Triel, która jest zajęta w Akademii od czasu ucieczki banity.

Opiekunka Baenre dobrze postarała się, by ukryć swą ulgę na to stwierdzenie. Jeśli Triel, najpotężniejsza z jej córek i z pewnością cieszącą się łaską Lloth, nie planowała wystąpienia przeciwko niej, zamach z wewnątrz wydawał się mało prawdopodobny.

- Oczekuje się, że wkrótce mianujesz Berg'inyona fechmistrzem i Gromph się temu nie sprzeciwi - stwierdził Jarlaxle.

Opiekunka Baenre przytaknęła. Gromph był jej starszym chłopcem oraz arcymagiem Menzoberranzan i dysponował większą potęgą niż jakikolwiek mężczyzna w mieście (oprócz, być może, przebiegłego Jarlaxle'a). Gromph nie sprzeciwi się, gdy Berg'inyon zostanie fechmistrzem domu Baenre. Hierarchia córek Baenre również wydawała się bezpieczna, musiała przyznać. Triel zajmowała stanowisko matki mistrzyni Arach-Tinilith w Akademii i, choć te pozostałe w domu mogły sprzeczać się o obowiązki oraz moce pozostałe po Yendes, nie wydawało się to ją obchodzić.

Opiekunka Baenre spojrzała znów na szpikulec, jaki Drizzt oraz jego przyjaciele wbili w strop, i nie była zadowolona. W okrutnym i bezlitosnym Menzoberranzan satysfakcja oraz zadowolenie, jakie jej nieodmiennie towarzyszyło, zbyt często prowadziły do ostatecznej porażki.

ROZDZIAŁ 2

BRYGADA POGROMCÓW FLAKÓW

Sądzisz, że będziemy czegoś potrzebować? - spytała Catti-brie, idąc wraz z Drizztem wzdłuż niższych poziomów Mithrilowej Hali. Szli korytarzem otwierającym się szeroko na lewo, do wielkiej jaskini mieszczącej w sobie osławione krasnoludzkie Podmiasto.

Drizzt przystanął i spojrzał na nią, po czym poszedł na lewo, ciągnąc Catti-brie za sobą. Przeszedł przez otwór, wyłaniając się na drugim stopniu od podłogi wielkiej groty.

Całe to miejsce wrzało, krasnoludy biegały na wszystkie strony, wrzeszcząc, by dało się je usłyszeć nad ciągłym brzęczeniem ogromnych miechów oraz zdecydowanym dudnieniu młotów o mithril. Było to serce Mithrilowej Hali, wielka, otwarta jaskinia z gigantycznymi stopniami wyciętymi na wschodniej i zachodniej ścianie, tak że całość przypominała otwartą piramidę. Silne krasnoludy ciągnęły wyznaczonymi szlakami wózki wypełnione rudą, podczas gdy inni obsługiwali liczne dźwignie zawiłych pieców, zaś jeszcze inni wciągali na stopnie mniejsze wózki z wytopionymi metalami. Tam rozmaici rzemieślnicy przekuwali je w użyteczne przedmioty. Zazwyczaj produkowano tutaj różne towary - wspaniałą srebrną zastawę, wysadzane klejnotami kielichy oraz ozdobne hełmy - szykowne, lecz niepraktyczne w użyciu. Teraz jednak, gdy nad ich głowami wisiała wojna, krasnoludy skupiły się na broni oraz obronnym opancerzeniu. Siedem metrów na bok od Drizzta i Catti-brie krasnolud tak pokryty sadzą, iż nie dawało się dostrzec koloru jego brody, oparł o ścianę kolejny bełt do balisty, o żelaznym trzonie i mithrilowym grocie. Krasnolud nie był nawet w stanie sięgnąć czubka niemal dwuipółmetrowej włóczni, przyjrzał się jednak jej wielokrawędziowemu ostrzu i zachichotał. Bez wątpienia cieszyła go wizja jej lotu oraz stojących w rządku małych drowów.

Na jednym z łukowatych mostów łączących ze sobą stopnie, może ze trzydzieści lub pięćdziesiąt metrów nad dwojgiem przyjaciół, rozgorzała spora kłótnia. Drizzt i Catti-brie nie mogli dosłyszeć w ogólnym harmidrze poszczególnych słów, zdawali sobie jednak sprawę, że ma to coś wspólnego z planami zawalenia tego i wielu innych mostów, zmuszając mrocznoelfich najeźdźców do pójścia określonymi drogami, gdyby zamierzali dostać się na wyższe poziomy kompleksu.

Wszyscy z nich, Drizzt, Catti-brie czy ktokolwiek z ludu Bruenora, mieli nadzieję, że przenigdy do tego nie dojdzie.

Dwoje przyjaciół wymieniło porozumiewawcze spojrzenia. Rzadko w długiej historii Mithrilowej Hali Podmiasto przeżywało takie podniecenie. Wszędzie krzątało się dwa tysiące krasnoludów, wrzeszcząc, stukając młotami lub ciągnąc ciężary, z którymi nie poradziłby sobie mul.

Wszystko to dlatego, że obawiali się nadejścia drowów.

Catti-brie rozumiała, dlaczego Drizzt zboczył do tego miejsca, dlaczego nalegał, by przed pójściem do Settlestone odnaleźć halflinga Regisa, o co prosił ich Bruenor.

- Znajdźmy tego spryciarza - powiedziała do Drizzta, zmuszona wrzeszczeć, by zostać usłyszaną. Drizzt przytaknął i podążył za nią z powrotem we względną ciszę ciemnych korytarzy. Zaczęli oddalać się od Podmroku, idąc w kierunku oddalonych komnat, w których, jak powiedział im Bruenor, mogli znaleźć halflinga. Szli w milczeniu - i Drizzt był pod wrażeniem tego, jak cicho poruszać nauczyła się Catti-brie. Podobnie jak on miała na sobie kolczugę z cienkich, lecz niezwykle silnych mithrilowych kółek, dopasowaną specjalnie dla niej przez Bustera Bracera, najlepszego płatnerza w Mithrilowej Hali. Pancerz Catti-brie poświadczał reputację krasnoluda, był bowiem tak doskonale wykonany i elastyczny, że zginał się przy ruchach niczym gruba koszula.

Podobnie jak w przypadku Drizzta, buty Catti-brie były cienkie i wygodne, lecz, według bystrych uszu drowa, niewielu ludzi, nawet tak obutych, potrafiło poruszać się tak cicho. Drizzt przyjrzał jej się subtelnie w przyćmionym, migoczącym świetle z rzadka rozmieszczonych pochodni. Zauważył, że kroczy jak drowka, najpierw stawiając na ziemi główkę palca u nasady dużego palca u nogi, zamiast bardziej typowej dla ludzi metody pięta-palce. Dobrze przysłużył jej się okres spędzony w Podmroku, kiedy to podążała za Drizztem do Menzoberranzan.

Drow pokiwał z aprobatą głową, lecz nie skomentował. Uznał, że Catti-brie zasłużyła sobie już dzisiaj na wystarczająco wiele dumy. Nie było sensu nadmuchiwać jeszcze bardziej jej ego.

Korytarze były puste i stawały się coraz ciemniejsze. Drizzt nie przegapił tego. Pozwolił nawet, by jego wzrok przeszedł w spektrum podczerwieni, gdzie różne stopnie ciepła obiektów ukazywały mu ich ogólny kształt. Catti-brie, jako człowiek, nie posiadała oczywiście takiej zdolności, jednak nosiła na głowie cienki, srebrny łańcuszek z osadzonym na czole zielonym klejnotem, przecięty linią czerni - agat kocie oko. Otrzymała go od samej pani Alustriel i był zaklęty tak, by jego właściciel mógł widzieć nawet w najciemniejszych, najgłębszych tunelach, jakby stał na otwartym polu pod gwiaździstym niebem.

Dwoje przyjaciół nie miało problemów z poruszaniem się w ciemności, lecz mimo to nie czuło się w niej dobrze. Dlaczego pochodnie nie płonęły? - zastanawiali się. Ich dłonie znajdowały się blisko rękojeści broni, a Catti-brie zaczęła nagle żałować, że nie zabrała ze sobą Taulmarila Poszukiwacza Serc, swego magicznego łuku.

Rozległ się straszny trzask i podłoga zatrzęsła im się pod nogami. Obydwoje natychmiast przykucnęli i w dłoniach Drizzta pojawiły się tak szybko sejmitary, że Catti-brie nawet nie zarejestrowała tego ruchu. Z początku młoda kobieta uważała niemożliwie szybki manewr za rezultat magicznych bransolet, jednak, zerknąwszy na drowa, zdała sobie sprawę, że nie ma on ich w ogóle na sobie. Ona również wyciągnęła miecz i wzięła głęboki oddech, w ciszy ganiać się za sądzenie, iż zbliża się w umiejętnościach walki do niewiarygodnego tropiciela. Catti-brie odrzuciła tę myśl - nie było teraz na to czasu - i skoncentrowała się na rozciągającym się przed nimi krętym korytarzu.

Ramię przy ramieniu przesuwali się wraz z Drizztem powoli do przodu, wypatrując cieni, w których mogliby kryć się wrogowie, lub linii w ścianie, wskazujących na sprytne tajemne drzwi do bocznych tuneli. Drogi takie były powszechne w krasnoludzkim kompleksie, bowiem większość krasnoludów potrafiła je zrobić i również większość, chciwa z natury, trzymała w ukryciu osobiste skarby. Catti-brie nie znała zbyt dobrze tej mało używanej sekcji Mithrilowej Hali. Podobnie jak Drizzt.

Dobiegł kolejny trzask, a podłoga znów się zatrzęsła, bardziej niż przedtem, i przyjaciele wiedzieli, że się zbliżają. Catti-brie cieszyła się, że ćwiczyła tak uparcie, a jeszcze bardziej cieszyło ją to, że u jej boku znajdował się Drizzt Do'Urden.

Przestała iść i Drizzt uczynił to samo, odwracając się, by na nią spojrzeć.

- Guenhwyvar? - bezgłośnie poruszyła wargami, mając na myśli kocią przyjaciółkę Drizzta, lojalną panterę, którą drow mógł przyzywać z Planu Astralnego.

Drizzt rozważał przez chwilę tę sugestię. Starał się nie przyzywać teraz za często Guenhwyvar, wiedząc, że wkrótce może nadejść czas, kiedy będzie częściej potrzebował pantery. Jej magia była ograniczona, Guenhwyvar mogła pozostać na Planie Materialnym jedynie przez pół dnia na każde dwa.

Jeszcze nie, uznał Drizzt. Bruenor nie powiedział, co Regis może tam robić, jednak krasnolud nie dał żadnych wskazówek, że grozi mu niebezpieczeństwo. Drow potrząsnął lekko głową i ruszyli dalej, cicho i pewnie.

Rozległ się trzeci trzask, po którym nastąpił jęk.

- Twoja głowa, ty durny głupcze! - dobiegło ostre łajanie. - Musisz używać swojej śmierdzącej głowy!

Drizzt oraz Catti-brie wyprostowali się natychmiast i poluźnili uścisk na rękojeściach.

- Pwent - powiedzieli wspólnie, mając na myśli Thibbledorfa Pwenta, gwałtownego szałojownika, najbardziej nieprzyjemnego i cuchnącego krasnoluda na południe od Grzbietu Świata (i najprawdopodobniej również na północ od niego).

- Zaraz będziesz chciał nosić śmierdzący hełm! - ciągnęła się tyrada.

Za następnym zakrętem dotarli do rozwidlenia korytarza. Na lewo Pwent wciąż ryczał z wściekłości, zaś na prawo były drzwi, zza których przez liczne szczeliny przebłyskiwało światło pochodni. Drizzt przekrzywił głowę, wychwytując z tamtej strony cichy i znajomy chichot.

Wskazał Catti-brie, by poszła za nim, i przeszedł przez drzwi bez pukania. Wewnątrz stał samotnie Regis, opierając się o korbę w pobliżu znajdującej się po jego lewej stronie ściany. Uśmiech halflinga rozjaśnił się, gdy ujrzał swych przyjaciół, i pomachał do nich z wysoka ręką - z

względnie wysoka, bowiem Regis był niski, nawet jak na standardy halflingów, i jego kręcone, brązowe włosy ledwo dosięgały dziewięćdziesięciu centymetrów. Miał zaokrąglony brzuszek, choć wydawał się on ostatnio kurczyć, bowiem nawet leniwy halfling przejął się zagrożeniem, które nadciągało na miejsce, które stało się dla niego domem.

Przyłożył palec do wydętych warg, gdy Drizzt oraz Catti-brie zbliżyli się, i wskazał na „drzwi" przed sobą. Żadne z towarzyszy nie potrzebowało wiele czasu, by zrozumieć, o co chodzi. Korba obok Regisa obsługi wala płytę z ciężkiego metalu, biegnącą z góry i z boku drzwi na prowadnicach. Drewna drzwi nie można było teraz dostrzec, ponieważ znajdowała się przed nim płyta.

- Idź! - dobiegła podobna do grzmotu komenda z drugiej strony, po której nastąpiły pospieszne kroki i jękliwy ryk, a następnie straszny wybuch, gdy krasnolud trafił i odbił się oczywiście od zabarykadowanych wrót.

- Trening szałojowników - spokojnie wyjaśnił Regis. Catti-brie spojrzała kwaśno na Drizzta, przypominając sobie, co ojciec powiedział jej o planach Pwenta.

- Brygada Pogromców Flaków - stwierdziła, a Drizzt przytaknął, ponieważ jemu również Bruenor mówił o tym, iż Thibbledorf Pwent zamierza wyszkolić grupę krasnoludów w niezbyt subtelnej sztuce szałojownictwa, swą własną Brygadę Pogromców Flaków, wysoce zmotywowaną i przećwiczoną w furii, oraz niezbyt bystrą.

Kolejny krasnolud trafił w zabarykadowane drzwi, najprawdopodobniej głową, i Drizzt zrozumiał, w jaki sposób Pwent zamierza pomóc swoim żołnierzom w spełnieniu trzeciego warunku.

Catti-brie potrząsnęła głową i westchnęła. Nie wątpiła w militarną wartość brygady - Pwent mógłby pokonać każdego w Mithrilowej Hali, poza Drizztem i być może Bruenorem, jednak wizja biegających dookoła małych Thibbledorfów Pwentów wykręcała jej wnętrzności!

Za drzwiami Pwent łajał ostro swój oddział, określając krasnoludy każdym możliwym przekleństwem, z których wielu Catti-brie, żyjąca w klanie od ponad dwudziestu lat, nigdy nie słyszała, oraz kilkoma, które Pwent wydawał się wymyślać na poczekaniu, jak na przykład całuśnik mułów, wąchacz pcheł, pijący wodę lub „ten, który sądzi, że, żeby dostać durne mleko, trzeba ścisnąć dumą krowę głupim kawałem piaskowca".

- Idziemy do Settlestone - Drizzt wyjaśnił Regisowi. Drow zapragnął nagle wydostać się stamtąd. - Berkthgar robi trudności.

Regis przytaknął.

- Byłem tam, gdy powiedział Bruenorowi, że chce młot. - Anielska twarz halflinga wykrzywiła się w jednym z typowych dla niego przebiegłych uśmiechów. - Naprawdę sądziłem, że Bruenor przetnie go na pół.

- Potrzebujemy Berkthgara - Catti-brie przypomniała halflingowi.

Regis parsknął.

- Blefuje - nalegał. - Baerktgar nas potrzebuje, a jego lud nie przyjmie dobrze odwracania się plecami do krasnoludów, które były tak dla niego dobre.

- Bruenor tak naprawdę by go nie zabił - rzekł Drizzt jakoś bez przekonania. Przyjaciele zamilkli i popatrzyli po sobie, każde zastanawiając się nad twardym królem krasnoludów, nad przywróconym im starym i żarliwym Bruenorem. Myśleli o Aegis-fangu, najpiękniejszej z broni, której boki mithrilowej głowni ozdobione były świętymi runami krasnoludzkich bogów. Na jednej stronie wycięty był młot oraz kowadło Moradina Kowala Dusz, na drugiej skrzyżowane topory Clangeddona, krasnoludzkiego boga bitwy, obydwa zaś otoczone doskonale rytem klejnotu w górze, symbolem Dumathoina, Strażnika Tajemnic. Bruenor był jednym z najlepszych kowali krasnoludów, jednak po zrobieniu Aegis-fanga, ukoronowaniu swego twórczego triumfu, rzadko kłopotał się powracaniem do kuźni.

Pomyśleli o Aegis-fangu i o Wulfgarze, który był Bruenorowi niczym syn, o wysokim młodzieńcu z długimi włosami, dla którego Bruenor wykonał potężny młot.

- Bruenor tak naprawdę by go zabił - powiedziała Catti-brie, wygłaszając myśli całej trójki.

Drizzt zaczął mówić, lecz Regis powstrzymał go, podnosząc palec.

- ...teraz weź głowę niżej! - Pwent powarkiwał po drugiej stronie drzwi. Regis skinął głową, uśmiechnął się i wskazał Drizztowi, by kontynuował.

- Uznaliśmy, że mógłbyś...

Rozległ się kolejny trzask, po czym następny jęk, po nim zaś klapanie krasnoludzkich warg, gdy przyszły szałojownik potrząsał z wigorem głową.

- Dobre podniesienie się! - pogratulował Pwent.

- Uznaliśmy, że mógłbyś nam towarzyszyć - rzekł Drizzt, ignorując pełne niesmaku westchnienie Catti-brie.

Regis rozmyślał nad tym przez chwilę. Halfling chciałby wyjść z kopalni i znów przeciągnąć się w blasku słońca, choć skończyło się już lato i powietrze muskał już jesienny chłód.

- Muszę zostać - oznajmił pełen niezwykłego poświęcenia halfling. - Mam dużo do zrobienia.

Drizzt i Catti-brie przytaknęli. Regis zmienił się przez ostatnie kilka miesięcy kryzysu. Kiedy Drizzt oraz Catti-brie udali się do Menzoberranzan - Drizzt by zażegnać zagrożenie, a Catti-brie by

odnaleźć Drizzta - Regis objął dowodzenie, by skłonić lamentującego Bruenora do przygotowań do wojny. Regis, który spędził większość życia, szukając najmiększej kanapy, by się położyć, zrobił wrażenie na najtwardszych krasnoludzkich generałach, nawet na Thibbledorfie Pwencie, swym żarem i energią. Teraz halfling bardzo chciałby pójść, obydwoje o tym wiedzieli, pozostał jednak lojalny swej misji.

Drizzt spojrzał intensywnie na Regisa, starając się odnaleźć najlepszy sposób na przekazanie swej prośby. Ku jego zaskoczeniu halfling zrozumiał, o co chodzi, i jego ręce podążyły natychmiast do łańcuszka na szyi. Zdjął przez głowę rubinowy wisiorek i niedbale cisnął go Drizztowi.

Kolejne świadectwo dojrzałości halflinga, uznał Drizzt, wpatrując się w błyszczący rubin przymocowany do łańcucha. Był to najcenniejszy skarb Regisa, potężny, zaklęty przedmiot, który halfling ukradł swemu dawnemu przywódcy gildii w odległym Calimporcie. Regis strzegł go i hołubił niczym lwica pojedyncze lwiątko, przynajmniej aż do tej chwili.

Drizzt wciąż wpatrywał się w rubin. Czuł, że jest wciągany przez jego fasetki, opada spiralą w dół w głębię, która obiecywała...

Drow potrząsnął głową i zmusił się, by odwrócić wzrok. Nawet bez kogoś, kto by nim władał, zaklęty rubin sięgnął po niego! Nigdy wcześniej nie był świadkiem tak potężnego zaklęcia. Mimo to Jarlaxle, najemnik, oddał mu go. Dobrowolnie go zwrócił, gdy spotkali się w tunelach za Menzoberranzan po ucieczce Drizzta. Było to nieoczekiwane i istotne, że Jarlaxle oddal to Drizztowi, jednak drow nie odkrył jeszcze, jakie mogło być znaczenie tego faktu.

- Powinieneś uważać, zanim użyjesz tego na Berkthgarze - powiedział Regis, wyciągając Drizzta z rozmyślań. - Jest dumny i jeśli domyśli się, że używa się przeciwko niemu magii, sojusz może się rozpaść.

- Prawda - zgodziła się Catti-brie. Spojrzała na Drizzta.

- Tylko gdy będziemy tego potrzebować - stwierdził Drizzt, zawieszając łańcuszek na szyi. Wisiorek spoczął na jego piersi obok znajdującej się tam głowy jednorożca, symbolu jego bogini.

Kolejny krasnolud trafił w drzwi i odbił się, po czym leżał na podłodze jęcząc.

- Ba! - usłyszeli parsknięcie Pwenta. - Jesteście bandą liżących elfy chochlików! Pokażę wam, jak to się robi!

Regis skinął głową - to była wskazówka dla niego - i natychmiast zaczął obracać korbą, wyciągając metalową płytę sprzed drzwi.

- Uważajcie - ostrzegł swych dwoje towarzyszy, stali bowiem w miejscu, w którego kierunku Pwent mógł się udać po wyrywającym drzwi wtargnięciu.

- Lepiej chodźmy - powiedziała Catti-brie, ruszając ku drugim, zwyczajnym drzwiom. Młoda kobieta nie miała zamiaru oglądać Pwenta. Najprawdopodobniej uszczypnąłby ją w policzek brudnymi paluchami i powiedział, żeby „popracowała nad tą brodą", aby stać się piękną kobietą.

Drizzta nie trzeba było długo przekonywać. Podniósł rubin, skinął bez słowa głową do Regisa, dziękując, po czym wyszedł na korytarz za Catti-brie.

Nie uszli tuzina kroków, gdy usłyszeli, jak drzwi do ćwiczeń wybuchają, po czym następuje histeryczny rechot Pwenta i „ochy" oraz „achy" naiwnej Brygady Pogromców Flaków.

- Powinniśmy wysłać sporo z nich do Menzoberranzan - powiedziała cierpko Catti-brie. - Pwent posłałby całe to miasto na koniec świata!

Drizzt - który dorósł pośród niewiarygodnie potężnych drowich domów i widział gniew wysokich kapłanek oraz magiczne wyczyny wykraczające poza wszystko, czego doświadczył podczas lat spędzonych na powierzchni - nie sprzeciwił się.

* * *

Doradca Firble przejechał pomarszczoną dłonią po niemal łysej głowie, czując się nieprzyjemnie w świetle pochodni. Firble był svirfnebli, głębinowym gnomem, czterdziestoma kilogramami żylastych mięśni, spakowanymi w nieco wyższą niż metrową sylwetkę. Niewiele ras Podmroku radziło sobie tak dobrze jak svirfnebli, a żadna, może poza rzadkimi peczami, nie rozumiała tak dobrze zwyczajów skał.

Mimo to Firble był teraz bardziej niż tylko trochę wystraszony, znajdując się w pustych (oby) korytarzach poza granicami Blingdenstone, miasta, które było jego domem. Nienawidził światła pochodni, nienawidził wszelkiego światła, jednak rozkazy króla Schnickticka były ostateczne i nie podlegające dyskusji - żaden gnom nie mógł przemierzać korytarzy bez płonącej pochodni w dłoni.

Żaden gnom poza tym jednym. Owego dnia towarzysz Firble'a nie niósł pochodni, ponieważ nie posiadał dłoni. Belwar Dissengulp, wielce szanowany nadzorca kopaczy z Blingdenstone, stracił je przez drowa, przez Dinina, brata Drizzta Do'Urdena, wiele lat wcześniej. W przeciwieństwie jednak do tak wielu innych ras Podmroku svirfnebli nie byli pozbawieni współczucia i ich rzemieślnicy wykonali cudowne protezy z czystego, zaklętego mithrilu - prawą rękę Belwara wieńczył młot, zaś lewą podwójny kilof.

- Obchód zakończyliśmy - stwierdził Firble. - I wracać do Blingdenstone musimy!

- Nie całkiem! - mruknął Belwar. Jego głos był głębszy oraz silniejszy niż u większości svirfnebli

i pasował do niego, zważywszy na jego krępą sylwetkę o piersi w kształcie baryłki.

- W tunelach nie ma drowów - nalegał Firble. - Żadnej walki od trzech miesięcy! - Była to prawda. Po miesiącach walk z drowami z Menzoberranzan w tunelach w pobliżu Blingdenstone, korytarze stały się dziwnie ciche. Belwar rozumiał, że Drizzt Do'Urden, jego przyjaciel, odegrał w jakiś sposób rolę w tej zmianie i obawiał się, że Drizzt został pojmany bądź zabity.

- Cicho jest - powiedział delikatniej Firble, jakby właśnie uświadomił sobie niebezpieczeństwo własnego natężenia głosu. Po grzbiecie niższego svirfhebli przebiegł dreszcz. Belwar zmusił go, by tu przyjść - była to jego kolej na obchód, lecz zazwyczaj ktoś tak doświadczony i ważny jak Firble zostałby wyłączony z obowiązków zwiadowczych. Belwar nalegał jednak i z jakiegoś niezrozumiałego przez Firble 'a powodu król Schnicktick zgodził się z wielce szanowanym nadzorcą kopaczy.

Nie to, że Firble nie był przyzwyczajony do tuneli. Wprost przeciwnie. Był jedynym gnomem z Blingdenstone, który posiadał rzeczywiste kontakty w Menzoberranzan i był lepiej obznajomiony z tunelami w pobliżu miasta drowów niż jakikolwiek inny głębinowy gnom. Powodowało to, że Firble przydawał się w ostatnich dniach, szczególnie Belwarowi. Kiedy przebrana Catti-brie została pojmana przez svirfhebli i następnie rozpoznana jako przyjaciółka, to Firble, wielce się narażając, pokazał jej szybsze, tajemne ścieżki do Menzoberranzan.

Firble wiedział, że Belwar nie martwi się obecnością drowów w tunelach. Korytarze były ciche. Patrole gnomów oraz inni sekretni sprzymierzeńcy nie napotkali żadnego śladu, że drowy w ogóle znajdowały się w pobliżu, nawet na normalnych trasach mrocznych elfów bliżej Menzoberranzan. W mieście drowów stało się coś ważnego, to było oczywiste, podobnie jak fakt, że musieli być w to jakoś zamieszani Drizzt i ta kłopotliwa Catti-brie. To był prawdziwy powód, dla którego Belwar zmusił Firble'a, by tu przyjść. Firble to wiedział i znów się wzdrygnął, myśląc, że to właśnie dlatego król Schnicktick tak łatwo zgodził się z Belwarem.

- Coś się stało - powiedział Belwar, nieoczekiwanie wykładając karty, jakby rozumiał tok cichego rozumowania Firble'a. - Coś w Menzoberranzan.

Firble przyjrzał się podejrzliwie wielce szanowanemu nadzorcy kopaczy. Wiedział, o co wkrótce zostanie poproszony, wiedział, że wkrótce znów będzie musiał mieć do czynienia z tym figlarzem Jarlaxle'em.

- Kamienie są niespokojne - ciągnął Belwar.

- Jakby drowy miały wkrótce wymaszerować - wtrącił się cierpko Firble.

- Cosim camman denoctusd - zgodził się Belwar w pradawnym powiedzeniu svirfhebli, które można było pobieżnie przetłumaczyć jako „spokojna ziemia przed trzęsieniem" lub też, co lepiej było znane mieszkańcom powierzchni, „cisza przed burzą".

- Żebym spotkał się z moim drowim informatorem, król Schnicktick pragnie - stwierdził Firble, nie widząc sensu w dalszym wstrzymywaniu podejrzeń. Wiedział, że nie sugeruje niczego, czego Belwar nie miał zamiaru mu zasugerować.

- Cosim camman denoctusd - powtórzył Belwar, tym razem z większą determinacją. Belwar oraz Schnicktick, a także wielu innych w Blingdenstone, byli przekonani, że drowy wkrótce wyruszą zbrojnie. Choć bezpośrednie tunele na powierzchnię, którą Drizzt Do'Urden nazywał domem, znajdowały się na wschód od Blingdenstone, za Menzoberranzan, drowy musiały najpierw skierować się na zachód, niebezpiecznie zbliżając do miasta gnomów. Myśl ta była tak niepokojąca, że król Schnicktick rozkazał wysłać oddziały zwiadowcze na wschód i południe, dalej od domu i Menzoberranzan, niż svirfnebli się kiedykolwiek zapuszczali. Krążyły plotki o całkowitym opuszczeniu Blingdenstone, jeśli pogłoski okażą się prawdopodobne i da się znaleźć nowe miejsce. Żaden gnom tego nie chciał, a chyba najmniej Belwar i Firble. Obydwaj byli starzy, zbliżali się do drugiego pełnego stulecia, i obydwaj przywiązani sercem i duszą do miasta zwanego Blingdenstone.

Spośród svirfhebli oni jednak najlepiej rozumieli potęgę marszu drowów, rozumieli, że jeśli armia z Menzoberranzan dotrze do Blingdenstone, gnomy zostaną starte w pył.

- Spotkanie zorganizuję - powiedział Firble z pełnym rezygnacji westchnięciem. - Mało mi powie, nie wątpię. Nigdy nie mówi dużo, a cena zawsze wysoka jest!

Belwar nic nie odrzekł i nie dbał zbytnio o cenę spotkania z chciwym drowim informatorem. Wielce szanowany nadzorca kopaczy rozumiał, że cena zlekceważenia mogła być znacznie większa. Zdawał sobie również sprawę, że wyraźna rezygnacja Firble'a była jedynie częścią gniewu doradcy. Belwar poznał dobrze Firble'a i stwierdził, że lubi nadmiernie narzekającego gnoma.

Teraz Belwar oraz wszyscy inni w Blingdenstone desperacko potrzebowali Firble'a i jego kontaktów.

ROZDZIAŁ 3

PODCZAS ZABAWY

Drizzt oraz Catti-brie mknęli kamienistymi górskimi szlakami, omijając z łatwością sterty głazów. Ich wyprawa stała się zaimprowizowanym wyścigiem. Przeskakiwali przez szczeliny, podskakiwali, by chwytać się niskich gałęzi, po czym zwieszali się tak nisko, jak mogły ich donieść małe górskie drzewa. Razem dotarli do niskiego, płaskiego miejsca, gdzie przeskoczyli przez sadzawkę (choć Catti-brie nie do końca) i rozdzielili się, dotarłszy do głazu większego od nich. Catti-brie poszła w prawo, a Drizzt ruszył w lewo, po czym zmienił zdanie i zamiast tego skierował się w górę bariery.

Catti-brie przemknęła obok głazu, ciesząc się, gdy zobaczyła, że pierwsza znalazła się po drugiej stronie.

- Pierwsza! - krzyknęła, choć jeszcze gdy mówiła, ujrzała ciemną, zgrabną sylwetkę, przemykającą jej nad głową.

- Nie całkiem! - sprostował Drizzt, lądując tak lekko, iż wydawało się, że nawet na chwilę nie oderwał się od ziemi. Catti-brie jęknęła i znów rzuciła się do biegu, lecz zatrzymała się nagle, widząc, że Drizzt stoi.

- Zbyt piękny dzień - stwierdził mroczny elf. Rzeczywiście, był to najpiękniejszy dzień, jaki południowa odnoga Grzbietu Świata była w stanie zaoferować, gdy zaczynały dąć jesienne wichry. Powietrze było ostre, wietrzyk chłodny, a skłębione, białe chmury - wydające się gigantycznymi kulami śniegu - ścigały się na granatowym niebie niesione szybkimi, górskimi wiatrami.

- Zbyt piękny, by kłócić się z Berkthgarem - dodała Catti-brie, sądząc, że w tą stronę skierowane jest stwierdzenie drowa. Pochyliła się lekko i oparła dłonie na biodrach, by przywrócić sobie równowagę, po czym uniosła głowę, starając się złapać oddech.

- Zbyt piękny, by nie było w nim Guenhwyvar! - wyjaśnił radośnie Drizzt.

Catti-brie uśmiechnęła się szeroko widząc, jak Drizzt wyciąga z plecaka onyksową figurkę pantery. Należała ona do jednych z najpiękniejszych dzieł sztuki, jakie Catti-brie kiedykolwiek widziała. Idealnie dopracowane szczegóły ukazywały umięśnione boki oraz prawdziwy, wnikliwy wyraz pyska wielkiej kocicy. Choć figurka była doskonała, bladła przy wspaniałym stworzeniu, które za jej pomocą Drizzt mógł przywoływać.

Drow z czcią położył przedmiot na ziemi przed sobą.

- Chodź do mnie, Guenhwyvar - powiedział cicho. Najwyraźniej pantera pragnęła wrócić, bowiem wokół figurki niemal natychmiast zawirowała szara mgła, stopniowo przybierając kształt i się materializując.

Guenhwyyar pojawiła się na Planie Materialnym z uniesionymi uszami, zrelaksowana, jakby kocica zrozumiała z tonu wezwania Drizzta, że nie ma pośpiechu, że jest przyzywana po prostu dla towarzystwa.

- Ścigamy się do Settlestone - wyjaśnił Drizzt. - Sądzisz, że dotrzymasz nam kroku?

Pantera zrozumiała. Jeden wyrzut potężnych tylnych nóg posłał Guenhwyyar nad głową Catti-brie przez siedmiometrową odległość na szczyt głazu, który właśnie ominęła wraz z Drizztem. Kocica wylądowała na płaskim czubku, zahamowała i obróciła, by spojrzeć na parę. Następnie, jedynie po to, by oddać pokłon dniu, Guenhwyyar stanęła na tylnych łapach, a na ten widok serca jej przyjaciół zaczęły bić szybciej. Ważyła trzysta kilo, dwukrotnie więcej niż zwyczajna pantera, głowę miała niemal tak szeroką jak ramiona Drizzta, paszczę, która mogłaby pochłonąć całą głowę człowieka, oraz spektakularne, zielone oczy, ujawniające inteligencję przewyższającą dalece to, co powinno posiadać zwierzę. Guenhwyvar była najbardziej lojalną z towarzyszek oraz nie wydającą osądów przyjaciółką i za każdym razem gdy Drizzt, Catti-brie, Bruenor czy też Regis spoglądali na kocicę, ich życie stawało się odrobinę piękniejsze.

- Sadzę, że należą nam się fory - wyszeptała łobuzersko Catti-brie.

Drizzt wykonał lekkie, nie rzucające się w oczy skinienie, i zerwali się razem, biegnąc jak najszybciej w dół szlaku. Kilka sekund później usłyszeli za sobą ryk Guenhwyvar, wciąż ze szczytu głazu. Szlak był względnie czysty i Drizzt wyskoczył przed Catti-brie, choć kobieta, młoda, silna oraz z sercem, które lepiej pasowałoby do piersi krzepkiego krasnoluda, nie była tym poruszona.

- Nie pokonasz mnie! - krzyknęła, na co Drizzt roześmiał się. Jego radość zniknęła, gdy okrążył zakręt i zauważył, że ta uparta i śmiała Catti-brie obrała dość zdradziecki skrót, lekko mknąc po odcinku pełnym pokruszonych i nierównych kamieni, obejmując prowadzenie.

Nagle stało się to czymś więcej niż tylko przyjacielską rywalizacją. Drizzt opuścił głowę i pobiegł z pełną prędkością, pędząc w dół po nierównym terenie z taką lekkomyślnością, iż ledwo był w stanie uniknąć uderzenia twarzą w drzewo. Catti-brie prześcigała go, krok za krokiem, i utrzymywała prowadzenie.

Guenhwyyar znów ryknęła, wciąż stojąc na głazie. Wiedzieli, że ona wciąż tam jest i że z nich szydzi.

Jak można było się spodziewać, zaledwie kilka sekund później czarna błyskawica odbiła się od skalnej ściany obok Drizzta, przemykając obok głowy drowa. Guenhwyyar wylądowała na szlaku pomiędzy dwojgiem towarzyszy i minęła Catti-brie tak szybko oraz cicho, iż kobieta ledwo zdała sobie sprawę, że już nie prowadzi.

Jakiś czas później Guenhwyvar pozwoliła jej znów wysforować się do przodu, a następnie Drizzt obrał zdradziecki skrót i prześlizgnął się na czoło - jedynie po to, by ponownie zostać wyminiętym przez panterę. Tak się to ciągnęło, ze starającymi się ciężko Drizztem oraz Catti-brie i bawiącą się Guenhwyvar.

Byli wyczerpani - a przynajmniej Drizzt i Catti-brie. Guenhwyvar nawet ciężko nie oddychała, gdy zatrzymali się na południowy posiłek na małej polance, osłoniętej przed wichrem przez wysokie ściany na północy oraz wschodzie, a na południu opadającej gwałtownie w stromą przepaść. Przestrzeń usiana była kilkoma kamieniami, idealnymi taboretami dla zmęczonych towarzyszy. Pośrodku umieszczono głazy służące za palenisko, było to bowiem zwyczajowe obozowisko wędrującego często drowa.

Catti-brie uspokoiła się, gdy Drizzt rozpalił mały ogień. Daleko w dole widziała szare strużki dymu unoszące się leniwie w powietrze z domów Settlestone. Był to trzeźwiący widok, przypominał bowiem młodej kobiecie, która spędziła poranek w takim tempie, o powadze misji oraz sytuacji. Jak wiele wspólnych wyścigów odbędzie jeszcze wraz z Drizztem i Guenhwyvar, jeśli przybędą mroczne elfy?

Owe dymy przypomniały również Catti-brie mężczyznę, który sprowadził krzepkich barbarzyńców do tego miejsca z Doliny Lodowego Wichru, mężczyznę, który miał zostać jej mężem. Wulfgar zginął, próbując ją ocalić, zginął w objęciach yochlola, sługi złej Lloth. Zarówno Catti-brie, jak i Drizzt, nosili w sobie jakąś odpowiedzialność za tę stratę, jednak to nie wina wywoływała teraz ból w młodej kobiecie albo w Drizzcie. On również dostrzegł dym i przerwał doglądanie ognia, by obserwować oraz kontemplować.

Towarzysze nie uśmiechali się teraz, odczuwając stratę, bowiem odbyli wiele wyścigów takich jak ten, tyle że obok nich biegł Wulfgar, długimi susami nadrabiając fakt, iż nie mógł przecisnąć się przez szczeliny, które pokonywali jego mniejsi przyjaciele.

- Chciałabym... - powiedziała Catti-brie i słowa te odbiły się w uszach pragnącego tego samego mrocznego elfa.

- Naszą wojnę, jeśli nadejdzie, lepiej byłoby toczyć z Wulfgarem, synem Beornegara, prowadzącym ludzi z Settlestone - zgodził się Drizzt i wraz z Catti-brie pomyśleli w ciszy, iż całe ich życie byłoby lepsze, jeśli żyłby Wulfgar.

Drizzt powiedział to otwarcie i nie było już nic więcej do powiedzenia. Zjedli posiłek w milczeniu. Nawet Guenhwyvar leżała nieruchomo, nie powodując najmniejszego dźwięku.

Myśli Catti-brie odpłynęły od jej przyjaciół z powrotem do Doliny Lodowego Wichru, ku skalistej górze, Kopcowi Kelyina, wystającej nad płaską tundrę. Była tak podobna do tego miejsca. Może było tam zimniej, jednak w powietrzu była ta sama ostrość, ta sama czysta witalność. Jakże daleko ona i jej przyjaciele, Drizzt, Guenhwyvar, Bruenor, Regis, oraz oczywiście Wulfgar, dotarli stamtąd! I w tak krótkim czasie! Szał przygody, życie pełne podniecenia, dreszczu emocji i dobrych

uczynków. Razem stanowili niepokonaną siłę.

Tak sądzili.

Catti-brie rzeczywiście doświadczyła już emocji całego życia, a ledwo co skończyła dwadzieścia lat. Biegła przez życie szybko, niczym po górskim szlaku, wolna i pełna otuchy, mknąc beztrosko, czując się nieśmiertelną.

Niemal.

ROZDZIAŁ 4

NA SZWACH

Konspiracja? - błysnęły palce drowa, używającego bezgłośnego języka znaków mrocznych elfów, którego ruchy były tak zawiłe i zróżnicowane, że mogły reprezentować znaczenie niemal każdego słowa w języku drowów.

Jarlaxle odpowiedział lekkim skinieniem. Westchnął i wydawał się szczerze zakłopotany - nieczęsty widok - po czym wskazał swemu towarzyszowi, by podążył za nim w bezpieczniejszą okolicę.

Pokonywali szerokie, kręte aleje Menzoberranzan, płaskie i czyste tereny pomiędzy górującymi kopcami stalagmitów, służącymi za domy rozmaitym rodzinom drowów. Owe pagórki a także spora liczba długich stalaktytów spoglądających ze stropu wielkiej jaskini były wydrążone i wyryto w nich szerokie balkony oraz chodniki. Ich zbiorowiska w obrębie każdego kompleksu rodzinnego były często połączone wysokimi mostami, w przeważającej mierze ukształtowanymi tak, by przypominały pajęczynę. We wszystkich zaś domach, zwłaszcza tych należących do starszych i lepiej usytuowanych rodzin, najcudowniejsze obiekty były podświetlone płonącymi ogniami faerie, purpurowymi i błękitnymi, a czasami otoczone czerwienią i, nie tak często, zielenią. Menzoberranzan było najbardziej spektakularnym z miast, zapierającym dech w piersiach, surrealistycznym, i nieświadomy gość nigdy nie odgadłby, iż twórcy tak pięknych dzieł należą do najbardziej niegodziwych ras Torilu.

Jarlaxle przemieszczał się bez szmeru ciemniejszymi, węższymi alejkami, otaczającymi pomniejsze domy. Wzrok kierował przed siebie oraz na boki i jego bystre oko (tym razem miał przepaskę na prawym oku) dostrzegało najlżejsze ruchy w najodleglejszych cieniach.

Zaskoczenie przywódcy najemników było zupełne, gdy zerknął z powrotem na swego towarzysza i zauważył nie M'tarła, porucznika Bregan D'aerthe, z którym wyruszył, lecz innego, bardzo potężnego drowa.

Jarlaxle rzadko nie wiedział, co powiedzieć, lecz widok Grompha Baenre, starszego chłopca domu Baenre, arcymaga Menzoberranzan, który w tak nieoczekiwany sposób znalazł się obok niego, z pewnością zbił go z tropu.

- Ufam, że M'tarł zostanie mi zwrócony, gdy już skończysz - powiedział Jarlaxle, szybko odzyskując rzadko tracony spokój.

Arcymag machnął dłonią i w powietrzu pojawiła się lśniąca, zielona kula, ponad metr nad podłogą. Zwisał z niej cienki, srebrny sznur, którego widoczny koniec ledwo dotykał podłogi.

Jarlaxle wzruszył ramionami i chwycił linę, a zaraz gdy jej dotknął, został wciągnięty w głąb kuli, do pozawymiarowej przestrzeni za lśniącym portalem.

Zaklęcie robiło wrażenie, uznał Jarlaxle, znalazł się bowiem nie w pustej przestrzeni tworzonej zazwyczaj przez takie czary, lecz w zbytkownie umeblowanym salonie, wraz z podobnym do zombie sługą, który zaproponował mu doskonałe wino, zanim jeszcze usiadł.

Jarlaxle poświęcił chwilą, by jego wzrok przeszedł w spektrum zwyczajnego światła, bowiem pomieszczenie było skąpane w delikatnym, niebieskim blasku. Nie było to niezwykłe u czarodziejów, nawet drowich magów przywykłych do pozbawionego światła Podmroku, bowiem nie dawało się czytać pergaminów bądź ksiąg bez światła!

- Zostanie zwrócony, jeśli przetrwa w miejscu, w którym go umieściłem wystarczająco długo, byśmy mogli dokończyć naszą rozmowę - odparł Gromph. Czarodziej nie wydawał się zbytnio zatroskany, gdy on również pojawił się w pozawymiarowej kieszeni. Potężny Baenre zamknął oczy i wyszeptał słowo, po czym jego pitoszczpiwafwi oraz reszta nie wyróżniającego się niczym szczególnym ubioru przetransformowała się. Teraz wyglądał odpowiednio do swego prestiżowego statusu. Jego powłóczysta szata miała w sobie wiele kieszeni i była pokryta pieczęciami oraz runami mocy. Podobnie jak w przypadku domowych kompleksów, runy owe były podświetlone ogniem faerie, choć arcymag mógł je zaciemnić za pomocą myśli i wtedy jego szata lepiej by go osłaniała niż najlepsze piwafwi. Wspaniały ubiór ozdabiały dwie brosze, jedna przedstawiająca czarnonogiego pająka o czerwonym ciele, druga zaś będąca lśniącym, zielonym szmaragdem, choć Jarlaxle ledwo mógł je dostrzec, bowiem długie, białe włosy czarodzieja zwisały mu z boków głowy, zasłaniając barki i pierś.

Dzięki swemu zainteresowaniu magicznymi przedmiotami Jarlaxle widział brosze na poprzednim arcymagu miasta, choć Gromph dzierżył tę pozycję dłużej, niż żyła w ogóle większość drowów z Menzoberranzan. Pajęcza brosza pozwalała arcymagowi rzucać zaklęcie pełzającego ciepła na Narbondel, kolumnowy zegar Menzoberranzan. Ciepło wznosiło się na szczyt zegara w dwanaście godzin, po czym padało z powrotem do podstawy w podobnym czasie, dopóki kamień nie stał się znów zimny, co dawało wyraźny i bardzo skuteczny zegar wyczuwającym temperatury oczom drowów.

Druga brosza dawała Gromphowi ustawiczną młodość. Według szacunków Jarlaxle'a arcymag widział narodziny i śmierć siedmiu stuleci, jednak wyglądał tak młodo, iż wydawało się, że jest gotowy do rozpoczęcia treningu w Akademii drowów!

Nie całkiem, w milczeniu uzmysłowił sobie Jarlaxle, przyglądając się czarodziejowi. Wokół Grompha unosiła się aura mocy i godności, odzwierciedlająca się wyraźnie w jego oczach, które ukazywały mądrość licznych i często gorzkich doświadczeń. Był sprytny i podstępny, zdolny do natychmiastowej analizy dowolnej sytuacji i tak naprawdę Jarlaxle czuł się bardziej niezręcznie i krucho stojąc przed Gromphem niż przed samą opiekunką Baenre.

- Konspiracja? - spytał znów Gromph, tym razem na głos. - Czy inne domy nasyciły się już moją

matką i zebrały razem przeciwko domowi Baenre?

- Złożyłem już pełen raport opiekunce...

- Słyszałem każde słowo - przerwał Gromph, powarkując ze zniecierpliwieniem. - Teraz chcę poznać prawdę.

- Interesująca idea - powiedział Jarlaxle, uśmiechając się krzywo, gdy uświadomił sobie, że Gromph naprawdę jest nerwowy. - Prawda.

- Rzadka rzecz - zgodził się Gromph, odzyskując posturę i opierając się w fotelu, stukając o siebie szczupłymi palcami. - Jednak czasami utrzymuje przy życiu wścibskich głupców.

Uśmiech Jarlaxle'a zniknął. Przyjrzał się bacznie Gromphowi, zaskoczony tak śmiałą groźbą. Gromph był potężny - zgodnie z wszelkimi standardami Menzoberranzan ten stary śmieć był tak potężny, jak tylko mógł stać się mężczyzna. Jarlaxle nie operował jednak standardami Menzoberranzan, więc jeśli czarodziej podejmował takie ryzyko, by mu zagrozić...

Jarlaxle był jeszcze bardziej zaskoczony, kiedy zdał sobie sprawę, że Gromph, potężny Gromph Baenre, jest nie tylko nerwowy. On był naprawdę przerażony.

- Nie będę nawet kłopotał się przypominaniem ci o wartości tego „wścibskiego głupca" - rzekł Jarlaxle.

- Oszczędź sobie.

Jarlaxle roześmiał mu się w twarz.

Gromph opuścił dłonie do bioder, a jego zewnętrzne szaty uchyliły się przy tym ruchu, odsłaniając parę różdżek zatkniętych za pas, jedną na każdym biodrze.

- Żadnej konspiracji - powiedział nagle i stanowczo Jarlaxle.

- Prawda - stwierdził Gromph niebezpiecznym, niskim tonem.

- Prawda - odparł Jarlaxle bardziej bez ogródek niż kiedykolwiek w życiu. - Zainwestowałem w dom Baenre równie wiele co ty, arcymagu. Gdyby pomniejsze domy spiskowały przeciwko Baenre, albo córki Baenre planowały jej śmierć, Bregan D'aerthe stanęliby przy jej boku, przynajmniej powiadamiając ją o grożącym zamachu.

Mina Grompha stała się bardzo poważna, jak zauważył Jarlaxle. Starszy chłopiec domu Baenre nie zauważył wyraźnego (i celowego) przejęzyczenia gdy Jarlaxle określał opiekunkę Baenre po prostu jako Baenre. Takie pomyłki często kosztowały drowy, szczególnie mężczyzn, życie.

- Więc o co chodzi? - spytał Gromph i sam ton tego pytania, niemal błagalny, zbił Jarlaxle'a z tropu. Nigdy wcześniej nie widział ani nie słyszał, by arcymag był w stanie takiej desperacji.

- Wyczuwasz to! - wypalił Gromph. - Coś jest nie tak w samym powietrzu, które wydychamy!

Od całych stuleci, w myślach dodał Jarlaxle, wiedział jednak, że lepiej zachować to dla siebie. Do Grompha rzekł jedynie - Kaplica została uszkodzona.

Arcymag przytaknął i na jego twarzy pojawiła się kwaśna mina. Wielka sklepiona kaplica domu Baenre była najświętszym miejscem w całym mieście, największym ołtarzem Lloth. Zadając Pajęczej Królowej najstraszniejszy policzek, jakiego chyba kiedykolwiek doświadczyła, renegat Do'Urden wraz ze swymi przyjaciółmi spuścili w czasie ucieczki ze stropu jaskini stalaktyt, który przebił wspaniała kopułę niczym gigantyczna włócznia.

- Pajęcza Królowa jest zdenerwowana - stwierdził Gromph.

- Też bym był - zgodził się Jarlaxle.

Gromph zmierzył zadowolonego z siebie najemnika wściekłym spojrzeniem. Jarlaxle rozumiał, że nie jest ono efektem obrażenia imienia Lloth, lecz po prostu reakcją na jego impertynencką postawę.

Kiedy owo spojrzenie nie wywołało żadnego efektu poza przywołaniem uśmiechu na wargi Jarlaxle'a, Gromph uniósł się gwałtownie z fotela i zaczął przemierzać pomieszczenie niczym uwięziona w klatce bestia. Zombie, niezdolny do myślenia i jedynie odpowiednio zaprogramowany, ruszył w jego stronę z kielichem w dłoni.

Gromph warknął i podniósł otwartą dłoń, a na niej pojawiła się nagle kula płomieni. Drugą dłonią Gromph umieścił w ogniu coś małego i czerwonego - wyglądającego jak łuska - i zaczął złowieszczy zaśpiew.

Jarlaxle obserwował cierpliwie, jak Gromph wyzwala swą frustrację. Najemnik wolał, by czarodziej wymierzył swą gwałtowną odpowiedź w zombie, a nie w niego.

Z dłoni Grompha wystrzelił jęzor płomieni. Leniwie, zdecydowanie, niczym wąż, który unieruchomił już swą ofiarę trucizną, płomień owinął się wokół zombie, który, oczywiście, nie poruszył się ani nie skarżył. W przeciągu sekund zombie został otoczony przez tego ognistego węża. Kiedy Gromph znów niedbale zasiadł, płonące stworzenie podążyło z powrotem wyznaczonym kursem, by beznamiętnie stanąć. Dotarło na miejsce, lecz zaraz się przewróciło, straciwszy w płomieniach jedną nogę.

- Ten zapach... - zaczął Jarlaxle, przykładając dłoń do nosa. - Pochodzi z mocy! - dokończył Gromph, mrużąc czerwone oczy i rozchylając wąskie nozdrza. Czarodziej wziął głęboki oddech i napawał się odorem.

- To nie Lloth popiera nieprawidłowość w powietrzu - powiedział nagle Jarlaxle, chcąc wyprowadzić Grompha z wyraźnego gniewu, zakończyć z nim sprawę i opuścić to cuchnące miejsce.

- Co wiesz? - zażądał odpowiedzi Gromph, nagle znów stając się wystraszony.

- Nie więcej niż ty - odparł Jarlaxle. - Lloth jest najprawdopodobniej zła z powodu ucieczki Drizzta oraz szkód wyrządzonych kaplicy. Ty bardziej niż inni doceniasz znaczenie tej kaplicy. - Przebiegły ton Jarlaxle'a spowodował, iż nozdrza Grompha znów się rozchyliły. Najemnik wiedział, że trafił w czuły punkt, w lukę w opancerzonych szatach arcymaga. Gromph stworzył zwieńczenie kaplicy Baenre, gigantyczną, migoczącą iluzję, unoszącą się nad centralnym ołtarzem. Zmieniała ona bezustannie formę, przechodząc z pięknej drowki w wielkiego pająka i z powrotem. Nie było tajemnicą w Menzoberranzan, iż Gromph nie jest zbyt oddanym czcicielem Lloth i że stworzenie wspaniałej iluzji oszczędziło go przed bezlitosnym gniewem matki.

- Dzieje się jednak zbyt wiele rzeczy, by Lloth mogła być jedyną przyczyną - podjął Jarlaxle po nasyceniu się przez chwilę tym drobnym zwycięstwem. - Zaś zbyt wielu przeciwników chciałoby ugodzić w podstawę potęgi Lloth.

- Wrogie bóstwo? - spytał Gromph, ujawniając więcej, niż zamierzał. - Lub też podziemna rewolta? - Czarodziej usiadł nagle z powrotem, uważając, że na coś wpadł, sądząc, że podziemny bunt z pewnością podchodził pod domenę pewnego przywódcy najemników.

Jarlaxle nie został jednak w żaden sposób zapędzony w róg, bowiem jeśli nawet któreś z podejrzeń Grompha miało jakieś podstawy, Jarlaxle tego nie wiedział.

- Coś - to było wszystko, co odrzekł najemnik. - Coś, co być może jest niebezpieczne dla nas wszystkich. Przez ponad dwie dziesiątki lat ten czy inny dom przeceniał wartość schwytania renegata Drizzta Do'Urdena i właśnie owa gorliwość podniosła jego pozycję oraz spotęgowała wywołane przez niego kłopoty.

- A więc sądzisz, że to wszystko jest powiązane z ucieczką Drizzta - uznał Gromph.

- Sądzę, że wiele matek opiekunek by w to uwierzyło - szybko odparł Jarlaxle. - W ten sposób ucieczka Drizzta istotnie odegra rolę w tym, co nastąpi. Nie powiedziałem jednak, iż to, co sądzisz, że jest nieprawidłowe, jest rezultatem ucieczki renegata z domu Baenre.

Gromph zamknął oczy i zastanowił się nad tym rozumowaniem. Jarlaxle miał oczywiście rację. Menzoberranzan było miejscem tak pogrążonym w intrygach, iż prawda miała mniejsze znaczenie niż podejrzenia, iż podejrzenia stawały się często samospełniającymi się przepowiedniami, a w związku z tym tworzyły prawdę.

- Mogę zechcieć znów z tobą porozmawiać, najemniku - powiedział cicho arcymag, a Jarlaxle zauważył drzwi blisko miejsca, w którym wszedł do pozawymiarowej kieszeni. Obok nich wciąż płonął zombie, będący teraz jedynie czarną stertą niemal nagich kości.

Jarlaxle ruszył do drzwi.

- Niestety - Gromph rzekł dramatycznie, a Jarlaxle przystanął. - M'tarł nie przeżył.

- Jego strata - odparł Jarlaxle, nie chcąc, by Gromph myślał, iż strata ta w jakikolwiek sposób ugodzi w Bregan D'aerthe.

Jarlaxle wyszedł przez drzwi, wzdłuż sznura, i wślizgnął się w cienie miasta, starając się przetrawić to wszystko, co miało miejsce. Rzadko rozmawiał z Gromphem, a jeszcze rzadziej Gromph prosił, na swój zawiły sposób, o rozmowę. Jarlaxle zdawał sobie sprawę, iż ten fakt jest znaczący. Działo się tu coś bardzo dziwnego, lekkie mrowienie w powietrzu. Jarlaxle, miłośnik chaosu (głównie dlatego, że zawsze wydawał się wychodzić z niego na swoje), był zaintrygowany. Jeszcze bardziej zaś było intrygujące to, że Gromph, pomimo swych obaw oraz wszystkiego, co miał do stracenia, również był zaintrygowany!

Dowodziła tego wzmianka arcymaga o ewentualnym drugim bóstwie. Gromph był bowiem starym śmieciem, pomimo faktu, że dotarł w życiu wyżej, niż miałby nadzieję znaleźć się jakikolwiek drow mężczyzna w Menzoberranzan.

Nie, nie pomimo tego faktu, w myślach skorygował się Jarlaxle. Gromph był zgorzkniały, był taki od wieków, ponieważ w wyniosłym postrzeganiu własnej wartości, nawet pozycję arcymaga uważał za bezwartościową, za granicę narzuconą przez płeć.

Jarlaxle wiedział, iż największą słabością Menzoberranzan nie była rywalizacja rozmaitych domów, lecz ścisły matriarchalny system narzucony przez wyznawczynie Lloth. Połowa populacji drowów była podrzędna jedynie dlatego, że urodziła się jako mężczyźni.

To była słabość.

Podrzędność zaś w nieunikniony sposób rodziła zgorzknienie, nawet - zwłaszcza! - w kimś, kto dotarł tak wysoko jak Gromph. Ponieważ ze swej wyniosłej perci arcymag widział wyraźnie, o ile wyżej mógłby się dostać, gdyby urodził się z innym zestawem genitaliów.

Gromph napomknął, iż chciałby znów rozmawiać z Jarlaxle'em. Najemnik miał odczucie, iż on oraz zgorzkniały mag istotnie będą się spotykać, być może dość często. Następne dwadzieścia kroków powrotnego marszu przez Menzoberranzan spędził zastanawiając się, jakie informacje Gromph może wyciągnąć z biednego M'tarła, bowiem porucznik nie był oczywiście martwy - choć niedługo pewnie zacznie żałować, że tak nie jest.

Jarlaxle roześmiał się z własnej głupoty. Mówił Gromphowi oczywiście prawdę, więc M'tarł nie mógł ujawnić niczego obciążającego. Najemnik westchnął. Nie nawykł do mówienia prawdy, nie nawykł do chodzenia tam, gdzie nie było pajęczyn.

Odrzuciwszy tę myśl, Jarlaxle skierował uwagę na miasto. Coś się szykowało. Jarlaxle, ze

wszystkiego wychodzący zwycięsko, czuł to, mógł więc również czuć Gromph. Wręcz zbyt szybko stanie się coś ważnego i tym, czego najemnik potrzebował, było określenie, w jaki sposób może na tym zyskać, czymkolwiek by to nie było.

ROZDZIAŁ 5

KAWALER CATTI-BRIE

Kiedy towarzysze zeszli na niskie szlaki, Drizzt przywołał Guenhwyyar do swego boku. Pantera usiadła cicho, czekając, co się stanie.

- Powinieneś wprowadzić kocicę do środka - zasugerowała Catti-brie, rozumiejąc zamiary Drizzta. Barbarzyńcy, choć zawędrowali daleko od swych osiedli w tundrze oraz zapomnieli wiele ze swych zwyczajów, pozostali dość nieufni wobec magii, zaś widok pantery zawsze niepokoił wielu ludzi Berkthgara oraz nie był zbyt miły jemu samemu.

- Wystarczy, że ja wchodzę do ich osady - odparł Drizzt. Catti-brie musiała przytaknąć. Widok Drizzta, mrocznego elfa, członka rasy znanej z magii i zła, był dla ludzi z północy chyba jeszcze bardziej niepokojący niż widok pantery.

- Berkthgar sporo by się jednak nauczył, gdyby kocica usiadła na nim na chwilę - stwierdziła.

Drizzt zachichotał, wyobraziwszy sobie obraz Guenhwyvar przeciągającej się wygodnie na grzbiecie wielkiego, wijącego się mężczyzny.

- Ludzie z Settlestone przyzwyczają się do pantery, tak jak przyzwyczaili się do mnie - odrzekł drow. - Pomyśl, jak wiele minęło czasu, zanim Bruenor zaczął się czuć swobodnie przy Guenhwyvar.

Pantera wydała z siebie niski pomruk, jakby rozumiała każde ich słowo.

- To nie były lata - odparła Catti-brie. - To były te wszystkie okazje, kiedy Guen wyciągała tyłek mojego upartego ojca z gorącego ognia!

Kiedy Guenhwyvar znów warknęła, Drizzt i Catti-brie mieli kupę śmiechu kosztem opryskliwego Bruenora. Radość zmniejszyła się, gdy Drizzt wziął figurkę i poprosił Guenhwyvar, by odeszła, obiecując panterze, że zawoła jaz powrotem, zaraz gdy on i Catti-brie znajdą się znów na szlaku, kierując się z powrotem do Mithrilowej Hali.

Wspaniała pantera, pomrukując nisko,' zaczęła obchodzić figurkę dookoła. Stopniowo pomruki cichły, gdy Guenhwyvar rozpływała się w szarą mgłę, aż zniknęła zupełnie.

Drizzt podniósł figurkę i spojrzał na strużki dymu unoszące się z pobliskiego Settlestone.

- Jesteś gotowa? - spytał swą towarzyszkę.

- Będzie uparty - przyznała Catti-brie.

- Musimy po prostu spowodować, żeby Berkthgar zrozumiał głębię niepokoju Bruenora - odezwał się Drizzt, kierując się ku osadzie.

- Musimy po prostu spowodować, żeby Berkthgar wyobraził sobie topór Bruenora lecący mu w twarz - mruknęła Catti-brie. - Prosto pomiędzy oczy.

Settlestone była małym, smaganym wiatrem zbiorowiskiem kamiennych domów, umiejscowionych w dolinie i chronionych od trzech stron przez nierówne zbocza ogromnych gór znanych jako Grzbiet Świata. Kamienne budowle w porównaniu z gigantycznymi wierchami przypominały domki z kart. Zostały zbudowane przez krasnoludy z Mithrilowej Hali, przez przodków Bruenora, setki lat temu, kiedy to miejsce było nazywane Dwarvendarrow. Przez lud Bruenora było wykorzystywane jako posterunek handlowy i stanowiło jedyny punkt, w którym kupcy mogli spojrzeć na cudy przybywające z Mithrilowej Hali, bowiem krasnoludy nie chciały zapraszać obcych do swych tajemnych kopalń.

Nawet ktoś, kto nie znał historii Dwarvendarrow, uznałby, iż miejsce to zostało zbudowane przez brodaty lud. Jedynie krasnoludy były w stanie nasączyć kamienie taką siłą, bowiem choć osada była niezamieszkała od wieków i choć wicher dmący doliną pomiędzy wysokimi ścianami górskimi wiał nieprzerwanie, budynki pozostały. Dostosowując je do swego użytku, ludzie Wulfgara nie musieli zrobić dużo więcej, niż tylko podeprzeć niektóre ściany, zamieść tony kamieni, które na wpół przykryły niektóre domy, czy wypędzić zwierzęta, które tam zamieszkały.

Tak więc znów był to punkt handlowy, wyglądający w sporej części tak jak w czasach rozkwitu Mithrilowej Hali, teraz jednak nazywał się Settlestone i wykorzystywali go ludzie będący przedstawicielami zapracowanych krasnoludów. Porozumienie wydawało się rozsądne i korzystne dla obydwu stron, jednak Berkthgar nie miał pojęcia, jak trudna stała się nagle sytuacja. Drizzt oraz Catti-brie wiedzieli, że jeśli nie ugnie się w swoich żądaniach, by dostać Aegis-fanga, Bruenor najprawdopodobniej rozkaże barbarzyńcy oraz jego ludowi opuścić tę krainę.

Dumni barbarzyńcy nie podporządkują się oczywiście takiemu rozkazowi. Ziemia została im dana, nie wypożyczona.

Perspektywa wojny, kiedy to lud Bruenora wypadnie z gór, wypędzając barbarzyńców, nie była wcale taka nieprawdopodobna.

Wszystko z powodu Aegis-fanga.

- Wulfgar nie byłby zadowolony, znając źródło tego sporu - stwierdziła Catti-brie, gdy wraz z Drizztem zbliżyli się do osady. - To on ich tu sprowadził. To naprawdę szkoda, że pamięć o nim grozi rozerwaniem przymierza.

Jest w tym ironia losu, zgodził się w myślach Drizzt. Jego kroki stały się bardziej zdeterminowane. Jeśli ich dyplomatyczną misję umieścić w tym świetle, nabierała jeszcze większego

znaczenia. Nagle Drizzt maszerował do Settlestone po coś więcej, niż tylko żeby zażegnać drobną sprzeczkę między dwoma nieugiętymi władcami. Drow szedł, by ocalić honor Wulfgara.

Kiedy dotarli na dno doliny, usłyszeli śpiew, rytmiczną i uroczystą recytację czynów legendarnego wojownika. Szli pustymi ścieżkami obok otwartych drzwi domów, których zabezpieczaniem krzepki lud nawet się nie trudził. Obydwoje wiedzieli, skąd pochodzi śpiew oraz gdzie znajdą mężczyzn, kobiety i dzieci z Settlestone.

Jedynym uzupełnieniem, jakie barbarzyńscy osadnicy wykonali, była wielka budowla, mogąca pomieścić cztery setki wszystkich ludzi z Settlestone oraz podobną liczbę gości. Nazywała się Hengerot, Miodowa Sala. Była miejscem kultu, przypominania cnót oraz dzielenia się jadłem i napitkami.

Hengerot nie była skończona. Połowa jej długich, niskich ścian została wykonana z kamienia, lecz resztę zasłonięte skórami jeleni. Fakt ten wydawał się Drizztowi odpowiedni, odzwierciedlał, jak daleko zaszedł lud Wulfgara i jak daleko jeszcze musiał dojść. Kiedy ci ludzie żyli w tundrze Doliny Lodowego Wichru, byli nomadami podążającymi za stadami reniferów, więc wszystkie ich domy były ze skóry, można było je spakować i zabrać wraz z odchodzącym plemieniem.

Nie byli już jednak nomadami, ich życie nie zależało już od stada reniferów. Było to źródło, na którym nie można było polegać, często prowadzące do walk pomiędzy poszczególnymi plemionami lub też ludem z Dekapolis, z okolicy trzech jezior, jedynymi niebarbarzyńcami w Dolinie Lodowego Wichru.

Drizzt cieszył się, widząc poziom pokoju oraz harmonii, jaki osiągnęli, wciąż jednak czuł ból, spoglądając na niedokończoną część Hengerot, na skóry, i przypominając sobie ofiary poniesione przez tych ludzi. Ich sposób życia, jakie prowadzili przez tysiące lat, już nie istniał. Patrząc na Hengerot, zaledwie cień chwały, jaką cieszyła się Miodowa Sala, widząc kamienie więżące teraz ten dumny lud, drow nie mógł nie zastanawiać się, czy to naprawdę był postęp.

Catti-brie, która przeżyła większość swego młodego życia w Dolinie Lodowego Wichru i słyszała niezliczone opowieści o nomadycznych barbarzyńcach, rozumiała tę stratę. Przybywając do Settlestone, barbarzyńcy oddali sporą część swej wolności i więcej niż tylko odrobinę dziedzictwa. Byli teraz bogatsi, daleko bogatsi niż kiedykolwiek mogliby sobie w ogóle wymarzyć i ostra zima nie zagrażała już ich życiu. Była za to jednak cena. Choćby gwiazdy. Tutaj, obok gór, gwiazdy były inne. Nie opadały ku płaskiemu horyzontowi, wciągając duszę w niebiosa.

Wydawszy z siebie zrezygnowane westchnienie, wypływające z odrobiny tęsknoty za Doliną Lodowego Wichru, Catti-brie przypomniała sobie o napiętej sytuacji. Wiedziała, że Berkthgar jest uparty, lecz również to, iż barbarzyńca odczuwał ból z powodu śmierci Wulfgara oraz faktu, że krasnolud trzyma klucz do młota, który stał się najbardziej szanowaną bronią w dziejach jego plemienia.

Nieważne, że tym, kto wykuł ową broń, był krasnolud. Nieważne, że mężczyzna, który dał jej taką

chwałę, był tak naprawdę dla tego krasnoluda niczym syn. Catti-brie wiedziała, że dla Berkthgara stracony bohater nie był synem Bruenora, lecz Wulfgarem, synem Beornegara z plemienia Łosia. Wulfgarem z Doliny Lodowego Wichru, nie z Mithrilowej Hali. Wulfgarem, który uosabiał sobą wszystko to, co szanowane i cenione wśród barbarzyńskiego ludu. Catti-brie chyba najbardziej dostrzegała powagę stojącego przed nimi zadania.

Po obu stronach skóry wejścia do sali stało dwóch strażników o szerokich barach, których brody i oddech bardziej niż tylko trochę zalatywały gęstym miodem. Najpierw poruszyli się niespokojnie, a następnie odsunęli pospiesznie na bok, rozpoznawszy gości. Jeden skierował się do najbliższego końca ustawionego pośrodku sali stołu, by obwieścić przybycie Drizzta oraz Catti-brie, wyliczając ich znane czyny oraz dziedzictwo (przynajmniej Catti-brie, bowiem w przypadku Drizzta nie byłoby ono w Settlestone powodem do chwały).

Drizzt i Catti-brie czekali cierpliwie w drzwiach wraz z drugim mężczyzną, który przewyższał wagą ich oboje razem wziętych. Obydwoje skupili wzrok na Berkthgarze, siedzącym w połowie prawej strony stołu, a on popatrzył obok mężczyzny zapowiadającego gości, by utkwić w nich swoje spojrzenie.

Catti-brie uważała, że jest głupcem, spierając się z Bruenorem, jednak ani ona, ani Drizzt nie mogli nic poradzić na to, że ogromny barbarzyńca wywierał na nich wrażenie. Był niemal tak wysoki jak Wulfgar, osiągając dwa metry wzrostu, miał szerokie ramiona oraz krzepkie ręce grubości ud grubego krasnoluda. Jego brązowe włosy były potargane, opadając nisko na ramiona, i zaczynał zapuszczać brodę na zimę. Grube kępy na brodzie i karku powodowały, że wyglądał jeszcze bardziej zaciekle oraz imponująco. Przywódcy Settlestone byli wybierani w próbach siłowych, w zażartych zapasach, jak barbarzyńcy czynili w swej przeszłości. Żaden mężczyzna w Settlestone nie mógł pokonać Berkthgara - Berkthgara Śmiałego, jak był nazywany - a jednak w związku z tym faktem żył bardziej niż ktokolwiek inny w cieniu martwego człowieka, który stał się legendą.

- Proszę, dołączcie do nas! - Berkthgar powitał ich ciepło, jednak wyraz jego twarzy mówił gościom, że spodziewał się ich wizyty i nie był poruszony, widząc ich. Wódz skupił się głównie na Drizzcie i Catti-brie widziała w błękitnych oczach wielkiego mężczyzny zarówno skwapliwość, jak i niepokój.

Drizztowi oraz Catti-brie podano taborety (co było dla niej wielkim zaszczytem, bowiem przy stole nie siedziała żadna inna kobieta, chyba że w objęciach zalotnika). W Hengerot oraz w całym tym społeczeństwie kobiety i dzieci, nie licząc starszych chłopców, pełniły funkcję służebną. Krzątały się teraz, ustawiając przed najnowszymi gośćmi kubki z miodem.

Drizzt oraz Catti-brie przyjrzeli się podejrzliwie napitkom, wiedząc, że muszą zachować idealną czystość umysłu, kiedy jednak Berkthgar zaproponował toast za nich i uniósł wysoko własne naczynie, zwyczaj nakazywał, żeby uczynić podobnie. W Hengerot zaś nie sączyło się tak po prostu miodu!

Przyjaciele opróżnili kubki przy akompaniamencie radosnych okrzyków i spojrzeli na siebie

żałośnie, gdy puste naczynia zostały zaraz zastąpione przez pełne.

Nieoczekiwanie Drizzt wstał i wskoczył zwinnie na długi stół.

- Witajcie mężczyźni i kobiety z Settlestone, narodzie Berkthgara Śmiałego! - zaczął i podniósł się chór ogłuszających okrzyków, ryków na cześć Berkthgara, źródła dumy osady. W przeciągu następnej minuty wielki potargany mężczyzna został klapnięty w plecy chyba stukrotnie, jednak ani razu nie mrugnął i ani razu nie spuścił wzroku z mrocznego elfa.

Catti-brie rozumiała, co się tu dzieje. Barbarzyńcy niechętnie zaakceptowali Drizzta, jednak wciąż był on wychudzonym elfem, na dodatek mrocznym! Paradoks ten był dla nich bardziej niż trochę niezręczny. Uważali Drizzta za słabego - najprawdopodobniej nie silniejszego niż niektóre z ich twardych kobiet - a mimo to zdawali sobie sprawę, że żaden z nich nie pokonałby drowa w walce. Berkthgar był najbardziej zaniepokojony ze wszystkich, wiedział bowiem, dlaczego Drizzt oraz Catti-brie przybyli i podejrzewał, że kwestia młota rozstrzygnie się pomiędzy nim a Drizztem.

- Jesteśmy naprawdę wdzięczni, wręcz poruszeni waszą gościnnością. Nikt w całych Krainach nie zorganizowałby bardziej zachęcającego stołu! - Znów okrzyki. Drizzt dobrze sobie z nimi radził i nie przeszkadzał mu fakt, że ponad połowa z nich przewracała się z pijaństwa.

- Nie możemy jednak zostać długo - powiedział Drizzt, jego głos stał się nagle ponury. Efekt, jaki wywarło to na siedzących w pobliżu drowa, był oszałamiający, wszyscy bowiem wydawali się nagle wytrzeźwieć, dostrzec powagę wizyty drowa.

Catti-brie ujrzała błysk rubinowego wisiorka dyndającego na szyi Drizzta i zrozumiała, że choć drow nie wykorzystywał aktywnie zaklętego klejnotu, sama jego obecność była bardziej upajająca niż jakakolwiek ilość gęstego miodu.

- Nad nami wszystkimi wisi ciężki miecz wojny - ciągnął posępnie Drizzt. - Jest to czas soju...

Berkthgar zakończył gwałtownie przemowę drowa, uderzając kubkiem o stół tak brutalnie, że się roztrzaskał, ochlapując tych, co byli w pobliżu, złocistobrązowym miodem oraz kawałkami szkła. Wciąż trzymając ucho naczynia, przywódca barbarzyńców wdrapał się niepewnie na stół, by zagórować wzrostem nad mrocznym elfem.

W mgnieniu oka zapadła cisza.

- Przybywacie tu, mówiąc o sojuszu - wódz barbarzyńców zaczął powoli. - Przybywacie prosić o sojusz. - Przerwał i rozejrzał się po swych zaniepokojonych ludziach, by wywrzeć dramatyczny efekt. - A mimo to trzymacie w niewoli broń, która stała się symbolem mojego ludu, broń okrytą chwałą przez Wulfgara, syna Beomegara!

Rozległy się tysiące okrzyków, a Catti-brie podniosła wzrok na Drizzta i bezradnie wzruszyła ramionami. Nienawidziła, kiedy barbarzyńcy określali Wulfgara według jego pochodzenia, jako syna

Beomegara. Dla nich był po prostu przedmiotem dumy, a sama duma nie przemawiała nigdy dobrze do pragmatycznej kobiety.

Poza tym nie trzeba było wspominać o pochodzeniu Wulfgara, by wzmocnić osiągnięcia jego krótkiego życia. Jego dzieci, gdyby jakieś spłodził, byłyby tymi, które posiadałyby prawo mówić o swym ojcu.

- Jesteśmy przyjaciółmi krasnoludzkiego króla, któremu służysz, mroczny elfie - ciągnął Berkthgar, a jego grzmiący głos odbijał się echem od kamiennych fragmentów ścian Hengerot. - I prosimy o to samo Bruenora Battlehammera, syna Bangora, syna Garumna. Będziecie mieć swój sojusz, jednak nie, zanim nie zostanie mi dostarczony Aegis-fang.

- Jestem Berkthgar! - ryknął przywódca barbarzyńców.

- Berkthgar Śmiały! - szybko pisnęło kilku doradców i wzniosły się kolejne okrzyki, kubki podniosły się wysoko w toaście za potężnego wodza Settlestone.

- Bruenor szybciej dostarczyłby własny topór - odparł Drizzt, nasycony już do cna chwałą Berkthgara. Drow rozumiał, że byli wraz z Catti-brie oczekiwani w Settlestone, bowiem krótka przemowa Berkthgara oraz reakcja na nią, zostały pieczołowicie zaplanowane, a nawet przećwiczone.

- I nie sądzę, że spodobałby ci się sposób, w jaki dostarczyłby ów topór - dokończył cicho drow, kiedy porykiwania zamarły. Znów podniosła się pełna oczekiwania wrzawa, bowiem słowa drowa mogły zostać wzięte za wyzwanie, zaś Berkthgar, mrużący niebezpiecznie błękitne oczy, wydawał się bardziej niż ochoczy, by podjąć rękawicę.

- Jednak Bruenora tu nie ma - przywódca barbarzyńców powiedział pewnie. - Czy Drizzt Do'Urden będzie bronił jego sprawy?

Drizzt wyprostował się, starając obmyślić najlepszą drogę.

Umysł Catti-brie również pracował szybko. Nie miała zbyt wielu wątpliwości, że Drizzt przyjąłby wyzwanie i natychmiast pokonał Berkthgara, a ludzie z Settlestone z pewnością nie tolerowaliby takiej hańby.

- Wulfgar miał być moim mężem! - wrzasnęła, wstając ze swego krzesła, akurat gdy Drizzt miał zamiar odpowiedzieć. - I jestem córką Bruenora, na mocy prawa księżniczką Mithrilowej Hali. Jeśli ktoś ma bronić sprawy mego ojca...

- Ty go wyłonisz - uznał Berkthgar.

- To będę to ja - odparła ponuro Catti-brie.

Znów w całej Miodowej Sali podniosły się ryki, a w tylnej części pomieszczenia dość dużo kobiet zachichotało i pokiwało z nadzieją głowami.

Drizzt nie wydawał się taki zadowolony i spojrzenie, jakie skierował w stronę Catti-brie, było czysto błagalne, proszące ją, by uspokoiła tę sytuację, zanim sytuacja wymknie się SPOD KONTROLI. Nie chciał żadnej walki. Podobnie jak Catti-brie, jednak tłum już się rozszalał, ponad połowa głosów wołała do Berkthgara „Walcz z kobietą!", jakby wyzwanie Catti-brie już się dokonało.

We wzroku, jakim Berkthgar zmierzył Catti-brie, widniała czysta wściekłość.

Rozumiała jego sytuację i sympatyzowała z nim. Zamierzała pójść dalej i wyjaśnić, że będzie jedynym kawalerem Bruenora, jeśli takowy miał być, nie przyszła tu jednak, by walczyć. Wydarzenia zaszły jednak dalej.

- Nigdy! - ryknął Berkthgar nad harmidrem i sala trochę, się uspokoiła, pełne ekscytacji krzyki zamarły do szeptów. - Nigdy nie walczyłem z kobietą!

Tę postawę Berkthgar będzie musiał wkrótce przełamać, pomyślał Drizzt, bowiem jeśli mroczne elfy rzeczywiście maszerowały na Mithrilową Halę, nie było zbyt wiele miejsca na takie opory. Kobiety były zwykle najsilniejszymi wojownikami drowów, zarówno jeśli chodzi o użycie magii, jak i broni.

- Walcz z nią! - krzyknął jakiś mężczyzna, wyraźnie bardzo pijany, śmiejąc się jednocześnie, podobnie jak otaczający go kamraci.

Berkthgar przeniósł wzrok z niego na Catti-brie, a jego wielka pierś unosiła się, gdy próbował brać głębokie oddechy, aby okiełznać wściekłość.

Nie mógł wygrać, zdawała sobie sprawę Catti-brie. Gdyby walczyli, nie mógłby wygrać, nawet jeśli by ją poturbował. Wśród twardych mężczyzn z Settlestone nawet podniesienie broni przeciwko niej uchodziłoby za tchórzostwo.

Catti-brie wspięła się na stół i kiwnęła lekko głową, przechodząc obok Drizzta. Z rękoma na biodrach - wychylając jedno z nich w bok, by podkreślić swą kobiecą figurę - rzuciła w stronę przywódcy barbarzyńców przebiegły uśmiech.

- Chyba nie za pomocą broni - powiedziała. - Istnieją jednak inne sposoby, dzięki którym mężczyzna i kobieta mogą rywalizować.

Na ten komentarz cała sala eksplodowała. Kubki zostały tak energicznie podniesione w toaście, że gdy opadły z powrotem do spragnionych ust mężczyzn, pozostało w nich niewiele miodu. Kilka osób na tylnym końcu sali podjęło sprośną piosenkę, klepiąc się po plecach przy każdym crescendo.

Lawendowe oczy Drizzta stały się tak szerokie, iż wydawało się, że po prostu wypadną z oczodołów. Kiedy Catti-brie poświęciła chwilę, by na niego spojrzeć, zaczęła obawiać się, że wyciągnie on broń i pozabija wszystkich w pomieszczeniu. Przez moment jej to schlebiało, jednak to szybko minęło zastąpione przez rozczarowanie, że drow tak nisko ją ocenia.

Gdy odwróciła się i zeskoczyła ze stołu, wymierzyła w jego stronę spojrzenie, które właśnie to mówiło. Siedzący obok mężczyzna wyciągnął ręce, by ją złapać, jednak odtrąciła jego dłonie i ruszyła butnie ku drzwiom.

- Jest w niej ogień! - usłyszała za sobą.

- Niestety dla biednego Berkthgara! - dobiegł krzyk kolejnego awanturnika.

Oszołomiony wódz barbarzyńców spoglądał w jedną i drugą stronę, celowo unikając wzroku mrocznego elfa. Berkthgar był zakłopotany - córka Bruenora, choć osławiona poszukiwaczka przygód, nie była znana z takich dziwactw. Oprócz tego był jednak mocno zaintrygowany. Każdy mężczyzna w Settlestone uważał Catti-brie, księżniczkę Mithrilowej Hali, za najlepszą partię w okolicy.

- Aegis-fang będzie mój! - krzyknął w końcu Berkthgar i ryk, który rozległ się za nim, był ogłuszający.

Kiedy przywódca barbarzyńców odwrócił się, odczuł ulgę, że Drizzt nie stoi już przed nim, nie było go jednak nigdzie w polu widzenia. Jeden potężny skok skierował mrocznego elfa ku drzwiom.

Za Hengerot, w cichym miejscu obok pustego domu, Drizzt wziął Catti-brie pod rękę i odwrócił ją w swoją stronę. Spodziewała się, że na nią wrzaśnie, a nawet że ją spoliczkuje.

Zamiast tego roześmiał się.

- Sprytne - pogratulował Drizzt. - Ale czy potrafisz go pokonać?

- Skąd wiesz, że nie miałam na myśli tego, co powiedziałam? - rzuciła w odpowiedzi Catti-brie.

- Bowiem żywisz do siebie więcej szacunku, niż to by wskazywało - odparł bez wahania Drizzt.

Była to idealna odpowiedź, właśnie taka, jaką Catti-brie potrzebowała usłyszeć od przyjaciela, i nie naciskała już dalej.

- Ale czy potrafisz go pokonać? - spytał ponownie Drizzt, tym razem poważnie. Catti-brie była dobra, stawała się coraz lepsza z każdą lekcją, jednak Berkthgar był wielki i niezwykle silny.

- Jest pijany - odrzekła Catti-brie. - I powolny jak Wulfgar zanim pokazałeś mu lepszy sposób walki. - Jej niebieskie oczy, ciemne niczym niebo przed świtem, zaiskrzyły się. - Jak pokazałeś mi.

Drizzt klepnął ją lekko w ramię, rozumiejąc, że walka ta będzie równie ważna dla niej, jak dla Berkthgara. Wtedy z namiotu wypadł jak burza barbarzyńca, pozostawiając za sobą hordę bełkoczących kamratów, zerkających przez otwarte wejście.

- Pokonanie go to połowa kłopotu. Trzeba jeszcze pozwolić mu zachować honor - wyszeptała Catti-brie.

Drizzt przytaknął i znów klepnął ją w ramię, po czym odszedł, zataczając szeroki łuk wokół Berkthgara, kierując się z powrotem do namiotu. Uznał, że Catti-brie wzięła sprawy w swoje ręce i powinien jej pozwolić, by się teraz zajęła tym do końca.

Barbarzyńcy odstąpili, gdy drow wszedł do namiotu i wymownie zamknął klapę, rzucając jeszcze jedno spojrzenie na Catti-brie i widząc, jak odchodzi ramię w ramię z Berkthgarem (który od tyłu tak przypominał wielkiego Wulfgara) smaganą wichrem ścieżką.

Dla Drizzta Do'Urdena widok ten nie był przyjemny.

* * *

- Nie jesteś zaskoczony? - spytała Catti-brie, wyjąwszy z plecaka pokrowiec do ćwiczeń i zaczynając nasuwać go na ostrą klingę. Robiąc to poczuła dreszczyk emocji, nagłe odczucie rozczarowania, a nawet złości, którego nie rozumiała.

- Ani przez chwilę nie sądziłem, że sprowadzisz mnie tu z powodu, który zasugerowałaś - odparł niedbale Berkthgar. - Choć gdybyś...

- Zamknij się - ostro przerwała Catti-brie.

Berkthgar zacisnął zęby. Nie był przyzwyczajony, by zwracano się do niego w taki sposób, zwłaszcza by kobiety mówiły tak do niego.

- My z Settlestone nie zakrywamy kling, gdy walczymy - rzucił chełpliwie.

Catti-brie odwzajemniła zdeterminowane spojrzenie przywódcy barbarzyńców i robiąc to, wysunęła miecz z powrotem z ochronnej pochwy. Znów zalała ją nagła fala ekscytacji. Jak przy poprzednich odczuciach nie rozumiała tego i myślała, że być może jej gniew na Berkthgara jest głębszy, niż ośmielała się przed sobą przyznać.

Berkthgar odszedł do swego domu i wkrótce wrócił z uśmiechem oraz pochwą przypiętą w poprzek pleców. Nad jego prawym ramieniem Catti-brie widziała rękojeść oraz jelec miecza - jelec

niemal tak długi jak całe jej ostrze! - zaś spod lewego biodra Berkthgara wystawała dolna część pochwy, sięgając niemal do ziemi.

Catti-brie patrzyła oczarowana, zastanawiając się, w co się wpędziła, kiedy Berkthgar uroczyście wysunął miecz na wyciągnięcie ręki. Wzdłuż górnej krawędzi pochwa była rozcięta, aby barbarzyńca mógł wyjąć gigantyczną klingę.

I rzeczywiście była ogromna! Faliste ostrze mierzyło sobie ponad sto dwadzieścia centymetrów, po nim zaś następowało dwudziestocentymetrowe ricasso, pomiędzy właściwym jelcem a drugim, mniejszym.

Jedną ręką, na której mięśnie napięły się niczym żelazne postronki, Berkthgar zaczął obracać ostrzem, wywołując w powietrzu nad swą głową donośny świst. Następnie opuścił czubek na ziemię i oparł rękę na jelcu, który przy jego ponad dwumetrowej sylwetce sięgał mu do ramienia.

- Zamierzasz tym walczyć, czy zabijać zapasione krowy? - spytała Catti-brie, starając się pozbawić go części narastającej dumy.

- Wciąż pozwalam ci wybrać inną rywalizację - odparł spokojnie Berkthgar.

Catti-brie wyszarpnęła przed siebie miecz i schyliła się, przybierając pozycję do walki.

Barbarzyńca prychnął i przeszedł do podobnej postawy, jednak wyprostował się, wyglądając na zakłopotanego.

- Nie mogę - zaczął Berkthgar. - Gdybym cię choć zadrasnął, serce króla Battlehammera pękłoby równie pewnie jak twoja czaszka.

Catti-brie zaatakowała nagle, wykonując pchnięcie w ramię Berkthgara i wyszarpując linię w jego pokrytej włosiem kurtce.

Spojrzał na cięcie, po czym jego oczy podniosły się powoli, by popatrzeć na Catti-brie, jednak poza tym nie wykonał żadnego innego ruchu.

- Po prostu się boisz, bo wiesz, że nie możesz wystarczająco szybko poruszać tym zabójcą krów - szydziła młoda kobieta.

Berkthgar zamrugał bardzo powoli, wydłużając ten ruch, jakby chciał pokazać, za jak nudną uważa tę całą sprawę.

- Pokażę ci kożuch, w którym trzymany jest Bankenfuere - powiedział. - A wcześniej pokażę ci posłanie.

- To coś lepiej pasuje do kożucha niż do dłoni miecznika! - warknęła Catti-brie zmęczona jego

seksualnymi aluzjami. Znów wypadła do przodu i uderzyła mocno płazem ostrza w policzek Berkthgara, po czym odskoczyła, wciąż powarkując. - Jeśli się boisz, to przyznaj się do tego!

Dłoń Berkthgara podążyła natychmiast do rany, a gdy się odsunęła, barbarzyńca zobaczył, że jego palce są czerwone od krwi. Catti-brie skrzywiła się, nie zamierzała bowiem uderzyć go tak mocno.

Wpływ Khazid'hei był subtelny.

- Tracę do ciebie cierpliwość, głupia kobieto! - warknął barbarzyńca i uniósł ostrze straszliwego Bankenfuere, Furii Północy.

Berkthgar warknął i wyskoczył do przodu, tym razem trzymając obydwie ręce na rękojeści, gdy zamachiwał się przed sobą wielkim ostrzem. Zaatakował płazem, podobnie jak Catti-brie, jednak młoda kobieta zdała sobie sprawę, że nie ma to większego znaczenia. Trafienie przez płaz tej straszliwej klingi mimo wszystko rozsypałoby jej kości w proch!

Catti-brie nie było już przy Berkthgarze, bowiem kobieta rzuciła się do szybkiego odwrotu (znów się zastanawiając, czy nie posunęła się za daleko), kiedy miecz podążył w górę. Klinga zatoczyła łuk, z lewej do prawej, po czym ruszyła po raz drugi, tym razem celując w dół. Szybciej niż Catti-brie się spodziewała, Berkthgar odwrócił kierunek, ponownie zamachując się ostrzem poziomo, teraz z lewej ku prawej, po czym umieścił je z powrotem w gotowości przy swym umięśnionym ramieniu.

Był to istotnie pokaz robiący wrażenie, jednak Catti-brie bacznie obserwowała manewr, już nie oczyma pełnymi zachwytu, i zauważyła w obronie barbarzyńcy niejedną lukę.

Oczywiście musiała idealnie wyliczyć czas. Jedna pomyłka i Bankenfuere przerobi ją w pokarm dla robaków.

Berkthgar zaatakował następnym poziomym cięciem, przewidywalnym ciosem, ponieważ tylko tak można było manewrować taką bronią! Catti-brie odstąpiła o krok, po czym jeszcze jeden, by uzyskać pewność, i rzuciła się za zamaszystym wymachem ostrza, zamierzając trafić barbarzyńcę w ramię. Berkthgar był jednak szybszy i obrócił ostrze tak szybko, że Catti-brie musiała porzucić atak i z trudem umknęła mu z drogi.

Mimo to uważała, że wygrała tę rundę, bowiem znała już lepiej zasięg Berkthgara. Według niej zaś każda mijająca chwila działała na jej korzyść, widziała bowiem pot skraplający się na czole pijanego barbarzyńcy, jego wielka pierś unosiła się coraz częściej.

- Jeśli inne rzeczy robisz tak kiepsko, jak walczysz, to zdecydowanie cieszę się, że wybrałam taką właśnie rywalizację - rzekła Catti-brie i kpiny te posłały dumnego Berkthgara w kolejny szereg dzikich zamachów.

Catti-brie unikała ciosów, gdy Bankenfuere przelatywał w poprzek w kilku tytanicznych i najwyraźniej bezowocnych cięciach. Znów zawrócił, bowiem furia barbarzyńcy była jeszcze daleka

do wyczerpania, i Catti-brie rzuciła się daleko na bok, akurat gdy wielki miecz kierował się w dół.

- Zaraz cię dorwę! - obiecał Berkthgar, obracając się do młodej kobiety i przesuwając swe potężne ostrze w lewo, ustawiając je w gotowości przy prawym ramieniu.

Catti-brie ruszyła za cięciem, wykonując długi krok prawą stopą, wyciągając rękę z mieczem w kierunku wysuniętego biodra Berkthgara. Zaparła się jednak solidnie lewą stopa i nie miała zamiaru kontynuować ruchu. Zaraz gdy Bankenfuere ruszył w poprzek, by dokonać przechwycenia, Catti-brie odskoczyła, obróciła się na kotwiczącej ją nodze i rzuciła się za ostrzem, kierując się zamiast tego ku prawemu biodru Berkthgara i uzyskując paskudne, piekące trafienie.

Barbarzyńca warknął i obrócił z taką siłą, że niemal stracił równowagę..

Catti-brie stała kilka kroków dalej, przykucnięta, gotowa. Nie było wątpliwości, że wymachiwanie ciężką bronią zaczynało zbierać swe żniwo na mężczyźnie, zwłaszcza po sporych haustach miodu.

- Jeszcze kilka wymian ciosów - wyszeptała Catti-brie, zmuszając się do zachowania cierpliwości.

I tak zachowywała się wraz z biegiem minut, podczas gdy oddech Berkthgara stawał się tak donośny jak zawodzący wiatr. Przy każdym ataku Catti-brie utwierdzała się co do ostatecznego manewru, który wykorzysta fakt, iż wielkie ostrze oraz szerokie ramiona Berkthgara stanowią doskonałą optyczną barykadę.

* * *

Drizzt przecierpiał pół godziny chamskich komentarzy.

- Nigdy jeszcze nie wytrzymał tak długo! - odezwał się jeden barbarzyńca.

- Berkthgar Spiżowy! - wykrzyknął inny, określając go słowem oznaczającym wśród barbarzyńców wytrzymałość.

- Spiżowy! - wrzasnęli razem wszyscy nieokrzesani mężczyźni, unosząc radośnie kubki. Niektóre z kobiet w tylnej części Hengerot zachichotały na ten sprośny pokaz, jednak większość miała skwaszone miny.

- Spiżowy - wyszeptał Drizzt i uznał, że słowo to doskonale pasuje do jego własnej cierpliwości podczas tych okrutnie długich minut. Choć był wściekły z powodu chamskich żartów kosztem Catti-

brie, bardziej obawiał się, że Berkthgar ją skrzywdzi, być może pokona w walce i wykorzysta w inny sposób.

Drizzt starał się usilnie, by utrzymać na wodzy swą wyobraźnię. Pomimo wszystkich swych przechwałek, pomimo przechwałek jego ludzi, Berkthgar był honorowym człowiekiem. Był jednak pijany...

Zabiję go, uznał Drizzt, i jeśli cokolwiek, czego się obawiał, ziści się, rzeczywiście powali potężnego Berkthgara.

Nie doszło do tego jednak, bowiem Berkthgar i Catti-brie wrócili do namiotu, wyglądając na trochę sponiewieranych. Krzaczasta broda barbarzyńcy była w jednym miejscu ciemna od zakrzepłej krwi, jednak poza tym wszystko wydawało się w porządku.

Catti-brie puściła dyskretnie oko, mijając drowa.

W Hengerot zawrzało, pijani mężczyźni bez wątpienia wymieniali sprośne opowieści o wyczynach swego wodza.

Berkthgar spojrzał na Catti-brie, a ona nawet nie mrugnęła.

- Nie będę nosić Aegis-fanga - oznajmił przywódca barbarzyńców.

Rozległy się jęki i pohukiwania, podobnie jak spekulacje, kto naprawdę wygrał rywalizację.

Berkthgar zaczerwienił się, a Drizzt obawiał się, że będą kłopoty.

Catti-brie wskoczyła na stół.

- Nie ma lepszego mężczyzny w Settlestone! - rzuciła w powietrze.

Kilku barbarzyńców podbiegło do krawędzi stołu, zamierzając podjąć to wyzwanie.

- Nie ma lepszego mężczyzny! - warknęła Catti-brie i jej furia odepchnęła ich.

- Nie będę nosić młota bojowego, na honor Wulfgara - wyjaśnił Berkthgar. - Oraz na honor Catti-brie.

Zwróciły się na niego ogłupiałe spojrzenia.

- Jeśli mam postępować stosownie wobec córki króla Bruenora, naszego przyjaciela i sojusznika - przywódca barbarzyńców kontynuował, a Drizzt uśmiechnął się na tę wzmiankę - to moja własna broń, Bankenfuere, musi stać się legendą. - Podniósł wysoko wielki miecz i tłum zaryczał z zachwytu.

Sprawa została zakończona, sojusz przypieczętowany, i jeszcze więcej miodu zostało rozlane,

zanim Catti-brie zdołała w ogóle zejść ze stołu, kierując się do Drizzta. Zatrzymała się, przechodząc obok wodza barbarzyńców i spojrzała na niego szelmowsko.

- Jeśli kiedykolwiek otwarcie skłamiesz - wyszeptała, uważając, by nikt jej nie usłyszał - albo jeśli kiedykolwiek choć zasugerujesz, że spałeś ze mną, to wiedz, że wrócę i pokonam cię przed twymi ludźmi.

Mina Berkthgara sposępniała na te słowa i stała się jeszcze bardziej ponura, gdy obserwował, jak Catti-brie odchodzi, gdy patrzył na jej przyjaciela drowa, stojącego spokojnie z dłońmi na rękojeściach sejmitarów, a jego lawendowe oczy mówiły barbarzyńcy ponad wszelką wątpliwość o uczuciach, jakie żywił wobec Catti-brie. Berkthgar nie chciał znów zadrzeć z Catti-brie, lecz po stokroć wolałby walczyć z nią niż z drowim tropicielem.

- Wrócisz i go pokonasz? - spytał Drizzt, gdy opuścili osadę, ujawniając Catti-brie, że jego bystre uszy wychwyciły słowa, jakie rzuciła na odchodnym barbarzyńcy.

- To nie jest obietnica, że kiedykolwiek będę próbować - odparła potrząsając głową Catti-brie. - Walka z nim, gdy nie byłby tak pełen miodu, przypominałaby wchodzenie do jaskini rozbudzonego niedźwiedzia.

Drizzt zatrzymał się gwałtownie, a Catti-brie, po przejściu jeszcze paru kroków, obróciła się, by na niego spojrzeć. Stał wskazując na nią i uśmiechając się szeroko.

- Ja to zrobiłem - stwierdził i miał kolejną historię do opowiedzenia, gdy we dwoje (a później we troje, bowiem Drizzt szybko przywołał Guenhwyvar) szli szlakami, wracając w góry.

Później, gdy gwiazdy mrugały jasno, a ogień dogasał, Drizzt siedział, obserwując nieruchomą sylwetkę Catti-brie, a jej rytmiczny oddech mówił drowowi, że szybko zasypiała.

- Wiesz, że ją kocham - drow powiedział do Guenhwyvar. Pantera mrugnęła błyszczącymi zielonymi oczyma, lecz poza tym nie wykonała żadnego innego ruchu.

- A jednak jak mogę to robić? - spytał Drizzt. - I nie chodzi tu o pamięć o Wulfgarze - dodał szybko i przytaknął, słysząc, jak wymawia te słowa, wiedząc, że Wulfgar, który kochał Drizzta tak, jak Drizzt kochał jego, nie sprzeciwiałby się.

- Jak mogę? - powtórzył drow głosem niewiele silniejszym od szeptu.

Guenhwyvar wydała z siebie długi, niski pomruk, jeśli miał on jednak jakieś znaczenie inne niż potwierdzenie, że pantera była zainteresowana tym, co drow mówi, Drizzt go nie wychwycił.

- Nie będzie żyła tak długo - ciągnął cicho Drizzt. - Wciąż będę młodym drowem, kiedy odejdzie. - Drizzt przeniósł wzrok z Catti-brie na panterę i dotarła do niego nowa myśl. - Musisz rozumieć takie rzeczy, moja wieczna przyjaciółko - powiedział drow. - Gdzie przypadnę w okresie twego

życia? Jak wielu innych miałaś tak jak mnie, moja Guenhwyvar, i jak wielu nastąpi po mnie?

Drizzt oparł się o górską ścianę i spojrzał na Catti-brie, a następnie na niebo. Jego myśli były smutne, a jednak, w wielu aspektach, uspokajające, niczym wieczna zabawa, niczym podzielane emocje, niczym pamięć o Wulfgarze. Drizzt posłał te myśli w górę, ku niebiańskiemu baldachimowi, pozwalając, by rozwiały się na nieustannym, zawodzącym wichrze.

Jego sny były pełne obrazów przyjaciół: Zaknafeina, jego ojca, Belwara, gnoma svirfhebli, kapitana Deudermonta z dobrego statku Duszek Morski, Regisa, Bruenora, Wulfgara i, przede wszystkim, Catti-brie.

Był to najspokojniejszy i najprzyjemniejszy sen, jakiego Drizzt Do'Urden kiedykolwiek zaznał.

Guenhwyvar obserwowała drowa przez jakiś czas, po czym oparła swą wielką kocią głowę na szerokich łapach i zamknęła zielone oczy. Komentarze Drizzta trafiły w cel, poza oczywiście dawaniem do zrozumienia, że wspomnienia o nim staną się nieistotne w nadchodzących stuleciach. Guenhwyvar rzeczywiście przybywała na wezwanie wielu panów, w większości dobrych, czasami niegodziwych, w przeciągu ostatniego tysiąclecia, a nawet jeszcze wcześniej. Niektórych z nich pantera pamiętała, niektórych nie, lecz Drizzt...

Guenhwyvar na zawsze zapamięta zbuntowanego mrocznego elfa, którego serce było tak silne i dobre, a lojalność nie niniejsza niż lojalność pantery.

Część 2

SZTURM CHAOSU

Odtąd bardowie Krain nazywali to Trudnymi Czasami, czasami, kiedy to bogowie zostali wykopani z niebios, a ich awatary kroczyły pośród śmiertelnych. Czasami, kiedy to skradziono Tablice Przeznaczenia, wzbudzając gniew Ao, najwyższego lorda bogów, kiedy to magia wymknęła się spod kontroli i w konsekwencji społeczna oraz religijna hierarchia, tak często oparte na magicznej sile, pogrążyły się w chaosie.

Słyszałem wiele opowieści od fanatycznych kapłanów o ich spotkaniach z określonymi awatarami, szalone historie mężczyzn i kobiet twierdzących, że spoglądali na swe bóstwa. Tak wielu innych nawróciło się na religię podczas tych trudnych czasów, również twierdząc, iż ujrzeli światło i prawdę, nieważne jak zawoalowane. Nie sprzeciwiam się tym twierdzeniom i nie zaatakuję otwarcie podstaw leżących u stóp tych spotkań. Jestem szczęśliwy, że niektórzy odnaleźli w chaosie oświecenie. Jestem szczęśliwy, jeśli tylko inna osoba znajduje zadowolenie wypływające z duchowego przewodnictwa.

Cóż jednak z wiarą?

Co z wiernością i lojalnością? Całkowitym zaufaniem? Wiary nie otrzymuje się przez namacalne dowody. Przychodzi ona z serca i z duszy. Jeśli ktoś potrzebuje dowodu na istnienie boga, wtedy sama idea duchowości rozpływa się w sensualizmie i redukujemy to, co święte, do tego, co logiczne.

Dotknąłem jednorożca, tak rzadkiego i cennego, symbolu bogini Mielikki, do której należą me serce i dusza. Było to przed nadejściem Trudnych Czasów, jednak moje myśli były podobne do tych, którzy twierdzili, iż widzieli awatary. Mogłem powiedzieć to samo. Mogłem powiedzieć, że dotknąłem Mielikki, że przyszła do mnie na magicznej polanie w górach w pobliżu Przełęczy Martwego Orka.

Jednorożec nie był Mielikki, a jednak był nią, tak jak są nią wschód słońca oraz pory roku, jak ptaki, wiewiórki i siła drzewa, które widziało nastanie i zmierzch stuleci. Jak liście niesione jesiennymi wichrami oraz śnieg spiętrzający się wysoko w mroźnych górskich dolinach. A także jak zapach chłodnej nocy, mruganie gwiezdnego baldachimu oraz wycie dalekiego wilka.

Nie, nie będę się otwarcie spierał z kimś, kto twierdzi, iż widział awatara, bowiem osoba taka nie zrozumie, iż sama obecność takiej istoty podkopuje sam cel oraz wartość wiary. Ponieważ jeśli prawdziwi bogowie byliby namacalni i tak dostępni, nie bylibyśmy już dłużej niezależnymi istotami na drodze, by odnaleźć prawdę, lecz tylko stadem owiec potrzebujących przewodnictwa pasterza

oraz jego psów, nie myślącym i pozbawionym esencji wiary.

Wiem, że przewodnictwo jest tam. Nie w tak namacalnej formie, lecz w tym, co wiemy, że jest dobre i sprawiedliwe. To nasze własne reakcje na czyny innych ukazują nam wartość tego, co sami robimy i jeśli upadniemy tak nisko, by potrzebować awatara, niezaprzeczalnego objawienia boga, aby pokazał nam drogę, wtedy jesteśmy naprawdę żałosnymi istotami.

Trudne Czasy? Tak. W jeszcze zaś większym stopniu jeśli mamy uwierzyć w sugestie awatarów, bowiem prawda jest pojedyncza i nie może, z definicji, wspierać tak wielu różnorodnych, a nawet sprzeciwiających się sobie objawień.

Jednorożec nie był Mielikki, a jednak był nią, bowiem dotknąłem Mielikki. Niejako awatara, nie jako jednorożca, lecz jako sposobu postrzegania mojego miejsca w świecie. Mielikki jest moim sercem. Podążam zgodnie z jej przykazaniami, bowiem, gdybym miał spisać przykazania w oparciu o własne sumienie, byłyby one takie same. Wyznaję Mielikki, bowiem reprezentuje ona sobą to, co nazywam prawdą.

Tak jest w przypadku większości czcicieli rozmaitych bogów, zaś jeśli spojrzelibyśmy bliżej na panteon Krain, zdalibyśmy sobie sprawę, że przykazania „dobrych" bogów nie są wcale od siebie tak różne - to ziemskie interpretacje owych przykazań różnią się w poszczególnych religiach.

Jak w przypadku innych bogów, bogów niezgody, jak Lloth, Pajęcza Królowa, do której należą serca tych kapłanek, które władają Menzoberranzan...

Nie są oni warci wzmianki. Nie ma w nich prawdy, jedynie ziemskie korzyści, i każda religia oparta na takich założeniach jest tak naprawdę dogadzaniem samemu sobie, w żadnym stopniu nie stanowi miarki duchowości. W kategoriach ziemskich kapłanki Pajęczej Królowej są potężne, zaś w duchowych, są puste. Tak więc ich życie przebiega bez miłości i radości.

Nie mów mi więc o awatarach. Nie pokazuj mi swoich dowodów, że twój bóg jest tym prawdziwym. Zgadzam się z tobą bez pytania oraz bez osądów, jednak jeśli ty zgodzisz się z tym, co jest w moim sercu, wtedy takie namacalne dowody będą nieistotne.

Drizzt Do'Urden

ROZDZIAŁ 6

KIEDY MAGIA WYMYKA SIĘ SPOD KONTROLI

Berg'inyon Baenre, zbrojmistrz pierwszego domu Menzoberranzan, wprawił swe bliźniacze miecze w oszałamiająco szybki manewr, wykonując w powietrzu kręgi i pomiędzy sobą a przeciwnikiem, nieposłusznym drowem żołnierzem z ludu.

Wokół nich utworzył się półokrąg złożony ze strażników domu Baenre, wysoko wyszkolonych, w większości mężczyzn, podczas gdy inne mroczne elfy obserwowały z wysokich grani, zaciskając mocno nogi na obdarzonych kleistymi łapami podziemnych jaszczurach. Bestie stały niedbale na pionowych zboczach pobliskich stalaktytów bądź górujących stalagmitowych kopców.

Żołnierze radowali się za każdym razem, gdy Berg'inyon, wyśmienity szermierz (choć niewielu uważało go za tak dobrego, jakim był jego brat, Dantrag), uzyskał drobne trafienie lub sparował szybką kontrę, jednak okrzyki były z oczywistych przyczyn dość stonowane.

Berg'inyon zauważał to i znał przyczynę. Był od wielu lat dowódcą jaszczurczych jeźdźców Baenre, najbardziej elitarnej grupy męskich strażników domu. Teraz, po śmierci Dantraga, stał się również fechmistrzem domu. Berg'inyon czuł ogromny ciężar podwójnych obowiązków, czuł badawczy wzrok matki, śledzący każdy jego ruch oraz oceniający każdą jego decyzję. Nie wątpił, że w wyniku tego jego czyny wzmogły się. Jakże wiele walk wszczął, jakże wiele kar wymierzył swym podwładnym od śmierci Dantraga?

Drow zaatakował słabym pchnięciem, które niemal prześlizgnęło się przez obronę rozkojarzonego Berg'inyona. Miecz uniósł się i obrócił w ostatniej chwili, by odtrącić na bok ostrze przeciwnika.

Berg'inyon usłyszał za sobą nagły szmer i zrozumiał, że paru ze znajdujących się tam żołnierzy - być może wszyscy z nich - miało nadzieję, że następne pchnięcie jego wroga będzie szybsze, zbyt szybkie.

Fechmistrz warknął nisko i zaatakował gwałtownie, popychany przez nienawiść tych, którzy go otaczali, którzy znajdowali się pod jego dowództwem. Niech go nienawidzą! - uznał. Niech to robią, muszą go jednak również szanować - nie, nie szanować, uznał Berg'inyon. Muszą się go bać.

Wystąpił o krok do przodu, następnie drugi. Jego miecze uderzyły jeden po drugim, z lewej i z prawej, i obydwa zostały czysto przechwycone. Dawanie i branie przeszło w rutynę, Berg'inyon podchodził o dwa kroki, po czym się cofał. Tym razem jednak Baenre nie odstąpił. Przeszedł jeszcze dwa kroki dalej, uderzając mieczami, gdy ostrza jego przeciwnika pospieszyły, by sparować.

Pomniejszy drow cofał się, więc młody Baenre znów wystąpił do przodu. Jego przeciwnik na tyle szybko posługiwał się mieczami, by odbić spodziewane pchnięcia, nie mógł się jednak odpowiednio wycofać i Berg'inyon znalazł się przy nim w zwarciu, ich klingi połączyły się z jednej strony, nisko, przy rękojeściach.

Nie było tu większego niebezpieczeństwa - stanowiło to bardziej przerwę w walce - jednak Berg'inyon uświadomił sobie coś, o czym jego przeciwnik najwyraźniej nie wiedział. Warknąwszy, młody Baenre odepchnął pozbawionego równowagi adwersarza. Drow zatoczył się kilka kroków do tyłu i natychmiast uniósł miecze, by zasłonić się przed pościgiem.

Ten nie nadszedł. Wydawało się, że jest to zwyczajna przerwa w starciu.

Wtedy cofający się drow wpadł na ogrodzenie domu Baenre.

W mieście Menzoberranzan nie było chyba nic bardziej spektakularnego niż siedmiometrowe, przypominające pajęczynę ogrodzenie otaczające dom Baenre, podtrzymywane przez liczne stalagmitowe kopce, które okalały kompleks. Jego srebrno-metaliczne pasma, grube jak noga mrocznego elfa, były splecione w piękne, symetryczne wzory, tak zawiłe jak dzieła prawdziwych pająków. Nie mogła go przeciąć żadna broń, żadna magia, poza jedną rzeczą znajdującą się w posiadaniu opiekunki Baenre, a najlżejsze dotknięcie czy otarcie się o jedno z tych zaklętych pasm przyklejało tak mocno jak tytan.

Przeciwnik Berg'inyona uderzył mocno w ogrodzenie plecami. Jego oczy rozszerzyły się, gdy uświadomił sobie nagle taktykę młodego Baenre, gdy ujrzał, jak twarze zgromadzonych rozjaśniły się w podziwie na sprytną sztuczkę, gdy zobaczył, jak diabelski i niegodziwy Berg'inyon spokojnie się zbliża.

Drow odsunął się od ogrodzenia i wybiegł na spotkanie ataku fechmistrza.

Obydwaj wykonali szybką serię natarć oraz zastaw, oszołomiony Berg'inyon znajdował się w defensywie. Tylko dzięki latom doskonałego treningu drowi szlachcic był w stanie stawić z powrotem czoła zaskakującemu przeciwnikowi.

Naprawdę zaskakującemu, co potwierdzały twarze wszystkich drowów oraz ich szepty.

- Otarłeś się o ogrodzenie - powiedział Berg'inyon.

Drow żołnierz przytaknął. Opuścił czubki swych mieczy, podobnie jak Berg'inyon, i zerknął przez ramię, by potwierdzić to, co on sam oraz wszyscy pozostali uznawali za niemożliwe.

- Trafiłeś w ogrodzenie - powtórzył Berg Mnyon sceptycznie, gdy drow odwrócił się z powrotem do niego.

- Plecami - zgodził się.

Miecze Berg'inyona schowały się w swych pochwach i młody Baenre przemknął obok przeciwnika, by stanąć tuż przed zaklętą siecią. Jego wróg oraz wszystkie pozostałe mroczne elfy zbliżyły się, zbyt zaintrygowane, by choć myśleć o kontynuowaniu walki.

Berg'inyon wskazał na stojącą niedaleko kobietę.

- Oprzyj o to swój miecz - poprosił ją.

Drowka wyciągnęła swe ostrze i położyła je w poprzek jednego z grubych pasm. Spojrzała na Berg'inyona oraz pozostałych, po czym z łatwością podniosła klingę z ogrodzenia.

Inny drow odważył się położyć dłoń na płocie. Otaczający go spojrzeli na niego niedowierzająco, uważając go za niebezpiecznie śmiałego, nie miał jednak problemu z odsunięciem się od metalu.

Berg'inyona zalała panika. Ogrodzenie, jak się mówiło, zostało podarowane przez samą Lloth w zeszłym tysiącleciu. Jeśli już nie działało, mogło to oznaczać, że dom Baenre utracił łaskę Pajęczej Królowej. Mogło to oznaczać, że Lloth pozbawiła dom Baenre ochrony, by pozwolić pomniejszym domom na konspirację.

- Na swoje posterunki, wszyscy! - wrzasnął młody Baenre i zgromadzonym mrocznym elfom, podzielającym rozumowanie oraz obawy Berg'inyona, nie trzeba było dwa razy powtarzać.

Berg'inyon skierował się do wielkiego centralnego pagórka, by odnaleźć swą matkę. Jego ścieżka przecięła się ze ścieżką drowa, z którym właśnie walczył, i oczy żołnierza rozszerzyły się w nagłym przerażeniu. W normalnych okolicznościach Berg'inyon, honorowy jedynie w kwestii niskich standardów mrocznych elfów, wyszarpnąłby miecz i przebił nim drowa, kończąc konflikt. Ogarnięty poruszeniem wypływającym z nie działającego ogrodzenia strażnik był zbity z tropu. Wiedział to i spodziewał się, że zostanie zabity.

- Na posterunek - powiedział do niego Berg'inyon, bowiem jeśli podejrzenia młodego Baenre okazałyby się słuszne, jeśli przeciwko domowi Baenre powstałaby konspiracja, a Lloth opuściłaby ich, będzie potrzebował każdego z dwudziestu pięciu setek żołnierzy domu Baenre.

Król Bruenor Battlehammer spędził poranek w górnej kaplicy Mithrilowej Hali, starając się odnaleźć w hierarchii kapłanów obecnych w kompleksie. Jego drogi przyjaciel Cobble był rządzącym kapłanem, krasnoludem o potężnej magii i głębokiej mądrości.

Mądrość owa nie odciągnęła jednak biednego Cobble'a z drogi paskudnego drowiego czaru i kapłan został zmiażdżony przez opadającą żelazną ścianę.

W Mithrilowej Hali pozostało ponad tuzin akolitów. Uformowali dwie linie po obydwu stronach tronu audiencyjnego Bruenora. Każdy kapłan (bądź kapłanka, w przypadku Stumpet Rakingclaw), pragnął zrobić wrażenie na swoim królu.

Bruenor skinął głową krasnoludowi na czele linii stojącej z jego lewej strony. Robiąc to, podniósł kubek miodu, wody święconej, którą warzył ten właśnie duchowny. Bruenor upił łyk, po czym wysączył zadziwiająco orzeźwiający miód jednym haustem, gdy kleryk podchodził do przodu.

- Błysk światła w hołdzie dla króla Bruenora! - krzyknął kapłan pragnący zostać najwyższym duchownym, po czym zamachał rękoma i rozpoczął śpiewną modlitwę do Moradina, Kowala Dusz, boga krasnoludów.

- Czysty, świeży i tylko z drobniutkim śladem goryczy - zauważył Bruenor, przejeżdżając palcem wzdłuż krawędzi opróżnionego kubka, po czym wysysając go, aby ocalić każdą kroplę. Stojący tuż za tronem skryba notował każde słowo. - Bogaty bukiet, odpowiednio zakręcający włosy w nosie - dodał Bruenor. - Siedem.

Pozostałych jedenaścioro kapłanów jęknęło. Siedem na skali do dziesięciu było najwyższym stopniem z tych, jakie Bruenor dał sprawdzonym już przez siebie pięciu próbkom wody święconej.

Gdyby Jerbollah, krasnolud ogarnięty w tej chwili szałem czarowania, radził sobie równie dobrze z magią, trudno byłoby walczyć o cenne stanowisko.

- I światło nastąpi! - krzyknął Jerbollah, doszedłszy do punktu kulminacyjnego zaklęcia. - Czerwień!

Rozległ się straszny trzask, jakby setka krasnoludów wyszarpnęła właśnie palce z ust. A następnie... nic.

- Czerwień! - krzyknął w zachwycie Jerbollah.

- Co? - zażądał odpowiedzi Bruenor, który, jak otaczające go krasnoludy, nie widział żadnej różnicy w oświetleniu kaplicy.

- Czerwień! - powiedział znów Jerbollah i gdy się odwrócił, pozostali zrozumieli - zakłopotany kleryk postrzegał świat przez mgłę w kolorze róż.

Sfrustrowany Bruenor opuścił głowę na dłoń i jęknął.

- Robi jednak niezłą wodę święconą - zauważył jeden z krasnoludów przy wtórze parsknięć.

Biedny Jerbollah, który sądził, iż czar podziałał wspaniale, nie rozumiał, co jest takie zabawne.

Stumpet Rakingclaw wyskoczyła do przodu, wykorzystując sytuację. Podała Bruenorowi swój kubek święconej wody i odsunęła się od tronu.

- Zaplanowałam coś innego - wyjaśniła szybko, gdy Bruenor kosztował, a następnie sączył miód (a twarz krasnoludzkiego króla znów się rozjaśniła, gdy oceniał ten trunek na dziewięć). - Jednak

kapłanka Moradina, Clangeddona, który najlepiej zna się na walce, musi być gotowa do improwizacji.

- Och, powiedz nam, Stumpet! - ryknął jeden z pozostałych krasnoludów i nawet Bruenor zdobył się na uśmiech, gdy wokół niego wybuchły śmiechy.

- Jerbollah chciał czerwieni - wyjaśniła. - I czerwień nastanie!

- Czerwień już nastała - nalegał Jerbollah i za swą głupotę zarobił uderzenie w głowę od stojącego za nim krasnoluda.

Rozochocona młoda Stumpet zmierzwiła krótką rudą brodę i przeszła w serię tak przesadnych ruchów, iż wydawało się, że wpadła w konwulsje.

- Pospiesz się, Stumpet - wyszeptał znajdujący się blisko tronu krasnolud, ku ponownemu śmiechowi.

Bruenor podniósł kubek i postukał w niego palcem. - Dziewięć - przypomniał dowcipkującemu krasnoludowi. Stumpet wysunęła się zdecydowanie na prowadzenie. Gdyby wywołała zaklęcie, które nie powiodło się Jerbollahowi, byłaby niemal nie do pokonania, co uczyniłoby ją szefową dowcipnego krasnoluda. Krasnolud za upokorzonym trefhisiem pacnął go w tył głowy.

- Czerwień! - krzyknęła z całej siły Stumpet. Nic się nie stało.

Z szeregów dobiegło kilka parsknięć, jednak tak naprawdę zgromadzone krasnoludy były bardziej zaciekawione niż rozbawione. Czary Stumpet były potężne i powinna być w stanie rzucić na pomieszczenie światło w dowolnym kolorze. Wszystkich (poza Jerbollahem, który nalegał, iż czar podziałał doskonale) zaczęło ogarniać uczucie, że coś może tu być nie w porządku.

Stumpet odwróciła się z powrotem do tronu, zakłopotana i zawstydzona. Zaczęła coś mówić, przepraszać, kiedy straszny wybuch zatrząsł ziemią tak mocno, iż ona oraz połowa pozostałych obecnych w sali krasnoludów przewróciła się.

Stumpet przekoziołkowała i odwróciła się, spoglądając na pustą część kaplicy. Znikąd pojawiła się kula błękitnych iskier, unosząc się w powietrzu, po czym wystrzeliła prosto w bardzo zaskoczonego Bruenora. Krasnoludzki król pochylił się i wyrzucił przed siebie rękę, by się zasłonić, a kubek z porcją wody święconej Stumpet roztrzaskał się, oderwany od swego ucha. Uderzenie wywołało deszcze niebieskich, rozszalałych iskier, w wyniku którego krasnoludy gwałtownie zaczęły szukać osłony.

W pomieszczeniu zapłonęło więcej iskrzących się eksplozji, jaśniejące kule śmigały w tę i z powrotem, podobne do piorunów grzmoty wstrząsały podłogą i ścianami.

- Co ty, na dziewięć piekieł, zrobiłaś?! - wrzasnął do biednej Stumpet krasnoludzki król, skulony

w ciasny kłębek na swym wielkim fotelu.

Krasnoludka próbowała odpowiedzieć, próbowała wyprzeć się odpowiedzialności za ten nieoczekiwany zwrot wypadków, jednak w powietrzu pojawiła się mała tuba, wymierzona w jej stronę, wyrzuciła z siebie wielokolorowe kule i Stumpet musiała się gwałtownie odsunąć.

Ciągnęło się to przez kilka długich, przerażających minut. Krasnoludowie rzucali się w każdą możliwą stronę, iskry wydawały się podążać za nimi wszędzie, gdzie się ukrywali, parząc ich w plecy i przypalając im brody. Wtem wszystko się skończyło równie nagle, jak zaczęło, pozostawiając kaplicę w idealnej ciszy, wypełnioną zapachem siarki.

Bruenor wyprostował się powoli na tronie i starał się odzyskać część utraconej godności.

- Co ty, na dziewięć piekieł, zrobiłaś? - znów zażądał odpowiedzi, na co biedna Stumpet wzruszyła jedynie ramionami. Kilku krasnoludów zdołało się z tego lekko zaśmiać.

- Przynajmniej wciąż jest czerwono - stwierdził Jerbollah pod nosem, jednak wystarczająco głośno, by zostać usłyszanym. Znów został uderzony przez stojącego za nim krasnoluda.

Bruenor potrząsnął z niesmakiem głową, po czym zamarł w bezruchu, gdy w powietrzu przed nim pojawiły się dwie gałki oczne, przyglądając mu się złowieszczo.

Następnie spadły na podłogę i poturlały się chaotycznie, spoczywając w końcu kilka kroków dalej.

Bruenor spoglądał z niedowierzaniem, gdy z powietrza wyłoniła się widmowa dłoń, przesunęła gałki oczne do siebie i obróciła je tak, by znów były skierowane na króla krasnoludów.

- Cóż, to się nigdy wcześniej nie wydarzyło - powiedział bezcielesny głos.

Bruenor podskoczył przerażony, po czym usiadł z powrotem i jęknął kolejny raz. Od dawna nie słyszał tego głosu, lecz nigdy go nie zapomni. Poza tym wyjaśniał on tak wiele z tego, co działo się w kaplicy.

- Harkle Harpell - rzekł Bruenor i wszędzie wokół niego rozgorzały szepty, bowiem większość z pozostałych krasnoludów słyszała opowieści Bruenora o Longsaddle, osadzie na zachód od Mithrilowej Hali, domu legendarnego, ekscentrycznego klanu czarodziejów, Harpellów. Bruenor oraz jego towarzysze przejechali przez Longsaddle, zwiedzili Ivy Mansion podczas poszukiwań Mithrilowej Hali. Było to miejsce, którego krasnolud, nie będący miłośnikiem magii czarodziejów, nigdy nie zapomni, i którego nigdy nie będzie wspominał z przyjemnością.

- Witaj, królu Bruenorze - powiedział głos, emanując z podłogi tuż pod ustawionymi gałkami ocznymi.

- Jesteś tu naprawdę? - spytał krasnoludzki król.

- Hmmm - jęknęła podłoga. - Słyszę zarówno ciebie, jak i tych, którzy mnie otaczają tutaj w Fuzzy Quarterstaff - odparł Harkle, mając na myśli tawernę w Ivy Mansion, w Longsaddle. - Chwilkę, jeśli pozwolisz.

Podłoga „hmmmnęła" jeszcze kilkakrotnie, a gałki oczne zamrugały raz czy dwa, co było chyba najdziwniejszym widokiem, jaki Bruenor kiedykolwiek widział, bowiem znikąd pojawiły się powieki, zakryły na chwilę oczy, po czym znów zniknęły.

- Wygląda na to, że jestem w obydwu miejscach - próbował wyjaśnić Harkle. - Jestem tu dość ślepy... moje oczy są oczywiście tam. Zastanawiam się, czy mogę je odzyskać. - Widmowa dłoń pojawiła się z powrotem, sięgając po gałki oczne. Starała się uchwycić bezpiecznie jedną z nich, jednak skończyło się na tym, że oko jedynie obróciło się na podłodze.

- Łoa! - wrzasnął zdenerwowany Harkle. - A więc to tak jaszczurka postrzega świat! Muszę to zanotować...

- Harkle! - ryknął sfrustrowany Bruenor.

- Och, tak, tak, oczywiście - odparł Harkle, wracając do niewielkiej ilości posiadanych przez siebie zmysłów. - Wybacz mi, proszę, rozproszenie uwagi, królu Bruenorze. To się nigdy wcześniej nie zdarzyło.

- Cóż, zdarzyło się teraz - powiedział cierpko Bruenor.

- Moje oczy są tam - rzekł Harkle, jakby starał się sobie wszystko głośno uporządkować. - Ale, oczywiście, ja również dość szybko tam będę. Tak naprawdę miałem nadzieję się tam znaleźć, jednak mi sienie udało. Naprawdę ciekawe. Mógłbym spróbować jeszcze raz albo poprosić jednego z mych braci, by postarał się...

- Nie! - zagrzmiał Bruenor, wzdrygając się na myśl, że zaraz mogłyby spaść na niego deszczem inne części ciała Harpella.

- Oczywiście - Harkle zgodził się po chwili. - Zbyt niebezpieczne. Zbyt ciekawe. Dobrze więc. Przybywam w odpowiedzi na twe wezwanie, przyjazny krasnoludzki królu!

Bruenor opuścił głowę na dłoń i jęknął. Już od dwóch tygodni obawiał się właśnie tych słów. Wysłał do Longsaddle emisariusza z prośbą o pomoc w ewentualnej wojnie tylko dlatego, że Drizzt nalegał.

Według Bruenora posiadanie Harpellów za sprzymierzeńców eliminowało konieczność posiadania przeciwników.

- Tydzień - powiedział głos Harkle'a. - Przybędę za tydzień! - Nastąpiła długa cisza. - Ehm, umm, czy byłbyś taki miły i przechował moje gałki oczne w bezpiecznym miejscu?

Bruenor skinął na bok i kilku krasnoludów wystąpiło do przodu. Byli zaciekawieni i nie obawiali się już egzotycznych przedmiotów. Spierali się o to, kto podniesie oczy, i skończyło się na tym, że dwaj różni krasnoludowie trzymali je jednocześnie - i obydwaj odczuwali widoczną przyjemność, robiąc do nich miny.

Bruenor krzyknął do nich, żeby przestali się bawić, zanim jeszcze głos Harkle'a wrzasnął w przerażeniu.

- Proszę! - błagał nieobecny mag. - Niech tylko jeden krasnolud trzyma moje oczy. - Dwaj krasnoludowie zacisnęli natychmiast mocniej swą zdobycz.

- Dajcie je Stumpet! - ryknął Bruenor. - To od niej się to wszystko zaczęło!

Z wahaniem, lecz nie śmiejąc sprzeciwić się rozkazowi swego króla, krasnoludy przekazały gałki oczne.

- I proszę, żebyś utrzymywała je w wilgoci - dodał Harkle, na co Stumpet natychmiast wrzuciła jedną z gałek do ust.

- Nie tak! - wrzasnął głos. - Och, nie tak!

- Ja powinienem je wziąć! - zaprotestował Jerbollah. - Mój czar podziałał! - Stojący za Jerbollahem krasnolud walnął go w głowę.

Bruenor osunął się w swym fotelu, potrząsając głową. Dużo czasu zajmie zorganizowanie z powrotem duchowieństwa, a przygotowania do wojny potrwają jeszcze dłużej, gdy pojawią się Harpellowie.

Po przeciwległej stronie pomieszczenie Stumpet, która pomimo swych figli była najbardziej zrównoważona z krasnoludów, nie była taka beztroska. Nieoczekiwane pojawienie się Harkle'a odsunęło może na bok inne istotne problemy, jednak dziwne przybycie czarodzieja z Longsaddle nie wyjaśniało, co się tu działo. Stumpet, paru innych kapłanów, a nawet skryba, zdawali sobie sprawą, że coś tutaj jest bardzo nie w porządku.

* * *

Kiedy Guenhwyvar dotarła wraz z Drizztem i Catti-brie do wysokiej przełęczy prowadzącej do

Mithrilowej Hali, była zmęczona. Drizzt trzymał panterę na Planie Materialnym dłużej niż zazwyczaj i choć było to dla niej uciążliwe, cieszyła się, że zostaje. W związku ze wszystkimi przygotowaniami mającymi miejsce w głębokich tunelach pod krasnoludzkim kompleksem, Drizzt nie wychodził dużo na zewnątrz i w związku z tym nie wychodziła również Guenhwyvar.

Przez długi, długi czas figurka pantery znajdowała się w rękach rozmaitych drowów z Menzoberranzan i w związku z tym pantera przeżyła wieki, nie widząc zewnętrznego Planu Materialnego. Mimo to Guenhwyvar czuła się najbardziej jak w domu właśnie tutaj, gdzie żyły normalne pantery i gdzie żył jej pierwszy towarzysz z Planu Materialnego.

Guenhwyvar naprawdę cieszyły te igraszki po górach wraz z Drizztem i Catti-brie, teraz nadszedł jednak czas, by wrócić do domu, by znów odpocząć na Planie Astralnym. Pomimo całej miłości do wzajemnego towarzystwa ani drow, ani pantera nie mogli sobie teraz pozwolić na ten luksus, nie, gdy majaczyło tak wielkie niebezpieczeństwo, nadciągająca wojna, w której Drizzt i Guenhwyvar odegrają najprawdopodobniej istotną rolę, walcząc ramię przy ramieniu.

Pantera obeszła dookoła figurkę, stopniowo znikając, przechodząc w niematerialną, szarą mgłę.

* * *

Opuściwszy świat materialny Guenhwyvar weszła do długiego, niskiego, krętego tunelu, srebrnego szlaku, który zaprowadzi jaz powrotem na Plan Astralny. Pantera mknęła swobodnie, nic chcąc odchodzić i zbyt zmęczona, by biec z pełną prędkością. Podróż nie była w końcu taka długa i zawsze przebiegała bez przeszkód.

Guenhwyvar zatrzymała się gwałtownie, gdy pokonała długi zakręt, kładąc po sobie uszy.

Tunel przed nią płonął.

Z owych płomieni wyskoczyły diaboliczne sylwetki, czarcie kształty, wydające się nie przejmować zbliżającą kocicą. Guenhwyvar rzuciła się kilka krótkich susów do przodu. Czuła intensywne ciepło, widziała ogniste czarty i słyszała ich śmiech, gdy dalej pochłaniały okrągłe ściany tunelu.

Podmuch powietrza powiedział Guenhwyvar, że tunel został przerwany gdzieś w pustce pomiędzy planami istnienia. Ogniste czarty zostały rozciągnięte w wydłużone kształty, po czym wessane, a pozostałe po nich płomienie tańczyły szaleńczo, podskakując i migocząc, wydając się całkowicie gasnąć, po czym unosząc się z powrotem w nagłym i gwałtownym rozkwicie. W plecy Guenhwyvar zaczął dąć silny wiatr, nakłaniając ją, by szła dalej, nakłaniając wszystko, co znajdowało się w tunelu, by przeleciało przez otwór, w nicość.

Guenhwyvar wiedziała instynktownie, że jeśli podda się tej sile, nie będzie powrotu, że stanie się zagubioną, bezradną istotą, błąkającą się pomiędzy planami.

Pantera wyciągnęła pazury i zaczęła się powoli cofać, na każdym centymetrze drogi walcząc z zaciekłym wichrem. Jej czarna skóra zmarszczyła się, sierść obróciła się w nieprawidłową stronę.

Jeden krok wstecz.

Tunel był gładki i twardy, pantera nie miała się w co wbić pazurami. Łapy Guenhwyvar poruszały się z większą zaciekłością, jednak nieuchronnie ślizgała się w kierunku płomieni oraz otworu.

* * *

- Co się dzieje? - spytała Catti-brie, widząc zdumienie Drizzta, gdy podniósł figurkę.

- Ciepła - odparł Drizzt. - Figurka jest ciepła.

Twarz Catti-brie również wykrzywiła się w zakłopotaniu. Poczuła wtedy przerażenie, odczucie, którego nie rozumiała.

- Wezwij Guen z powrotem - ponagliła.

Drizzt, równie wystraszony, właśnie to robił. Postawił figurkę na ziemi i zawołał panterę.

* * *

Guenhwyvar usłyszała wezwanie i desperacko pragnęła na nie odpowiedzieć, jednak teraz kocica była już blisko otworu. Szalone płomienie tańczyły wysoko, parząc panterze pysk. Wicher był silniejszy niż wcześniej i nie było niczego, absolutnie niczego, czego Guenhwyvar mogłaby się uchwycić.

Pantera znała strach oraz żal. Nigdy już nie przybędzie na wezwanie Drizzta. Nigdy już nie będzie polować u boku tropiciela w lasach w pobliżu Mithrilowej Hali ani nie będzie ścigać się w dół góry z Drizztem oraz Catti-brie.

Guenhwyvar znała już wcześniej żal, kiedy umierali niektórzy z jej wcześniejszych panów. Tym

razem jednak Drizzt nie mógł zostać zastąpiony. Ani też Catti-brie, Regis, czy nawet Bruenor, to najbardziej denerwujące ze wszystkich stworzeń, którego miłość oraz nienawiść w stosunku do Guenhwyvar zapewniały panterze liczne godziny radosnej zabawy.

Guenhwyvar pamiętała, jak Drizzt poprosił ją, by położyła się na śpiącym Bruenorze i ucięła sobie drzemkę. Jakże krasnolud wtedy ryczał!

Płomienie gryzły Guenhwyvar w pysk.' Widziała już przez nie otwór, oczekującą na nią pustkę.

Gdzieś z oddali, zza osłony zawodzącego wichru, dobiegało wołanie Drizzta, wołanie, na które kocica nie mogła odpowiedzieć.

ROZDZIAŁ 7

WINA BAENRE

Uthegental Armgo, opiekun oraz fechmistrz Barrison del'Armgo, drugiego domu Menzoberranzan, nie był ulubionym drowem Jarlaxle'a. Tak naprawdę Jarlaxle nie był pewien, czy on w ogóle jest drowem. Osiągając wzrost niemal metra osiemdziesiąt oraz ważąc prawie sto kilogramów Uthegental był największym mrocznym elfem w Menzoberranzan, jednym z największym przedstawicieli tej zazwyczaj smukłej rasy, jakich kiedykolwiek widziano w Podmroku. Zaciekłego fechmistrza wyróżniało jednak coś więcej niż tylko rozmiary. Podczas gdy Jarlaxle był uważany za ekscentrycznego, Uthegental był po prostu przerażający. Przycinał krótko swe białe włosy i stawiał je na sztorc za pomocą gęstego, galaretowatego ekstraktu, uzyskiwanego z gotowania wymion rothów. Przez orli nos przechodził mithrilowy pierścień, a z obydwu policzków wystawały złote szpikulce.

Jego bronią był trójząb, czarny niczym noszona przez niego doskonale dopasowana zbroja z połączonych płytek, a u pasa, gdzie łatwo można było dosięgnąć, wisiała sieć - magiczna, jak krążyły pogłoski.

Jarlaxle cieszył się, że Uthegental nie ma przynajmniej na sobie dzisiaj swych wojennych malunków, wykonanych jakimś nieznanym przez najemnika barwnikiem zygzaków, ukazujących zarówno w normalnym świetle oraz w spektrum podczerwieni żółć oraz czerwień. W Menzoberranzan było powszechnie wiadomo, iż oprócz bycia opiekunem matki opiekunki Mez'Barris Uthegental był również partnerem wielu kobiet Barrison del'Armgo. Drugi dom uważał go za rozpłodowca i wizja tuzinów małych Uthegentali biegających wszędzie dookoła wywołała kwaśną minę na twarzy Jarlaxle'a.

- Magia jest szalona, jednak ja pozostaję silny - warknął egzotyczny fechmistrz, a jego wiecznie zmarszczone brwi czyniły go jeszcze bardziej imponującym. Przysunął opatrzoną żelaznymi muskułami rękę do boku i naprężył biceps, zginając łokieć. Twarde jak kamień mięśnie sterczały wysoko i dumnie.

Jarlaxle poświęcił chwilę, by przypomnieć sobie, gdzie się znajduje, w środku własnego obozowiska, we własnym pokoju, za własnym biurkiem, w tajemnicy otoczony przez tuzin wysoce wyszkolonych i niezaprzeczalnie lojalnych żołnierzy Bregan D'aerthe. Nawet bez ukrytych sojuszników biurko Jarlaxle'a było zaopatrzone w wiele śmiertelnych pułapek dla niechcianych gości. Poza tym, oczywiście, sam Jarlaxle nie był jakimś drobnym wojownikiem. Mała jego część - bardzo mała jego część - zastanawiała się, jak wypadłby w walce z Uthegentalem.

Niewielu wojowników, drowów bądź innych, mogło zastraszyć dowódcę najemników, jednak w obliczu tego maniaka pozwolił sobie na trochę pokory.

- Ultrin Sargtlin! - ciągnął Uthegental, wygłaszając drowie określenie największego wojownika, które to roszczenie wydawało się niezagrożone po śmierci Dantraga. Jarlaxle często wyobrażał sobie walkę, o której większość mrocznych elfów z Menzoberranzan sądziła, że zostanie stoczona przez zaciekłych rywali, Uthegentala i Dantraga.

Dantrag był szybszy - szybszy niż ktokolwiek - jednak dzięki swej sile oraz rozmiarom to Uthegental był faworytem Jarlaxle'a w tym starciu. Mówiło się, że kiedy Uthegental wpadł w szał bitewny, posiadał siłę giganta, poza tym przerażający fechmistrz był tak twardy, że kiedy walczył ze słabszymi stworzeniami, jak goblińscy niewolnicy, zawsze pozwalał przeciwnikowi na pierwsze uderzenie i nigdy nie próbował parować ataku, przyjmując paskudne trafienie, rozkoszując się bólem, zanim odrywał wrogowi jedną kończynę po drugiej i przygotowywał wybrane kawałki ciała na kolację.

Jarlaxle wzdrygnął się na tę myśl, po czym pozbył się tej wizji z umysłu, przypominając sobie, że on i Uthegental mieli ważniejsze sprawy.

- Nie ma w Menzoberranzan żadnego fechmistrza, w ogóle żadnego drowa, który mógłby wystąpić przeciwko mnie - kontynuował Uthegental swe przechwałki. Jarlaxle nie dostrzegał w tym żadnego powodu poza nadmiernie rozrośniętym poczuciem pychy tego dzikusa.

Ciągnął to i ciągnął, jak było jego zwyczajem, i choć Jarlaxle chciał go zapytać, czy jest w tym w ogóle jakiś sens, zachowywał milczenie, przekonany, że emisariusz drugiego domu przejdzie w końcu do poważnej dyskusji.

Uthegental zatrzymał nagle swą narastającą tyradę i wyrzucił przed siebie rękę, chwytając z blatu biurka klejnot, którego najemnik używał jako przycisku do papieru. Fechmistrz wymruczał jakieś słowo, którego Jarlaxle nie wychwycił, jednak bystre oko najemnika dostrzegło lekki błysk w dużej broszy drowa, emblemacie domowym Barrison del'Armgo. Następnie Uthegental podniósł kamień i ścisnął go z całej siły. Mięśnie na jego ręce napięły się i nabrzmiały, jednak klejnot wytrzymał.

- Powinienem być w stanie to zmiażdżyć - warknął Uthegental. - Taka jest moc, magia, którą pobłogosławiła mnie Lloth!

- Klejnot nie byłby zbyt wiele wart, gdyby obrócić go w proch - odparł sucho Jarlaxle. O co chodziło Uthegentalowi? – zastanawiał się. Oczywiście w mieście działo się coś dziwnego z magią. Teraz Jarlaxle lepiej rozumiał wcześniejsze przechwałki Uthegentala. Egzotyczny fechmistrz istotnie był wciąż silny, jednak nie tak silny, i fakt ten najwyraźniej niemało martwił Uthegentala.

- Magia zawodzi - powiedział fechmistrz. - Zawodzi wszędzie. Kapłanki klęczą w modlitwie, poświęcają jednego drowa za drugim i wciąż nic, co robią, nie sprowadza do nich Lloth czy jej sług. Magia zawodzi i jest to wina opiekunki Baenre!

Jarlaxle zauważył sposób, w jaki Uthegental wydawał się powtarzać kwestie. Prawdopodobnie aby przypomnieć sobie, o czym mówi, zamyślił się najemnik, i jego kwaśna mina doskonale

oddawała opinię, jaką żywił na temat intelektu Uthegentala. Oczywiście Uthegental nigdy nie wychwyci tej subtelnej wskazówki.

- Nie możesz tego wiedzieć - odparł najemnik. Oskarżenia Uthegentala pochodziły bez wątpienia od samej opiekunki Mez'Barris. Wiele rzeczy stawało się teraz dla najemnika jasnymi, głównie fakt, że Mez'Barris wysłała Uthegentala, aby wybadał Bregan D'aerthe, aby sprawdził, czy nadszedł odpowiedni czas, by powstać przeciwko Baenre. Słowa Uthegentala z pewnością mogły zostać uznane za potępiające, jednak nie wobec Barrison del'Armgo, bowiem ich fechmistrz zawsze wylewał z siebie, co mu ślina na język przyniosła, nigdy nie chwaląc nikogo poza sobą.

- To opiekunka Baenre pozwoliła uciec banicie Do'Urdenowi! - zagrzmiał Uthegental. - To ona przewodziła nieudanemu wysokiemu rytuałowi! Zawiódł on, jak zawodzi cała magia.

Powtórz to jeszcze raz, pomyślał Jarlaxle, jednak roztropnie zachował tę drwiącą myśl dla siebie. Frustracja najemnika nie wypływała w tej chwili jedynie z ujawnianej przez Uthegentala ignorancji. Chodziło o fakt, że rozumowanie Uthegentala było powszechne w mieście. Według Jarlaxle'a mroczne elfy z Menzoberranzan ustawicznie ograniczały się ślepym uporem, że wszystko niesie za sobą głębsze znaczenie, że za każdym ruchem ukryty jest jakiś wielki plan Pajęczej Królowej. W oczach kapłanek, jeśli Drizzt Do'Urden wyrzekł się Lloth i zbiegł, stało się tak tylko dlatego, iż Lloth chciała, aby dom Do'Urden upadł i aby przed innymi ambitnymi domami miasta zarysowało się wyzwanie, jakie pociągało za sobą schwytanie go.

Była to filozofia ograniczająca, zaprzeczająca wolnej woli. Z pewnością Lloth mogła odegrać rolę w polowaniu na Drizzta. Z pewnością mogła się rozzłościć zakłóceniem wysokiego rytuału, jeśli w ogóle kłopotała się tym, by dostrzec to wydarzenie! Twierdzenie jednak, iż to, co działo się teraz, było całkowicie powiązane z tym jednym wypadkiem - drobnym, jak na pięć tysięcy lat historii Menzoberranzan - było przykładem głupiej pychy. Mieszkańcy Menzoberranzan wydawali się sądzić, iż cały wszechświat obraca się wokół nich.

- Dlaczego więc magia zawodzi każdy dom? - Jarlaxle spytał Uthegentala. - Dlaczego nie tylko dom Baenre?

Uthegental potrząsnął energicznie głową, nawet nie chcąc rozważać tego rozumowania.

- Zawiedliśmy Lloth i jesteśmy karani - oznajmił. - Gdybym tylko to ja spotkał się z banitą, a nie ten żałosny Dantrag Baenre!

To dopiero był widok, jaki Jarlaxle chciałby ujrzeć! Drizzt Do'Urden walczący z Uthegentalem. Sama myśl o tym wywołała na plecach najemnika dreszcze.

- Nie możesz zaprzeczyć, że Dantrag był w łasce Lloth - stwierdził Jarlaxle - podczas gdy Drizzt Do'Urden z pewnością w niej nie był. Jakże więc Drizzt wygrał?

Brwi Uthegentala zmarszczyły się z taką zaciekłością, że jego płonące czerwienią oczy zniknęły

niemal całkowicie, a Jarlaxle szybko zastanowił się ponownie nad roztropnością popychania tego osiłka dalej wzdłuż owej linii rozumowania. Popieranie opiekunki Baenre było jedną rzeczą, jednak tu chodziło o potrząsanie fundamentami całego świata tego zaślepionego religią niewolnika.

- To wszystko się odpowiednio rozwikła - zapewnił Jarlaxle. - W całej Arach-Tinilith, w całej Akademii i we wszystkich kaplicach każdego domu są zanoszone modły do Lloth.

- Te modły pozostają bez odpowiedzi - szybko przypomniał Uthegental. - Lloth się na nas gniewa i nie będzie z nami rozmawiać, dopóki nie ukarzemy tych, którzy uczynili źle.

Te modły są bez odpowiedzi albo w ogóle nie są słyszane, pomyślał Jarlaxle. W przeciwieństwie do większości pozostałych, zazwyczaj ksenofobicznych drowów z Menzoberranzan, najemnik był w kontakcie ze światem zewnętrznym. Ze swoich kontaktów z Blingdenstone wiedział, iż kapłani svirfnebli mają podobne trudności, że magia głębinowych gnomów również wymknęła się spod kontroli. Coś stało się z panteonem, uważał Jarlaxle, oraz z samą tkaniną magii.

- To nie Lloth - powiedział śmiało, na co oczy Uthegentala otworzyły się szeroko. Rozumiejąc dokładnie, co wisi tu na włosku, cała hierarchia miasta oraz być może życie połowy drowów z Menzoberranzan, Jarlaxle naciskał dalej. - A raczej nie tylko Lloth. Kiedy wrócisz do miasta, przyjrzyj się Narbondel - rzekł, odnosząc się do kamiennej kolumny zegara Menzoberranzan. - Nawet teraz, kiedy powinien być chłodny mrok nocy, błyszczy jaśniej i goręcej niż kiedykolwiek przedtem, jest tak gorąca, iż widać ją nawet bez naszego wyczuwającego ciepło wzroku, tak gorąca, iż każdy znajdujący się w jej pobliżu drow nie może nawet pozwolić, aby jego oczy przeszły w spektrum ciepła, bo wtedy zostanie oślepiony.

- Jednak Narbondel jest zaklęta przez czarodzieja, nie kapłanki - ciągnął Jarlaxle, mając nadzieję, że tępy Uthegental podąży za jego rozumowaniem.

- Wątpisz, czy Lloth może wpłynąć na zegar? - warknął fech-mistrz.

- Wątpię, czy mogłaby to zrobić! - zripostował gwałtownie Jarlaxle. - Magia Narbondel jest oddzielona od Lloth, zawsze była od niej oddzielona. Przed Gromphem Baenre niektórzy z poprzednich arcymagów Menzoberranzan nie byli nawet wyznawcami Lloth! - Niemal dodał, że Gromph nie jest również taki pobożny, zdecydował jednak przemilczeć ten strzęp informacji. Nie było sensu dawać zdesperowanemu drugiemu domowi dodatkowych powodów, by sądził, że dom Baenre jest w jeszcze większym stopniu poza łaską Pajęczej Królowej.

- Zastanów się też nad ogniami faerie podświetlającymi każdą budowlę - ciągnął Jarlaxle. Z kąta, pod jakim była uniesiona brew Uthegentala, wnioskował, iż osiłek stał się nagle bardziej zaciekawiony niż rozwścieczony - co nie było częstym widokiem. - Mrugają albo gasną całkowicie. Ogień faerie należy do czarodziejów, nie do kapłanek, i ozdabia każdy dom, nie tylko Baenre. Wydarzenia wychodzą poza nas, powiadam, i poza wysoki rytuał. Powiedz opiekunce Mez'Barris, z całym moim szacunkiem, że nie wierzę, iż opiekunka Baenre może być za to winiona i nie uważam, aby rozwiązanie tego mogło leżeć w wojnie przeciwko pierwszemu domowi. Nie, dopóki sama Lloth

nie wyśle nam wyraźnych wskazówek.

Mina Uthegentala powróciła szybko do zwyczajowego grymasu. Oczywiście, że był sfrustrowany, zdawał sobie sprawę Jarlaxle. Najinteligentniejsze drowy w Menzoberranzan, najinteligentniejsi svirfnebli w Blingdenstone byli sfrustrowani, i nic, co Jarlaxle mógłby powiedzieć, nie zmieniłoby nastawienia Uthegentala albo pragnienia kochającego wojnę dzikusa, by zaatakować dom Baenre. Jarlaxle wiedział jednak, że nie musi przekonywać Uthegentala. Musi po prostu sprawić, aby Uthegental powiedział, co powinien po powrocie do domu Bamson del'Armgo. Sam fakt, że Mez'Barris wysłała tak ważnego emisariusza, swego własnego opiekuna oraz fech-mistrza, mówił Jarlaxle'owi, iż nie poprowadziłaby konspiracji bez pomocy, a przynajmniej aprobaty Bregan D'aerthe.

- Idę - oznajmił Uthegental, wypowiadając najwspanialsze słowo, jakie Jarlaxle usłyszał, odkąd osiłek wkroczył do jego obozu.

Jarlaxle zdjął swój kapelusz o szerokim rondzie i przejechał dłońmi po łysej głowie, rozpierając się wygodnie w fotelu. Nie był w stanie nawet zastanawiać się nad zasięgiem wypadków. Być może w chaosie, jaki panował w tkaninie rzeczywistości, sama Lloth została zniszczona. Nie byłoby to takie złe, uważał.

Mimo to miał nadzieję, iż sytuacja wróci wkrótce do normy, jak wskazał Uthegentalowi, wiedział bowiem, iż ta prośba - ponieważ była to prośba - aby rozpocząć wojnę, powtórzy się znów i znów, a za każdym razem będzie poparta przez zwiększającą się desperację. Wcześniej czy później dom Baenre zostanie zaatakowany.

Jarlaxle pomyślał o spotkaniu, którego był świadkiem, spotkaniu pomiędzy opiekunką Baenre a K'yorl Odran, matką opiekunką domu Oblodra, trzeciego i chyba najbardziej niebezpiecznego domu, kiedy to Baenre rozpoczęła organizować sojusz, by wysłać najeźdźczą armię do Mithrilowej Hali. Baenre występowała wtedy z pozycji siły, będąc w pełni w łasce Lloth. Otwarcie obraziła K'yorl oraz trzeci dom i czystymi groźbami zmusiła nieprzewidywalną trzecią matkę opiekunkę, by wstąpiła do jej sojuszu.

Jarlaxle wiedział, że K'yorl nigdy tego nie wybaczy i to ona mogła popychać Mez'Barris Armgo do wojny z domem Baenre.

Jarlaxle kochał chaos, najlepiej czuł się w zamieszaniu, jednak ten scenariusz zaczynał go coraz bardziej martwić.

* * *

W przeciwieństwie do zwykle słusznych przypuszczeń najemnika, K'yorl Odran nie nakłaniała opiekunki Mez'Barris do wojny z domem Baenre. Wręcz odwrotnie, K'yorl starała się usilnie, by zapobiec takiemu konfliktowi, spotykając się w tajemnicy z matkami opiekunkami sześciu pozostałych domów rządzących, znajdujących się pod domem Baenre (poza Ghenni'tiroth Tlabbar, opiekunką domu Faen Tlabbar, czwartego domu, której K'yorl nie mogła znieść i zaufać). Nie to, że K'yorl wybaczyła opiekunce Baenre obrazę albo obawiała się dziwnych wydarzeń. Zdecydowanie nie.

Gdyby nie rozległa sieć zwiadowcza poza domem Oblodra oraz oczywiste znaki, takie jak Narbondel i mrugające ognie faerie, członkowie trzeciego domu nie wiedzieliby nawet, że coś jest nie w porządku. Moce domu Oblodra nie pochodziły bowiem z magii czarodziejów czy kapłańskich modlitw do Pajęczej Królowej. Oblodranie byli psionikami. Ich potęga była kształtowana przez wewnętrzne siły umysłu, tak więc Trudne Czasy na nich nie wpływały.

K'yorl nie mogła pozwolić, by reszta miasta o tym wiedziała. Miała pod swoją komendą dwadzieścia pracujących ciężko kapłanek, sprawiających by psioniczny ekwiwalent ognia faerie, podświetlający jej dom, mrugał, jak miało to miejsce w pozostałych domach. Zaś Mez'Barris oraz innym matkom opiekunkom wydawała się równie poruszona i nerwowa jak one same.

Musiała trzymać wszystko pod przykryciem, musiała sprawić, by pogłoski o konspiracji umilkły. Kiedy bowiem K'yorl upewni się, że utrata magii nie jest diabelską sztuczką, jej rodzina zaatakuje sama. Najpierw odpłaci domowi Faen Tlabbar za wszystkie lata, jakie poświęciła, obserwując każdy jego ambitny krok, albo też ruszy bezpośrednio na nędznych Baenre.

W każdym razie niegodziwa matka opiekunka zamierzała zaatakować samotnie.

* * *

Opiekunka Baenre siedziała sztywno w fotelu na wzniesionym i rozjaśnionym świecami centralnym podwyższeniu w wielkiej kaplicy swego domu. Jej córka, Sos'Umptu, doglądająca tego najświętszego dla drowów miejsca, siedziała po jej lewej stronie, zaś Triel, najstarsza córka Baenre oraz mistrzyni opiekunka drowiej Akademii, była po prawej. Wszystkie trzy wpatrywały się w górę, na iluzyjny obraz, jaki umieścił tam Gromph Baenre, i wydawało się dziwnie odpowiednie, iż iluzja nie zmienia się już z drowki w pająka i z powrotem, lecz tkwi w środku transformacji i wisi tam jak moce, które wzniosły dom Baenre do jego nadrzędnej pozycji.

Niewiele dalej niewolnicy, gobliny i minotaury, kontynuowali prace przy naprawie kopuły, jednak opiekunka Baenre straciła wszelką nadzieję, że odbudowanie kaplicy uspokoi dziwne i straszne wydarzenia w Menzoberranzan. Zaczęła wierzyć w rozumowanie Jarlaxle'a, że przyczyna tkwi w czymś więcej niż w nieudanym wysokim rytuale oraz ucieczce jednego banity. Zaczęła

wierzyć, że to, co dzieje się w Menzoberranzan, może mieć miejsce w całym świecie, bądź wszechświecie, i że leży poza jej zrozumieniem czy kontrolą.

To nie ułatwiało sytuacji opiekunce Baenre. Gdyby pozostałe domy nie podzielały tych przekonań, starałyby się wykorzystać ją jako ofiarę, by doprowadzić wszystko do porządku. Zerknęła przelotnie na obydwie córki. Sos'Umptu należała do najmniej ambitnych drowek, jakie kiedykolwiek poznała, i Baenre nie obawiała się zbytnio o nic z jej strony. Triel natomiast mogła być bardziej niebezpieczna. Choć zawsze wydawała się zadowolona z życia jako mistrzyni opiekunka Akademii, co było stanowiskiem o niemałej wadze, było powszechnie akceptowane, iż jako najstarsza córka będzie pewnego dnia władać pierwszym domem.

Triel była cierpliwa jak jej matka, jednak, również jak ona, była wyrachowana. Gdyby stała się przekonana, iż konieczne jest usunąć jej matkę z tronu domu Baenre, że taki czyn przywróciłby Baenre miano oraz reputację, uczyniłaby to bez litości.

To właśnie dlatego opiekunka Baenre wezwała ją z Akademii na spotkanie i wyznaczyła na jego miejsce kaplicę. Była to domena Sos'Umptu, domena Lloth, i Triel nie ośmieli się tu zaatakować matki.

- Zamierzam wystosować apel z Akademii, że żaden dom nie powinien wykorzystywać tych trudnych czasów do wojny z innym - odezwała się Triel, przerywając absolutną ciszę - bowiem żadna z Baenre nie zauważała uderzeń młotów oraz pojękiwań niewolników pracujących na wypukłym dachu jedynie trzydzieści metrów dalej. Żadna z nich nie dostrzegła nawet, gdy minotaur niedbale strącił goblina na śmierć, jedynie dla uciechy.

Opiekunka Baenre wzięła głęboki oddech i rozważyła te słowa oraz kryjące się za nimi znaczenie. Oczywiście, że Triel wystosuje taką prośbę. Akademia była chyba najbardziej stabilizującą siłą w całym Menzoberranzan. Dlaczego jednak wybrała akurat tę chwilę, by powiedzieć o tym swej matce? Dlaczego nie poczekała po prostu, aż zostanie przedstawiona otwarcie, wszystkim?

Czy Triel starała się ją podnieść na duchu? - zastanawiała się opiekunka Baenre. Czy też próbowała po prostu zbić ją z tropu?

Myśli krążyły w głowie opiekunki Baenre, pędziły dookoła i zderzały ze sobą, powodując, że trzęsła się w paranoi. Racjonalnie rzecz ujmując, rozumiała prowadzącą do samozniszczenia naturę starania się doszukiwania znaczenia w każdym słowie, próbowania odgadywać, kto może być wrogiem, a kto sojusznikiem. Opiekunka Baenre wpadała jednak w desperację. Kilka tygodni temu znajdowała się u szczytu potęgi, zgromadziła miasto pod sobą w gotowości do zmasowanego uderzenia na krasnoludzki kompleks, Mithrilową Halę, w pobliżu powierzchni.

Jakże szybko zostało jej to zabrane, równie szybko jak upadek stalaktytu ze stropu jaskini nad jej cenną kaplicą.

Nie skończyła jednak jeszcze. Opiekunka Baenre nie przeżyła ponad dwóch tysięcy lat, aby się

teraz poddać. Niech szlag trafi Triel, jeśli rzeczywiście spiskowała, by przejąć tron. Niech szlag trafi wszystkich!

Matka opiekunka klasnęła nagle w dłonie i obydwie córki podskoczyły zaskoczone, gdy w polu widzenia pojawiła się dwunożna potworność o rozmiarach człowieka, stając tuż przed nimi, odziana we wspaniałe, lejące się, karmazynowe szaty. Purpurowa głowa stwora przypominała ośmiornicę, tyle że wokół okrągłego, najeżonego licznymi zębami otworu gębowego powiewały jedynie cztery skórzaste macki, zaś oczy były pozbawione źrenic i mlecznobiałe.

Ilithid, bądź łupieżca umysłu, nie był nowością dla córek Baenre. Wręcz przeciwnie, El-Viddenvelp lub Methil, jak go powszechnie zwano, był doradcą opiekunki Baenre i przebywał u jej boku od wielu lat. Otrząsnąwszy się z zaskoczenia Sos'Umptu oraz Triel skierowały zaciekawione spojrzenia na swą zaskakującą matkę.

- Witaj Triel - ilithid odezwał się telepatycznie. - Ty oczywiście również, Sos'Umptu, w należącym do ciebie miejscu.

Obydwie córki skinęły głowami i przywołały podobne mentalne odpowiedzi, wiedząc, że Methil wychwyci myśli równie łatwo, jakby zostały wypowiedziane na głos.

- Głupie! - opiekunka Baenre wrzasnęła na nie obydwie. Podskoczyła ze swego fotela i obróciła się z zaciekłością w wyniszczonych rysach. - Jak mamy przetrwać te czasy, kiedy dwie z moich głównych dowódczyń oraz najbliższe doradczynie są tak głupie?

Sos'Umptu zamknęła się w sobie ze wstydu, zakłopotana. Posunęła się nawet do zakrycia twarzy szerokim rękawem grubej, purpurowo-czarnej szaty.

Triel, bardziej obeznana ze światem niż jej młodsza siostra, początkowo odczuwała ten sam szok, jednak szybko zrozumiała, o co chodzi matce.

- Ilithid nie stracił swych mocy - stwierdziła, a Sos'Umptu wyjrzała z zaciekawieniem nad ramieniem.

- Nawet w najmniejszym stopniu - zgodziła się opiekunka Baenre i jej ton nie należał do zadowolonych.

- Ale w związku z tym mamy przewagę - ośmieliła się przemówić Sos'Umptu. - Bowiem Methil jest wystarczająco lojalny - powiedziała bezceremonialnie. Nie było sensu maskować prawdziwych uczuć za słowami półprawdy, ponieważ ilithid i tak odczytałby jej myśli. I jest jedynym ze swego rodzaju w Menzoberranzan.

- Ale nie jedynym, kto używa takich mocy! - ryknęła na nią opiekunka Baenre, powodując, że młodsza córka znów skuliła się w swym fotelu.

- K'yorl - wydyszała Triel. - Jeśli Methil używa swych mocy...

- To robią to również Oblodranie - dokończyła ponuro Baenre.

- Wciąż ćwiczą swe moce - Methil potwierdził telepatycznie. - Podświetlenie domu Oblodra nie mrugałoby, gdyby nie mentalne rozkazy trzódki K'yorl.

- Możemy być tego pewni? - spytała Triel, bowiem w zawodzeniu magii nie wydawało się być żadnych ustalonych wzorców, jedynie chaotyczny nieład. Być może nie wpływało to na Methila albo nie wiedział, że to na niego wpływa. I być może ogień faerie Oblodran, choć inny w naturze niż płomienie gorejące w pozostałych domach, tkwił w tym samym chaosie.

- Moce psioniczne mogą być wyczuwane przez psioniczne stworzenia - zapewnił ją Methil. - Trzeci dom kipi energią.

- A K'yorl robi pozory, że tak nie jest - dodała paskudnym tonem opiekunka Baenre.

- Chce zaatakować przez zaskoczenie - uznała Triel. Opiekunka Baenre przytaknęła posępnie.

- Co z Methilem? - zaproponowała z nadzieją Sos'Umptu. - Jego moce są wielkie.

- Methil bez problemu poradzi sobie z K'yorl - zapewniła swą córkę opiekunka Baenre, choć Methil bezgłośnie robił to samo, wywołując poczucie niezaprzeczalnej pewności. - K'yorl nie jest jednak jedyną Oblodranką z psionicznymi mocami.

- Jak dużo ich jest? - chciała wiedzieć Triel, na co opiekunka Baenre po prostu wzruszyła ramionami.

- Dużo - odpowiedziały myśli Methila.

Triel myślała o tym, wiedziała wiać, że Methil to słyszy, tak więc wypowiedziała to na głos, podejrzliwie.

- A jeśli Oblodranie wystąpią przeciwko nam, po której stronie stanie Methil?

Opiekunka Baenre była, przez chwilę, zszokowana śmiałością swej córki, rozumiała jednak, że Triel nie miała zbytniego wyboru w wyjawianiu swych podejrzeń.

- I czy sprowadzi sojuszników z niedalekiej jaskini ilithidów? - naciskała Triel. - Z pewnością gdyby setka ilithidów stanęła u naszego boku w potrzebie...

Ze strony Methila nie było nawet śladu telepatycznej komunikacji i to było dla wszystkich Baenre wystarczającą odpowiedzią.

- Nasze problemy nie są problemami łupieżców umysłu - powiedziała opiekunka Baenre. Była to prawda i wiedziała o tym. Próbowała dołączyć ilithidy do najazdu na Mithrilową Halę, obiecując im bogactwa oraz bezpieczny sojusz, jednak motywacje nieziemskich, ośmiornicogłowych stworów nie były takie same jak mrocznych elfów, czy też jakiejkolwiek innej rasy całego Podmroku. Owe motywacje pozostawały poza zrozumieniem opiekunki Baenre pomimo lat kontaktów z Methilem. Osiągnęła jedynie tyle, że Methil oraz dwa inne ilithidy pójdą wraz z nią na wyprawę na Mithrilową Halę w zamian za setkę koboldów oraz dwudziestu drowów mężczyzn, którzy staną się niewolnikami społeczności łupieżców w ich małym mieście w jaskini.

Nie było dużo więcej do powiedzenia. Domowi strażnicy znajdowali się w stanie pełnej gotowości, a każdy nie posiadający innych obowiązków drow modlił się o pomoc do Pajęczej Królowej. Dom Baenre robił wszystko, co w jego mocy, by nie dopuścić do katastrofy, a mimo to opiekunka Baenre nie wierzyła, że im się uda. K'yorl przybyła do niej kilkakrotnie niezapowiedziana, przedostała się przez magiczne ogrodzenie oraz liczne zaklęte pułapki ustawione w kompleksie. Matka opiekunka domu Oblodra robiła to tylko po to, by szydzić sobie z Baenre i tak naprawdę nie mogła zrobić wiele więcej, nie ujawniając się Baenre. Cóż jednak K'yorl mogła osiągnąć przy tych nie funkcjonujących osłonach? Jak opiekunka Baenre mogła oprzeć się psionikom bez własnej magii?

Jej jedyną osłoną wydawał się być Methil, stworzenie, któremu ani całkowicie nie ufała, ani go nie rozumiała.

Nie podobała jej się ta sytuacja.

ROZDZIAŁ 8

MANIFESTACJE MAGII

Guenhwyvar doznawała bólu, doznawała cierpienia przewyższającego wszystko, co pantera kiedykolwiek odczuwała. Co więcej jednak pantera doznawała rozpaczy, prawdziwej rozpaczy. Guenhwyvar była stworzeniem uformowanym z magii, manifestacją siły życiowej zwierzęcia znanego na Torilu jako pantera. Zawarta w wielkiej kocicy iskra istnienia zależała od magii, podobnie jak kanał pozwalający Drizztowi oraz tym, którzy byli przed nim, sprowadzać Guenhwyvar na Pierwotny Plan Materialny.

Teraz owa magia rozplatała się, tkanina splatająca magię wszechświata w mistyczny i przewidywalny wzorzec była rozdarta. Pantera była w rozpaczy.

Guenhwyvar słyszała ciągłe wołanie, błaganie Drizzta. Drow wiedział, że Guen ma kłopoty, jego głos oddawał tę desperację.

W sercu, tak złączonym ze swą kocią towarzyszką, Drizzt Do'Urden rozumiał, że wkrótce straci Guenhwyvar na zawsze.

Ta mrożąca krew myśl dała panterze chwilę odnowionej nadziei i determinacji. Guenhwyvar skupiła się na obrazie bólu, jaki będzie odczuwała, jeśli już nigdy nie powróci do swego ukochanego pana. Powarkując nisko, buntowniczo, pantera drapała tylnymi nogami tak silnie, iż niejeden szpon zahaczył o gładką, twardą po wierzchnie i został następnie wyrwany.

Ból nie powstrzymywał pantery, nie, gdy Guenhwyvar porównała go z wizją wślizgnięcia się w płomienie, wypadnięcia z tunelu, jedynej więzi ze światem materialnym oraz Drizztem.

Walka ciągnęła się dłużej, niż jakiekolwiek stworzenie byłoby w stanie wytrzymać. Choć jednak Guenhwyvar nie przesuwała się bliżej otworu, nie cofała się również ku swemu błagającemu panu.

W końcu, wyczerpana, Guenhwyyar rzuciła rozpaczliwe, bezradne spojrzenie przez ramię. Jej mięśnie zadrżały, po czym zelżały.

Pantera pomknęła ku ognistej dziurze.

* * *

Opiekunka Baenre przemierzała nerwowo małe pomieszczenie, spodziewając się, że w każdej chwili może wbiec strażnik z wieścią, iż kompleks został najechany, że całe miasto powstało przeciwko jej domowi, obwiniając ją za kłopoty, jakie na nie spadły.

Nie tak dawno temu Baenre marzyła o podboju, wzniosła się na wyżyny potęgi. Mithrilowa Hala była w jej zasięgu, a co więcej, miasto wydawało się gotowe, by wyruszyć pod jej przewodnictwem.

Teraz uważała, że nie jest w stanie utrzymać nawet własnego domu, imperium Baenre liczącego sobie pięć tysięcy lat.

- Mithrilowa Hala - niegodziwa drowka rzuciła niby potępiające przekleństwo, jakby owo odległe miejsce było przyczyną tego wszystkiego. Jej drobna pierś unosiła się wraz z wymuszonymi oddechami. Baenre sięgnęła oburącz do szyi i zerwała wiszący tam łańcuch.

- Mithrilowa Hala! - wrzasnęła do wisiorka w kształcie pierścienia, stworzonego z zęba Gandaluga Battlehammera, założyciela klanu Bruenora, rzeczywistej więzi ze światem powierzchni. Każdy drow, nawet ci najbliżsi opiekunce Baenre, sądził, iż to Drizzt Do'Urden był katalizatorem dla inwazji, wymówką, która pozwalała Lloth dać błogosławieństwo niebezpiecznemu podbojowi tak blisko powierzchni.

Drizzt był zaledwie częścią tej układanki, w dodatku małą, bowiem prawdziwym bodźcem był pierścień. Zamknięta w nim była udręczona dusza Gandaluga, znającego Mithrilową Halę oraz zwyczaje klanu Battlehammer. Opiekunka Baenre zabrała krasnoludzkiego króla przed stuleciami i jedynie ślepy los skontaktował renegata z Menzoberranzan z klanem Bruenora. Ślepy los, który dał wymówkę dla podboju, którego opiekunka Baenre pragnęła od wielu, wielu dziesięcioleci.

Wydawszy z siebie wrzask wściekłości, Baenre cisnęła zębem przez pokój, po czym przewróciła się, gdy przedmiot eksplodował.

Kiedy dym się rozwiał, Baenre wpatrywała się bez wyrazu w róg pomieszczenia, w klęczącego tam nagiego krasnoluda. Matka opiekunka podniosła się, potrząsając z niedowierzaniem głową, nie był to bowiem przyzwany duch, lecz fizyczne ciało Gandaluga!

- Ośmieliłeś się przyjść? - wrzasnęła Baenre, jednak jej gniew maskował strach. Kiedy wcześniej wzywała fizyczną formę Gandaluga z pozawymiarowego więzienia, nigdy nie był tak naprawdę całością, nigdy nie był cielesny - i nigdy nagi. Spoglądając teraz na niego, Baenre zdała sobie sprawę, że więzienie Gandaluga już nie istnieje, że Gandalug wrócił dokładnie taki sam jak w chwili, gdy go schwytała, nie licząc ubrania.

Zmaltretowany stary krasnolud spojrzał na swą porywaczkę, swą dręczycielkę. Baenre mówiła w języku drowów i Gandalug nie rozumiał oczywiście ani słowa. To nie miało jednak większego znaczenia, bowiem stary krasnolud nie słuchał. Tak naprawdę był poza słowami.

Walcząc i powarkując przy każdym bolesnym ruchu, Gandalug zmusił grzbiet do wyprostowania się, po czym umieścił najpierw jedną, a następnie drugą nogę pod sobą i wstał z determinacją. Rozumiał, że coś się zmieniło. Po stuleciach cierpienia w pustce, zawieszenia w szarej próżni, Gandalug Battlehammer czuł się jakoś inaczej, czuł się cały i rzeczywisty. Odkąd został pojmany, stary krasnolud wiódł surrealistyczną egzystencję, żył we śnie, otaczany przez wyraźne, przerażające obrazy za każdym razem, gdy ta stara nędzniczka go przyzywała, poza tym zaś ogarnięty przez niezmierzone okresy nicości, kiedy to czas i myśl były jedną długą pustką.

Ale teraz, teraz Gandalug czuł, że coś się zmieniło, czuł nawet strzykanie i ból w starych kościach. I jakże wspaniałe to było odczucie!

- Wracaj! - rozkazała Baenre, tym razem w języku powierzchni, mowie, której zawsze używała, by komunikować się ze starym krasnoludem. - Wracaj do swego więzienia, dopóki cię nie zawołam!

Gandalug rozejrzał się dookoła, dostrzegł leżący na podłodze łańcuch i ani śladu zębowego pierścienia.

- Nie byłbym taki pewien - stary krasnolud stwierdził w swym ciężkim, pradawnym dialekcie i podszedł o krok.

Oczy Baenre zmrużyły się niebezpiecznie.

- Ośmielasz się? - wyszeptała, wyciągając wąską różdżkę. Wiedziała, jak niebezpieczny może być, tak więc nie traciła czasu, wycelowała przedmiot i wyrecytowała tajemną frazę, zamierzając wywołać strumień pajęczyny, która spowije krasnoluda i unieruchomi go. Nic się nie stało.

Gandalug wykonał kolejny krok, na każdym centymetrze powarkując niczym głodne zwierzę.

Baenre opuściło jej stalowe spojrzenie, ujawniając nagły strach. Była istotą uzależnioną od magii, polegającą na magii, by chronić siebie i miażdżyć przeciwników. Dzięki posiadanym przedmiotom (które nosiła przy sobie zawsze) oraz potężnemu repertuarowi czarów, mogła pokonać niemal każdego wroga, potrafiłaby najprawdopodobniej zniszczyć batalion zaprawionych krasnoludzkich wojowników. Wszakże bez owych przedmiotów i bez przybywających jej na pomoc czarów opiekunka Baenre była żałosnym, wyniszczonym i kruchym stworzeniem.

Gandalugowi nie robiłoby różnicy, nawet gdyby stał przed nim tytan. Z jakiegoś powodu, którego nie mógł zrozumieć, był uwolniony ze swego więzienia, był wolny i znajdował się we własnym ciele, którego to uczucia nie doświadczał od dwóch tysięcy lat.

Baenre mogła jeszcze wypróbować parę sztuczek i tak naprawdę niektóre z nich, jak sakiewka zawierająca w sobie hordę pająków, które przybędą na jej wezwanie, nie wpadła jeszcze w chaotyczną i magiczną sieć, jaką były Trudne Czasy. Nie mogła jednak ryzykować. Nie teraz, gdy była tak bardzo odsłonięta.

Odwróciła się i pobiegła do drzwi.

Postronkowate mięśnie na potężnych nogach Gandaluga naprężyły się i krasnolud wybił się, pokonując pięć metrów do drzwi przed swą ciemiężycielką.

Pięść uderzyła Baenre w klatkę piersiową, pozbawiając ją tchu, i zanim zdążyła odpowiedzieć, znalazła się w powietrzu, wirując nad głową rozwścieczonego krasnoluda.

Następnie leciała, by uderzyć o ścianę po przeciwległej stronie komnaty i lec pod nią bezwładnie.

- Zamierzam oderwać ci głowę - obiecał, zbliżając się powoli Gandalug.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i do pomieszczenia wpadł Berg'inyon. Gandalug obrócił się w jego stronę, gdy fechmistrz wyciągał swe bliźniacze klingi. Zaskoczony widokiem - w jaki sposób krasnolud pojawił się w Menzoberranzan, w prywatnej komnacie jego matki? - Berg'inyon podniósł ostrza w momencie, gdy Gandalug je chwytał, po jednym w każdej ręce.

Gdyby we wspaniałych klingach fechmistrza wciąż było obecne zaklęcie, przecięłyby gładko twarde krasnoludzkie ciało. Nawet jednak bez niego, straciwszy magię w wirze chaosu, miecze wbiły się głęboko.

Gandaluga niezbyt to obchodziło. Rozrzucił szeroko ramiona Berg'inyona, bowiem szczupły drow nie mógł mu dorównać siłą. Krasnolud wyrzucił głowę do przodu, uderzając w giętki pancerz Berg'inyona, wąskie pierścienie, których siła również polegała na zaklęciu.

Gandalug powtarzał ten ruch raz za razem i jęki Berg'inyona stały się wkrótce pozbawionymi tchu sapnięciami. Niedługo potem młody Baenre ledwo stał na nogach, był ledwo świadomy, gdy Gandalug wyszarpywał mu miecze z dłoni. Głowa krasnoluda wystrzeliła jeszcze raz i Berg'inyon, nie połączony już z Gandalugiem i nie podtrzymywany przez niego, przewrócił się.

Wciąż ignorując głębokie szramy na rękach, Gandalug cisnął jeden z mieczy Berg'inyona w bok komnaty, chwycił porządnie drugi i odwrócił się do opiekunki Baenre, która wciąż siedziała pod ścianą, starając się zebrać myśli.

- Gdzie twój uśmiech? - szydził krasnolud podchodząc. - Chcę, żeby na twojej śmierdzącej twarzy był uśmiech, gdy podniosę twoją głowę w ręku, by wszyscy mogli ją zobaczyć!

Następny krok był dla krasnoludzkiego króla ostatnim, bowiem zmaterializowała się przed nim potworność o głowie w kształcie ośmiornicy, wyciągając w jego stronę swe groteskowe macki.

Oszałamiające uderzenie mentalnej energii przewróciło Gandaluga i niemal wypuścił miecz. Potrząsnął głową zaciekle, by zachować myśli.

Wciąż powarkiwał i potrząsał włochatą głową, gdy drugie, a następnie trzecie uderzenie

zaatakowało jego zmysły. Gdyby Gandalug utrzymał tę ścianę wściekłości, mógłby nawet to przetrzymać, jednak szał przeszedł w zakłopotanie, nie będące wystarczająco silne, by pokonać szturm potężnego ilithida.

Gandalug nie słyszał, jak wykonany przez drowy miecz upada na podłogę, nie słyszał, jak opiekunka Baenre krzyczy do Methila i do dochodzącego do siebie Berg'inyona, instruując ich, aby nie zabijali krasnoluda.

Baenre była przerażona tymi niezrozumiałymi dla niej zmianami w magii. Strach ten nie powstrzymywał jej jednak przed pamiętaniem o swej niegodziwej naturze. Z jakiegoś niewyjaśnionego powodu Gandalug znów był żywy, we własnym ciele, uwolniony z pierścienia, który najwyraźniej uległ zniszczeniu.

Tajemnica ta nie powstrzymywała Baenre przed odpłaceniem mu za atak i obrazę. Baenre była mistrzynią w torturowaniu dusz, jednak nawet jej umiejętności w tej sztuce bledły przy tym, co potrafiła zrobić z żywymi stworzeniami.

* * *

- Guenhwyvar! - Figurka była teraz strasznie gorąca, lecz Drizzt trzymał ją uparcie, przyciskał ją blisko piersi, do serca, choć ze skraju jego płaszcza unosiły się kłęby dymu, a skóra na dłoniach zaczynała pokrywać się pęcherzami.

Wiedział i nie puszczał. Wiedział, że Guenhwyvar opuści go na zawsze i niczym przyjaciel obejmujący mocno umierającego towarzysza, Drizzt nie mógł puścić i będzie trzymał do końca.

Jego pełne desperacji wołanie zaczęło słabnąć, nie z powodu rezygnacji, lecz po prostu dlatego, że głos nie mógł mu się przebić przez blokujący gardło żal. Parzyło go już również w palce, lecz nie puszczał.

Catti-brie zrobiła to za niego. Kierowana nagłym, desperackim impulsem młoda kobieta, sama rozdarta bólem żałości, chwyciła Drizzta szorstko za ramię i uderzyła mocno w figurkę, wytrącając ją na ziemię.

Zaskoczona mina Drizzta przeszła we wściekłość i zaprzeczenie, niczym ostatni wybuch szału matki obserwującej, jak trumna z jej dzieckiem opada do grobu. W chwili gdy figurka spadła na ziemię, Catti-brie wyciągnęła z pochwy Khazid'heę i doskoczyła tam. Miecz uniósł się w górę, a na jego ostrej krawędzi wciąż widać było czerwoną linię zaklęcia.

- Nie! - krzyknął Drizzt, rzucając się w jej stronę.

Było już za późno. Choć z jej granatowych oczu lały się łzy, a myśli były pogmatwane, Catti-brie odnalazła w sobie odwagę na ostatnią, desperacką próbę i opuściła potężne ostrze. Khazid'hea mogła przecinać kamień i zrobiła to teraz, w tej samej chwili gdy Guenhwyvar przelatywała przez otwór.

Nastąpił rozbłysk i pulsujący ból, pulsująca magia wyrzuciła rękę Catti-brie do góry, ciskając ją w tył i na ziemię. Drizzt zatrzymał się gwałtownie, obrócił i zanurkował nisko, osłaniając głowę, gdy od figurki odpadła głowa, wypuszczając wysoko w powietrze linię buzującego ognia.

Płomienie zgasły chwilę później i z ciała pękniętej figurki wypłynął gęsty, szary dym. Drizzt podniósł się powoli, a Catti-brie wróciły zmysły. Obydwoje zauważyli stojącą przed nimi zmaltretowaną Guenhwyvar, której gęste futro wciąż dymiło.

Drizzt rzucił się na kolana i przypadł do pantery, otaczając Guenhwyvar ciasnym uchwytem. Obydwoje podczołgali się do Catti-brie, która wciąż siedziała na ziemi, śmiejąc się i łkając, choć była osłabiona uderzeniem magii.

- Co zrobiłaś? - spytał ją Drizzt.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nie wiedziała, jak wyjaśnić, co się stało, gdy Khazid'hea uderzyła w zaklętą figurkę. Spojrzała na klingę, leżącą cicho u jej boku, której ostrze już nie jaśniało, a na jego dawniej nietkniętej powierzchni widać było zadziory.

- Chyba zepsułam sobie miecz - odparła cicho Catti-brie.

* * *

Później tego samego dnia Drizzt rozłożył się na łóżku w swoim pokoju na górnych poziomach Mithrilowej Hali, spoglądając z troską na swą towarzyszkę. Guenhwyvar wróciła i przypuszczał, że było to lepsze niż to, co instynkty mówiły mu, że stałoby się, gdyby Catti-brie nie przecięła figurki.

Lepsze, lecz nie dobre. Pantera była znużona, odpoczywała przy kominku po przeciwległej stronie małego pomieszczenia, z opuszczoną głową i zamkniętymi oczyma. Drizzt wiedział, że owa drzemka była niewystarczająca. Guenhwyvar była stworzeniem z Planu Astralnego i naprawdę mogła się odświeżyć jedynie pośród gwiazd. Parokrotnie sytuacja wymuszała na Drizzcie, by trzymał Guenhwyvar na Planie Materialnym przez dłuższe okresy czasu, jednak nawet jeden dzień poza owe pół, jakie kocica zwykle zostawała, czynił Guen wyczerpaną.

Właśnie teraz rzemieślnicy z Mithrilowej Hali, krasnoludy o niemałych umiejętnościach, badały przeciętą figurkę, a Bruenor wysłał emisariusza do Silverymoon, szukając pomocy u pani Alustriel, najlepiej obeznanej w zasadach magii po tej stronie wielkiej pustyni Anauroch.

Jak długo to zajmie? - zastanawiał się Drizzt, nie będąc pewny, czy ktokolwiek z nich jest w stanie naprawić figurkę.. Jak długo przetrwa Guenhwyvar?

Nie zapowiedziana, Catti-brie wpadła przez drzwi. Jedno spojrzenie na jej poznaczoną strumieniami łez twarz powiedziała Drizztowi, że coś jest nie w porządku. Wstał z łóżka i podszedł do wiszących na ścianie bliźniaczych sejmitarów.

Catti-brie zatrzymała go, zanim jeszcze dokończył krok i objęła go tak mocno, że oboje padli z powrotem na łóżko.

- Wszystko, czego kiedykolwiek pragnęłam - powiedziała z pośpiechem w głosie, ściskając mocno.

Drizzt również trzymał, zakłopotany i przytłoczony. Zdołał obrócić głowę tak, by spojrzeć młodej kobiecie w oczy i spróbować wyczytać tam jakieś wskazówki.

- Zostałam dla ciebie stworzona, Drizzcie Do'Urdenie - Catti-brie powiedziała pomiędzy szlochami. - Tylko ty byłeś w moich myślach od dnia, kiedy się poznaliśmy.

To było zbyt szalone. Drizzt próbował się wydostać, nie chciał jednak zranić Catti-brie, a jej uchwyt był po prostu zbyt silny i zdesperowany.

- Spójrz na mnie - załkała. - Powiedz, że czujesz to samo!

Drizzt spojrzał na Catti-brie, uważniej niż kiedykolwiek przyglądał się pięknej, młodej kobiecie. Obchodziła go, to oczywiste. Kochał ją i pozwolił sobie nawet raz czy dwa fantazjować o takiej właśnie sytuacji.

Teraz jednak wydawało się to po prostu zbyt dziwaczne, zbyt nieoczekiwane i bez zapowiedzi. Miał ulotne odczucie, że coś było z nianie w porządku, coś szalonego, jak cała otaczająca ich magia.

- Co z Wulfgarem? - zdołał powiedzieć Drizzt, choć imię to zostało przytłumione, gdy Catti-brie ścisnęła mocniej, dotykając włosami twarzy drowa. Biedny Drizzt nie mógł odmówić kobiecie powabu, jej włosom słodkiego zapachu, jej kształtnemu ciału ciepła.

Głowa Catti-brie poruszyła się gwałtownie, jakby ją uderzył.

- Z kim?

Tym razem to Drizzt czuł się, jakby został spoliczkowany.

- Weź mnie - poprosiła Catti-brie.

Oczy Drizzta nie mogłyby stać się większe, nie wypadając jednocześnie z oczodołów.

- Trzymaj mnie! - krzyknęła.

- Trzymaj mnie? - powtórzył pod nosem Drizzt.

- Uczyń mnie instrumentem swego tańca - ciągnęła. - Och, błagam! To jest wszystko, do czego zostałam stworzona, wszystko, czego pragnę. - Przerwała nagle i odsunęła się na długość ręki, wpatrując się powiększonymi oczyma w Drizzta, jakby przy szło jej do głowy coś nowego. - Jestem lepsza niż inne - obiecała chytrze.

Jakie inne? - chciał wrzasnąć Drizzt, jednak nie był w stanie wydobyć słów ze ściśniętego gardła.

- Jak ty! - kontynuowała Catti-brie. - Lepsza niż ta kobieta, którą właśnie poznaję!

Drizzt niemal zdołał się z powrotem skupić, niemal odzyskał wystarczającą kontrolę, by odpowiedzieć, kiedy przytłoczył go ciężar tego ostatniego stwierdzenia. A w cholerę z subtelnością! - uznał drow, po czym wyrwał się i uwolnił z uścisku.

Catti-brie rzuciła się za nim, objęła jedną z jego nóg i trzymała z całej siły.

- Och, nie odrzucaj mnie, moja miłości! - wrzasnęła z taką siłą, że Guenhwyvar podniosła głowę od kominka i wydała z siebie niski pomruk. - Trzymaj mnie, błagam! Jedynie w twoich dłoniach mogę być całością!

Drizzt wyciągnął obydwie ręce, zamierzając wydostać nogę z ciasnego uścisku. Zauważył nagle coś na biodrze Catti-brie, co spowodowało, że się zatrzymał, coś, co go jednocześnie oszołomiło i wyjaśniło wszystko.

Zauważył miecz, który Catti-brie zabrała z Podmroku, miecz, którego rękojeść miała kształt głowy jednorożca. Tyle że to nie był już jednorożec.

To była twarz Catti-brie.

Jednym szybkim ruchem Drizzt wyszarpnął miecz i odskoczył dwa kroki w tył. Czerwona linia Khazid'hei, zaklętego ostrza, powróciła w pełni i świeciła teraz jaśniej niż kiedykolwiek wcześniej.

Drizzt cofnął się jeszcze o krok, spodziewając się, że znów zostanie pochwycony.

Nie był ścigany. Młoda kobieta pozostała na miejscu, na wpół siedząc, na wpół klęcząc na podłodze. Odrzuciła głowę do tyłu, jakby w ekstazie.

- Och tak! - krzyknęła.

Drizzt wpatrywał się w rękojeść, obserwował ze zdumieniem, jak zmienia swój wygląd z twarzy Catti-brie z powrotem w jednorożca. Poczuł od broni wszechogarniające ciepło, więź tak intymną jak

z kochanką.

Dysząc ciężko, drow spojrzał na Catti-brie, która wyprostowała się i rozglądała naokoło z zaciekawieniem.

- Co robisz z moim mieczem? - zapytała cicho. Znów rozejrzała się po pomieszczeniu, pokoju Drizzta, wydając się absolutnie zdumiona. Drizzt zdawał sobie sprawę, że chce zapytać - I co ja tu robię? Jednak pytanie to było już oczywiste w wyrazie jej twarzy.

- Musimy porozmawiać - powiedział do niej Drizzt.

ROZDZIAŁ 9

IMPLIKACJE

Rzadko się zdarzało, by zarówno Gromph jak i Triel Baenre znajdowali się jednocześnie na audiencji u swej matki, a jeszcze rzadziej dołączali do nich Berg'inyon, Sos'Umptu oraz dwie pozostałe warte uwagi córki Baenre, Bladen'Kerst i Quenthel. Sześcioro z siedmiorga siedziało w wygodnych fotelach wokół podwyższenia w kaplicy. Jednak nie Bladen'Kerst. Wiecznie przypominająca zamknięte w klatce zwierzę najbardziej sadystyczna drowka z pierwszego domu chodziła dookoła, ze zmarszczonymi brwiami i wydętymi wargami. Była drugą co do starszeństwa córką po Triel i powinna już znajdować się poza domem, być może jako opiekunka w Akademii albo, co bardziej prawdopodobne, jako matka opiekunka własnego, pomniejszego domu. Opiekunka Baenre nie pozwalała na to jednak, obawiając się po prostu, że występujący u jej córki brak obycia, nawet zważywszy na standardy drowów, okryłby hańbą dom Baenre.

Triel podnosiła wzrok i potrząsała z pogardą głową za każdym razem, gdy Bladen'Kerst ją mijała. Rzadko poświęcała jej jakąkolwiek uwagę. Podobnie jak Yendes Baenre, jej młodsza siostra, zabita przez Drizzta podczas ucieczki, Bladen'Kerst była instrumentem tortur jej matki i niczym więcej. Była błaznem, czymś na pokaz, i nie stanowiła żadnego rzeczywistego zagrożenia dla nikogo, kto wykraczał w domu Baenre poza rangę zwyczajnego żołnierza.

Quenthel była zupełnie odrębną kwestią i w długich okresach pomiędzy przejściami Bladen'Kerst Triel nawet na chwilę nie spuszczała z niej stanowczego i badawczego wzroku.

Quenthel zaś odwzajemniała owo spojrzenie z otwartą wrogością. Została podniesiona do rangi wysokiej kapłanki w rekordowym czasie i miała reputację cieszącej się najwyższą łaską Lloth. Quenthel nie miała iluzji co do swej chwiejnej pozycji - gdyby nie fakt owej łaski, Triel unicestwiłaby ją już dawno temu. Bowiem Quenthel nie robiła tajemnicy ze swych ambicji, do których należał kamień milowy, jakim była mistrzyni opiekunka Arach-Tinilith, stanowisko którego Triel nie zamierzała opuszczać.

- Usiądź! - warknęła w końcu opiekunka Baenre na denerwującą Bladen'Kerst. Jedno z oczu Baenre było napuchnięte i zamknięte, a na boku twarzy wciąż było widać pręgi w miejscu, w którym zderzyła się ze ścianą. Nie przywykła do noszenia takich blizn, podobnie jak pozostali nie przywykli, by widzieć ją w takim stanie. W normalnych okolicznościach czar leczący oczyściłby jej twarz, jednak nie były to normalne okoliczności.

Bladen'Kerst zatrzymała się i spojrzała stanowczo na matkę, skupiając się na jej ranach. Niosły one za sobą obosieczny sygnał. Po pierwsze ukazywały, że moce Baenre nie są takie, jakie powinny być, że matka opiekunka, że oni wszyscy mogą być bardzo, bardzo narażeni. Po drugie, w połączeniu

z grymasem, który wiecznie pokrywał rysy zmartwionej matki opiekunki, owe rany odzwierciedlały gniew.

Gniew przeważający nad dostrzeżoną i najprawdopodobniej tymczasową słabością, uznała roztropnie Bladen'Kerst i usiadła w przeznaczonym dla niej fotelu. Jej ciężkie buty, niezwykłe u drowów lecz skuteczne do kopania mężczyzn, stukały mocno i niecierpliwie w podłogę.

Nikt nie zwracał jednak na nią żadnej uwagi. Wszyscy podążyli za przewidywalnym, niebezpiecznym spojrzeniem opiekunki Baenre ku Quenthel.

- To nie jest czas na osobiste ambicje - opiekunka Baenre powiedziała spokojnie i z całą powagą.

Oczy Quenthel rozszerzyły się, jakby została kompletnie zbita z tropu.

- Ostrzegam cię - naciskała opiekunka Baenre, ani trochę nie zwiedziona przez jej niewinną minę.

- Podobnie jak ja! - szybko i zdecydowanie wtrąciła się Triel. Nie było w jej zwyczaju przerywać matce, wiedziała, że lepiej tego nie robić, uznała jednak, że ta kwestia musi zostać zakończona raz na zawsze i że Baenre doceni wsparcie. - Polegałaś na łasce Lloth, która chroniła cię przez te wszystkie lata. Lloth jest teraz jednak daleko od nas, z jakiegoś powodu, którego nie rozumiemy. Jesteś odsłonięta, moja droga siostro, bardziej odsłonięta niż ktokolwiek z nas.

Quenthel wychyliła się w swym fotelu i nawet zmusiła się do uśmiechu.

- Czy wątpisz, że Lloth do nas wróci, co, jak obydwie wiemy, nastąpi? - wysyczała młodsza Baenre. - I cóż takiego mogło odciągnąć od nas Pajęczą Królową? - Kiedy zadawała to ostatnie pytanie, skierowała na matkę spojrzenie tak śmiałe, że jeszcze nikt nigdy nie odważył się na nie w obliczu Pajęczej Królowej.

- To nie jest to, co zakładasz! - warknęła Triel. Spodziewała się, te siostra spróbuje zrzucić winę na opiekunkę Baenre. Usunięcie matki opiekunki mogłoby jedynie przysłużyć się ambitnej Quenthel i naprawdę przywrócić pewien prestiż upadającemu szybko domowi. Tak naprawdę nawet Triel rozważała taki bieg wydarzeń, jednak zaraz go odrzuciła, nie wierząc już, że ostatnie porażki opiekunki Baenre miały coś wspólnego z mającymi miejsce wokół nich dziwami. - Lloth opuściła każdy dom.

- To wykracza poza Lloth - dodał wymownie Gromph. Czarodziej, którego magia nie pochodziła od żadnego boga czy bogini.

- Dość - powiedziała Baenre, rozglądając się dookoła i po kolei uspokajając wzrokiem swe dzieci. - Nie możemy wiedzieć, co wywołało te wydarzenia. Tym, co musimy teraz rozważyć, jest to, jak owe wypadki wpłyną na naszą pozycję.

- Miasto pragnie pera'dene - stwierdziła Quenthel, wymawiając słowo oznaczające u drowów

kozła ofiarnego. Jej nie mrugające oczy mówiły matce opiekunce, co ma na myśli.

- Głupia! - warknęła Baenre w obliczu tego wzroku. - Czy sądzisz, że powstrzymałoby ich moje serce?

To bezceremonialne stwierdzenie zbiło Quenthel z tropu.

- Dla niektórych z pomniejszych domów nigdy nie było i nigdy nie będzie lepszej sposobności, by pozbyć się tego domu - ciągnęła opiekunka Baenre, przemawiając do nich wszystkich. - Jeśli zamierzacie się mnie pozbyć, to zróbcie to, wiedzcie jednak, że nie wpłynie to na rebelię, która powstaje przeciwko nam. - Parsknęła i rozrzuciła bezradnie ręce. - W istocie pomoglibyście jedynie naszym wrogom. Jestem waszą więzią z Bregan D'aerthe i wiem, że nasi wrogowie również zabiegali o względy Jarlaxle'a. I to ja jestem Baenre! Nie Triel i nie Quenthel. Beze mnie wszyscy wpadniecie w chaos, walcząc o kontrolę, każde ze swą własną frakcją straży domowej. Gdzie będziecie, gdy K'yorl Oblodra wkroczy do kompleksu?

Była to trzeźwiąca myśl. Opiekunka Baenre przekazała każdemu z nich wieści, że Oblodranie nie stracili swych mocy i wszyscy Baenre wiedzieli o nienawiści, jaką żywił wobec nich trzeci dom.

- To nie jest czas na osobiste ambicje - powtórzyła opiekunka Baenre. - To czas, abyśmy zebrali się razem i utrzymali naszą pozycję.

Otaczające ją przytakiwania były szczere, Baenre wiedziała o tym, jednak Quenthel nie kiwała głową.

- Powinnaś żywić nadzieję, że Lloth nie wróci do mnie wcześniej niż do ciebie - ambitna siostra powiedziała śmiało, kierując tę uwagę bezpośrednio do Triel.

Triel nie wyglądała, jakby zrobiło to na niej wrażenie.

- Powinnaś żywić nadzieję, że Lloth w ogóle wróci - odparła niedbale. - Inaczej oderwę ci głowę i powiem Gromphowi, żeby umieścił ją na szczycie Narbondel, aby twoje oczy mogły płonąć, gdy dzień osiągnie pełnię.

Quenthel chciała odpowiedzieć, jednak Gromph ją wyprzedził.

- Z przyjemnością, moja droga siostro - rzekł do Triel. Pomiędzy tym dwojgiem nie było miłości, jednak podczas gdy Gromph odczuwał obojętność wobec Triel, całkowicie nienawidził Quenthel i jej niebezpiecznych ambicji. Gdyby dom Baenre upadł, stałoby się to również z Gromphem.

Zasugerowany sojusz pomiędzy dwojgiem starszych dzieci Baenre sprawił cuda przy uspokajaniu wywyższającej się młodszej siostry i Quenthel nie wypowiedziała już ani jednego słowa przez resztę spotkania.

- Możemy porozmawiać teraz o K'yorl i o grożącym nam wszystkim niebezpieczeństwie? - spytała opiekunka Baenre. Kiedy nie podniosły się głosy protestu (zaś gdyby miały one miejsce, Baenre wyczerpałaby się najprawdopodobniej cierpliwość i skazałaby mówiącego na powolną śmierć), matka opiekunka podjęła kwestię obrony domu. Wyjaśniła, że Jarlaxle'owi i jego oddziałowi wciąż można ufać, ostrzegła jednak, że najemnik zmieni strony, jeśli bitwa zaczęłaby się toczyć niepomyślnie dla domu Baenre. Triel zapewniła ich wszystkich, że Akademia pozostaje lojalna, zaś raport Berg'inyona o gotowości straży domowej dawał otuchę.

Pomimo obiecujących wieści i dobrze zasłużonej reputacji garnizonu Baenre, rozmowa przeszła nieuchronnie na jedyny widoczny sposób, by całkowicie pokonać K'yorl i jej psioniczną rodzinę. Berg'inyon, który brał udział w walce z krasnoludem Gandalugiem, pierwszy go wypowiedział.

- Co z Methilem? - spytał. - Oraz setką ilithidów, których reprezentuje? Jeśli staną po naszej stronie, groźba ze strony domu Oblodra wyda się nieznaczna.

Pozostali pokiwali głowami, zgadzając się z tym stwierdzeniem, jednak opiekunka Baenre wiedziała, że nie można było liczyć na takich przyjaciół jak łupieżcy umysłu.

- Methil pozostaje po naszej stronie, ponieważ wraz ze swym ludem wie, iż to my jesteśmy kluczem do ich bezpieczeństwa. Ilithidy nie dochodzą nawet do jednej setnej ludności Menzoberranzan. Takie są rozmiary ich lojalności. Jeśli Methil zacznie wierzyć, że dom Oblodra jest silniejszy, nie stanie przy nas. - Baenre wydała z siebie ironiczny, niemal bezradny chichot.

- Inne ilithidy mogą nawet zająć stronę K'yorl - stwierdziła. - Ta nędzniczka jest im podobna dzięki mocom swego umysłu. Może rozumieją się nawzajem.

- Czy powinniśmy mówić tak otwarcie? - spytała Sos'Umptu. Rozejrzała się z troską po podwyższeniu i pozostali zrozumieli, że obawiała się, iż Methil może znajdować się między nimi, niewidzialny, słysząc każde słowo, odczytując każdą myśl.

- To nie ma znaczenia - odparła od niechcenia opiekunka Baenre. - Methil zna już moje obawy. Nie można nic ukryć przed ilithidem.

- Co więc mamy zrobić? - zapytała Triel.

- Musimy zebrać siły - odrzekła ze zdecydowaniem Baenre. - Nie możemy okazać strachu ani słabości. I nie zrobimy niczego, co mogłoby jeszcze dalej odepchnąć od nas Lloth. - Wycelowała tę ostatnią uwagę w rywalki, Quenthel oraz Triel, a szczególnie Triel, która wydawała się więcej niż chętna, by wykorzystać nieobecność Lloth i pozbyć się kłopotliwej siostry.

- Musimy pokazać ilithidom, że zachowujemy władzę w Menzoberranzan - ciągnęła Baenre. - Jeśli będą to wiedzieć, to staną po naszej stronie, nie chcąc, by dom Baenre został osłabiony przez ataki K'yorl.

- Idę do Sorcere - powiedział arcymag Gromph.

- A ja do Arach-Tinilith - dodała zdeterminowana Triel.

- Nie mam iluzji co do przyjaźni pośród moimi rywalami - rzekł Gromph. - Wszakże kilka obietnic mówiących o odpłaceniu się, kiedy sprawy zostaną uregulowane, powinno pomóc w znajdywaniu sprzymierzeńców.

- Studentom nie pozwolono na żadne kontakty poza szkołą - wtrąciła się Triel. - Wiedzą oczywiście o ogólnych problemach, jednak nie mają pojęcia o zagrożeniu domu Baenre. W swojej ignorancji pozostają lojalni.

Opiekunka Baenre skinęła głową obojgu z nich.

- Ty zaś spotkasz się z założonymi przez nas pomniejszymi domami - powiedziała do Quenthel, dając jej najważniejsze zadanie. Ogromna część potęgi domu Baenre leżała w tuzinie drobnych domów, którym przewodziła dawna szlachta Baenre. Będąca tak wyraźną faworytą Lloth, Quenthel była idealnym wyborem do takiego przedsięwzięcia.

Jej mina ukazywała, że została przekonana - bez wątpienia bardziej przez groźby Triel i Grompha niż przez kąsek, jaki został jej właśnie rzucony.

Baenre wiedziała, że najważniejszą sprawą w usunięciu rywalizacji było zapewnienie, by zarówno Triel, jak i Quenthel, zachowały twarz i czuły się ważne. Tak więc spotkanie to było owocne i cała potęga domu Baenre będzie zebrana w jedną obronną siłę.

Uśmiech Baenre pozostawał jednak mizerny. Wiedziała, co był w stanie zrobić Methil i podejrzewała, iż K'yorl nie była wcale dużo słabsza. Cały dom Baenre będzie gotowy, jednak czy to wystarczy bez danej przez Lloth kapłańskiej magii oraz czarodziejskich zdolności Grompha?

* * *

Tuż obok sali audiencyjnej Bruenora, na najwyższym poziomie Mithrilowej Hali, mieściło się małe pomieszczenie, które krasnoludzki król przeznaczył dla rzemieślników pracujących nad naprawieniem figurki pantery. Wewnątrz znajdowała się mała kuźnia oraz delikatne narzędzia wraz z tuzinem kubków oraz butelek zawierających w sobie rozmaite składniki i maści.

Drizzt był naprawdę podekscytowany, gdy zawołano go do tego pokoju. Chodził tam oczywiście dziesięć razy dziennie, jednak bez zaproszenia i za każdym razem natykał się na krasnoludy stłoczone nad wciąż pękniętym artefaktem i potrząsające brodatymi głowami. Od incydentu minął tydzień i

Guenhwyvar była tak wyczerpana, że nie mogła już stać, ledwo była w stanie podnieść głowę znad łap, gdy leżała przed kominkiem w pokoju Drizzta.

Oczekiwanie było najgorsze.

Teraz jednak Drizzt został tam zawołany. Wiedział, że tego poranka przybył emisariusz z Silverymoon i mógł jedynie żywić nadzieję, że Alustriel ma do zaoferowania jakieś pozytywne rozwiązania.

Bruenor obserwował jego nadejście przez otwarte wrota do sali audiencyjnej. Rudobrody krasnolud skinął głową i skierował ją w bok, a Drizzt okrążył ostry zakręt i popchnął drzwi, nie przejmując się nawet pukaniem.

Był to jeden z dziwniejszych widoków, jakich kiedykolwiek doświadczył Drizzt Do'Urden. Pęknięta - wciąż pęknięta! - figurka leżała na małym, okrągłym stoliku. Stał przy niej Regis, za pomocą tłuczka tłukąc zaciekle jakąś czarną substancję w moździerzu.

Po przeciwległej stronie stołu stał mały, krępy krasnolud, Buster Bracer, ceniony płatnerz, ten, który wykonał giętką kolczugę Drizzta jeszcze w Dolinie Lodowego Wichru. Drizzt nie odważył się powitać teraz krasnoluda, obawiając się naruszyć jego koncentrację. Buster stał z szeroko rozłożonymi nogami. Co jakiś czas brał aż zbyt głęboki oddech, po czym stał idealnie spokojnie, bowiem w dłoniach, owinięte w zmoczone kawałki najlepszego materiału, trzymał... gałki oczne.

Drizzt nie miał pojęcia, co się dzieje, dopóki głos, znajomy, bulgoczący głos, nie wyrwał go z szoku.

- Witaj, o ty, który masz skórę w kolorze północy! - powiedział bezgłośnie bezcielesny czarodziej.

- Harkle Harpell? - spytał Drizzt.

- Czy mógłby to być ktoś inny? - stwierdził sucho Regis. Drizzt zgodził się z nim.

- O co tu chodzi? - spytał, spoglądając wyraźnie w kierunku halflinga, wiedział bowiem, że wszelkie odpowiedzi ze strony Harkle'a jeszcze bardziej zaciemniłyby tę zamgloną sytuację.

Regis podniósł trochę moździerz.

- Maść z Silverymoon - wyjaśnił z nadzieją. - Harkle dogląda mieszania.

- Dogląda - zażartował nieobecny mag - co znaczy, że trzymają moje oczy nad naczyniem!

Drizzt nie zmusił się do uśmiechu, nie, gdy głowa tak ważnej dla niego figurki wciąż leżała u stóp rzeźbionego ciała. Regis parsknął, bardziej z pogardy niż wesołości.

- Powinna być gotowa - wyjaśnił. - Chciałem jednak, żebyś to ty ją nałożył.

- Palce drowów są tak zręczne! - wtrącił się Harkle.

- Gdzie jesteś? - zapytał Drizzt, zniecierpliwiony i zdenerwowany tym oburzającym układem.

Harkle zamrugał, jego powieki wydawały się pojawić znikąd.

- W Nesme - odparł mag. - Wkrótce będziemy przejeżdżać na północ od Trollowych Wrzosowisk.

- A później do Mithrilowej Hali, gdzie połączysz się z powrotem ze swymi oczyma - powiedział Drizzt.

- Wyglądam tego z niecierpliwością! - zaryczał Harkle, jednak znów tylko on się roześmiał.

- Jeśli będzie dalej tak robił, to wrzucę te cholerne oczy do paleniska - warknął Buster Bracer.

Regis umieścił moździerz na stole i podniósł małe, metalowe narzędzie.

- Nie będziesz potrzebował dużo maści - powiedział halfling, podając Drizztowi delikatny instrument. - A Harkle ostrzegł nas, byśmy starali się utrzymać miksturę na zewnątrz połączonych części.

- To jedynie klej - dodał głos maga. - To magia figurki będzie tą siłą, która naprawdę połączy przedmiot. Maść musi zostać zdrapana po kilku dniach. Jeśli zadziała, jak planujemy, figurka zostanie... - przerwał, szukając słowa - zostanie uleczona - dokończył.

- Jeśli zadziała - powtórzył Drizzt. Poświęcił chwilę, by wyczuć w dłoniach delikatny instrument, upewniając się, że oparzenia, jakie otrzymał, gdy magia figurki wymknęła się spod kontroli, uleczyły się, upewniając się, iż dobrze czuje przedmiot.

- Zadziała - zapewnił Drizzt.

Drizzt wziął głęboki, uspokajający oddech i podniósł głowę pantery. Spojrzał w wyrzeźbione oczy, tak bardzo przypominające rozumne oczy Guenhwyvar. Z troską rodzica zajmującego się dzieckiem Drizzt połączył dwie części i zaczął skrupulatny proces rozsmarowywania podobnej do kleju maści po obszarze połączenia.

Minęły ponad dwie godziny zanim Drizzt i Regis opuścili pokój, przechodząc do sali audiencyjnej, gdzie Bruenor wciąż spotykał się z emisariuszem pani Alustriel oraz kilkoma innymi krasnoludami.

Bruenor nie wyglądał na zadowolonego, jednak Drizzt zauważył, iż wyglądał na bardziej swobodnego niż kiedykolwiek od początku tych dziwnych czasów.

- To nie jest sztuczka drowów - powiedział krasnoludzki król, zaraz gdy nadeszli Drizzt oraz Regis. - Albo te cholerne drowy są potężniejsze, niż ktokolwiek by pomyślał! Tak jest na całym świecie, jak mówi Alustriel.

- Pani Alustriel - sprostował emisariusz, bardzo schludnie wyglądający krasnolud, odziany w lejące się, białe szaty i mający krótką, starannie przystrzyżoną brodę.

- Witaj, Fredegarze - rzekł Drizzt, rozpoznając Fredegara Rockcrushera, lepiej znanego jako Fret, ulubionego barda oraz doradcę pani Alustriel. - A więc w końcu znalazłeś sposobność, by ujrzeć cuda Mithrilowej Hali.

- Szkoda, że czasy nie są lepsze - odpowiedział ponuro Fret. - Powiedz mi proszę, jak miewa się Catti-brie.

- Bardzo dobrze - odrzekł Drizzt. Uśmiechnął się pomyślawszy o młodej kobiecie, która wróciła do Settlestone, by przekazać jakieś informacje od Bruenora.

- To nie jest sztuczka drowów - powtórzył Bruenor z większym naciskiem, czyniąc jasnym, że nie sądzi, iż jest to miejsce na takie lekkie i bezsensowne rozmowy.

Drizzt przytaknął zgadzając się - zapewniał Bruenora, że jego lud nie był w to zaangażowany.

- Cokolwiek się stało, spowodowało, że rubin Regisa stał się bezużyteczny - powiedział drow. Wyciągnął rękę i podniósł wisiorek z piersi halflinga. - Teraz jest jedynie zwyczajnym, choć niezaprzeczalnie pięknym, kamieniem. Zaś na Guenhwyvar wpłynęła nieznana siła, sięgając aż do Harpellów. Żadna magia drowów nie jest tak potężna, inaczej już dawno temu podbiłyby świat powierzchni.

- Coś nowego? - spytał Bruenor.

- Efekty są już odczuwane od kilku tygodni - wtrącił się Fret. - Choć dopiero od niedawna magia stała się tak całkowicie nieprzewidywalna i niebezpieczna.

Bruenor, nigdy nie przejmujący się zbytnio magią, parsknął głośno.

- Więc to jest dobra rzecz! - uznał. - Cholerne drowy potrzebują więcej magii niż mój lud czy ludzie z Settlestone! Niech cała magia zostanie wysączona, powiadam, a później niech drowy przyjdą, żebyśmy mogli się zabawić!

Thibbledorf Pwent niemal wyskoczył z butów na tę myśl. Rzucił się, by stanąć przed Bruenorem oraz Fretem i uderzył brudną, smrodliwą dłonią w plecy schludnego krasnoluda. Niewiele rzeczy było w stanie uspokoić podekscytowanego szałojownika, jednak przerażone, a następnie rozwścieczone spojrzenie Freta właśnie to zrobiło, całkowicie zaskakując Pwenta.

- Co? - zażądał odpowiedzi szałojownik.

- Jeśli jeszcze raz mnie dotkniesz, zmiażdżę ci czaszkę - obiecał pewnym tonem Fret, nie posiadający nawet połowy rozmiarów potężnego Pwenta, a Pwent z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu uwierzył mu i cofnął się o krok.

Drizzt, znający dość dobrze Freta dzięki swym licznym wizytom w Settlestone, rozumiał, że Fret nie wytrzymałby dziesięciu sekund w walce z Pwentem - chyba że starcie obracałoby się wokół brudu. W tej chwili gdy Pwent zabrudził schludny ubiór Freta, Drizzt postawiłby wszystkie pieniądze na Freta, będąc bardziej pewnym zakładu niż kiedykolwiek wcześniej jakikolwiek drow.

Nie stało się to jednak problemem, bowiem Pwent, choć nieokrzesany, najwyraźniej nie chciał kłopotów z emisariuszem, zwłaszcza krasnoludzkim emisariuszem z przyjaznego Silverymoon. Zresztą wszyscy obecni w sali roześmieli się, widząc konfrontację, i wydawali się spokojniejsi, zdawszy sobie sprawę, iż te dziwne wydarzenia nie są powiązane z tajemniczymi mrocznymi elfami.

Wszyscy poza Drizztem Do'Urdenem. Drizzt nie uspokoi się, dopóki figurka nie zostanie naprawiona, nie wróci do niej magia i biedna Guenhwyvar nie wróci do swego domu na Planie Astralnym.

ROZDZIAŁ 10

TRZECI DOM

Nie w tym rzecz, że Jarlaxle, zawsze przewidujący posunięcia innych, nie spodziewał się wizyty. Zaniepokoiła go po prostu łatwość, z jaką K'yorl Odran weszła do jego obozu, przemknęła obok strażników i przeszła prosto przez ścianę jego prywatnej komnaty. Ujrzał, jak pojawia się jej widmowy zarys i starał się mocno, by zachować postawę, gdy stawała się bardziej materialna i groźniejsza.

- Od wielu dni spodziewałem się, że przyjdziesz - powiedział spokojnie Jarlaxle.

- Czy jest to powitanie godne matki opiekunki? - spytała K'yorl.

Jarlaxle niemal się roześmiał, dopóki nie rozważył stanowiska kobiety. Zbyt spokojna, uznał, zbyt gotowa by ukarać, a nawet by zabić. K'yorl nie rozumiała najwyraźniej wartości Bregan D'aerthe i to powodowało, że Jarlaxle, mistrz blefu oraz intrygi, był pozbawiony przewagi.

Podniósł się ze swego wygodnego fotela, wyszedł zza biurka i pochylił w niskim ukłonie, ściągając zaopatrzony w szerokie rondo oraz krzykliwe pióro kapelusz z głowy i zamiatając nim podłogę.

- Witaj, K'yorl Odran, matko opiekunko domu Oblodra, trzeciego domu Menzoberranzan. Nieczęsto mój skromny dom jest zaszczycony taką...

- Dość - wycedziła K'yorl, a Jarlaxle podniósł się i założył z powrotem kapelusz. Nawet na chwilę nie spuszczając wzroku z kobiety, najemnik wrócił na swój fotel i usiadł wygodnie, z donośnym łoskotem kładąc buty na blacie biurka.

Wtedy to Jarlaxle poczuł wtargnięcie do swego umysłu, mocno niepokojącą sondę zapuszczającą się w jego myśli. Szybko odrzucił od siebie klątwy na brak działania konwencjonalnej magii - zazwyczaj zaklęta opaska na oku chroniła go przed takimi mentalnymi inwazjami - i zamiast tego użył sprytu. Skupił wzrok na K'yorl, wyobraził ją sobie bez ubrania i wypełnił umysł myślami tak pierwotnymi, że matka opiekunka, pochłonięta poważnymi sprawami, straciła cierpliwość.

- Mogłabym spowodować, że zostałbyś obdarty ze skóry za takie myśli - poinformowała go K'yorl.

- Takie myśli? - rzekł Jarlaxle, jakby został tym dotknięty. - Z pewnością nie wdzierasz się w mój umysł, opiekunko K'yorl! Choć jestem mężczyzną, na takie praktyki zdecydowanie patrzy się krzywo.

Lloth nie byłaby zadowolona.

- Niech szlag trafi Lloth - warknęła K'yorl, a Jarlaxle był oszołomiony, że ujęła to tak wyraźnie, tak bezceremonialnie. Oczywiście wszyscy wiedzieli, że dom Oblodra nie jest najbardziej religijnym z drowich domów, jednak Oblodranie zawsze utrzymywali przynajmniej pozory pobożności.

K'yorl popukała się palcem w skroń, zachowując nieruchome rysy.

- Gdyby Lloth była godna mojej czci, wtedy rozpoznawałaby prawdziwą potęgę - wyjaśniła matka opiekunka. - To właśnie umysł odróżnia nas od słabszych, umysł, który powinien określać porządek.

Jarlaxle nie odpowiedział. Nie miał zamiaru wchodzić w kłótnię z tak niebezpieczną i nieprzewidywalną przeciwniczką.

K'yorl nie naciskała, lecz po prostu zamachała dłonią, jakby odrzucając to wszystko. Jarlaxle widział, że jest sfrustrowana, zaś w niej frustracja była tożsama z gniewem.

- To jest teraz poza zasięgiem Pajęczej Królowej - rzekła K'yorl. - Ja jestem poza zasięgiem Lloth. I to zaczyna się tego dnia.

Jarlaxle pozwolił, by jego rysy pokryły się zaskoczeniem.

- Spodziewałeś się tego - powiedziała oskarżające K'yorl. Była to prawda. Jarlaxle zastanawiał się, dlaczego Oblodranie czekali tak długo, gdy pozostałe domy były tak osłabione, jednak nie chciał wypowiedzieć swych spostrzeżeń.

- Gdzie w tym wszystkim staną Bregan D'aerthe? - zażądała odpowiedzi K'yorl.

Jarlaxle miał uczucie, że każda podana przez niego odpowiedź będzie kwestią czysto akademicką, bowiem K'yorl zamierzała mu najprawdopodobniej dokładnie powiedzieć, gdzie staną Bregan D'aerthe.

- Ze zwycięzcami - powiedział zagadkowo, od niechcenia. K'yorl uśmiechnęła się, uznając jego spryt.

- Ja będę zwyciężczynią - zapewniła go. - To się szybko skończy, jeszcze tego dnia, i niewiele drowów zginie.

Jarlaxle wątpił w to. Dom Oblodra nigdy nie okazywał po sobie jakiejkolwiek troski wobec życia, czy to drowów, czy nie. Liczba drowów w trzecim domu była niewielka głównie dlatego, że szaleni członkowie klanu równie często zabijali się, co płodzili. Znani byli z uprawianej przez siebie gry, wyzwania na najwyższym szczeblu, zwanego khaless - co było ironią, bowiem słowo to oznaczało wśród mrocznych elfów zaufanie. W jej trakcie kula ciemności oraz magiczna cisza zawisały nad najgłębszym punktem rozpadliny zwanej Szponoszczeliną. Rywalizujące mroczne elfy

opuszczały się za pomocą lewitacji do owej kuli i tam, gdy nie były w stanie widzieć się bądź słyszeć, walka opierała się na czystej odwadze.

Pierwszy, który wyłonił się z kuli, wracając w bezpieczne, stabilne miejsce, był przegranym, tak więc chodziło o to, by utrzymać się w ciemności aż do ostatniej sekundy zaklęcia lewitacji.

W większości przypadków obydwaj uparci rywale czekali zbyt długo i spadali prosto w zgubę.

Teraz zaś K'yorl, bezlitosna i niezwykle niegodziwa, starała się zapewnić Jarlaxle'a, że straty wśród drowów będą minimalne. Zgodnie z czyimi standardami? - zastanawiał się najemnik, zaś jeśli prawidłowa była odpowiedź K'yorl, to najprawdopodobniej przed końcem dnia trupem legnie połowa miasta.

Jarlaxle nie mógł zbyt wiele z tym zrobić, zdawał sobie z tego sprawę. On oraz Bregan D'aerthe byli równie zależni od magii jak wszystkie pozostałe mroczne elfy i bez niej nie mógł nawet utrzymać K'yorl poza swą prywatną komnatą - nawet poza swymi myślami!

- Tego dnia - powtórzyła ponuro K'yorl. - A gdy się skończy, zawołani cię, a ty przyjdziesz.

Jarlaxle nie przytaknął, w ogóle nie odpowiedział. Nie musiał. Znów czuł mentalne natarcie i wiedział, że K'yorl rozumie go. Nienawidził jej i nienawidził tego, co zamierzała zrobić, jednak Jarlaxle był zawsze pragmatykiem i jeśli sytuacja potoczy się tak, jak K'yorl przewidywała, to rzeczywiście przyjdzie na jej wezwanie.

Znów się uśmiechnęła. Po czym, jak zjawa, po prostu wyszła przez kamienną ścianę Jarlaxle'a.

Jarlaxle rozparł się w fotelu, stukając o siebie nerwowo palcami. Nigdy nie czuł się tak odsłonięty lub tak zaplątany w niekontrolowaną sytuację. Mógł oczywiście przekazać wieści opiekunce Baenre, cóż by jednak zyskał? Nawet dom Baenre, tak rozległy i dumny, nie mógł oprzeć się K'yorl, gdy jej magia działała, a jego nie. Najprawdopodobniej opiekunka Baenre wkrótce zginie wraz z całą swą rodziną, i gdzie wtedy najemnik się ukryje?

Oczywiście, że się nie ukryje. Pójdzie na wezwanie K'yorl.

Jarlaxle rozumiał, dlaczego K'yorl złożyła mu wizytę i dlaczego było dla niej ważne, kiedy wszystko wydawało się działać na jej korzyść, doliczyć go do swego dworu. On oraz jego banda byli jedynymi drowami w Menzoberranzan z jakimikolwiek rzeczywistymi więziami poza miastem, co było kluczowym czynnikiem dla każdego aspirującego do pozycji pierwszej matki opiekunki - choć nikt inny niż opiekunka Baenre nie aspirował do owego stanowiska przez niemal tysiąc lat.

Palce Jarlaxle'a wciąż stukały. Być może nadszedł czas na zmianę, pomyślał. Szybko odrzucił tę dającą otuchę myśl, bowiem nawet jeśli miał rację, zmiana ta nie wydawała się być zmianą na lepsze. Najwyraźniej jednak K'yorl sądziła, że sytuacja z magią konwencjonalną była tymczasowa, inaczej bowiem nie byłaby tak zainteresowana pozyskiwaniem Bregan D'aerthe.

Jarlaxle musiał wierzyć, musiał się modlić, że ma ona rację, zwłaszcza gdyby jej zamach się powiódł (a najemnik nie miał żadnego powodu, by uważać, że tak nie będzie). Był świadomy, że nie przetrwa długo, jeśli pierwsza matka opiekunka K'yorl, drowka, której nienawidził ponad wszelkie inne, mogła w każdej chwili zajrzeć do jego myśli.

* * *

Była zbyt piękna, aby być drowka, wydawała się każdemu, kto na nią spojrzał, mężczyźnie czy kobiecie, doskonałością drowich rysów. Samo owe piękno powstrzymało śmiercionośne lance oraz kusze strażników domu Baenre i spowodowało, iż Berg'inyon Baenre, po jednym zerknięciu na nią, poprosił ją, by weszła do środka.

Magiczne ogrodzenie nie działało, a na obwodzie kompleksu Baenre nie było konwencjonalnych bram. W normalnych okolicznościach pajęczyna ogrodzenia rozwijała się, otwierając na żądanie szeroki otwór, teraz jednak Berg'inyon musiał poprosić drowkę, by przeszła na drugą stronę górą.

Nie powiedziała ani słowa, lecz po prostu zbliżyła się do ogrodzenia. Otworzyło się ono, wydając z siebie ostatnie tchnienie magii przed tą istotą, przed awatarem bogini, która je stworzyła.

Berg'inyon prowadził, choć wiedział bez cienia wątpliwości, że nie potrzebuje ona przewodnictwa. Rozumiał, że kieruje się do kaplicy - oczywiście, że kieruje się do kaplicy! - posłał więc paru ze swoich żołnierzy, by odszukali matkę opiekunkę.

Sos'Umptu spotkała się z nimi w drzwiach kaplicy, miejsca będącego pod jej opieką. Przez chwilę protestowała, jednak tylko przez chwilę.

Berg'inyon nigdy wcześniej nie widział, by jego pobożna siostra była tak zdenerwowana, nigdy nie widział, by żuchwa opadła jej z braku siły. Odsunęła się od nich, padając na kolana.

Piękna drowka przeszła obok niej bez słowa. Odwróciła się gwałtownie - Sos'Umptu westchnęła - i zmierzyła wzrokiem Berg'inyona, który szedł dalej za nią.

- Jesteś tylko mężczyzną - wyszeptała wyjaśniająco Sos'Umptu. - Odejdź z tego miejsca.

Berg'inyon był zbyt oszołomiony, by odpowiedzieć, by nawet określić, jak czuł się w tamtej chwili. Nie odwrócił się, wykonał jedynie serię śmiesznych ukłonów i wypadł przez drzwi do kaplicy, wracając na dziedziniec.

Znajdowały się tam Bladen'Kerst i Quenthel, jednak reszta grupy, która zebrała się w odpowiedzi na plotki, roztropnie została rozpędzona przez siostry.

- Wracaj na swój posterunek - warknęła Bladen'Kerst na Berg'inyona. - Nic się nie stało! - Było to nie tyle stwierdzenie, co rozkaz.

- Nic się nie stało - powtórzył Berg'inyon i stało się to rozkazem dnia, na dodatek roztropnym, co natychmiast uświadomił sobie fech-mistrz. Była to sama Lloth albo jakaś jej bliska służka. Wiedział to. Wiedział to i żołnierze będą o tym szeptać, jednak nie mogą się o tym dowiedzieć ich wrogowie.

Berg'inyon przedzierał się przez dziedziniec, przekazując wieści, rozkaz, że nic się nie stało. Zajął posterunek pozwalający mu obserwować kaplicę i był zdumiony, że jego ambitne siostry nie ośmieliły się wejść, lecz nerwowo krążyły przed głównym wejściem.

Sos'Umptu również wyszła i dołączyła do parady. Gdy opiekunka Baenre spieszyła przez podwórze, nie zostały otwarcie zamienione żadne słowa - Berg'inyon nie dostrzegł nawet żadnych błysków bezszelestnego języka znaków. Minęła swe córki i wpadła do kaplicy, zaś na zewnątrz został podjęty nerwowy spacer.

Dla opiekunki Baenre była to jednocześnie odpowiedź na jej modły oraz spełnienie wszystkich koszmarów. Natychmiast wiedziała, kto i co siedziało przed nią na centralnym podwyższeniu. Wiedziała i wierzyła.

- Jeśli to ja jestem tą osobą, która dokonała obrazy, to ofiaruję się... - zaczęła uniżenie, padając na kolana.

- Wael! - warknęła na nią awatarka, wypowiadając słowo oznaczające u drowów głupia, a Baenre ukryła ze wstydu twarz w dłoniach.

- Usstan sargh wael! - ciągnęła piękna drowka, nazywając opiekunkę Baenre zarozumiałą i głupią. Baenre zadrżała pod tym werbalnym atakiem, sądziła przez chwilę, że zanurzyła się głębiej, niż sięgały jej najgorsze obawy, że jej bogini pojawiła się osobiście właśnie po to, aby zawstydzić ją na śmierć. Błysnęły jej w umyśle obrazy jej zadręczonego ciała ciągniętego po krętych alejach Menzoberranzan, myślała o sobie jako o uosobieniu upadłej przywódczyni drowów.

Jednak takie właśnie myśli były właśnie tym, za co ta istota, będąca czymś więcej niż drowka, ją złajała, nagle uświadomiła sobie opiekunka Baenre. Ośmieliła się podnieść wzrok.

- Nie przykładaj do siebie tak wielkiej miary - powiedziała spokojnie awatarka.

Opiekunka Baenre pozwoliła sobie odetchnąć z ulgą. A więc nie chodziło o nią, zrozumiała. Wszystko to, niepowodzenie magii oraz modlitw, wykraczało poza nią, poza wszystkie śmiertelne krainy.

- K'yorl się pomyliła - ciągnęła awatarka, przypominając Baenre, że choć owe katastrofalne wydarzenia mogły być poza nią, ich konsekwencje z pewnością nie były.

- Ośmieliła się wierzyć, że może wygrać bez twojej łaski - uznała opiekunka Baenre i jej zdumienie było całkowite, gdy awatarka prychnęła na tę ideę.

- Mogłaby cię zniszczyć jedną myślą.

Opiekunka Baenre wzdrygnęła się i opuściła znów głowę.

- Pomyliła się jednak, źle dobierając cele - kontynuowała awatarka. - Odłożyła atak i teraz, gdy zdecydowała, że naprawdę posiada przewagę, pozwoliła, by osobista waśń jeszcze bardziej opóźniła najważniejsze uderzenie.

- A więc moce wróciły! - wydyszała Baenre. - Ty wróciłaś.

- Wael! - wrzasnęła zdenerwowana awatarka. - Czy myślałaś, że nie wrócę? - Opiekunka Baenre padła płasko na podłogę i leżała nieruchomo.

- Trudne Czasy się skończą - powiedziała awatarka chwilę później, znów będąc spokojna. - A ty będziesz wiedziała, co musisz zrobić, gdy wszystko będzie takie, jakie powinno być.

Baenre podniosła wzrok na wystarczająco długo, by ujrzeć, że padło na nią zmrużone spojrzenie awatarki.

- Czy myślałaś, że jestem taka niezaradna? - spytała piękna drowka.

Twarz Baenre pokryła się przerażeniem, całkowicie szczerym, i drowka zaczęła drętwo kręcić głową w tę i z powrotem, zaprzeczając, że kiedykolwiek utraciła wiarę.

Znów płaszczyła się i skończyła się modlić dopiero, gdy usłyszała, że coś uderza mocno o podłogę obok niej. Odważyła się podnieść wzrok i zauważyła obok siebie kawałek żółtego kamienia, siarkę.

- Musisz przez krótką chwilę odpierać K'yorl - wyjaśniła awatarka. - Idź dołączyć do matek opiekunek oraz twej najstarszej córki i najstarszego syna w sali spotkań. Dorzuć to do ognia i pozwól, by ci, których zgromadziłam, przyszli stanąć po waszej stronie. Razem nauczymy K'yorl, co to prawdziwa moc!

Pogodny uśmiech rozjaśnił Baenre twarz, gdy uświadomiła sobie, że nie została pozbawiona łaski Lloth, że jej bogini wezwała ją, by odegrała kluczową rolę w tej kluczowej godzinie. Fakt, że Lloth przyznała, że wciąż jest raczej bezsilna, nie miał znaczenia. Pajęcza Królowa wróci i Baenre znów zalśni w jej diabelskich oczach.

Do chwili kiedy opiekunka Baenre zebrała odwagę, by podnieść się z podłogi, piękna drowka opuściła już kaplicę. Bez przeszkód przeszła przez dziedziniec, pokonała ogrodzenie w taki sposób jak wcześniej i zniknęła w cieniach miasta.

Zaraz po usłyszeniu paskudnych plotek, że dziwne psioniczne moce domu Oblodra nie zostały zbytnio osłabione przez to, co działo się z pozostałą magią, Ghenni'tiroth Tlabbar, matka opiekunka Faen Tlabbar, czwartego domu Menzoberranzan, wiedziała, że jest w poważnych kłopotach. K'yorl Odran nienawidziła wysokiej, szczupłej Ghenni'tiroth bardziej niż kogokolwiek innego, bowiem Ghennftiroth nie robiła tajemnicy z faktu, iż uważała, że to Faen Tlabbar, a nie Oblodra powinien być trzecim domem Menzoberranzan.

Posiadając prawie ośmiuset żołnierzy, Faen Tlabbar niemal dwukrotnie przewyższali liczebnie dom Oblodra i jedynie niewielkie zrozumienie mocy K'yorl oraz jej sług ich powstrzymywało.

Jakże większymi owe moce wydawały się teraz, gdy cała konwencjonalna magia stała się co najmniej nieprzewidywalna!

Przez cały ten czas Ghenni'tiroth pozostawała w domowej kaplicy, względnie małym pomieszczeniu w pobliżu szczytu centralnego, stalagmitowego pagórka jej kompleksu. Na ołtarzu płonęła pojedyncza świeca, rozsiewając niewiele światła jak na standardy powierzchni, lecz służąc za boję dla mrocznych elfów, których oczy były bardziej nawykłe do ciemności. Drugim źródłem oświetlenia było wychodzące na zachód okno, bowiem nawet tutaj, pomimo odległości wynoszącej pół miasta, widać było wyraźnie dziki blask Narbondel.

Ghenni'tiroth nie przejmowała się teraz zbytnio kolumnowym zegarem, poza tym, iż służył on teraz za wyznacznik ich kłopotów. Należała do najbardziej fanatycznych kapłanek Lloth, była drowką, która przetrwała ponad sześć wieków w niekwestionowanej służbie wobec Pajęczej Królowej. Teraz miała jednak kłopoty, a Lloth, z jakiegoś niezrozumiałego przez nią powodu, nie przychodziła na jej wezwanie.

Klęcząc przypominała sobie bezustannie, by zachować wiarę. Była pochylona nad platynowym półmiskiem, osławioną tacą komunijną Faen Tlabbar. Leżało na niej serce ostatniej ofiary, wcale nie pozbawionego znaczenia drowa mężczyzny, dar dla bogini, która nie odpowiadała na zdesperowane modły Ghenni 'tirom.

Ghenni'tiroth wyprostowała się nagle, gdy serce podniosło się z zakrwawionego półmiska, wzlatując kilkanaście centymetrów w górę i wisząc w powietrzu.

- Ofiara jest niewystarczająca - dobiegł głos zza niej, głos, którego bała się usłyszeć od zarania Trudnych Czasów.

Nie odwróciła się w stronę K'yorl Odran.

- W kompleksie jest wojna - bardziej stwierdziła, niż spytała Ghenni'tiroth.

K'yorl parsknęła na tę myśl. Machnięciem ręki posłała uświęcony organ na drugą stronę komnaty.

Ghenni'tiroth obróciła się z oczyma rozszerzonymi wściekłością. Zaczęła wykrzykiwać słowo

oznaczające u drowów bluźnierstwo, przerwała jednak, dźwięk utkwił jej w gardle, gdy w powietrze wzniosło się inne serce, płynąc od K'yorl do niej.

- Ofiara była niewystarczająca - powiedziała spokojnie K'yorl. - Wykorzystaj to serce, serce Fini'they.

Ghenni'tiroth opadły ramiona na wzmiankę o najwyraźniej martwej kapłance, drugiej w jej domu. Ghenni'tiroth wzięła Fini'they za córkę, kiedy jej własna rodzina, stojący nisko w hierarchii, nieznaczący dom został zniszczony przez rywalizującą rodzinę. Dom Fini'they naprawdę był pozbawiony znaczenia - Ghenni'tiroth nie mogła nawet przypomnieć sobie jego prawidłowej nazwy - jednak nie Fini'they. Była potężną kapłanką, na dodatek nieskończenie lojalną, a nawet kochającą swą przybraną matkę.

Ghenni'tiroth zgarbiła się jeszcze bardziej, przerażona, gdy serce jej córki przeleciało obok niej i spoczęło z paskudnym, mokrym odgłosem na platynowym półmisku.

- Módl się do Lloth - rozkazała K'yorl.

Ghenni'tiroth właśnie to robiła. Być może K'yorl pomyliła się, pomyślała. Być może śmierć Fini'they okaże się pomocna, stanie się ofiarą odpowiednią, by sprowadzić Pajęczą Królową na pomoc domowi Faen Tlabbar.

Po długiej i pozbawionej wydarzeń chwili Ghenni'tirom zdała sobie sprawę ze śmiechu K'yorl.

- Być może potrzebujemy większej ofiary - powiedziała z chytrą miną niegodziwa matka opiekunka domu Oblodra.

Ghenni'tiroth, jedynej osobie w domu Faen Tlabbar ważniejszej niż Fini'they, nie było trudno odgadnąć, o czym mówi K'yorl.

W sekrecie, ledwo poruszając palcami, Ghenni'tiroth wyciągnęła śmiercionośny, zatruty sztylet z pochwy schowanej pod ozdobionymi pająkami szatami. Broń nazywała się Kieł Skraga i wyprowadziła już Ghenni'tiroth z wielu sytuacji podobnych do tej.

Oczywiście przy owych okazjach magia była przewidywalna, można było na niej polegać, a przeciwnicy nie byli tak potężni jak K'yorl. Krzyżując spojrzenia z K'yorl, Ghenni'tiroth odwracała uwagę Oblodranki, przesuwając delikatnie dłoń. K'yorl czytała jej myśli i spodziewała się ataku.

Ghenni'tiroth wykrzyknęła hasło uaktywniające i magia sztyletu zadziałała, posyłając spod jej szat pocisk prosto w serce jej przeciwniczki.

Magia zadziałała! - ucieszyła się w myślach Ghenni'tiroth, jednak jej radość szybko rozpłynęła się, gdy ostrze przeszło prosto przez zjawę K'yorl Odran, wbijając się bezużytecznie w tkaninę gobelinu, ozdabiającego przeciwległa ścianę komnaty.

- Żywię nadzieję, że trucizna nie zniszczy wzoru - stwierdziła K'yorl, stojąca daleko na lewo od wizji.

Ghenni'tiroth obróciła się i skierowała niewzruszone spojrzenie na szydzącą z niej istotę.

- Nie możesz mnie pokonać, nie możesz mnie przechytrzyć - powiedziała pewnym głosem K'yorl. Nie możesz ukryć przede mną swych myśli. Wojna skończyła się, zanim się zaczęła.

Ghenni'tiroth chciała wykrzyczeć swój sprzeciw, jednak była równie cicha jak Fini'they, której serce leżało przed nią na półmisku.

- Jak dużo zabijania będzie jeszcze potrzebne? - spytała K'yorl, zbijając Ghenni'tiroth z tropu. Opiekunka Faen Tlabbar skierowała podejrzliwe, jednak niezwykle zaciekawione spojrzenie na swą przeciwniczkę.

- Mój dom jest mały - stwierdziła K'yorl i była to prawda, chyba żeby liczyć tysiące koboldzich niewolników, które biegały podobno po tunelach na skraju Szponoszczeliny, tuż pod domem Oblodra. – A ja potrzebuję sprzymierzeńców, jeśli mam zdetronizować tę nędzną Baenre i jej nadętą rodzinę.

Ghenni'tiroth nie była nawet świadoma tego ruchu, gdy jej język wysunął się i oblizał cienkie wargi. Był jeszcze promyk nadziei.

- Nie możesz mnie pokonać - rzekła z całym przekonaniem K'yorl. - Może przyjmę kapitulację.

Słowo to nie brzmiało dobrze dla dumnej przywódczyni czwartego domu.

- A więc sojusz, jeśli musisz to tak nazwać - wyjaśniła K'yorl, dostrzegając jej wzrok. - Nie jest tajemnicą, że nie jestem w najlepszych stosunkach z Pajęczą Królową.

Ghenni'tiroth zakołysała się do tyłu na piętach, rozważając konsekwencje. Gdyby pomogła K'yorl, która nie była w łasce Lloth, pokonać Baenre, jakie byłyby skutki dla jej domu, gdyby wszystko się rozwikłało?

- To wszystko jest winą Baenre - stwierdziła K'yorl, odczytując każdą myśl Ghenni'tirom. - To dzięki Baenre Pajęcza Królowa nas porzuciła - parsknęła K'yorl. - Nie mogła nawet utrzymać jednego więźnia, nawet przeprowadzić odpowiednio wysokiego rytuału.

Słowa te brzmiały prawdziwie, boleśnie prawdziwie, dla Ghenni'tiroth, która zdecydowanie przedkładała opiekunkę Baenre nad K'yorl Odran. Chciała im zaprzeczyć, jednak to z pewnością oznaczałoby śmierć jej oraz jej domu, bowiem K'yorl utrzymywała tak oczywistą przewagę.

- Może przyjmę kapitu... - zachichotała szaleńczo K'yorl, zatrzymując się w połowie zdania. - Może sojusz przysłużyłby się nam obu - powiedziała zamiast tego.

Ghenni'tiroth znów oblizała wargi, nie wiedząc, gdzie się zwrócić. Zerknięcie na serce Fini'they nie przekonało jednak jej zbytnio.

- Może przysłużyłby się - rzekła.

K'yorl przytaknęła i znów uśmiechnęła tym diabelskim oraz okrytym złą sławą grymasem, który znany był w całym Menzoberranzan jako wskazówka, że K'yorl kłamie.

Ghenni'tiroth odwzajemniała uśmiech - dopóki nie przypomniała sobie, z kim ma do czynienia, dopóki nie zmusiła się, poprzez pokusę przynęty, jaką K'yorl zaoferowała, by przypomnieć sobie reputację tej niezwykle niegodziwej drowki.

- Może nie - powiedziała spokojnie K'yorl i Ghenni'tiroth została nagle odrzucona w tył przez niewidzialną siłę, fizyczną, choć niewidoczną manifestację potężnej woli K'yorl.

Opiekunka Faen Tlabbar zatrzęsła się i zwinęła, usłyszała pęknięcie jednego z żeber. Próbowała wołać do K'yorl, wołać do Lloth w ostatecznej, zdesperowanej modlitwie, jednak jej słowa zostały stłumione, gdy niewidoczna ręka zacisnęła się mocno na jej gardle, odcinając dopływ powietrza.

Ghenni'tiroth zatrzęsła się znowu, gwałtownie, i jeszcze raz, a z jej piersi wydobyło się więcej trzasków, wywołanych ogromnym ciśnieniem na tors. Zatoczyła się do tyłu i upadłaby na podłogę, gdyby wola K'yorl nie podtrzymała szybko jej szczupłej sylwetki.

- Przykro mi, że Fini'they nie wystarczyła, by sprowadzić tę twoją bezsilną Pajęczą Królową - szydziła K'yorl bezczelnie.

Oczy Ghenni'tiroth wybałuszyły się i wydawało się, jakby chciały wypaść z oczodołów. Jej plecy wygięły się dziwnie, w bólu, a z gardła wciąż wydobywały się bulgoczące dźwięki. Szarpała za szyję, starając się chwycić niewidzialną dłoń, jednak rysowała jedynie linie jaskrawej krwi.

Nagle nastąpił ostatni trzask, głośne pęknięcie, i Ghenni'tiroth już się nie opierała. Z jej piersi zniknęło ciśnienie, zrobiwszy już, co miało do zrobienia. Niewidoczna dłoń K'yorl chwyciła ją za włosy i szarpnęła jej głowę do przodu, by mogła spojrzeć na niezwykłe wybrzuszenie w klatce piersiowej, obok lewej piersi.

Oczy Ghenni'tiroth rozszerzyły się przerażeniem, gdy jej szaty rozsunęły się, a skóra pękła. Z rany wylał się wielki strumień krwi i Ghenni'tiroth upadła bezwładnie, kładąc się wzdłuż platynowej tacy.

Obserwowała ostatnie uderzenie swego serca na tym ofiarnym półmisku.

- Być może Lloth usłyszy to wołanie - stwierdziła K'yorl, lecz Ghenni'tiroth nie rozumiała już słów.

K'yorl podeszła do ciała i zabrała butelką z trucizną, którą nosiły wszystkie kobiety z domu Faen

Tlabbar. Owa mikstura, wymuszająca u mężczyzn ogromną służalczość, była potężna - a raczej będzie taką, jeśli wróci konwencjonalna magia. Ta buteleczka była najprawdopodobniej najpotężniejsza i K'yorl przeznaczyła ją dla pewnego dowódcy najemników.

K'yorl podeszła do ściany i przywłaszczyła sobie Kieł Skraga.

Dla zwyciężczyni...

Spojrzawszy ostami raz na martwą matkę opiekunkę, K'yorl przywołała swe psioniczne moce i stała się zjawą, która mogła przechodzić przez ściany i obok strażników chronionego dobrze kompleksu. Uśmiechała się władczo i była pewna siebie, jednak, jak awatarka Lloth powiedziała Baenre, Odran rzeczywiście się pomyliła. Wykonała osobistą zemstę, uderzyła najpierw w słabszego przeciwnika.

Właśnie gdy K'yorl płynęła obok budynków domu Faen Tlabbar, chełpiąc się śmiercią najbardziej znienawidzonej przeciwniczki, opiekunki Baenre i Mez'Barris Armgo, wraz z Triel i Gromphem Baenre, a także matkami opiekunkami domów od piątego do ósmego, zbierały się w prywatnej komnacie na tyłach Qu'ellarz'orl, wysokiego płaskowyżu, zawierającego się w ogromnej jaskini, na którym znajdowały się niektóre z ważniejszych domów drowów, wliczając w to dom Baenre. Cała ósemka stłoczyła się wokół pieca w kształcie pająka, ustawionego na jedynym w małym pomieszczeniu stole, każde przy jednej nodze. Wszyscy przynieśli swoje najcenniejsze łatwopalne przedmioty, zaś opiekunka Baenre przyniosła kawałek siarki, który dała jej awatarka.

Żadne z nich nie wspominało, choć wszyscy wiedzieli, że może to być ich jedyna szansa.

ROZDZIAŁ 11

ATUT

W normalnych okolicznościach Jarlaxle był zadowolony, znajdując się w centrum konfliktu, będąc obiektem zabiegów obydwu stron dysputy. Tym razem jednak czuł się niespokojnie w tym miejscu. W żadnym wypadku nie lubił kontaktów z K'yorl Odran, nie z jako przyjaciółmi, czy jako wrogami, i był zaniepokojony tym, iż dom Baenre był tak desperacko zaangażowany w walkę. Jarlaxle po prostu zbyt wiele zainwestował w opiekunkę Baenre. Ostrożny dowódca najemników zazwyczaj na nic nie liczył, jednak w pełni oczekiwał, że dom Baenre będzie rządził w Menzoberranzan przynajmniej do ostatniego dnia jego życia, jak to było od jego początkowi tysiąclecia wcześniej.

Nie w tym rzecz, że Jarlaxle żywił jakiekolwiek wyjątkowe uczucia wobec pierwszego domu miasta. Po prostu Baenre oferowali mu punkt zaczepienia, jakąś stałość w wiecznie zmiennych walkach o władzę w Menzoberranzan.

Tak będzie dziać się wiecznie, przypuszczał, jednak po rozmowie z K'yorl - jakże on jej nienawidził! - Jarlaxle nie był już taki pewien.

K'yorl chciała go przeciągnąć na swoją stronę, chciała bardzo, by Bregan D'aerthe służyli jej za więź ze światem poza Menzoberranzan. Mogli to robić i robić to dobrze, jednak Jarlaxle wątpił, by on, zawsze kierujący się osobistymi pobudkami, mógł długo zachować łaskę K'yorl. W pewnej chwili, wcześniej bądź później, odczytałaby jego prawdziwe myśli i uśmierciła.

Takie były zwyczaje drowów.

* * *

Czart był gargantuicznym, dwunożnym, podobnym do psa stworzeniem z czterema umięśnionymi ramionami, z których dwa kończyły się potężnymi szczypcami. Jak wszedł do prywatnej jaskini Jarlaxle'a, na stromym zboczu Szponoszczeliny, jakieś sto metrów pod i za kompleksem domu Oblodra, nie wiedział żaden z drowich strażników.

- Tanar'ri - ostrzeżenie, nazwa jednego z największych stworzeń otchłani, znane we wszystkich językach Krain, zostało przekazane szeptami oraz bezgłośną mową znaków po całym kompleksie, a reakcją było ogólne przerażenie.

Nie poszczęściło się dwóm drowim strażnikom, którzy pierwsi natknęli się na ogromnego, pięciometrowego potwora. Lojalni wobec Bregan D'aerthe, odważni dzięki przekonaniu, że inni poprą ich czyny, rozkazali wielkiej bestii zatrzymać się, a gdy tego nie zrobiła, zaatakowali.

Gdyby w ich broni pozostały wcześniejsze zaklęcia, mogliby w jakiś sposób zranić bestię. Magia nie wróciła jednak na Plan Materialny. W związku z tym tanar'ri również był pozbawiony swego znacznego repertuaru czarów, jednak bestia, dwie tony mięśni, niezbyt potrzebowała magicznego wsparcia.

Dwa drowy zostały szybko rozczłonkowane i tanar'ri poszedł dalej, szukając Jarlaxle'a, o co poprosił go Errtu.

Znalazł dowódcę najemników wraz z dwoma dziesiątkami jego najlepszych żołnierzy za pierwszym zakrętem. Kilku drowów wyskoczyło do przodu, by go chronić, jednak Jarlaxle, lepiej rozumiejąc potęgę bestii, powstrzymał ich, nie był tak ochoczy, by trwonić życie drowów.

- Glabrezu - powiedział z całym szacunkiem, rozpoznając bestię.

Psi pysk glabrezu wykrzywił się w grymasie, a jego oczy zmrużyły się, gdy przyglądał się Jarlaxle'owi, potwierdzając przed samym sobą, że znalazł odpowiedniego mrocznego elfa.

- Baenre cok diemrey nochtero - rzekł tanar'ri z warkotem i nie czekając na odpowiedź, gigantyczna bestia odeszła kołysząc się, skulona nisko, by nie zawadzać głową o wysoki strop korytarza.

Znów kilku odważnych, głupich drowów ruszyło w pościg i ponownie Jarlaxle, uśmiechając się szerzej niż zwykle, powstrzymał ich. Tanar'ri przemówił w języku niższych planów, mowie, którą Jarlaxle doskonale rozumiał, i przekazał słowa, która Jarlaxle pragnął usłyszeć.

W twarzach wszystkich zdenerwowanych, stojących wokół niego drowów, wyraźnie widać było pytanie. Nie rozumieli języka i desperacko chcieli wiedzieć, co powiedział tanar'ri.

- Baenre cok diemrey nochtero - wyjaśnił im Jarlaxle. - Dom Baenre przetrwa.

Jego przebiegły uśmiech, pełen nadziei, oraz ochoczość, z jaką zacisnął pięści, powiedziały jego żołnierzom, że takie przewidywania są dobrą rzeczą.

* * *

Zeerith Q'Xorlarrin, matka opiekunka piątego domu, rozumiała znaczenie przygotowań do

zgromadzenia. Triel oraz Gromph przyszli głównie po to, by wypełnić dwa puste miejsca przy piecu w kształcie pająka. Jedno z nich należało prawnie do K'yorl, a w związku z tym, że zebrali się, by pokonać właśnie K'yorl, o co poprosiła ich awatarka Pajęczej Królowej, nie została ona zaproszona.

Drugie wolne miejsce, zajęte przez Grompha, było normalnie zarezerwowane dla najbliższej drowiej przyjaciółki Zeerith, matki opiekunki Ghenni'tiroth Tlabbar. Nikt nie wypowiedział tego na głos, jednak Zeerith rozumiała znaczenie obecności syna Baenre oraz brak matki opiekunki.

K'yorl nienawidziła Ghennftiroth - nie było to tajemnicą - tak więc została ona pozostawiona jako ofiara, by opóźnić szturm domu Oblodra. Owi pozostali rzekomi sprzymierzeńcy oraz bogini przysłużyli się do śmierci najbliższej przyjaciółki Zeerith.

Myśl ta nękała przez krótką chwilę matkę opiekunkę, dopóki nie zdała sobie sprawy, że była trzecią w hierarchii drowką na spotkaniu. Jeśli przyzywanie się powiedzie, jeśli K'yorl i dom Oblodra zostaną pokonani, wtedy hierarchia domów rządzących z pewnością się przesunie. Oblodra upadną, pozostawiając trzecie miejsce wolnym, a w związku z tym, że Faen Tlabbar znaleźli się nagle bez właściwej matki opiekunki, było możliwe, że dom Xorlarrin przeskoczy obok nich na owo hołubione miejsce.

Ghenni'tiroth została oddana jako ofiara. Zeerith Q'Xorlarrin uśmiechnęła się szeroko.

Takie były zwyczaje drowów.

Do pieca poszła cenna pajęcza maska Grompha, wielce magiczny przedmiot, jedyny w całym Menzoberranzan, który pozwalał przejść przez pajęczynowe ogrodzenie domu Baenre. W powietrze wzbiły się pomarańczowe i wściekle zielone płomienie.

Mez'Barris skinęła Baenre i wyniszczona stara matka opiekunka cisnęła bryłkę siarki, którą dała jej awatarka.

Nawet gdyby setka podekscytowanych krasnoludów nacisnęła ogromne miechy, ogień nie stałby się bardziej rozszalały. Płomienie wystrzeliły prosto w górę wielokolorową kolumną, w którą ośmioro obserwatorów wpatrywało się znieruchomiałych w obliczu odczuwanej, przeklętej chwały.

- Co to jest? - dobiegło pytanie z przedniej części pomieszczenia. - Śmiecie zwoływać zebranie bez poinformowania domu Oblodra?

Opiekunka Baenre, u szczytu stołu a w związku z tym odwrócona do K'yorl plecami, podniosła dłoń, by uspokoić pozostałych zgromadzonych wokół pajęczego pieca. Powoli odwróciła się w stronę najbardziej znienawidzonej drowki i obydwie szybko skrzyżowały pełne jadu spojrzenia.

- Kat nie zaprasza swej ofiary do pnia - powiedziała Baenre pewnym głosem. - Zabiera ją tam albo zwabia.

Bezceremonialne słowa Baenre spowodowały, że niejeden ze zgromadzonych drowów poczuł się niespokojnie. Gdyby K'yorl została potraktowana z większym taktem, niektórzy z nich mogliby ujść z życiem.

Opiekunka Baenre wiedziała jednak lepiej. Ich jedyną nadzieją, jej jedyną nadzieją była ufność, wiara całym sercem, że awatarka nie pokierowała ich w złą stronę.

Kiedy przez Baenre przetoczyła się pierwsza fala mentalnej energii K'yorl, ona również zaczęła odczuwać pewne wątpliwości. Wytrzymywała przez kilka sekund, dając godzien podziwu pokaz woli, jednak wtedy K'yorl ją przełamała, odepchnęła ją z powrotem do stołu. Baenre poczuła, jak stopy podnoszą się jej z podłogi, jak gigantyczna niewidoczna dłoń wyciąga się do niej, chwyta i kieruje w stronę płomieni.

- Jakże większe będzie wołanie do Lloth - wrzasnęła radośnie K'yorl - kiedy w płomienie zostanie wrzucona opiekunka Baenre!

Inni obecni w pomieszczeniu, zwłaszcza pozostałe pięć matek opiekunek, nie wiedzieli, jak zareagować. Mez'Barris opuściła głowę i zaczęła cicho mruczeć słowa czaru, modląc się, by Lloth usłyszała ją i dała jej to, o co prosi.

Zeerith i pozostali obserwowali płomienie. Awatarka powiedziała im, by to robili, dlaczego jednak nie przechodził przez nie sojusznik, tanar'ri lub jakiś inny czart?

* * *

W pełnej mułu otchłani, siedząc na swym grzybowym tronie, Errtu cieszył się chaotyczną scenerią. Dzięki urządzeniu szpiegowskiemu, jakie przygotowała dla niego Lloth, wielki tanar'ri czuł obawy zgromadzonych wyznawców i mógł smakować gorzkiej nienawiści z warg K'yorl Odran.

Errtu uznał, że lubi K'yorl. Była do niego podobna sercem, czysto i smakowicie niegodziwa, morderczyni zabijająca dla przyjemności, bawiąca się w intrygi dla samej zabawy wypływającej z owej gry. Wielki tanar'ri chciał obserwować, jak K'yorl wpycha swą przeciwniczkę w kolumnę ognia.

Instrukcje Lloth były jednak wyraźne, a oferowana przez nią nagroda zbyt kusząca, by czart mógł ją zlekceważyć. Zdumiewające, zważywszy na stan magii w owym czasie, ale brama otwierała się, i to szeroko.

Errtu posłał już jednego tanar'ri, wielkiego glabrezu, przez mniejszą bramę, by służył za posłańca, jednak owe wrota, wywołane przez samą awatarkę, były słabe i otwarte jedynie przez moment. Errtu

nie wierzył, że ten wyczyn da się powtórzyć, nie teraz.

Myśl o magicznym chaosie dała czartowi nagłą inspiracją. Być może dawne zasady wygnania już nie obowiązywały. Być może mógł przejść przez tę otwierającą się bramę, wracając na Plan Materialny. Wtedy nie musiałby już robić za pachołka Lloth, mógłby sam odnaleźć renegata Drizzta Do'Urdena i po pokonaniu drowa powrócić na mroźną pomoc, gdzie leżał zagrzebany Crenshinibon, legendarny Kryształowy Relikt!

Brama otworzyła się. Errtu wszedł w nią.

I został odrzucony, odepchnięty z powrotem do otchłani, do miejsca jego stuletniego wygnania.

Kilka czartów zebrało się przy wielkim tanar'ri, wyczuwając otwarcie, kierując się do bramy, lecz powarkujący Errtu, rozwścieczony porażką, zatrzymał je.

Niech ta niegodziwa drowka, K'yorl, wepchnie ulubienicę Lloth w płomienie, uznał występny Errtu. Po tej ofierze brama pozostanie otwarta, a może nawet jeszcze bardziej się poszerzy.

Errtu nie podobało się wygnanie, nie podobało mu się służenie jakiejkolwiek innej istocie. Niech Lloth cierpi, niech Baenre zostanie pochłonięta, dopiero wtedy zrobi to, o co prosiła Pajęcza Królowa!

* * *

Jedyną rzeczą, która ocaliła Baenre przed dokładnie takim losem, była nieoczekiwana interwencja Methila. Po wizycie u Jarlaxle'a glabrezu udał się do ilithida, niosąc mu te same przewidywania, że dom Baenre przetrwa, a Methil, służąc za ambasadora swego ludu, dołożył starań, by pozostać po zwycięskiej stronie.

Psioniczne fale ilithida rozproszyły telepatyczny atak K'yorl i opiekunka Baenre osunęła się na bok stołu.

Oczy K'yorl otworzyły się szeroko, była zaskoczona porażką - dopóki Methil, stojąc niewidoczny w tajemnicy u boku opiekunki Baenre, nie pojawił się w polu widzenia.

- Poczekaj, aż to się skończy! - myśli K'yorl wrzasnęły do ośmiornicogłowego stwora. - Zobacz, kto wygra, a później zdecyduj, z kim się sprzymierzysz.

Zapewnienie Methila, że zna już rezultat, nie zaniepokoiły K'yorl nawet w połowie, jak widok gigantycznych, nietoperzowych skrzydeł, które wysunęły się nagle z kolumny ognia. Był to tanar'ri -

prawdziwy tanar'ri!

Kolejny glabrezu wyskoczył z ognia, lądując na podłodze pomiędzy Baenre a jej przeciwniczką. K'yorl ugodziła go psioniczną zaporą, nie mogła jednak dorównać takiemu stworzeniu i wiedziała o tym.

Zauważyła, że kolumna wciąż tańczy szaleńczo, że w płomieniach formuje się kolejny czart. Lloth była przeciwko niej! - uświadomiła sobie nagle. Cała otchłań wydawała się przybywać na wezwanie opiekunki Baenre!

K'yorl zrobiła jedyną rzecz, jaką mogła - stała się z powrotem niematerialna i uciekła przez miasto do swego domu.

Przez otwartą bramę ruszyły czarty, setka i jeszcze więcej. Ciągnęło się to przez ponad godzinę. Słudzy Errtu, a w związku z tym słudzy Lloth, przybywali na wezwanie zdesperowanych matek opiekunek, rozlewając się po mieście w rozszalałej radości, by otoczyć dom Oblodra.

W pokoju spotkań na tyłach Qu'ellarz'orl zostały wymienione uśmiechy satysfakcji, a nawet wzniesiono wiwaty. Awatarka zrobiła, co obiecała, i przyszłość wyznawców Lloth znów wydawała się przyjemnie mroczna.

Z ośmiorga zgromadzonych jedynie uśmiech Grompha nie był zbyt szczery. Nie w tym oczywiście rzecz, że chciał wygranej domu Oblodra, jednak mężczyzna nie cieszył się na myśl, że wszystko może być wkrótce takie, jakie zawsze było, że on, wraz ze swą potęgą oraz poświęceniem zasadom magii, znów będzie, ponad wszystko inne, jedynie zwyczajnym mężczyzną.

Odczuł pewne pocieszenie, gdy płomienie zamarły i reszta zaczęła wychodzić, zauważywszy, że kilka z zaoferowanych przedmiotów, w tym jego cenna pajęcza maska, nie zostało pochłonięte przez magiczne płomienie. Gromph spojrzał na drzwi, na matki opiekunki oraz Triel, tak pochłonięte widokiem czartów, że w ogóle go nie zauważały.

Cicho i bez zwracania uwagi pełen żądzy czarodziej umieścił bezcenny przedmiot z powrotem pod fałdami szaty, po czym dodał do swej kolekcji kilka z najcenniejszych artefaktów największych domów Menzoberranzan.

Część 3

ROZWIĄZANIE

Jakże chciałem iść do Catti-brie, gdy uświadomiłem sobie niebezpieczeństwo tkwiące w jej mieczu! Jakże chciałem stać przy niej, chronić ją! Ta broń ją w końcu opętała i była nasączona potężną oraz wyraźnie rozumną magią.

Catti-brie chciała, bym był przy niej - któż nie chciałby wspierającego ramienia przyjaciela, gdy na horyzoncie majaczyła taka walka? - a mimo to nie chciała mnie tam, nie mogła mnie tam mieć, wiedziała bowiem, że starcie to musi stoczyć sama.

Musiałem szanować jej wnioski i w tych dniach, kiedy to Trudne Czasy zaczęły się kończyć, a magia świata powracała z powrotem do porządku, doszedłem do zrozumienia, że czasami najtrudniejszymi walkami są te, których zmuszeni jesteśmy nie toczyć.

Doszedłem wtedy do zrozumienia, dlaczego matki i ojcowie rzadko mają paznokcie, a na ich twarzach często maluje się żałosna rezygnacja. Jaki ból musi odczuwać rodzic w Silverymoon, gdy jego potomstwo, już nie dziecko, mówi, że zdecydowało się wyruszyć na zachód, do Waterdeep, by żeglować po Wybrzeżu Mieczy, szukając przygód. Wszystko w owych rodzicach chce krzyczeć - Zostań! Każdy instynkt w owych rodzicach chce przy tulić mocno te dzieci, chronić je zawsze. Mimo to zaś, jak się w końcu okazuje, owe instynkty są w biedzie.

W sercu nie ma większego bólu, niż obserwować walkę kogoś, kogo się kocha, wiedząc, że jedynie dzięki owym zmaganiom ta osoba dorasta i uświadamia sobie potencjał swej egzystencji. Zbyt wielu złodziei w Krainach wierzy, że recepta na szczęście leży w niestrzeżonych, zakopanych skarbach. Zbyt wielu czarodziejów chce ominąć lata nauki konieczne do prawdziwej potęgi. Odnajdują czar na zwoju bądź zaklęty przedmiot, który znajduje się dalece poza ich zrozumieniem, jednak mimo to go próbują, jedynie po to, by zostać pochłoniętym przez potężną magię. Zbyt wielu kapłanów w Krainach i zbyt wiele religijnych sekt w ogólności wymaga od siebie oraz swych zgromadzeń jedynie służalczości.

Wszyscy oni są skazani na zagładę w prawdziwym teście służalczości. Brakuje jednego elementu - we wpadaniu na niestrzeżony skarb. Jeden element jest nieobecny, kiedy drobny czarodziej kładzie dłonie na lasce arcymaga. Nie bierze się pod uwagę jednej rzeczy w pokornej, niekwestionowanej i pozbawionej ambicji służbie.

Poczucia dokonania czegoś.

Jest to najważniejszy składnik w recepcie na szczęście każdej racjonalnej istoty. Jest to

element, który buduje pewność siebie i pozwala nam przechodzić do innych, większych zadań. Jest to rzecz, która daje poczucie własnej wartości, która podwala każdej osobie wierzyć, że samo życie ma wartość, która daje poczucie celowości, wspierające nas, gdy stawiamy czoła nie posiadającym odpowiedzi pytaniom życia.

Tak było z Catti-brie oraz jej mieczem. Ta walka odnalazła ją i była zdecydowana ją stoczyć. Gdybym postąpił zgodnie ze swymi protekcyjnymi instynktami, odmówiłbym jej pomocy w podejmowaniu tego zadania. Moje protekcyjne instynkty mówiły mi, by pójść do Bruenora, który z pewnością nakazałby zniszczyć rozumny miecz. Robiąc to bądź cokolwiek innego, by przeszkodzić Catti-brie w walce, nie miałbym w rezultacie do niej zaufania, nie szanowałbym jej osobistych potrzeb oraz wybranego przez nią przeznaczenia, a w związku z tym pozbawiłbym ją części wolności. Na tym właśnie polegało jedyne niepowodzenie Wulfgara. W swych obawach o kobietę, którą tak bardzo kochał, odważny i dumny barbarzyńca próbował udusić ją w swych protekcyjnych objęciach.

Sądzę, że przed śmiercią dostrzegł swe błędy. Sądzę, że przypomniał sobie wtedy powody, dla których kochał Catti-brie - jej siłę oraz niezależność. Jakaż to ironia, że nasze instynkty biegną często w zupełnie inną stronę, niż tak naprawdę pragniemy, by szły.

W sytuacji, którą wcześniej nazwałem, rodzice pozwoliliby dziecku iść do Waterdeep i na Wybrzeże Mieczy. Tak było też z Catti-brie. Postanowiła zabrać swój miecz, postanowiła zbadać jego rozumną stronę, być może wielce ryzykując. Decyzja ta należała do niej i gdy jej dokonała, musiałem ją uszanować. Nie widywałem jej zbytnio przez następnych kilka tygodni, bowiem toczyła osobistą walkę.

Myślałem jednak o niej i martwiłem się o nią w każdej chwili, nawet w snach.

Drizzt Do'Urden

ROZDZIAŁ 12

WARTE KŁOPOTÓW

Podstępem skłoniłem tanar'ri, by poszły do twego miasta, Menzoberranzan, i wkrótce będę musiał je wycofać - ryknął wielki Errtu. - I nie mogę nawet tam pójść, by dołączyć do zamętu, albo nawet by je zabrać! - Balor siedział na swym grzybowym tronie, obserwując urządzenie szpiegowskie, pokazujące mu miasto drowów. Wcześniej otrzymywał jedynie ulotne obrazy, bowiem ta magia również zmagała się z efektami owego dziwnego okresu. Ostatnio wizje stawały się jednak silniejsze i teraz podobna do zwierciadła powierzchnia była niezmącona, pokazywała wyraźnie dom Oblodra, wciśnięty pomiędzy palce Szponoszczeliny. Dookoła otoczonego murami kompleksu błąkały się i latały czarty, uderzając silnymi pięściami w ściany, ciskając groźby oraz kamienne pociski. Oblodranie zamknęli mocno swą siedzibę, bowiem nawet przy ich psionicznych siłach oraz fakcie, że magia czartów nie działała lepiej niż jakakolwiek inna, nieziemskie bestie były po prostu zbyt silne fizycznie, a ich umysły zbyt spaczone przez zło, by jakoś szczególnie wpłynęły na nie telepatyczne bariery.

I były poparte przez zjednoczoną armię drowów, siedzącą w ukryciu za szeregami czartów. Setki kusz oraz oszczepów było wymierzonych w stronę domu Oblodra. Dziesiątki jeźdźców dosiadających podziemnych jaszczurów o kleistych stopach chodziło po ścianach oraz stropie w pobliżu skazanego na zagładę domu. Każda Oblodranka, która pokazała twarz, była trafiana z każdej możliwej strony.

- Te same czarty nie dopuszczają, by trzeci dom został zaatakowany - warknął Errtu na Lloth, przypominając jej, czyja armia kontroluje tu sytuację. - Twoi słudzy boją się moich, i słusznie!

Piękna drowka, znów znajdująca się w otchłani, rozumiała, że wybuch Errtu składał się w jednej części ze wściekłości, a w dziewięciu z przechwałek. Żadnego tanar'ri nie trzeba było „skłaniać podstępem", by udał się na Plan Materialny, gdzie mógł siać zamęt. Taka była ich natura, największa radość w ich żałosnej egzystencji.

- Prosisz o wiele, Pani Pająków - narzekał Errtu.

- Daję wiele w zamian - przypomniała mu Lloth. - Zobaczymy.

Płonące czerwienią oczy Lloth zmrużyły się na ciągły sarkazm obecny w słowach tanar'ri. Zapłata, jaką zaoferowała Errtu, dar, który mógł potencjalnie uwolnić czarta od niemal stu jeszcze lat wygnania, nie była małą rzeczą.

- Czterech glabrezu trudno będzie zabrać - ciągnął Errtu, udając złość. - Oni zawsze sprawiają

kłopoty!

- Nie większe niż balory - odpowiedziała bez ogródek Lloth. Errtu odwrócił się do niej, jego twarz pokryta była maską nienawiści.

- Trudne Czasy zbliżają się do końca - rzekła Lloth spokojnie.

- Trwają zbyt długo! - ryknął Errtu.

Lloth zignorowała ton tego komentarza, rozumiejąc, że Errtu musiał grać rozdrażnionego i przytłoczonego ciężarem zadania, by powstrzymać ją przed dojściem do wniosku, że jest jej winien coś więcej.

- Dłużej w moich oczach, czarcie, niż w twoich - odparła Pajęcza Królowa.

Errtu wymruczał przekleństwo pod nosem.

- Ale zbliża się do końca - ciągnęła Lloth cicho i spokojnie. Ona oraz Errtu spojrzeli na obraz na szpiegowskiej powierzchni, akurat gdy wielki skrzydlaty tanar'ri wyłonił się ze Szponoszczeliny, trzymając w jednej z wielkich pięści małe, szamoczące się stworzenie. Żałosna zdobycz nie mogła mieć więcej niż dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu i wydawała się jeszcze mniejsza w masywnym chwycie czarta. Miała na sobie obszarpany kaftan nie kryjący łusek w kolorze rdzy, wydający się jeszcze bardziej podarty, gdy rozdzierały go szpony tanar'ri.

- Kobold - stwierdził Errtu.

- Znani sojusznicy domu Oblodra - wyjaśniła Lloth. - Tysiące tych nędzników biegają po tunelach wzdłuż ścian rozpadliny.

Latający tanar'ri zaryczał, chwycił kobolda również drugą łapą i rozerwał piszczącą istotę na pół.

- Jeden sprzymierzeniec domu Oblodra mniej - wyszeptał Errtu, a z zadowolonej miny Lloth odczytywała prawdziwe odczucia Errtu względem tego całego wydarzenia. Wielki tanar'ri żył poprzez swe sługi, obserwował ich destrukcyjne figle i napawał się tą sceną.

Lloth przeszło przez myśl, by zastanowić się ponownie nad zaproponowanym darem. Dlaczego miałaby odpłacać czartowi za zrobienie czegoś, co najwyraźniej chciał zrobić?

Pajęcza Królowa, nigdy nie postępująca bezmyślnie, otrząsnęła się z tych myśli. Nie miała nic do stracenia, dając Errtu to, co obiecała. Jej oczy utkwione były na podboju Mithrilowej Hali, na zmuszeniu opiekunki Baenre, by rozszerzyła swe wpływy tak, by miasto drowów było mniej bezpieczne i bardziej chaotyczne, bardziej narażone na zatargi pomiędzy domami. Renegat Drizzt Do'Urden nic jej nie obchodził, choć z pewnością pragnęła jego śmierci.

Kto mógłby lepiej tego dokonać niż Errtu? - zastanawiała się Lloth. Nawet gdyby renegat przetrwał nadciągającą wojnę - a Lloth nie sądziła, by tak się mogło stać - Errtu mógł użyć jej daru, by zmusić Drizzta, aby ten uwolnił go z wygnania i pozwolił mu wrócić na Plan Materialny. Kiedy potężny balor znalazłby się tam, bez wątpienia dokonałby zemsty na renegacie. Drizzt pokonał raz Errtu, jednak nikt nie wygrał dwukrotnie z balorem.

Lloth znała Errtu wystarczająco dobrze, by rozumieć, że Drizzt Do'Urden miałby znacznie większe szczęście, gdyby zginął w nadchodzącej wojnie.

Nie mówiła nic więcej o zapłacie za pomoc czarta, rozumiejąc, że dając ją Errtu, robiła mu w rezultacie prezent.

- Kiedy Trudne Czasy miną, moje kapłanki pomogą ci zapędzić tanar'ri z powrotem do otchłani.

Errtu nie ukrył zbyt dobrze swego zaskoczenia. Wiedział, że Lloth planuje jakąś kampanię i zakładał, że jego potworni słudzy zostaną wysłani wraz z armią drowów. Teraz jednak, kiedy Lloth wypowiedziała wyraźnie swe intencje, czart rozpoznał jej rozumowanie. Gdyby u boku drowów maszerowała horda tanar'ri, powstałyby przeciwko nim całe Krainy, wliczając w to dobre stworzenia o wielkiej mocy z wyższych planów.

Poza tym Lloth oraz Errtu wiedzieli dobrze, że drowie kapłanki, choć były potężne, nie będą w stanie kontrolować takiej hordy, gdy już zaczną się szerzyć wojenne zniszczenia.

- Wszystkie poza jednym - sprostował Errtu. Lloth przyjrzała mu się z zaciekawieniem.

- Potrzebuję emisariusza, który pójdzie do Drizzta Do'Urdena - wyjaśnił czart. - Aby powiedzieć temu głupcowi, co mam i czego wymagam w zamian.

Lloth rozważała przez chwilę te słowa. Musiała to ostrożnie rozegrać. Wiedziała, że musi wstrzymać Errtu albo będzie ryzykować komplikacjami tego, co powinno być względnie prostym podbojem krasnoludzkich kopalni, nie mogła jednak dać czartowi poznać celu swej armii. Gdyby Errtu pomyślał, że słudzy Lloth wkrótce narażą Drizzta Do'Urdena, jedyną szansę wielkiego czarta, by dostać się z powrotem na Plan Materialny, sprzeciwiałby się jej ukradkiem.

- Jeszcze nie - powiedziała Pajęcza Królowa. - Drizzt Do'Urden mi nie przeszkadza i tak pozostanie, dopóki w moim mieście nie zapanuje z powrotem porządek.

- W Menzoberranzan nigdy nie panuje porządek - odparł chytrze Errtu.

- Względny porządek - sprostowała Lloth. - Otrzymasz swój dar, gdy ci go przekażę, i dopiero wtedy poślesz swego emisariusza.

- Pani Pająków... - warknął groźnie balor.

- Trudne Czasy zbliżają się do końca - Lloth rzuciła w odpowiedzi w paskudną twarz Errtu. - Moje moce powracają. Uważaj na swoje groźby, balorze, bo inaczej znajdziesz się w miejscu nędzniejszym niż to!

Wprawiając w szaleńczy ruch swe purpurowoczarne szaty, Pajęcza Królowa obróciła się gwałtownie i odeszła, znikając szybko w wirującej mgle. Uśmiechnęła się na odpowiednie zakończenie tego spotkania. Z chaotycznymi czartami dyplomacja sięgała tylko dotąd. Po osiągnięciu odpowiedniego punktu nadchodził nieuchronnie czas na otwarte groźby.

Errtu zapadł się z powrotem w swym grzybowym tronie, uświadamiając sobie, że Lloth w pełni włada sytuacją. Trzymała więź z jego sługami na Planie Materialnym oraz miała dar, który pozwoli Errtu zakończyć wygnanie. Oprócz tego wszystkiego Errtu nie wątpił w słowa Pajęczej Królowej, że panteon dochodzi do porządku. Jeśli zaś Trudne Czasy naprawdę mijały i moce Lloth powracały w pełni, to zdecydowanie przewyższała balora.

Z rezygnacją Errtu spojrzał z powrotem w szpiegowską powierzchnię. Pięć kolejnych koboldów zostało wyciągniętych ze Szponoszczeliny. Ścisnęły się razem w ciasnej grupie, podczas gdy wokół nich krążyła banda czartów, szydząc z nich i je dręcząc. Wielki balor czuł ich strach, mógł smakować pełne tortur zabójstwa z taką rozkoszą, jakby znajdował się pośród swych sług.

Nastrój Errtu poprawił się momentalnie.

* * *

Belwar Dissengulp oraz dwudziestu svirfnebli siedziało na półce skalnej, wychodzącej na sporą komnatę, zasłaną głazami oraz stalaktytami. Każdy trzymał linę - u Belwara przechodziła ona przez pętlę przy pasie oraz pasek ze skóry grzyba założony na jego kilof - aby móc opaść szybko na podłogę. Daleko w dole pracowali kapłani gnomów, rysując na posadzce nasączone mocą runy za pomocą dających ciepło barwników, dyskutując nad wcześniejszymi porażkami oraz najskuteczniejszymi sposobami połączenia swych zdolności, zarówno w przypadku przyzwania, jak i gdyby przyzwanie, jak zdarzyło się już dwukrotnie, nie powiodło się.

Kapłani usłyszeli wołanie swego boga, Segojana, wyczuli powrót magii kapłańskiej. Dla svirfnebli żaden czyn nie mógłby lepiej przypieczętować końca tego dziwnego okresu, żaden czyn nie mógłby ich lepiej zapewnić, że wszystko jest znów w porządku niż przyzwanie żywiołowego giganta ziemi. To była ich sfera, ich życie i ich miłość. Byli dostrojeni do skał, byli jednością z kamieniami oraz piaskiem, które otaczały ich siedziby. Przyzwanie żywiołaka, dzielenie się jego przyjaźnią, powie kapłanom, że z ich bogiem jest wszystko w porządku. Nic innego by nie wystarczyło.

Próbowali kilka razy. Pierwsze przyzwanie nic nie sprowadziło, nawet ziemia nie zadrżała.

Drugie, trzecie i czwarte wzniosło wysokie kamienne kolumny, nie ukazujące jednak śladu ruchu. Trzy stalagmitowe kopce w tej właśnie komnacie były świadectwem owych porażek.

Przy piątej próbie żywiołak pojawił się i kapłani uradowali się - dopóki potwór nie rzucił się na nich w szale, zabijając tuzin gnomów, zanim Belwar i jego grupa zdołali ich rozdzielić. Ta porażka była chyba najgorszą rzeczą, jaka mogła spotkać gnomy. Doszli bowiem do przekonania, że Segojan jest nie tylko poza ich zasięgiem, lecz również, że być może, jest na nich rozgniewany. Próbowali znów - i ponownie żywiołak pojawił się jedynie po to, by ich zaatakować.

Przy tym szóstym razie obrona Belwara była lepiej umiejscowiona i potwór o kamiennych kończynach został pokonany szybko, bez strat w szeregach svirfnebli.

Po tej drugiej katastrofie Belwar poprosił kapłanów, by poczekali chwilę przed następną próbą, jednak odmówili, zdesperowani odzyskać łaskę Segojana, chcąc dowiedzieć się, że ich bóg jest z nimi. Belwar nie był jednak pozbawiony wpływów, poszedł do króla Schnickticka i wymusił kompromis.

Od tego szóstego przyzywania minęło pięć dni, podczas których kapłani oraz całe Blingdenstone modliło się do Segojana, prosząc go, by nie obracał się już przeciwko nim.

Svirfhebli nie wiedzieli, że podczas owych pięciu dni zakończyły się również Trudne Czasy i panteon został doprowadzony do porządku.

Belwar obserwował teraz, jak odziani w szaty kapłani rozpoczęli taniec wokół ozdobionego runami kręgu, jaki wyrysowali na ziemi. Każdy z nich trzymał kamień, mały, zaklęty wcześniej zielony klejnot. Jeden po drugim umieścili kryształy na obwodzie koła i zmiażdżyli je wielkimi, drewnianymi młotami. Kiedy zostało to zakończone, wysoki kapłan wszedł do kręgu, umieścił swój klejnot na ziemi i, wykrzykując finalne słowa, roztrzaskał go swym mithrilowym młotem.

Przez chwilę była jedynie cisza, po czym ziemia zaczęła lekko drżeć. Wysoki kapłan wybiegł z kręgu, by dołączyć do swych stłaczających się towarzyszy.

Drżenie wzmogło się, zwielokrotniło i wokół obwodu zaklętego obszaru pojawiła się szeroka rysa, oddzielając krąg od reszty komnaty. Wewnątrz kręgu skała rozszczepiła się i połączyła z powrotem, stając się miękkim mułem.

Bańki rosły i pękały z donośnymi trzaskami, a w całej komnacie ociepliło się.

Z podłogi wyłoniła się duża głowa - ogromna głowa!

Na półce skalnej Belwar i jego podwładni jęknęli. Nigdy wcześniej nie widzieli tak wielkiego żywiołaka! Nagle wszyscy zaczęli obmyślać drogi ucieczki zamiast ataku.

Z podłogi wysunęły się ramiona, po jednym z każdej strony - ramiona, które jednym zamachem

mogłyby posłać kapłanów w otchłań zapomnienia. Na twarzach duchownych i wojowników zaciekawione spojrzenia mieszały się z trwogą. Stworzenie to nie przypominało żadnego widzianego przez nich wcześniej żywiołaka. Choć jego kamień był gładszy, bez śladu pęknięć, wydawał się bardziej niedokończony, mniej przywoływał na myśl istotę dwunożną. Mimo to wydzielał jednocześnie aurę prawdziwej mocy, przewyższającej wszystko, czego gnomy kiedykolwiek doświadczyły.

- Chwały Segojana jesteśmy świadkami! - zapiszczał radośnie jeden z gnomów obok Belwara.

- Albo końca naszego ludu - dodał pod nosem Belwar, tak by nikt nie mógł usłyszeć.

Po obwodzie głowy oraz ramion gnomy spodziewały się, że potwór wzniesie się do siedmiu lub więcej metrów, kiedy jednak drżenie zatrzymało się i wszystko znów ucichło, stwór mierzył zaledwie niewiele ponad trzy metry - nie był nawet tak wysoki jak wiele z żywiołaków, które wcześniej przywoływali nawet pojedynczy kapłani svirfhebli. Mimo to gnomy nie miały wątpliwości, że jest to wielkie osiągnięcie, że stworzenie to jest potężniejsze niż wszystko, co kiedykolwiek przyzwały. Kapłani mieli swoje podejrzenia - podobnie jak Belwar, który żył od dawna i słuchał uważnie legend, dzięki którym jego lud miał swą tożsamość oraz siłę.

- Entemoch! - wielce szanowany nadzorca kopaczy wydyszał ze swej półki skalnej i imię to, oznaczające księcia żywiołaków ziemi, zostało powtórzone od gnoma do gnoma.

Jak można było się spodziewać, rozbrzmiało inne miano, Ogremocha, złego bliźniaka Entemocha, i zostało wypowiedziane gwałtownie, z wyraźnym strachem. Gdyby był to Ogremoch, nie Entemoch, wszyscy byliby zgubieni.

Kapłani padli na kolana, trzęsąc się, składając hołd, żywiąc nadzieję, że to istotnie Entemoch, który zawsze był ich przyjacielem.

Belwar był pierwszym, który zjechał z półki skalnej, uderzając ze sieknięciem o ziemię i biegnąc, by stanąć przed przyzwanym stworzeniem.

Spojrzało na niego z wysoka, nie poruszyło się i nie dało żadnego znaku co do swych intencji.

- Entemochu! - wrzasnął Belwar. Za nim kapłani podnieśli twarze, a niektórzy zebrali się na odwagę, by wstać i podejść do odważnego nadzorcy kopaczy.

- Entemochu! - zawołał Belwar. - Na wezwanie nasze odpowiedziałeś. Czy mamy wziąć to za znak, że wszystko jest w porządku z Segojanem, że w jego łasce jesteśmy?

Stwór opuścił swą wielką dłoń na podłogę przed Belwarem. Nadzorca kopaczy spojrzał na stojącego po jego prawej stronie wysokiego kapłana.

Kapłan przytaknął.

- Ufać w Segojana naszym obowiązkiem jest - powiedział i wraz z Belwarem weszli na dłoń.

Unieśli się, zatrzymując tuż przed twarzą behemota. Uspokoili się i byli szczęśliwi, ujrzeli tam bowiem współczucie i przyjaźń. To rzeczywiście był Enternoch, nie Ogremoch, obydwaj wiedzieli to w sercach, a Segojan był przy nich.

Książę żywiołaków uniósł dłoń nad głowę i stopił się z powrotem z ziemią, pozostawiając Bel wara oraz wysokiego kapłana w środku kręgu, całkowicie zrośniętego.

W komnacie rozległy się wiwaty i twarz niejednego zaprawionego życiem svirfnebli była zlana łzami. Kapłani klepali się po plecach, gratulując sobie i wszystkim gnomom z Blingdenstone. Wyśpiewywali pochwały na cześć króla Schnickticka, którego przewodnictwo doprowadziło ich na ów szczyt osiągnięć svirfnebli.

Dla przynajmniej jednego z nich, Belwara, celebracja była krótkotrwała. Wyglądało na to, że ich bóg był z powrotem przy nich, a magia powracała, jednak co to znaczyło dla drowów z Menzoberranzan? - zastanawiał się wielce szanowany nadzorca kopaczy. Czy Pajęcza Królowa również wróciła? A także moce drowich czarodziejów?

Zanim to wszystko się zaczęło, gnomy doszły do przekonania, i nie bez powodu, że drowy szykują się do wojny. Wraz z nadejściem tych chaotycznych czasów wojna nie nadeszła, jednak Belwar wiedział, że to rozsądne, bowiem mroczne elfy bardziej polegały na magii niż gnomy. Jeśli sytuacja znów była w porządku, na co wydawało się wskazywać pojawienie Entemocha, to Blingdenstone mogło wkrótce stać się zagrożone.

Wszyscy wokół wielce szanowanego nadzorcy kopaczy, kapłani i wojownicy, tańczyli i krzyczeli radośnie. Jak szybko, zastanawiał się, te krzyki staną się wrzaskami bólu czy żałosnym płaczem?

ROZDZIAŁ 13

NAPRAWIANIE SZKÓD

Delikatnie! - wyszeptał ostro Fret, obserwując dłonie Drizzta, gdy drow zdrapywał wyschniętą maść z szyi figurki pantery. - Och, bądź ostrożny!

Oczywiście, że Drizzt był ostrożny! Ostrożniejszy niż kiedykolwiek wcześniej. Choć figurka wydawała się być ważna dla Freta, była po stokroć ważniejsza dla Drizzta, który był bardzo przywiązany i kochał swą towarzyszkę. Nigdy wcześniej drow nie wykonywał bardziej odpowiedzialnego zadania, ani za pomocą sprytu, ani broni. Teraz używał delikatnego narzędzia, jakie dał mu Fret, wąskiego, srebrnego pręta ze spłaszczonym i lekko zakrzywionym końcem.

Odpadł kolejny kawałek maści - około centymetra bocznej strony szyi pantery było już od niej wolne. I pozbawione jakichkolwiek rys, zauważył z otuchą Drizzt. Substancja tak doskonale związała onyksową figurkę, że nie było widać żadnej linii, gdzie było wcześniej pęknięcie.

Drizzt zdusił ekscytację, rozumiejąc, że nieuchronnie doprowadziłaby go do pośpiechu. Nie mógł się spieszyć. Obwód onyksowej figurki miał nie więcej niż kilkanaście centymetrów, jednak Drizzt w pełni spodziewał się, a Fret zgadzał się z tymi szacunkami, że spędzi na pracy cały poranek.

Drow tropiciel odsunął się od figurki, by Fret mógł obejrzeć oczyszczony fragment. Schludny krasnolud skinął po chwili głową do Drizzta, a nawet uśmiechnął się z nadzieją. Fret ufał magii pani Alustriel oraz jej zdolnościom naprawiania tragedii.

Klepnąwszy Drizzta w ramię, krasnolud odszedł na bok, a Drizzt wrócił do pracy, powoli i delikatnie zdrapując jeden mały kawałek po drugim.

Do południa szyja była oczyszczona z maści. Drizzt obrócił figurkę w dłoniach, przyglądając się miejscu, w którym było pęknięcie. Nie widział żadnego śladu, żadnej rysy czy pozostałości mazidła, żadnej wskazówki, że figurka była uszkodzona. Chwycił przedmiot za głowę i, po długim uspokajającym oddechu, odważył się ją podnieść, koncentrując cały ciężar na miejscu pęknięcia.

Wytrzymała. Drizzt potrząsnął dłonią, ośmielając się sprawdzić, czy nie pęknie, jednak nie zrobiła tego.

- Więź będzie równie mocna jak każde inne miejsce na figurce - zapewnił drowa Fret. - Nabierz otuchy, że znów jest cała.

- Zgoda - odparł Drizzt - ale co z jej magią? Fret nie wiedział, co odpowiedzieć.

- Prawdziwym wyzwaniem będzie odesłanie Guenhwyvar do domu na Planie Astralnym - ciągnął drow.

- Albo przyzwanie jej z powrotem - dodał Fret.

Myśl ta dotknęła Drizzta. Wiedział, że schludny krasnolud ma rację. Mógł otworzyć tunel, by pozwolić Guenhwyvar wrócić do domu, jedynie po to, by stracić panterę na zawsze. Mimo to Drizzt nie myślał o pozostawieniu kocicy przy sobie. Jej stan ustabilizował się - najwyraźniej pantera rzeczywiście była w stanie pozostać na Planie Materialnym na zawsze - nie cieszyła się jednak najlepszym zdrowiem czy nastrojem. Choć nie wyglądało już na to, że grozi jej śmierć, Guenhwyvar błąkała się w stanie nieprzerwanego wyczerpania, mięśnie obwisły na jej niegdyś smukłych bokach, a oczy zamykały się często, gdy pantera próbowała odnaleźć tak jej potrzebny sen.

- Lepiej odesłać Guenhwyvar do jej domu - powiedział z determinacją Drizzt. - Z pewnością moje życie utraci na znaczeniu, jeśli nie będę w stanie przywołać jej z powrotem, jednak będzie to lepsze niż życie, które teraz musi znosić.

Poszli razem z figurką do pokoju Drizzta. Jak zazwyczaj Guenhwyvar leżała na dywanie przed kominkiem, wchłaniając ciepło rozgrzanych węgli. Drizzt nie wahał się. Podszedł tuż do pantery - która podniosła ociężale głowę, by na niego spojrzeć - i umieścił figurkę na podłodze przed nią.

- Pani Alustriel i obecny tutaj dobry Fret przyszli nam na pomoc, Guenhwyvar - oznajmił Drizzt. Głos mu lekko drżał, gdy starał się ciągnąć dalej, uderzyła go bowiem świadomość, że może widzieć panterę po raz ostatni.

Guenhwyvar wyczuła ten niepokój i z wielkim wysiłkiem zdołała wstać, umieszczając głowę na wysokości twarzy klęczącego Drizzta.

- Idź do domu, moja przyjaciółko - wyszeptał Drizzt. - Do domu.

Pantera zawahała się, spoglądając bacznie na drowa, jakby starając się określić źródło wyraźnego niepokoju Drizzta. Guenhwyvar również miała odczucie - wypływające z Drizzta, nie z figurki, która znów wydawała się panterze całością - że może to być ostateczne pożegnanie drogich przyjaciół.

Pantera nie miała jednak kontroli nad tą kwestią. W swym wyczerpanym stanie Guenhwyvar nie mogła zignorować wołania magii, nawet gdyby próbowała. Trzęsąc się kocica wstała i obeszła figurkę.

Kiedy kocica zniknęła, Drizzt podniósł figurkę, nabierając otuchy z faktu, że nie dochodziło z niej ciepło, że najwyraźniej to, co popsuło się, kiedy ostatnim razem próbował odesłać Guenhwyvar, nie powtarzało się już. Zdał sobie nagle sprawę, jaki jest głupi, i Spojrzał na Freta, a jego fioletowe oczy rozszerzyły się w szoku.

- O co chodzi? - spytał schludny krasnolud.

- Nie mam miecza Catti-brie! - wyszeptał ostro Drizzt. - Jeśli ścieżka na Plan Astralny nie jest czysta...

- Magia znów działa prawidłowo - odparł natychmiast Fret, wymachując uspokajająco ręką. - W figurce i w całym otaczającym nas świecie. Magia znów działa prawidłowo.

Drizzt przysunął figurkę bliżej siebie. Nie miał pojęcia, gdzie może być Catti-brie i wiedział, że ma miecz ze sobą. Wszystkim, co mógł zrobić, było siedzieć w napięciu, czekać i mieć nadzieję.

* * *

Bruenor siedział na swoim tronie, a Regis obok niego. Halfling wyglądał na bardziej podekscytowanego niż krasnoludzki król. Regis widział już gości, którzy zostaną wkrótce zaanonsowani Bruenorowi, a ciekawski Regis zawsze cieszył się, widząc niezwykłych Harpellów z Longsaddle. Przybyło ich do Mithrilowej Hali czworo, czworo czarodziejów, którzy mogli odegrać ważną rolę w obronie krasnoludzkiego kompleksu - jeśli niechcący nie obrócą tego miejsca w perzynę.

Takie było ryzyko kontaktów z Harpellami.

Wpadli do sali tronowej, niemal tratując biednego krasnoluda, który wszedł pierwszy, by ich zapowiedzieć. Był oczywiście Harkle, z obandażowaną twarzą, bowiem jego oczy były już w Mithrilowej Hali. Prowadził go gruby Regweld, który wjechał do zewnętrznych korytarzy na zagadkowym wierzchowcu, z przodu przypominającym konia, zaś z tyłu posiadającym nogi oraz zad bardziej pasujące do żaby. Regweld nazwał tę istotę odpowiednio, mówiąc na nią Kałużoskoczek.

Trzeciego Harpella Bruenor i Regis nie znali, a czarodziej nie podał swego imienia. Mruknął jedynie i skinął w ich stronę głową.

- Jestem Bella don DelRoy Harpell - obwieściła czwarta, niska i dość ładna młoda kobieta, nie licząc faktu, że jej oczy nie spoglądały w tę samą stronę. Obydwie gałki oczne były zielone, lecz jedna lśniła wewnętrznym światłem, podczas gdy druga była zamglona i szarawa. Belli jednak wydawało się to tylko poprawiać urodę, dając jej rysom dość egzotyczny wygląd.

Bruenor rozpoznał jedno z podanych nazwisk i zrozumiał, że Bella jest najprawdopodobniej przywódczynią tej grupy.

- Córka DelRoya, władcy Longsaddle? - spytał krasnolud, na co niewysoka kobieta pochyliła się

nisko w ukłonie, tak nisko, że jej jasnoblond włosy niemal zamiotły podłogę.

- Pozdrowienia z Longsaddle, ósmy królu Mithrilowej Hali - powiedziała grzecznie Bella. - Twoje wezwanie nie zostało zlekceważone.

Szkoda, pomyślał Bruenor, jednak zachował taktowne milczenie.

- Wraz ze mną są...

- Harkle i Regweld - przerwał Regis, znając tych dwóch dość dobrze z poprzedniego pobytu w Longsaddle. - Miło was spotkać! I dobrze widzieć, że twoje eksperymenty z krzyżowaniem konia oraz żaby przyniosły owoce.

- Kałużoskoczek! - odparł radośnie smutny zazwyczaj Regweld. Imię to obiecywało widok, który Regis chciałby ujrzeć!

- Jestem córką DelRoya - rzekła raczej ostro Bella, spoglądając bezpośrednio na halflinga. - Proszę, nie przerywaj mi już więcej albo zmienię cię w coś, co Kałużoskoczek z przyjemnością zje.

Iskra w jej zdrowym oku gdy patrzyła na Regisa oraz podobny błysk w szarych oczach halflinga, powiedziały Regisowi, że groźba nie była pusta. I tak zresztą się nią przejął, zapragnąwszy nagle zachować Bellę po dobrej stronie. Nie miała nawet metra pięćdziesięciu, uświadomił sobie halfling, i miała lekką nadwagę, przypominając trochę nieco większą wersję samego Regisa - tyle że nie można było się mylić co do jej kobiecych atrybutów. A przynajmniej Regis nie mógł.

- Moim trzecim towarzyszem jest Bidderdoo - ciągnęła Bella. Imię to zabrzmiało zaskakująco znajomo zarówno dla Bruenora, jak i Regisa, i wszystko stało się jasne, gdy Bidderdoo odpowiedział na prezentację szczeknięciem.

Bruenor jęknął, a Regis klasnął w ręce i roześmiał się głośno. Kiedy przejeżdżali przez Longsaddle, szukając Mithrilowej Hali, Bidderdoo, wskutek użycia złego eliksiru, odgrywał rolę psa rodzinnego Harpellów.

- Transformacja nie jest jeszcze całkowita - przeprosiła Bella i szybko klepnęła Bidderdoo w ramię, przypominając mu, by trzymał język za zębami.

Harkle chrząknął głośno i poruszył się niespokojnie.

- Oczywiście - powiedział natychmiast Bruenor, dostrzegając aluzję. Krasnolud gwizdnął i z bocznego pomieszczenia wyłonił się jeden z jego pomocników, trzymając pozbawione ciała oczy, po jednym w każdej dłoni. Trzeba przyznać krasnoludowi, że starał się trzymać je tak nieruchomo, jak tylko mógł, i wymierzył obydwa w stronę Harkle'a.

- Och, tak dobrze znów się widzieć! - uradował się czarodziej i obrócił się. Podążając za tym, co

widział, ruszył ku sobie, albo ku swym oczom, albo tak naprawdę ku tylnej ścianie oraz drzwi, przez które właśnie przeszedł wraz ze swymi towarzyszami. Krzyknął - Nie, nie! - i zatoczył pełne koło, starając się odzyskać koordynację, co nie było łatwe, gdy spoglądało się na siebie z przeciwległej strony pomieszczenia.

Bruenor znów jęknął.

- To jest takie zagmatwane! - stwierdził zrozpaczony Harkle, gdy Regweld chwycił go i próbował odwrócić.

- Ach, tak - powiedział czarodziej i obrócił się z powrotem w złą stronę, kierując do drzwi.

- W drugą stronę! - krzyknął sfrustrowany Regweld. Bruenor złapał krasnoludzkiego pomocnika i zabrał oczy, obracając oba tak, by spoglądały prosto w jego wykrzywioną twarz.

Harkle wrzasnął.

- Hej! - ryknął Bruenor. - Odwróć się.

Harkle uspokoił się i zrobił, co mu polecono, odwracając się z powrotem do Bruenora.

Bruenor spojrzał na Regisa, parsknął i cisnął jedno z oczu w stronę Harkle'a, ułamek sekundy później puszczając za nim następne, tak że oba wzniosły się w powietrze.

Harkle wrzasnął ponownie i zemdlał.

Regweld złapał jedno z oczu, Bidderdoo rzucił się po drugie z otwartymi ustami. Na szczęście Bella odepchnęła go. Chybiła jednak i oko odbiło się jej od ręki, upadło na podłogę i potoczyło kawałek.

- To było bardzo niegrzeczne, królu krasnoludzie! - rzuciła ganiąco córka DelRoya. - To było... - Nie mogła utrzymać tej fasady i zaraz wybuchła śmiechem, podobnie jak jej towarzysze (choć chichot Bidderdoo brzmiał bardziej jak warkot). Regis dołączył się, Bruenor również, lecz jedynie na moment. Krasnoludzki król nie mógł zapomnieć o fakcie, że ci pozujący na ważniaków czarodzieje mogli być jego jedyną magiczną osłoną przed armią mrocznych elfów.

Nie była to przyjemna wizja.

* * *

Drizzt opuścił Mithrilową Halę o świcie następnego poranka. Poprzedniej nocy widział ogień na zboczu góry i wiedział, że to Catti-brie. Wciąż nie próbował wzywać Guenhwyyar z powrotem i również teraz powstrzymywał to pragnienie, przypominając sobie, by zajmować się jednym problemem naraz. Teraz problemem była Catti-brie, a dokładniej jej miecz.

Odnalazł młodą kobietę, gdy okrążył załom ścieżki, wchodząc w cień między dwoma wielkimi głazami. Była niemal bezpośrednio pod nim, na małej, płaskiej polanie, wychodzącej na rozległe, pofalowane tereny na wschód od Mithrilowej Hali. W związku z tym, że wstające słońce przełamywało horyzont dokładnie przed nią, Drizzt dostrzegał jedynie jej sylwetkę. Poruszała się zgrabnie, wykonując wyćwiczony taniec z mieczem, rysując nim powolne, przeciągłe linie przed i nad sobą. Drizzt obserwował i odpoczywał, podziwiając zarówno wdzięk, jak i doskonałość tańca kobiety. To on jej to pokazał, a Catti-brie, jak zawsze, dobrze przyswoiła lekcję. Drizzt uświadomił sobie, że mogłaby być jego cieniem, tak perfekcyjne i zsynchronizowane były jej ruchy.

Pozwolił jej kontynuować, zarówno z powodu wagi tych ćwiczeń, jak i dlatego, że radowało go spoglądanie na nią.

W końcu, po niemal dwudziestu minutach, Catti-brie wzięła głęboki oddech i podniosła ręce, rozkładając je szeroko, pławiąc się we wstającym słońcu.

- Dobra robota - pogratulował Drizzt, podchodząc do niej. Catti-brie niemal podskoczyła na ten dźwięk i obróciła się, lekko zawstydzona oraz zdenerwowana widząc drowa.

- Powinieneś ostrzec dziewczynę - powiedziała.

- Natknąłem się na ciebie przypadkiem - skłamał Drizzt. - Jednak wydaje się, że to dobrze.

- Widziałam, jak Harpellowie wchodzili wczoraj do Mithrilowej Hali - odparła Catti-brie. - Rozmawiałeś z nimi?

Drizzt potrząsnął głową.

- Oni nie są teraz istotni - wyjaśnił. - Muszę porozmawiać jedynie z tobą.

Brzmiało to poważnie. Catti-brie odeszła, by wsunąć miecz do pochwy, jednak Drizzt podniósł dłoń, wskazując jej, by się zatrzymała.

- Przyszedłem po miecz - wyjaśnił.

- Khazid'heę? - spytała zdumiona Catti-brie.

- Co? - zapytał jeszcze bardziej zaskoczony drow.

- Tak się nazywa - wytłumaczyła Catti-brie, trzymając przed sobą klingę. Jej ostra jak brzytwa

krawędź znów lśniła czerwienią. - Khazid'hea.

Drizzt znał to słowo, pochodziło z języka drowów! Oznaczało „ciąć" lub „coś, co tnie" i wydawało się naprawdę odpowiednim imieniem dla ostrza, które potrafiło przeciąć litą skałę. Skąd jednak Catti-brie je znała? - zastanawiał się drow, a jego twarz zadawała to pytanie wyraźniej, niż mogłyby to zrobić jakiekolwiek słowa.

- Miecz mi powiedział! - odpowiedziała Catti-brie.

Drizzt przytaknął i uspokoił się. Nie powinien być tak zaskoczony - w końcu wiedział, że miecz posiada świadomość.

- Khazid'heę - zgodził się drow. Wyciągnął Błysk z pochwy, obrócił go w dłoni i podał rękojeścią do przodu Catti-brie.

Wpatrywała się bez wyrazu w dar, nie rozumiejąc.

- Uczciwa wymiana - wyjaśnił Drizzt. - Błysk za Khazid'heę.

- Wolisz sejmitar - rzekła Catti-brie.

- Nauczę się używać harmonijnie sejmitara i miecza - odparł Drizzt. - Zaakceptuj wymianę. Khazid'hea poprosiła, abym to ja ją dzierżył, i podporządkuję się. Ja i ostrze powinniśmy się połączyć.

Mina Catti-brie przeszła z zaskoczenia w niedowierzanie. Nie mogła uwierzyć, że Drizzt mógł żądać od niej czegoś takiego! Spędziła całe dnie - tygodnie! - sama w górach, ćwicząc z tym mieczem, łącząc się z jego nadnaturalną inteligencją, starając się nawiązać więź.

- Zapomniałaś o naszym spotkaniu? - spytał dość okrutnie Drizzt. Catti-brie zaczerwieniła się mocno. Istotnie, nie zapomniała i nigdy nie zapomni, i jakże głupio czuła się, gdy uświadomiła sobie, że ona - a przynajmniej jej miecz, wykorzystując jej ciało - rzuciła się na Drizzta.

- Daj mi miecz - powiedział Drizzt stanowczo, wymachując rękojeścią Błysku przed oszołomioną młodą kobietą. - Ja i ostrze powinniśmy się połączyć.

Catti-brie ścisnęła defensywnie Khazid'heę. Zamknęła oczy i wydawała się chwiać, a Drizzt odniósł wrażenie, że komunikuje się z klingą, słucha jej odczuć.

Kiedy otworzyła z powrotem oczy, wolna dłoń Drizzta wysunęła się po miecz i, ku zdumieniu i zadowoleniu drowa, czubek miecza uniósł się nagle, drasnął jego rękę i zmusił go do cofnięcia jej.

- Miecz cię nie chce! - Catti-brie praktycznie warknęła.

- Zaatakowałabyś mnie? - spytał Drizzt i jego pytanie uspokoiło młodą kobietę.

- To tylko reakcja - wyjąkała, starając się przeprosić.

Tylko reakcja, powtórzył w myślach Drizzt, jednak właśnie taka reakcja, jaką miał nadzieję ujrzeć. Miecz chciał bronić jej prawa, by go dzierżyła. Odrzucił Drizzta na rzecz prawowitej właścicielki.

W mgnieniu oka Drizzt przekręcił Błysk i schował do pochwy. Jego uśmiech dał Catti-brie wskazówkę co do prawdziwej natury tego spotkania.

- Próba - powiedziała. - Właśnie wystawiłeś mnie na próbę.

- To było konieczne.

- Nigdy nie miałeś zamiaru wziąć Khazid'hei - ciągnęła kobieta głosem podniesionym od gniewu. - Nawet gdybym zgodziła się na twoją ofertę...

- Wziąłbym miecz - odpowiedział szczerze Drizzt. - I umieściłbym go na widoku w bezpiecznym miejscu w Sali Dumathoina.

- I zabrałbyś z powrotem Błysk - wydyszała Catti-brie. - Ty kłamliwy drowie!

Drizzt rozważył te słowa, po czym wzruszył ramionami, zgadzając się najwyraźniej z tym rozumowaniem.

Catti-brie wydęła z oburzeniem wargi i pokręciła głową, wskutek czego jej kasztanowa czupryna opadła jej na ramiona.

- Miecz po prostu wie, że jestem lepsza w walce - powiedziała, brzmiąc szczerze.

Drizzt roześmiał się głośno.

- A więc wyciągnij klingi! - sapnęła Catti-brie, przechodząc w pozycję gotowości. - Pokażę ci, co ja i mój miecz potrafimy zrobić!

Drizzt uśmiechał się szeroko, gdy w jego dłoniach pojawiały się sejmitary. Wiedział, że będzie to ostatnia i najistotniejsza próba, która pokaże, czy Catti-brie naprawdę uzyskała kontrolę nad mieczem.

Metal zabrzęczał w czystym porannym powietrzu, dwoje przyjaciół krążyło wokół siebie, a ich oddechy formowały na mrozie obłoki pary. Wkrótce po rozpoczęciu sparingu Drizzt opuścił osłonę, dając Catti-brie możliwość do idealnego ataku.

Khazid'hea natarła, jednak zatrzymała się daleko i młoda kobieta odskoczyła.

- Zrobiłeś to celowo! - krzyknęła oskarżające i miała rację, zaś nie wykonując paskudnego trafienia, ona i jej miecz przeszli drugą próbę.

Została już tylko ostatnia.

Drizzt nic nie powiedział i przykucnął. Catti-brie zauważyła, że nie ma na sobie bransolet, tak więc najprawdopodobniej będzie pozbawiony równowagi. Zaatakowała mimo to, z ochotą i zaciekłością, rozpoczynając wspaniałą walkę, gdy słońce wyłoniło się całkowicie zza horyzontu i rozpoczęło powolną wspinaczkę po wschodnim niebie.

Nie mogła jednak dorównać drowowi, zresztą tak naprawdę od dawna nie widziała, by Drizzt walczył z takim wigorem. Kiedy sparing się zakończył, Catti-brie siedziała, na jej ramionach spoczywały swobodnie sejmitary, a jej własny miecz leżał na ziemi kilka kroków dalej.

Drizzt obawiał się, że rozumny miecz będzie rozwścieczony tym, iż jego właścicielka została tak pokonana. Odszedł od Catti-brie i pierwszy zbliżył się do Khazid'hei, pochylając się nisko, by ją podnieść. Drow zatrzymał się jednak z dłonią zaledwie kilka centymetrów od rękojeści.

Rękojeść Khazid'hei nie była już jednorożcem, nie była nawet diabłem, którego wygląd przyjmowała w dłoniach Dantraga Baenre. Teraz przypominała szczupłe kocie ciało, coś jak biegnącą Guenhwyvar z wyciągniętymi nogami i grzbietem. Co było jednak ważniejsze dla Drizzta, na boku owego kota był wyryty run, bliźniacze góry, symbol Dumathoina, boga krasnoludów, boga Catti-brie, strażnika sekretów pod górą.

Drizzt podniósł Khazid'heę i nie wyczuł wrogości ani jakiegokolwiek pożądania, jakie wcześniej okazywał wobec niego miecz. Catti-brie podeszła wtedy do niego, uśmiechając się, gdy ujrzała, że docenia jej wybór rękojeści.

Drizzt podał Khazid'heę z powrotem jej prawowitej właścicielce.

ROZDZIAŁ 14

GNIEW LLOTH

Baenre znów czuła się silna. Lloth wróciła i była z nią, a K'yorl Odran, ta nędzna K'yorl, bardzo się pomyliła. Zawsze dotąd Pajęcza Królowa utrzymywała dom Oblodra w swej lasce nawet mimo tego, że tak zwane kapłanki domu nie były pobożne i czasami otwarcie wyrażały swą pogardę wobec Lloth. Owe dziwne moce Oblodranek, ich psioniczna siła, intrygowały Lloth w tym samym stopniu, co przerażały pozostałe domy Menzoberranzan. Żaden z domów nie chciał wojny z K'yorl i jej klanem, a Lloth jej nie wymagała. Gdyby Menzoberranzan zostało kiedykolwiek zaatakowane z zewnątrz, zwłaszcza przez ilithidy, których jaskinia leżała niedaleko, K'yorl oraz Oblodranki byłyby bardzo pomocne.

Jednak już nie teraz. K'yorl przekroczyła bardzo niebezpieczną linię. Zamordowała matkę opiekunkę i choć to samo w sobie nie było niespotykane, zamierzała uzurpować sobie moc kapłanek Lloth, nie z imienia Pajęczej Królowej.

Opiekunka Baenre wiedziała o tym wszystkim, czuła w sobie wolę oraz siłę Lloth.

- Trudne Czasy minęły - obwieściła swojej rodzinie, wszystkim zgromadzonym w jej domu, w świeżo naprawionej kaplicy.

Była tam również Mez'Barris Armgo, na honorowym miejscu na centralnym podwyższeniu, zaproszona osobiście przez opiekunkę Baenre.

Opiekunka Baenre usiadła obok matki opiekunki drugiego domu, gdy zgromadzony tłum wybuchł wiwatami, a następnie, pod przewodnictwem Triel, pieśnią do Pajęczej Królowej.

- Zakończyły się? - spytała Mez'Barris Baenre, używając bezgłośnej mowy znaków, bowiem nie mogły się nawzajem usłyszeć nad rykiem dwóch tysięcy żołnierzy Baenre.

- Trudne Czasy się zakończyły - odparły delikatne palce Baenre.

- Nie licząc domu Oblodra - stwierdziła Mez'Barris, na co Baenre jedynie paskudnie zachichotała. Nie było tajemnicą w Menzoberranzan, że dom Oblodra jest w poważnych kłopotach. Rzeczywiście nie tajemnicą, bowiem tanar'ri oraz inne czarty wciąż krążyły wokół kompleksu Oblodran, wyciągając koboldy z półek skalnych wzdłuż Szponoszczeliny, a nawet atakując bez opamiętania każdego członka domu, który się pokazał.

- K'yorl zostanie wybaczone? - spytała Mez'Barris, podnosząc lewy kciuk na końcu zdania, by

zaznaczyć pytanie.

Opiekunka Baenre potrząsnęła energicznie głową, po czym celowo odwróciła wzrok w stronę Triel, która prowadziła tłum w pieśniach do Pajęczej Królowej.

Mez'Barris postukała nerwowo długim, zakrzywionym paznokciem o zęby, zastanawiając się, jak Baenre może być tak pewna tej decyzji. Czy Baenre zamierzała udać się na dom Oblodra sama, czy też zamierzała wezwać Barrison del'Armgo do kolejnego sojuszu? Mez'Barris nie miała wątpliwości, że jej rodzina oraz dom Baenre byliby w stanie zmiażdżyć dom Oblodra, jednak nie przemawiała do niej perspektywa zadzierania z K'yorl i tymi jej niezbadanymi mocami.

Methil, stojąc niewidzialny z boku podwyższenia, odczytał z łatwością te myśli i przekazał je z kolei opiekunce Baenre.

- Taka jest wola Lloth - powiedziała ostro opiekunka Baenre, obracając się, by spojrzeć na Mez'Barris. - K'yorl potępiła Pajęczą Królową, więc zostanie ukarana.

- Przez Akademię, jak jest w zwyczaju? - spytała z nadzieją Mez'Barris.

Zza płonących czerwienią oczu opiekunki Baenre wybuchły żarliwe iskry.

- Przeze mnie - odparła bez ogródek i znów się odwróciła, oznajmiając w ten sposób, że Mez'Barris nie otrzyma żadnych dalszych informacji.

Mez'Barris była wystarczająco rozsądna, by nie naciskać w tej kwestii. Oparła się w fotelu, starając się przemyśleć tę nagłą, niepokojącą informację. Opiekunka Baenre nie oznajmiła, że Oblodra zaatakuje sojusz domów, obwieściła wojnę osobistą. Czy naprawdę wierzyła, że może pokonać K'yorl? Czy też te czarty, nawet wielkie tanar'ri, były bardziej kontrolowane, niż Mez'Barris była skłonna przypuszczać? Myśl ta bardziej niż trochę zaniepokoiła matkę opiekunkę Barrison del'Armgo, bowiem, jeśli byłaby prawdziwa, jakie inne „kary" mogłaby jeszcze wymierzyć rozgniewana i ambitna opiekunka Baenre?

Mez'Barris westchnęła cicho i pozwoliła tej myśli przeminąć. Niewiele mogła zrobić teraz, siedząc w kaplicy domu Baenre, otoczona dwoma tysiącami żołnierzy. Wiedziała, że musi ufać Baenre.

Nie, poprawiła się w milczeniu, nie ufać, nigdy. Mez'Barris musiała żywić nadzieję, że opiekunka Baenre będzie uważać ją za cenniejszą dla sprawy - jakakolwiek mogłaby ona teraz być - żywą niż martwą.

* * *

Siedząc na jaśniejącym błękitem dryfdysku, opiekunka Baenre osobiście prowadziła procesję z domu Baenre w dół z Qu'ellarz'orl i dalej przez miasto, a na każdym kroku jej armia wyśpiewywała pochwały wobec Lloth. Jaszczurczy jeźdźcy Baenre, pod wodzą Berg'inyona, otaczali główne siły, sprawdzając okolicę oraz kompleksy innych domów, by zapewnić, że żadne niespodzianki nie zablokują drogi.

Były to niezbędne środki ostrożności stosowane za każdym razem, gdy pierwsza matka opiekunka wychodziła na zewnątrz, jednak opiekunka Baenre nie obawiała się żadnej zasadzki, nie teraz. Za wyjątkiem Mez'Barris Armgo nikomu innemu nie powiedziano o marszu Baenre i z pewnością pomniejsze domy, ani samotnie, ani razem, nie ośmieliłyby się uderzyć na pierwszy dom, chyba że atak byłby doskonale skoordynowany.

Z przeciwległego końca wielkiej jaskini szła kolejna procesja, również prowadzona przez Baenre. Triel, Gromph oraz inne mistrzynie i mistrzowie Akademii drowów wyszli ze swych budynków, prowadząc wszystkich swoich studentów. Zazwyczaj to właśnie ta siła, potężna Akademia, wykonywała kary na domach za zbrodnie przeciwko Menzoberranzan, jednak tym razem Triel została poinformowana, że jej uczniowie pójdą jedynie obserwować, jak zostaje odsłaniana chwała Lloth.

W chwili gdy obydwie grupy dołączyły do sił zgromadzonych już przy Szponoszczelinie, ich liczba zwiększyła się pięciokrotnie. Szlachta oraz żołnierze z każdego domu w mieście wyszli, by obserwować przedstawienie, zaraz gdy doszli do zrozumienia, że domy Baenre i Oblodra zakończą walkę raz na zawsze.

Przybywszy przed bramy frontowe domu Oblodra, żołnierze Baenre uformowali defensywne półkole za opiekunką Baenre, zasłaniając ją, nie przed K'yorl i rodziną Odran, lecz przed resztą zgromadzenia. Krążyło wiele szeptów, dłonie błyskały szaleńczo w rozgorączkowanych rozmowach, a czarty, rozumiejąc, że zbliża się jakaś katastrofa, miotały się w furii, opadając na kompleks Oblodra, a nawet ćwicząc zwróconą im magię, wypuszczając czasami biało-błękitną błyskawicę lub kulę ognia.

Opiekunka Baenre pozwalała, by pokaz ten ciągnął się przez kilka minut, zdając sobie sprawę z przerażenia, jakie powoduje w skazanym na zagładę kompleksie. Chciała ponad wszystko rozkoszować się tą chwilą, chciała nurzać się w zapachu strachu emanującym z kompleksu tej najbardziej znienawidzonej rodziny.

Następnie nadszedł czas, by zacząć - a raczej skończyć. Baenre wiedziała, co musi zrobić. Widziała to w wizji podczas ceremonii poprzedzającej wojnę i pomimo wątpliwości Mez'Barris, Baenre utrzymywała wiarę w Pajęczą Królową, wierzyła, że wolą Lloth jest, aby dom Oblodra został pochłonięty.

Sięgnęła pod szatę i wyciągnęła kawałek siarki, tę samą żółtą bryłkę, którą dała jej awatarka, by

kapłanki mogły otworzyć bramę do otchłani w małej komnacie na tyłach Qu'ellarz'orl. Baenre wyrzuciła rękę w górę i wzniosłą się w powietrze. Rozległa się ogromna eksplozja, pomruk grzmotu.

Wszystko nagle ucichło, wszystkie oczy obróciły się ku opiekunce Baenre, wiszącej siedem metrów nad podłogą jaskini.

Berg'inyon, odpowiedzialny za bezpieczeństwo swej matki, spojrzał z kwaśną miną na Sos'Umptu. Uważał, że jego matka jest tam w górze niezwykle odsłonięta.

Sos'Umptu zaśmiała się z niego. Nie był kapłanką, nie mógł rozumieć, że opiekunka Baenre była w tej chwili bardziej chroniona niż kiedykolwiek wcześniej w swoim długim życiu.

- K'yorl Odran! - zawołała Baenre, a jej głos wydawał się zwielokrotniony niczym głos giganta.

* * *

Zamknięta w pokoju na najwyższym poziomie najwyższego stalagmitowego pagórka w kompleksie Oblodra, K'yorl Odran słyszała wołanie Baenre, słyszała je wyraźnie. Jej dłonie zacisnęły się mocno na rzeźbionych marmurowych poręczach fotela. Zacisnęła oczy i nakazała sobie koncentrację.

Teraz, bardziej niż kiedykolwiek wcześniej, K'yorl potrzebowała swych mocy, i teraz, po raz pierwszy, nie mogła ich dosięgnąć! Wiedziała, że coś jest nie w porządku i choć sądziła, że gdzieś za tym musi stać Lloth, wyczuwała, jak wiele kapłanek Pajęczej Królowej czuło, gdy rozpoczęły się Trudne Czasy, że te kłopoty wykraczały poza Lloth.

Problemy zaczęły się wkrótce po tym, jak K'yorl została odpędzona z powrotem do swego domu przez wypuszczonego tanar'ri. Zebrała się wraz z córkami, by sformułować plan ataku, aby odpędzić czarty. Jak zawsze w przypadku wydajnych spotkań Oblodranek, grupa dzieliła swe myśli telepatycznie, co było odpowiednikiem utrzymywania jednocześnie kilku zrozumiałych rozmów.

Plan obrony zapowiadał się dobrze - K'yorl była przekonana, że tanar'ri zostaną odesłane na swój własny plan istnienia, a gdy to się spełni, będzie mogła odpowiednio ukarać wraz ze swą rodziną opiekunkę Baenre i pozostałe. Wtedy stało się coś strasznego. Jeden z tanar'ri wypuścił błyskawicę, palący, oślepiający pocisk, który wywołał pęknięcie wzdłuż zewnętrznego muru kompleksu Oblodra. To samo w sobie nie było złe, bowiem kompleks, jak wszystkie domy w Menzoberranzan, mógł wytrzymać ogromną dozę zniszczeń, jednak wybuch, wskazujący na powrót magicznych mocy, był katastrofalny dla Oblodran.

W tej samej chwili telepatyczna rozmowa zakończyła się gwałtownie i choć szlachcianki

zgubionego domu starały się, jak mogły, nie mogły rozpocząć jej od nowa.

K'yorl była równie inteligentna jak każda drowka w Menzoberranzan. Jej umiejętności koncentracji były niezrównane. Czuła w umyśle psioniczną siłę, moce pozwalające jej przechodzić przez ściany lub wyrywać bijące serca z piersi wrogów. Były tam, głęboko w jej umyśle, jednak nie mogła ich wyciągnąć. Wciąż się obwiniała za brak koncentracji w obliczu katastrofy. Uderzyła się nawet w bok głowy, jakby fizyczny wstrząs mógł wywołać jakąś manifestację magii.

Jej wysiłki były bezowocne. Gdy Trudne Czasy dobiegły końca, gobelin magii w Krainach został utkany na nowo, miało miejsce wiele marszczących go efektów ubocznych. W całych Krainach pojawiły się strefy martwej magii, tereny, w których nie funkcjonowały żadne czary lub, co gorsza, w których żadne czary nie funkcjonowały tak jak powinny. Kolejny z owych efektów ubocznych dotyczył mocy psionicznych, podobnych do magii zdolności umysłu. Siła wciąż tam była, co wyczuwała K'yorl, jednak dotarcie do niej wymagało innej mentalnej drogi niż wcześniej.

Ilithidy, gdy Methil poinformował opiekunkę Baenre, odkryły już ową drogę i ich moce działały niemal tak samo jak dotąd. Były one jednak całą rasą psioników i jako rasa posiadały wspólną inteligencję. Poczyniły już niezbędne usprawnienia, by uzyskać dostęp do swych mocy psionicznych, jednak K'yorl Odran i jej niegdyś potężna rodzina nie zrobiły tego.

Tak więc opiekunka trzeciego domu siedziała w ciemnościach, zaciskając mocno oczy, koncentrując się. Słyszała wołanie Baenre, wiedziała, że jeśli do niej nie pójdzie, ona przyjdzie tutaj.

Mając czas, K'yorl rozwiązałaby tę mentalną łamigłówkę. Mając może miesiąc, zaczęłaby na powrót wykorzystywać swe moce.

K'yorl nie miała miesiąca. Nie miała nawet godziny.

* * *

Opiekunka Baenre czuła magię pulsującą w bryłce siarki, wewnętrzne ciepło, szybko nabierające intensywności. Była zdumiona, gdy jej ręka przesunęła się, bo siarka wymogła na niej, aby zmieniła kąt.

Baenre przytaknęła. Rozumiała, że ruchem tym kieruje jakaś siła zza Planu Materialnego, jakieś stworzenie z otchłani, może nawet sama Lloth. Jej ręka uniosła się, umieszczając pulsującą bryłkę na jednej linii z najwyższym poziomem najwyższej wieży w kompleksie Oblodra.

- Kim jesteś? - spytała.

- Jestem Errtu - rozległa się odpowiedź w jej umyśle. Baenre znała to imię, wiedziała, że stworzenie było balorem, najstraszniejszym i najpotężniejszym tanar'ri. Lloth dobrzeją uzbroiła!

Poczuła jak czysta złośliwość połączonego z nią stworzenia gromadzi się w siarce, czuła, jak energia narasta do punktu, w którym sądziła, że bryłka eksploduje, najprawdopodobniej sprowadzając Errtu do jej boku.

Tak się nie mogło oczywiście stać, choć ona o tym nie wiedziała.

Poczuła moc samego artefaktu, tego wydawać by się mogło nieszkodliwego kawałka siarki, nasączonego magią Lloth, dzierżoną przez najwyższe kapłanki Pajęczej Królowej w całym Menzoberranzan.

Kierując się czystym instynktem, Baenre rozłożyła dłoń i siarka wysłała strumień jaskrawego, iskrzącego się, żółtego światła. Uderzył on wysoko w ścianę wieży Oblodra, tej samej, która oddzielała K'yorl i Baenre. Stalagmitowy pagórek otoczyły linie światła oraz energii, iskrząc się, wgryzając w kamień, pozbawiając to miejsce integralności.

Siarka ucichła na nowo, uwolniwszy swój pocisk najwyraźniej żywej energii, jednak Baenre nie opuściła dłoni i nie odjęła zachwyconego spojrzenia od ściany wieży.

Podobnie jak dziesięć tysięcy mrocznych elfów, które stały za nią. Podobnie jak K'yorl Odran, która ujrzała nagle żółte linie zniszczenia, przeżerające się przez kamień.

Całe miasto wypuściło jednocześnie powietrze, gdy czubek wieży eksplodował w pył i został zdmuchnięty.

Znajdowała się tam K'yorl, wciąż siedząca na swym marmurowym tronie. Nagle znalazła się na widoku, spoglądając na ogromne zbiegowisko.

Wiele uskrzydlonych tanar'ri latało wokół odsłoniętej matki opiekunki, nie zbliżały się jednak za bardzo, roztropnie obawiając się gniewu Errtu, jeżeli pozbawią go choć chwili radości.

K'yorl, zawsze dumna i silna, wstała ze swego tronu i podeszła na skraj wieży. Ogarnęła wzrokiem tłum i wiele drowów, nawet matek opiekunek, odczuwało taki szacunek wobec jej dziwnych mocy, że odwracało wzrok, gdy padało na nie jej badawcze spojrzenie, jakby decydowała z wysoka, kogo ukaże za ten atak.

W końcu wzrok K'yorl spoczął na opiekunce Baenre, która nie wzdrygnęła się i nie odwróciła oczu.

- Jak śmiesz! - ryknęła K'yorl, jednak jej głos wydawał się drobny.

- Jak ty śmiesz! - odkrzyknęła opiekunka Baenre i siła jej głosu odbiła się od ścian jaskini. -

Porzuciłaś Pajęczą Królową!

- Do otchłani z Lloth, tam powinna się znaleźć! - odparła uparta K'yorl i były to ostatnie wypowiedziane przez nią słowa.

Baenre wyrzuciła rękę wyżej i poczuła następną manifestację mocy, otwarcie międzyplanarnej bramy. Nie pojawiło się żółte światło, nie było żadnej widocznej siły, jednak K'yorl ją wyraźnie czuła.

Próbowała krzyczeć w proteście, nie mogła jednak wydobyć z siebie nic poza skamlaniem oraz bulgotem, gdy jej rysy wykrzywiły się nagle, wydłużyły. Starała się opierać, zapierała się piętami i znów koncentrowała na wydobyciu swych mocy.

K'yorl czuła jak jej skóra odrywa się od kości, jak cała sylwetka zostaje rozciągnięta, wydłużona, gdy siarka ciągnęła ją z niezaprzeczalną siłą. Uparcie wytrzymywała niewyobrażalny ból pomimo strasznej świadomości własnej zagłady. Otworzyła usta, chcąc wypowiedzieć jeszcze jedno potępiające przekleństwo, jednak wszystkim, co się z nich wydobyło, był jej język, który wyszedł na całą swą długość, i jeszcze dalej.

K'yorl czuła jak całe jej ciało wyciąga się z wieży, sięgając do siarki oraz bramy. Powinna być już martwa. Wiedziała, że powinna już zginąć pod ogromnym ciśnieniem.

Opiekunka Baenre trzymała stabilnie dłoń, jednak nie mogła powstrzymać się przed zamknięciem oczu, gdy dziwacznie rozciągnięta sylwetka K'yorl wzleciała nagle ze szczytu zniszczonej wieży, kierując się prosto na nią.

Kilka drowów, w tym Berg'inyon, wrzasnęło, inne znów wypuściły gwałtownie powietrze, zaś jeszcze inne wzywały chwałę Lloth, gdy K'yorl, rozciągnięta tak, że przypominała żywą włócznię, wpadła w siarkę, bramę, która zabierze ją do otchłani, do Errtu, wyznaczonego przez Lloth dręczyciela.

Za K'yorl zniknęły czarty, z ogromnym hałasem, rycząc i wypuszczając błyskawicę w kompleks Oblodra, zapalając kule wybuchającego ognia oraz czyniąc inne oślepiające pokazy swej mocy. Zmuszone przez Errtu rozciągnęły się i wleciały w siarkę, a opiekunka Baenre trzymała ją pomimo swego przerażenia.

Po kilku chwilach wszystkie czarty, nawet największe tanar'ri, zniknęły. Opiekunka Baenre wciąż czuła ich obecność, przekształconą w jakiś sposób w siarce.

Nagle wszystko znów było cicho. Wiele mrocznych elfów spoglądało po sobie, zastanawiając się, czy kara była pełna, czy domowi Oblodra pozwoli się trwać pod nową przywódczynią. Szlachta z kilku różnych domów błyskała do siebie sygnałami, wyrażając troskę, że Baenre umieści teraz jedną ze swych córek na czele trzeciego domu, jeszcze bardziej przypieczętowując swą nadrzędną pozycję w mieście.

Baenre nie miała jednak takich myśli. Była to kara, której zażądała Lloth, pełna kara, straszniejsza niż cokolwiek, co kiedykolwiek zostało wymierzone w jakikolwiek dom w Menzoberranzan. Znów kierując się telepatycznymi instrukcjami od Errtu, opiekunka Baenre cisnęła pulsującą bryłę siarki w Szponoszczelinę, a gdy wokół niej rozległy się wiwaty, podziękowania mrocznych elfów uważających ceremonię za zakończoną, rozłożyła szeroko ręce i nakazała im wszystkim być świadkami gniewu Lloth.

Poczuli pierwsze drżenia w Szponoszczelinie pod swymi stopami. Minęło kilka niespokojnych chwil, zbyt cichych, zbyt stłumionych.

Na otwartej platformie na szczycie zniszczonej wieży pojawiła się jedna z córek K'yorl. Podbiegła do krawędzi, wołając do opiekunki Baenre, błagając. Chwilę później, kiedy Baenre nie udzieliła odpowiedzi, zerknęła w bok, ku jednej z podobnych do palców rozpadlin wielkiej Szponoszczeliny.

Jej oczy stały się szerokie, a krzyk niósł w sobie więcej przerażenia, niż kiedykolwiek słyszał jakikolwiek drow. Z wysokiego punktu obserwacyjnego, jaki dawało jej zaklęcie lewitacji, opiekunka Baenre podążyła za jej wzrokiem, rozkładając szeroko i wysoko ręce oraz wołając do swej bogini w ekstazie. Chwilę później tłum zrozumiał.

Nad krawędzią Szponoszczeliny pojawiła się wielka, czarna macka, podążając za kompleks Oblodra. Niczym fala mroczne elfy odsunęły się, potykając się o siebie, gdy gruba na siedem metrów potworność wyłoniła się z tyłu, wzdłuż boku, a następnie wróciła wzdłuż przedniej ściany do rozpadliny.

- Baenre! - błagała zdesperowana, zgubiona Oblodranka.

- Odrzuciłyście Lloth - odparła spokojnie pierwsza matka opiekunka. - Poczujcie jej gniew!

Ziemia pod jaskinią zatrzęsła się lekko, gdy macka, rozgniewana ręka Lloth, zacieśniła swój uchwyt wokół kompleksu Oblodra. Ściany popękały i przewróciły się, gdy istota zaczęła się przesuwać.

Córka K'yorl zeskoczyła z wieży, gdy ona również zaczęła się walić. Minęła mackę i leżała wciąż na ziemi, połamana, choć żywa, kiedy dotarła do niej grupa mrocznych elfów. Znajdował się w niej Uthegental Armgo. Potężny fechmistrz odepchnął pozostałych na bok, powstrzymując ich przed dobiciem tej żałosnej istoty. Podniósł Odran w swych silnych ramionach, a zmaltretowana kobieta spojrzała na niego poprzez zamglone oczy, nawet zmusiła się do słabego uśmiechu, jakby spodziewała się, że przyszedł, by ją uratować.

Uthegental zaśmiał się z niej, podniósł ją nad głowę i pobiegł do przodu, ciskając ją nad macką z powrotem do toczącego się gruzowiska, które niegdyś było jej domem.

Wiwaty i okrzyki były ogłuszające, podobnie jak gruchot, gdy macka wciągnęła wszystko, co było

domem Oblodra, wszystkie budynki oraz drowy, do rozpadliny.

ROZDZIAŁ 15

ZACHŁANNOŚĆ

Najemnik potrząsnął swą łysą głową, co było najbardziej buntowniczym czynem, jaki kiedykolwiek wykonał wobec opiekunki Baenre. Właśnie w tej chwili, tak szybko po budzącym podziw pokazie mocy pierwszej matki opiekunki i zważywszy na fakt, że cieszyła się najwyraźniej najwyższą łaską Pajęczej Królowej, kwestionowanie przez Jarlaxle'a jej planów wydawało się jeszcze bardziej niebezpieczne.

Triel Baenre uśmiechnęła się szyderczo do Jarlaxle'a, a Berg'inyon zamknął oczy. Żadne z nich tak naprawdę nie chciało, aby użyteczny mężczyzna został skatowany na śmierć. Niegodziwa Bladen'Kerst oblizywała jednak niespokojnie wargi i zaciskała przypięty do jej pasa pięciogłowy wężowy bicz, w nadziei, że matka zezwoli jej na tę przyjemność.

- Obawiam się, że to nie jest odpowiedni czas - powiedział Jarlaxle bez ogródek.

- Lloth mówi mi inaczej - odparła Baenre, wydając się dość chłodna i opanowana, pomimo uporu byle mężczyzny.

- Nie możemy być pewni, że nasza magia będzie działać tak, jak oczekujemy - uznał Jarlaxle.

Baenre przytaknęła, a pozostali zdali sobie wtedy sprawę, ku swemu absolutnemu zaskoczeniu, że ich matka cieszy się, iż najemnik wziął na siebie negatywną rolę. Pytania Jarlaxle'a były tak naprawdę adekwatne, pomagały Baenre określić szczegóły proponowanego przez nią nowego sojuszu oraz marszu na Mithrilową Halę.

Kiedy wszystko to do niej dotarło, Triel Baenre przyjrzała się podejrzliwie matce. Gdyby opiekunka Baenre otrzymywała swe instrukcje bezpośrednio od Pajęczej Królowej, jak otwarcie stwierdziła, to w takim razie dlaczego chciałaby, a nawet w ogóle tolerowała, sprzeciw bądź kwestionowanie tego? Dlaczego opiekunka Baenre chciałaby, aby zostały udzielone odpowiedzi na pytania dotyczące roztropności najazdu?

- Magia jest bezpieczna - odparła Baenre.

Jarlaxle przyznał jej rację. Wszystko, co słyszał, zarówno wewnątrz, jak i poza miastem drowów, wydawało się potwierdzać te słowa.

- Nie będziesz miała problemów z formowaniem sojuszu po przedstawieniu, jakim był upadek domu Oblodra. Opiekunka Mez'Barris Armgo przez cały czas była chętna do współpracy, a żadna

matka opiekunka nie ośmieli się nawet zasugerować, że obawia się wyruszyć pod twoim przywództwem.

- Szponoszczelina jest wystarczająco wielka, by pomieścić gruzy wielu domów - powiedziała sucho Baenre.

Jarlaxle parsknął.

- W istocie - rzekł. - I w istocie jest to odpowiedni czas na sojusz, niezależnie od celu, dla jakiego ma zostać sformowany.

- To czas, by wyruszyć na Mithrilową Halę - przerwała Baenre głosem, w którym pobrzmiewała ostateczność. - Czas, by otrząsnąć się z rozpaczy i przywieźć Pajęczą Królową do większej chwały.

- Odnieśliśmy wiele strat - ośmielił się naciskać Jarlaxle. - Dom Oblodra i ich koboldzcy niewolnicy mieli prowadzić atak, ginąc w krasnoludzkich pułapkach zastawionych na drowy.

- Koboldy zostaną wyciągnięte ze swych nor w Szponoszczelinie - zapewniła go Baenre.

Jarlaxle nie sprzeciwił się, jednak teraz, gdy wszyscy członkowie domu Oblodra byli martwi, lepiej niż ktokolwiek inny znał tunele rozciągające się pod krawędzią rozpadliny. Baenre dostaną parę koboldów, być może kilka setek, wszakże dom Oblodra mógłby ich zapewnić wiele tysięcy.

- Hierarchia miasta jest niejasna - ciągnął najemnik. - Trzeci dom już nie istnieje, a czwarty jest bez swej matki opiekunki. Twoja własna rodzina nie otrząsnęła się jeszcze po ucieczce renegata oraz stracie Dantraga i Yendes.

Baenre wstała nagle ze swego tronu. Jarlaxle nawet się nie wzdrygnął, jednak wiele dzieci Baenre zrobiło to, obawiając się, że ich matka dostrzegła prawdę tego ostatniego stwierdzenia najemnika i że Baenre nie będzie po prostu tolerować jakichkolwiek sprzeczek pomiędzy swymi pozostałymi przy życiu dziećmi, kiedy to już uświadomią sobie wszystkie obowiązki i możliwości pozostawione po stracie brata oraz siostry.

Baenre zatrzymała się przed tronem. Przejechała groźnym spojrzeniem po każdym ze swych zgromadzonych dzieci, po czym skierowała je w pełni na impertynenckiego najemnika.

- Chodź ze mną - rozkazała.

Jarlaxle odszedł na bok, by pozwolić jej przejść, po czym posłusznie i roztropnie ruszył w jej ślady. Triel poruszyła się, by pójść za nimi, jednak Baenre obróciła się, zatrzymując swą córkę w miejscu.

- Tylko on - warknęła.

W środku sali tronowej stała czarna kolumna i gdy Baenre zbliżyła się do niej wraz z najemnikiem, na jej, wydawać by się mogło, idealnej oraz nieskazitelnej powierzchni, pojawiła się rysa. Pęknięcie poszerzyło się, gdy przemyślne drzwi otwierały się dalej, pozwalając obojgu wejść do mieszczącej się wewnątrz cylindrycznej komnaty.

Jarlaxle spodziewał się, że gdy drzwi zamkną się z powrotem, oddzielając ich od jej rodziny, Baenre wścieknie się, a może nawet zacznie mu grozić. Matka opiekunka nie powiedziała jednak nic, podeszła jedynie spokojnie do otworu w podłodze. Weszła do niego, lecz nie spadła, zamiast tego spłynęła na kolejny, niższy poziom, trzecią kondygnację wielkiego pagórka Baenre, niesiona prądami magicznej energii. Jarlaxle podążył za nią, zaraz gdy droga stała się wolna, lecz mimo to, kiedy dotarł na trzeci poziom, musiał się pospieszyć, by dogonić matkę opiekunkę, znów prześlizgującą się przez podłogę, a następnie jeszcze raz, dopóki nie dotarła do lochów pod wielkim pagórkiem.

Wciąż nie dała ani słowa wyjaśnień, a Jarlaxle zaczął się zastanawiać, czy zostanie tu uwięziony. Wiele drowów, nawet szlachetnie urodzonych, doświadczyło tego ponurego losu. Krążyły plotki, że kilka osób trzymano jako więźniów Baenre od ponad wieku, torturując ich w nieskończoność, a później lecząc dzięki kapłankom, aby mogli być znów dręczeni.

Machnięcie dłonią przez Baenre spowodowało, że dwaj strażnicy, stojący przy drzwiach do jednej z cel, rzucili się na bok, szukając osłony.

Jarlaxle odczuwał w równym stopniu ulgę co ciekawość, gdy wszedłszy za Baenre do celi, zauważył zagadkowego krasnoluda o baryłkowatej piersi, przykutego do przeciwległej ściany. Najemnik spojrzał znów na Baenre i dopiero wtedy uświadomił sobie, że nie ma ona jednego ze swych zwyczajowych naszyjników, tego zrobionego z zęba krasnoluda.

- Świeża zdobycz? - spytał Jarlaxle, choć podejrzewał coś zupełnie odwrotnego.

- Dwa tysiące lat - odparła Baenre. - Daję ci Gandaluga Battlehammera, patrona klanu Battlehammer, założyciela Mithrilowej Hali.

Jarlaxle zakołysał się na piętach. Słyszał oczywiście pogłoski, że zębowy wisiorek Baenre zawierał w sobie duszę pradawnego krasnoludzkiego króla, nigdy jednak nie podejrzewał takiej więzi. Zdał sobie wtedy nagle sprawę, że w tym całym najeździe na Mithrilową Halę nie chodzi o Drizzta Do'Urdena, że renegat był jedynie powiązaniem, wymówką dla czegoś, czego Baenre pragnęła od bardzo długiego czasu.

Jarlaxle spojrzał nagle na Baenre z zaciekawieniem.

- Dwa tysiące lat? - powtórzył głośno, podczas gdy w myślach zastanawiał się bezgłośnie, jak stara jest tak naprawdę ta wyniszczona drowka.

- Trzymałam tę duszę przez stulecia - ciągnęła Baenre, przyglądając się bezpośrednio staremu krasnoludowi. - W okresie kiedy Lloth nie mogła słyszeć naszych wołań, przedmiot ten został

zniszczony i pojawił się Gandalug, znów żywy. - Podeszła dalej, przysuwając swą pogardliwą twarz tuż do długiego, zadartego nosa zmaltretowanego, nagiego krasnoluda, i położyła dłoń na jego okrągłym, krzepkim barku. - Żywy, lecz nie bardziej wolny niż wcześniej.

Gandalug chrząknął, jakby zamierzał splunąć na Baenre. Przerwał jednak, uświadomiwszy sobie, że z pierścienia na jej dłoni wyszedł pająk, przeszedł na jego ramię i przesuwał się właśnie wzdłuż jego szyi.

Gandalug rozumiał, że Baenre go nie zabije, że potrzebuje go do zamierzonego podboju. Nie obawiał się śmierci, jednak wolałby ją od tej udręki, poza tym miał świadomość, że może nieumyślnie pomagać w zagładzie swego własnego ludu. Makabryczny łupieżca umysłu Baenre przetrząsnął już nie raz myśli Gandaluga, wyciągając informacje, których żadne katowanie nie wyrwałoby z upartego starego krasnoluda.

Racjonalnie rzecz biorąc, Gandalug nie miał się czego obawiać, jednak niezbyt go to teraz uspokajało. Ponad wszystko nienawidził pająków, nienawidził i bał się ich. Kiedy tylko poczuł na szyi włochate, pełzające stworzenie, zamarł w bezruchu nie mrugając, a na jego czole zaczął skraplać się pot.

Baenre odeszła, zostawiając swego pajęczego pupila na szyi krasnoluda. Odwróciła się z powrotem do Jarlaxle'a, jakby obecność krasnoluda powinna wszystko zmieniać dla powątpiewającego najemnika.

Nie działo się tak. Jarlaxle nigdy, nawet przez chwilę, nie sądził, że Menzoberranzan mogłoby pokonać Mithrilową Halę, nigdy, nawet przez chwilą, nie wątpił, że podbój zakończy się sukcesem. Co jednak z pokłosiem owego podboju? Miasto drowów było pogrążone w zamęcie, wkrótce rozgorzeje zażarta walka, być może nawet otwarta wojna o wypełnienie pustki pozostawionej przez zagładę domu Oblodra oraz śmierć Ghenni'tiroth Tlabbar. Przeżywszy stulecia ze swą tajemniczą grupą, na skraju katastrofy, najemnik rozumiał niebezpieczeństwo wiążące się z wyciąganiem za daleko ręki po potęgę, rozumiał, że jeśli ktoś rozciąga zbyt daleko swe siły, one po prostu rozpadną się.

Jarlaxle wiedział jednak również, że nie przekona opiekunki Baenre. Niech tak będzie, uznał. Niech Baenre pomaszeruje na Mithrilową Halę bez żadnych dalszych pytań z jego strony. Będzie ją nawet zachęcał. Jeśli wszystko pójdzie tak, jak zaplanowała, to jeszcze lepiej.

Jeśli nie...

Jarlaxle nie kłopotał się zastanawianiem nad taką ewentualnością. Wiedział, gdzie stoi Gromph, znał frustracje czarodzieja oraz frustracje Bregan D'aerthe, grupy składającej się niemal wyłącznie z mężczyzn. Niech Baenre pójdzie do Mithrilowej Hali, a jeśli jej się nie powiedzie, wtedy Jarlaxle postąpi zgodnie z radą jej samej i „otrząśnie się z rozpaczy".

W rzeczy samej.

ROZDZIAŁ 16

OTWARTE SERCA

Drizzt odnalazł ją na tym samym, wychodzącym na wschód płaskowyżu, na którym ćwiczyła przez te wszystkie tygodnie, w tym samym miejscu, w którym uzyskała w końcu kontrolę nad swym obdarzonym silną wolą mieczem. Góry, oświetlane wiszącym nisko za nimi słońcem, rzucały długie cienie. Pierwsze gwiazdy świeciły wyraźnie, mrugając nad Silverymoon oraz leżącym na wschodzie za nim Sundabar.

Catti-brie siedziała bez ruchu, ze zgiętymi nogami i kolanami przyciągniętymi blisko do piersi. Jeśli słyszała zbliżanie się niemal bezszelestnego drowa, nie dała tego po sobie poznać, kołysała się jedynie delikatnie w przód i w tył, wpatrując się w pogłębiający mrok.

- Noc jest piękna - powiedział Drizzt, a kiedy Catti-brie nie podskoczyła na dźwięk jego głosu, uświadomił sobie, że słyszała jego nadejście. - Jednak wiatr chłodny.

- Zima zbliża się w pełni - odparła cicho Catti-brie, nie spuszczając wzroku z zaciemnionego wschodniego nieba.

Drizzt szukał odpowiedzi, chciał podtrzymać rozmowę. Czuł się tu niezręcznie, tak dziwnie, bowiem nigdy, odkąd poznał przed laty Catti-brie, nie było między nimi takiego napięcia. Drow podszedł i przykucnął przy Catti-brie, jednak nie patrzył na nią, podobnie jak ona nie patrzyła na niego.

- Zawołam tej nocy Guenhwyvar - stwierdził Drizzt. Catti-brie przytaknęła.

Jej trwające milczenie zbiło drowa z tropu. Przywoływanie przez niego pantery, po raz pierwszy odkąd figurka została naprawiona, nie było błahostką. Czy magia figurki zadziała poprawnie, pozwalając Guenhwyvar wrócić do jego boku? Fret zapewniał go, że tak będzie, jednak Drizzt nie mógł być pewien, nie mógł odpoczywać spokojnie, dopóki zadanie nie zostanie wykonane i pantera, uleczona pantera, znów nie będzie przy nim.

Powinno to być również ważne dla Catti-brie. Powinno ją to obchodzić w takim samym stopniu jak Drizzta, bowiem ona i Guenhwyvar były sobie bliskie jak mało kto. Mimo to nie odpowiedziała i jej milczenie spowodowało, że Drizzt, w którym zaczął narastać gniew, odwrócił się, by przyjrzeć się jej uważniej.

Ujrzał łzy płynące z jej niebieskich oczu, łzy, które zmyły gniew Drizzta, które powiedziały mu, że to, co stało się pomiędzy nim a Catti-brie, nie było najwyraźniej zbyt głęboko pogrzebane. Kiedy się

ostatnim razem spotkali, w tym właśnie miejscu, za energią sparingowego pojedynku kryły się pytania, na które oboje chcieli znać odpowiedzi. Wtedy koncentracja Catti-brie musiała być całkowita, wcześniej zaś walczyła, by zawładnąć nad swym mieczem, teraz jednak owo zadanie zostało wykonane. Teraz, podobnie jak Drizzt, miała czas, by pomyśleć, i teraz pamiętała.

- Wiesz, że to był miecz? - spytała niemal błagalnie.

Drizzt uśmiechnął się, próbując ją uspokoić. Oczywiście, że to rozumny miecz skłonił ją, by się na niego rzuciła. Miecz, jedynie miecz. Duża jednak część Drizzta - i być może Catti-brie, jak pomyślał spoglądając na nią - żałowała, że nie było inaczej. Od jakiegoś czasu było pomiędzy nimi niezaprzeczalne napięcie, skomplikowana sytuacja, którą jeszcze bardziej pogorszy incydent z opętaniem przez Khazid'heę.

- Dobrze zrobiłeś odpychając mnie - powiedziała Catti-brie, po czym parsknęła i odchrząknęła, ukrywając pociągnięcie nosem.

Drizzt milczał przez długą chwilę, rozważając potencjalne znaczenie swej odpowiedzi.

- Odepchnąłem cię tylko dlatego, że ujrzałem rękojeść - rzekł i odciągnęło to uwagę Catti-brie od wschodniego nieba, spowodowało, że spojrzała bezpośrednio na drowa, jej granatowe oczy skrzyżowały się z jego fioletowymi.

- To miecz - powiedział cicho Drizzt - tylko miecz. Catti-brie nie mrugała, ledwo co oddychała. Rozmyślała, jak szlachetny jest ten drow. Tak wielu innych mężczyzn nie zadawałoby pytań, wykorzystałoby sytuację. Zresztą czy byłoby to takie złe? - młoda kobieta musiała teraz zapytać samą siebie. Jej uczucia do Drizzta były głębokie i rzeczywiste, były więzią przyjaźni oraz miłości. Czy byłoby takie złe, gdyby kochał się z nią w tamtym pokój u?

Tak, uznała, dla obojga z nich, bowiem, choć to jej ciało było oferowane, to Khazid'hea kontrolowała sytuację. Teraz sytuacja pomiędzy nimi była niezręczna, gdyby jednak Drizzt poddał się uczuciom, które jak wiedziała, żywił do niej, gdyby nie był tak szlachetny w tamtej dziwnej sytuacji i poddał się oferowanej pokusie, wtedy żadne z nich nie byłoby już w stanie spojrzeć sobie więcej w oczy.

Jak robili teraz, na cichym płaskowyżu w górach, przy mroźnym i rześkim wietrzyku oraz mrugającymi jeszcze jaśniej ponad nimi gwiazdami.

- Jesteś dobrym człowiekiem, Drizzcie Do'Urdenie - wdzięczna kobieta powiedziała z płynącym z głębi serca uśmiechem.

- Nie całkiem człowiekiem - odparł chichocząc Drizzt, szczęśliwy ze złagodzenia napięcia.

Jednak tylko tymczasowego złagodzenia. Chichot oraz uśmiech zamarły niemal natychmiast, pozostawiając ich w tym samym miejscu, w tej samej niezręcznej chwili, tkwiących pomiędzy

romansem a strachem.

Catti-brie spojrzała z powrotem na niebo. Drizzt uczynił to samo.

- Wiesz, że go kochałam - powiedziała młoda kobieta.

- Wciąż go kochasz - odrzekł Drizzt, a kiedy Catti-brie odwróciła się, by spojrzeć na niego z powrotem, jego uśmiech był szczery.

Obróciła się niemal natychmiast, patrząc na jasne gwiazdy i myśląc o Wulfgarze.

- Poślubiłabyś go - ciągnął Drizzt.

Catti-brie nie była tego taka pewna. Pomimo całej prawdziwej miłości, jaką żywiła do Wulfgara, barbarzyńca obarczony był brzemieniem swego dziedzictwa oraz społeczeństwa uważającego kobiety nie za partnerki, lecz za sługi. Wulfgar wspiął się ponad wiele ograniczonych zasad swego plemienia, jednak wraz ze zbliżaniem się jego ślubu z Catti-brie stawał się wobec niej coraz bardziej opiekuńczy, aż do stopnia, przy którym stawało się to obraźliwe. Tego, ponad wszystko inne, dumna i zdolna o siebie zadbać Catti-brie tolerować nie mogła.

Na jej twarzy wyraźnie było widać wątpliwości i Drizzt, znający ją lepiej niż ktokolwiek inny, odczytał je z łatwością.

- Poślubiłabyś go - powtórzył i jego stanowczy ton zmusił Catti-brie, by znów na niego spojrzała.

- Wulfgar nie był głupcem - ciągnął Drizzt.

- Nie zwalaj tego wszystkiego na Entreriego i klejnot halflinga - ostrzegła Catti-brie. Po odegnaniu zagrożenia ze strony wyprawy łowieckiej drowów, po śmierci Wulfgara, Drizzt wyjaśnił jej oraz Bruenorowi, który bardziej chyba niż ktokolwiek inny potrzebował usłyszeć usprawiedliwienie, że Entreri, udając Regisa, wykorzystał hipnotyczne moce rubinowego wisiorka na Wulfgarze. Owa teoria nie mogła jednak całkowicie wyjaśniać oburzającego zachowania barbarzyńcy, bowiem Wulfgar wkroczył na tę ścieżkę na długo przed tym, jak Entreri pojawił się w ogóle w Mithrilowej Hali.

- Z pewnością klejnot popchnął Wulfgara dalej - odparował Drizzt.

- Popchnął tam, gdzie sam chciał iść.

- Nie. - Ta prosta odpowiedź, wypowiedziana z absolutną pewnością, niemal zbiła Catti-brie z tropu. Przekrzywiła głowę na bok, a jej kasztanowe włosy spłynęły z jednego ramienia. Czekała, aż drow rozwinie wypowiedź.

- Był przerażony - ciągnął Drizzt. - Nic na świecie nie przerażało bardziej potężnego Wulfgara niż

myśl o utracie jego Catti-brie.

- Jego Catti-brie? - powtórzyła.

Drizzt roześmiał się z jej przeczulonej wrażliwości.

- Jego Catti-brie, jak on był twoim Wulfgarem - powiedział i jej uśmieszek zniknął całkowicie.

- Kochał cię - kontynuował Drizzt. - Całym swoim sercem. - Przerwał, lecz Catti-brie nie miała nic do powiedzenia, siedziała jedynie bardzo spokojnie, bardzo cicho, słuchając każdego jego słowa. - Kochał cię i właśnie ta miłość powodowała, że czuł się odsłonięty i przerażony. Nic innego, ani tortury, ani walka, nie mogłoby przerazić Wulfgara, jednak najmniejsze zadrapanie na Catti-brie paliłoby go niczym gorący sztylet wrażony w serce.

- Tak więc zachowywał się jak głupiec, na krótko przed tym jak mieliście się pobrać - dokończył Drizzt. - Kiedy następnym razem znalazłaś się w ogniu walki, twoja siła oraz niezależność uzmysłowiły mu jego błąd. W przeciwieństwie do tak wielu innych z jego dumnego ludu, Wulfgar przyznawał się do pomyłek i nigdy nie popełniał ich ponownie.

Słuchając słów swego rozumnego przyjaciela, Catti-brie przypominała sobie dokładnie to wydarzenie, walkę, w której Wulfgar został zabity. Właśnie owe obawy o Catti-brie odegrały znaczną rolę w śmierci barbarzyńcy, jednak zanim został jej odebrany, spojrzał jej w oczy i w istocie zdał sobie sprawę, ile kosztowała go jego głupota, ile kosztowała ich oboje.

Catti-brie musiała w to teraz wierzyć, kiedy przywoływała tę scenę w świetle słów drowa. Musiała wierzyć, że jej miłość do Wulfgara była prawdziwa, bardzo prawdziwa, i że nie była niewłaściwie ulokowana, że był wszystkim tym, za co go uważała.

Teraz mogła to robić. Po raz pierwszy od śmierci Wulfgara Catti-brie mogła go sobie przypominać bez ukłuć winy, bez obawy, że gdyby żył, nie poślubiłaby go. Bowiem Drizzt miał rację. Pomimo swej dumy Wulfgar przyznałby się do pomyłki i dorósłby, jak to było zawsze wcześniej. Była to najwspanialsza cecha tego mężczyzny, jego niemal dziecięca zaleta - postrzegał świat oraz własne życie jako stawanie się lepszym, jako podążanie ku lepszej drodze w lepszym miejscu.

To, co nastąpiło, było najszczerszym uśmiechem, jaki gościł na twarzy Catti-brie od wielu, wielu miesięcy. Nagle poczuła się wolna, nagle pogodziła się z przeszłością i była w stanie ruszyć dalej ze swym życiem.

Spojrzała z rozszerzonymi oczyma na drowa, z ciekawością, która wydawała się zaskoczyć Drizzta. Mogła iść dalej, jednak co to dokładnie znaczyło?

Powoli Catti-brie zaczęła potrząsać głową, a Drizzt zrozumiał, że ruch ten ma coś wspólnego z nim. Podniósł szczupłą dłoń i odgarnął jej z policzka zabłąkany kosmyk. Jego mahoniowa skóra kontrastowała z jej jasną, nawet w nocnym świetle.

- Kocham cię - przyznał drow. To bezceremonialne stwierdzenie nie zaskoczyło Catti-brie, nawet w najmniejszym stopniu. - Tak jak ty kochasz mnie - ciągnął ze swobodą, pewien, że jego słowa trafiają w cel. - I ja również muszę teraz spojrzeć w przyszłość, muszę odnaleźć swoje miejsce wśród przyjaciół, obok ciebie, bez Wulfgara.

- Może w przyszłości - powiedziała Catti-brie głosem nie silniejszym od szeptu.

- Może - zgodził się Drizzt. - Jednak na razie...

- Przyjaciele - dokończyła Catti-brie.

Drizzt odsunął dłoń z jej policzka i trzymał ją w powietrzu przed jej twarzą, ona zaś wyciągnęła swoją i chwyciła jego mocno.

Przyjaciele.

Chwila przeciągała się. Oboje patrzyli na siebie, nic nie mówiąc, i trwałoby to znacznie, znacznie dłużej, gdyby ze szlaku za nimi nie dobiegł harmider powodowany przez głosy, które oboje rozpoznali.

- Głupi elf nie mógł tego zrobić w środku! - zagrzmiał Bruenor.

- Gwiazdy bardziej pasują do Guenhwyvar - sapnął bez tchu Regis. Razem przedarli się przez krzaki niedaleko od płaskowyżu i zatrzymali gwałtownie przy dwójce przyjaciół.

- Głupi elf? - spytała Catti-brie swego ojca.

- Ba! - parsknął Bruenor. - Nie mówię...

- Cóż, tak naprawdę - zaczął sprostowywać Regis, jednak zmienił zdanie, kiedy Bruenor odwrócił swe poznaczone bliznami oblicze w stronę halflinga i warknął na niego.

- A więc masz rację, powiadam - głupi elf! - przyznał Bruenor, mówiąc głównie do Drizzta. Było to bliższe przeprosinom niż cokolwiek, co kiedykolwiek wyrzekł. - Mam jednak robotę do wykonania. - Spojrzał z powrotem na szlak, w górę, w kierunku wschodnich wrót Mithrilowej Hali. - W środku! - dokończył.

Drizzt wyciągnął onyksową figurkę i umieścił ją na ziemi, celowo tuż pod ciężkimi buciorami krasnoluda.

- Kiedy Guenhwyvar do nas wróci, wyjaśnię jej, ile kłopotów sprawiliście, przychodząc tu i będąc świadkami jej powrotu - powiedział z parsknięciem Drizzt.

- Głupi elf - Bruenor mruknął pod nosem, w pełni spodziewając się, że Drizzt nakłoni kocicę, by

się na nim położyła spać lub do czegoś jeszcze gorszego.

Catti-brie i Regis roześmieli się, jednak ich radość była wymuszona i nerwowa, bowiem Drizzt wołał cicho panterę. Ból, jaki musieliby znosić, gdyby magia figurki nie uleczyła się, gdyby Guenhwyvar nie wróciła do nich, byłby nie mniejszy niż cierpienie po stracie Wulfgara.

Wszyscy o tym wiedzieli, nawet opryskliwy Bruenor, który do grobu będzie zaprzeczał swemu uczuciu do magicznej pantery. Cisza narastała, gdy wokół figurki pojawiła się szara mgła, wirując i nabierając stałości.

Guenhwyvar wydawała się niemal równie zakłopotana, spoglądając na stojących wokół niej czworo towarzyszy, z których żadne nie śmiało odetchnąć.

Pierwszy i najszerszy był uśmiech Drizzta. Drow ujrzał, że jego zaufana przyjaciółka znów jest cała i zdrowa, jej czarna sierść błyszczy w świetle gwiazd, smukłe mięśnie są napięte i silne.

Wyciągnął Bruenora oraz Regisa na zewnątrz, by byli świadkami tej chwili. Dobrze, że wszyscy czworo byli razem, gdy Guenhwyvar wróciła.

Jeszcze lepiej byłoby, gdyby szósty towarzysz, Wulfgar, syn Beornegara, dołączył do nich na owym płaskowyżu, cichą nocą, pod gwiazdami, w ostatnich chwilach pokoju Mithrilowej Hali.

Część 4

MARSZ DROWOW

Zauważyłem coś naprawdę zdumiewającego i dającego prawdziwą otuchę, gdy my, obrońcy Mithrilowej Hali oraz najbliższej okolicy, zbliżyliśmy się do końca przygotowań, zbliżyliśmy się do chwili, w której nadejdą drowy. Ja jestem drowem. Moja skóra dowodzi, że jestem inny. Mahoniowy odcień ukazuje wyraźnie i niezaprzeczalnie moje dziedzictwo. Mimo to nie zostało wymierzone w moją stronę żadne spojrzenie konsternacji ze strony Harpellów czy Longriderów, żadne złe słowo ze strony porywczego Berkthgara i jego wojowniczych ludzi. Żaden również krasnolud, nawet generał Dagna, nie lubiący nikogo, kto nie jest krasnoludem, nie wycelował we mnie oskarżającego palca.

Nie wiedzieliśmy, dlaczego drowy nadchodzą, czy po mnie, czy też spodziewają się skarbów z bogatych krasnoludzkich kopalni.

Niezależnie od przyczyny nie byłem obwiniany. Jakże wspaniałe to było uczucie dla mnie, który przez wiele miesięcy nosiłem brzemię nałożonej przez siebie samego winy, winy za poprzednią wyprawę, winy za Wulfgara, poczucie, że przez przyjaźń Catti-brie by la zmuszona podążać za mną aż do Menzoberranzan.

Nosiłem tę ciężką obrożę, a mimo to ci, którzy mnie otaczali, mający tak wiele do stracenia, nie nakładali na mnie żadnego brzemienia.

Nie możecie zrozumieć, jak wyjątkowa była to świadomość dla kogoś z moją przeszłością. Był to gest szczerej przyjaźni, a jeszcze ważniejszym czynił go fakt, iż był niecelowy, ofiarowany bez zastanowienia czy celu. Zbyt często w mojej przeszłości moi „przyjaciele" czynili takie gesty, by coś udowodnić, bardziej sobie niż mi. Lepiej się czuli, ponieważ potrafili spojrzeć poza oczywiste różnice, jak kolor mojej skóry.

Guenhwyvar nigdy tak nie robiła. Bruenor nigdy tak nie robił. Podobnie jak Catti-brie czy Regis. Wulfgar z początku mną pogardzał, otwarcie i bez powodu, po prostu dlatego, że jestem drowem. Byli szczerzy i w związku z tym zawsze byli moimi przyjaciółmi. Podczas przygotowań do wojny dostrzegłem jednak, iż owa sfera przyjaźni rozciąga się wielokrotnie dalej. Doszedłem do przekonania, że krasnoludy z Mithrilowej Hali, mężczyźni oraz kobiety z Settlestone, a także wielu, wielu innych, naprawdę mnie zaakceptowali.

Taka jest szczera natura przyjaźni. To wtedy staje się szczera, nie służy czyimś interesom. Tak więc w owych dniach Drizzt Do'Urden doszedł do zrozumienia, raz na zawsze, że nie jest z Menzoberranzan.

Zrzuciłem obrożę winy. Uśmiechnąłem się.

Drizzt Do'Urden

ROZDZIAŁ 17

BLINGDENSTONE

Byli cieniami pośród cieni, błyskami znikającymi, zanim zdążyło je pochwycić oko. I nie było żadnego dźwięku. Choć trzy setki mrocznych elfów poruszało się w formacji, prawa flanka, lewa flanka, środek, nie było żadnego dźwięku.

Dotarli na zachód od Menzoberranzan, szukając łatwiejszych i szerszych tuneli, które zaprowadziłyby ich z powrotem na wschód i na powierzchnię, aż do Mithrilowej Hali. Blingdenstone, miasto svirfnebli, których drowy nienawidziły bardziej niż kogokolwiek innego, znajdowało się niedaleko, co było kolejną korzyścią z tej okrężnej trasy.

Uthegental Armgo przystanął w pewnej małej, osłoniętej wnęce. Tunele były tutaj szerokie, aż niewygodne. Svirfnebli byli taktykami i budowniczymi. W walce będą polegać na formacjach, może nawet na machinach bojowych, aby móc współzawodniczyć z bardziej kryjącymi siej myślącymi indywidualnie drowami. Uthegental wiedział, że poszerzenie się tych właśnie tuneli nie było przypadkiem czy tworem natury. Pole bitwy już dawno zostało przygotowane przez przeciwników.

Gdzież więc byli? Uthegental dotarł do ich domeny z trzema setkami drowów, a jego grupa stała na czele armii składającej się z ośmiu tysięcy mrocznych elfów oraz tysięcy humanoidalnych niewolników. Mimo to zaś, choć samo Blingdenstone nie mogło być dalej niż dwadzieścia minut marszu od jego pozycji - a jego zwiadowcy znajdowali się jeszcze bliżej - nie było śladu svirfnebli.

Dziki opiekun Barrison del’Armgo nie był zadowolony. Uthegental lubił to, co przewidywalne, przynajmniej jeśli w grę wchodzili przeciwnicy, i miał nadzieję, że do tej pory weźmie wraz ze swymi wojownikami udział w jakiejś akcji przeciwko gnomom. Nie było przypadkiem, że on i jego grupa znajdowali się na czele armii drowów. Było to ustępstwo Baenre wobec Mez'Barris, potwierdzenie ważności drugiego domu. Ustępstwu temu towarzyszyła wszakże odpowiedzialność, którą opiekunka Mez'Barris zrzuciła szybko na krzepkie ramiona Uthegentala. Dom Barrison del'Armgo potrzebował wyjść z tej wojny w wielkiej chwale, zwłaszcza w świetle niesamowitego pokazu destrukcji domu Oblodra, danego przez opiekunkę Baenre. Kiedy zakończy się sprawa Mithrilowej Hali, rozpocznie się najprawdopodobniej modyfikacja hierarchii w Menzoberranzan. Wojny międzydomowe wydawały się nieuniknione, zaś największe dziury do wypełnienia znajdowały się bezpośrednio za Barrison del'Armgo.

Tak więc opiekunka Mez'Barris obiecała pełną lojalność wobec Baenre, w zamian za wyłączenie jej samej z ekspedycji. Pozostała w Menzoberranzan, utrwalając pozycję swego domu i współpracując blisko z Triel Baenre w tworzeniu sieci kłamstw oraz sprzymierzeńców, by odizolować dom Baenre od dalszych oskarżeń. Baenre zgodziła się z propozycją Mez'Barris,

wiedząc, że ona również stanie się odsłonięta, jeśli wszystko nie powiedzie się dobrze w Mithrilowej Hali.

W związku z tym, że matka opiekunka jego domu znajdowała się w Menzoberranzan, zdobycie chwały dla Barrison del'Armgo należało do Uthegentala. Zaciekły wojownik cieszył się z tego zadania, był jednak również podenerwowany, pełen nerwowej energii, pragnął walki, dowolnej walki, aby zaostrzyć apetyt na to, co nadejdzie, oraz zmoczyć czubek swego trójzęba we krwi wroga.

Gdzie jednak były paskudne, małe svirfnebli? - zastanawiał się. Plan marszu nie zawierał ataku na samo Blingdenstone - przynajmniej nie podczas drogi w tę stronę. Jeśli miał nastąpić szturm na miasto gnomów, będzie miał on miejsce podczas powrotu z Mithrilowej Hali, po tym, jak zostanie zrealizowany główny cel. Uthegental otrzymał jednak pozwolenie, by sprawdzić obronę svirfnebli oraz przeprowadzić potyczki ze wszelkimi gnomami, jakie może napotkać wraz ze swymi wojownikami w otwartych tunelach.

Uthegental łaknął tego i zdecydował już, że gdyby znalazł oraz sprawdził obronę gnomów i odkrył w niej dostateczne luki, podejmie dodatkowy krok, mając nadzieję powrócić do boku Baenre z głową króla svirfhebli na końcu swego trójzęba.

Dla chwały Barrison del'Armgo.

Jedna ze zwiadowczyń prześlizgnęła się obok strażników, podchodząc prosto do zaciekłego wojownika. Jej palce błysnęły bezszelestnym kodem drowów, wyjaśniając dowódcy, że dotarła bliżej, znacznie bliżej, że widziała nawet schody prowadzące do masywnych wrót frontowych Blingdenstone. Nie dostrzegła jednak żadnego śladu svirfnebli.

To musiała być pułapka. Każdy instynkt w doświadczonym fech-mistrzu mówił Uthegentalowi, że svirfnebli czają się w ukryciu pełną siłą. Niemal każdy inny mroczny elf, członek rasy znanej z ostrożności w kontaktach z innymi (głównie dlatego, że drowy wiedziały, iż zawsze mogą zwyciężyć, jeśli uderzą w odpowiednim czasie), zawahałby się. Tak naprawdę misja Uthegentala, ekspedycja zwiadowcza, została już zakończona i mógł on wrócić do opiekunki Baenre z pełnym raportem, którego z przyjemnością wysłucha.

Zaciekły Uthegental nie był jednak jak każdy inny drow. Nie odczuwał ulgi, prawdę mówiąc, kipiał z wściekłości.

- Zabierz mnie tam - zasygnalizowały jego palce ku zaskoczeniu zwiadowczym.

- Jesteś zbyt cenny - odparły dłonie kobiety.

- Wszystkich nas! - ryknął na głos Uthegental, a siła jego krzyku zdumiała każdego z licznych otaczających go mrocznych elfów. Uthegental nie był jednak zaskoczony i nie zawahał się. - Poślijcie komendę po kolumnach - ciągnął - aby podążały za mną aż do samych bram Blingdenstone!

Wielu żołnierzy popatrzyło nerwowo po sobie. Były ich trzy setki, co stanowiło sporą siłę, jednak Blingdenstone mieściło w sobie wielokrotnie więcej, zaś svirfnebli, wyposażeni w liczne sztuczki z kamieniami i sprzymierzający się często z potężnymi potworami z Planu Ziemi, nie byli łatwymi przeciwnikami. Mimo to żaden z mrocznych elfów nie spierał się z Uthegentalem Armgo, zwłaszcza że tylko on wiedział, czego opiekunka Baenre oczekuje od tej grupy zwiadowczej.

Tak więc przybyli pełną siłą do schodów i wspięli się po nich do samych wrót Blingdenstone - wrót, o których drowi inżynier powiedział, że są piekielnie naszpikowane pułapkami i cały strop zawalił się na nich, jeżeli je otworzą. Uthegental wezwał kapłankę, która została przydzielona do jego grupy.

- Możesz przedostać jednego z nas przez barierę? - spytał językiem migowym, na co przytaknęła.

Strumień niespodzianek Uthegentala trwał dalej, kiedy wskazał, że on osobiście wejdzie do miasta svirfnebli. Była to niespotykana prośba. Żaden drowi dowódca nigdy nie wchodził nigdzie pierwszy, do tego służyło pospólstwo.

Znowuż jednak, kto spierałby się z Uthegentalem? Tak naprawdę kapłanki nie obchodziło zbytnio, czy ten zarozumiały mężczyzna zostanie rozerwany. Natychmiast zaczęła czarować, używając zaklęcia, które uczyni Uthegentala równie niematerialnym jak zjawa, spowoduje, że jego forma stopi się w coś, co będzie w stanie prześlizgnąć się przez najmniejsze szczeliny. Po zakończeniu inkantacji odważny Uthegental odszedł bez wahania, nie troszcząc się pozostawieniem instrukcji na wypadek, gdyby nie wrócił.

Dumny i niesłychanie pewny siebie Uthegental po prostu o tym nie myślał.

Kilka minut później, po przejściu przez puste komnaty straży, krzyżujące się z przemyślnie zbudowanymi umocnieniami i fortyfikacjami, Uthegental stał się drugim, po Drizzcie Do'Urdenie, drowem, który spojrzał na zaokrąglone, naturalne domy svirfhebli oraz kręte, zwyczajne ścieżki, z których składało się ich miasto. Jakże inne było Blingdenstone od Menzoberranzan, zbudowane w zgodzie z tym, co gnomy odnalazły w naturalnych grotach, zamiast rzeźbić je i przekształcać w obraz, który byłby przyjemniejszy dla mrocznego elfa.

Uthegental, który wymagał kontroli nad wszystkim, co go otaczało, czuł odrazę do tego miejsca. Odkrył również, że najdawniejsze i najświętsze z miast svirfnebli zostało opuszczone.

* * *

Belwar Dissengulp spoglądał z krawędzi głębokiej komnaty, daleko na zachód od Blingdenstone, i zastanawiał się, czy dobrze zrobił, przekonując króla Schnickticka do opuszczenia gnomiego miasta.

Wielce szanowany nadzorca kopaczy uznał, że wraz z powrotem magii, drowy z pewnością wyruszą na Mithrilową Halę, wiedział zaś, że ta trasa doprowadzi je niebezpiecznie blisko Blingdenstone.

Choć miał niewiele problemów z przekonaniem swych pobratymców, że mroczne elfy z pewnością wymaszerują, myśl o pozostawieniu Blingdenstone lub po prostu spakowaniu dobytku i opuszczeniu pradawnego domu nie trafiała do nich. Przez ponad dwa tysiące lat gnomy żyły w złowieszczym cieniu Menzoberranzan i już nie raz wierzyły, że drowy wytoczą im wojnę na pełną skalę.

Tym razem było inaczej, uznał Belwar, i powiedział im o tym, w przemowie pełnej pasji i nacechowanej wagą jego związku ze zbuntowanym drowem z tego strasznego miasta. Mimo to Belwar był daleki do przekonania Schnickticka oraz pozostałych, dopóki do nadzorcy kopaczy nie przyłączył się doradca Firble.

Tym razem rzeczywiście było inaczej, powiedział im z cała szczerością Firble. Tym razem całe Menzoberranzan zbierze się razem i atak nie będzie ambitnym sondowaniem pojedynczego domu. Tym razem gnomy, i każdy posiadający nieszczęście znaleźć się na ścieżce drowów, nie mogą polegać, że ocali ich rywalizacja między domami. Firble dowiedział się od Jarlaxle'a o upadku domu Oblodra, a żywiołak ziemi, wysłany w tajemnicy do Menzoberranzan oraz Szponoszczeliny przez kapłanów svirfhebli potwierdził całkowitą zagładę trzeciego domu. Tak więc, kiedy przy ich ostatnim spotkaniu Jarlaxle napomknął, że nie byłoby rozsądnie dawać schronienia Drizztowi Do'Urdenowi, Firble, dzięki swemu zrozumieniu zwyczajów drowów, uznał, że mroczne elfy rzeczywiście wyruszana Mithrilową Halę w sile zjednoczonej przez strach przed tą, która tak całkowicie zmiażdżyła trzeci dom.

Tak więc dzięki owej złowróżbnej wieści, svirfhebli opuścili Blingdenstone, a Belwar odegrał kluczową rolę w odejściu. Odpowiedzialność ciążyła teraz mocno na barkach nadzorcy kopaczy, powodowała, że przewidywał rozumowanie, które wydawało się tak rozsądne, gdy uważał niebezpieczeństwo za nieuchronne. Tutaj na zachodzie tunele były ciche i nie tak niesamowite, mroczne elfy nie prześlizgiwały się zaś z cienia w cień. Tunele były ciche od pokoju. Wojna, którą Belwar przewidywał, wydawała się odległa o tysiąc kilometrów lub tysiąc lat.

Pozostałe gnomy również to czuły i Belwar podsłuchał niejedną skargę, że decyzja o opuszczeniu miasta była co najmniej głupia.

Dopiero gdy ostami svirfnebli opuścił miasto, gdy ostatnia karawana rozpoczęła marsz na zachód, Belwar uświadomił sobie powagę odejścia, zdał sobie sprawę z emocjonalnego brzemienia. Odchodząc gnomy przyznawały przed samymi sobą, że nie mogą dorównać drowom, że nie potrafią ochronić siebie czy swych domów przed mrocznymi elfami. Niejednemu svirfnebli, a najbardziej spośród nich chyba Belwarowi, było niedobrze z tego powodu. Ich iluzja bezpieczeństwa, siły szamanów lub bóstw została naruszona bez przelania choć jednej kropli krwi svirfnebli.

Belwar czuł się jak tchórz.

Wielce szanowany nadzorca kopaczy uspokajał się trochę faktem, że w Blingdenstone wciąż znajdowały się oczy. Przyjazny żywiołak, wtopiony w skałę, otrzymał rozkaz czekania i obserwowania oraz donoszenia szamanom svirfnebli, którzy go wezwali. Jeśli mroczne elfy wejdą do środka, czego Belwar się spodziewał, gnomy będą o tym wiedzieć.

Cóż jednak, jeśli nie wejdą? - zastanawiał się Belwar. Jeśli wraz z Firble'em mylili się i szturm nie nadejdzie, ile wtedy svirfhebli stracą na wyprowadzce?

Czy ktokolwiek z nich będzie w stanie czuć się kiedykolwiek znów bezpieczny w Blingdenstone?

* * *

Opiekunka Baenre nie była zadowolona z raportu Uthegentala, że miasto gnomów jest opuszczone. Jej cierpka mina nie mogła się jednak równać z otwartym gniewem widocznym na twarzy znajdującego się u jej boku Berg'inyona. Jego oczy zmrużyły się niebezpiecznie, gdy przyglądał się potężnemu opiekunowi drugiego domu, zaś Uthegental, dostrzegając wyzwanie, z nawiązką odwzajemniał to złowieszcze spojrzenie.

Baenre rozumiała źródło gniewu Berg'inyona i ona również nie była zadowolona z faktu, że Uthegental postanowił wejść do Blingdenstone. Czyn ten odwzajemniał wyraźnie desperację Mez'Barris. Najwyraźniej czuła się ona odsłonięta w cieniu pokazu opiekunki Baenre wobec Oblodra, tak więc złożyła ogromne brzemię na szerokie ramiona Uthegentala.

Opiekunka Baenre wiedziała, że Uthegental maszeruje po chwałę dla Barrison del'Armgo, maszeruje szaleńczo wraz ze swym oddziałem ponad trzystu drowich wojowników.

Dla Berg'inyona nie było to dobrą rzeczą, bowiem to on, nie opiekunka Baenre, był w bezpośredniej rywalizacji z potężnym fech-mistrzem.

Opiekunka Baenre rozważyła wszystkie wieści w świetle miny swego syna i w końcu uznała śmiałość Uthegentala za dobrą rzecz. Konkurencja popchnie Berg'inyona do doskonałości. Jeśli zaś mu się nie uda, jeśli Uthegental będzie tym, który zabije Drizzta Do'Urdena (to bowiem było oczywiście nagrodą, do której obaj dążyli), nawet jeśli Berg'inyon zostanie zabity przez Uthegentala, niech tak będzie. Marsz ten był ważniejszy niż dom Baenre, ważniejszy niż czyjekolwiek osobiste cele - poza oczywiście opiekunką Baenre.

Kiedy Mithrilowa Hala zostanie podbita, niezależnie od ceny, jaką poniesie za to jej syn, znajdzie się ona w najwyższej chwale Pajęczej Królowej, zaś jej dom wysunie się ponad intrygi pozostałych, nawet jeśli wszyscy zjednoczą przeciwko niej swe siły!

- Możesz odejść - powiedziała Baenre do Uthegentala. - Wracaj na czoło.

Fechmistrz o spiczastych włosach uśmiechnął się paskudnie i ukłonił, ani przez chwilę nie spuszczając wzroku z Berg'inyona. Następnie obrócił się na pięcie, by odejść, jednak odwrócił się natychmiast, gdy Baenre znów się do niego zwróciła.

- A jeśli przypadkiem natkniesz się na ślady uciekających svirfnebli - rzekła Baenre, przenosząc wzrok z Uthegentala na Berg'inyona - wyślij posłańca, by poinformować mnie o pościgu.

Ramiona Berg'inyona opadły, gdy uśmiech Uthegentala, wypełniony tymi spiłowanymi, spiczastymi zębami, rozszerzył się tak bardzo, że sięgał mu niemal od ucha do ucha. Uthegental ukłonił się ponownie i odbiegł.

- Svirfnebli są potężnymi przeciwnikami - powiedziała od niechcenia Baenre, kierując tę uwagę do Berg'inyona. - Zabiją jego i całą jego grupę. - Nie wierzyła tak naprawdę w te słowa, wypowiedziała je jednak tylko dla Berg'inyona. Spoglądając na swego rozsądnego syna, uświadomiła sobie wszakże, iż on również w nie nie wierzy.

- A jeśli nie - rzekła Baenre, spoglądając w drugą stronę, na Quenthel, która stała obok beznamiętnie, wyglądając na dość znudzoną, oraz Methila, zawsze wydającego się znudzonym - gnomy nie są tak wielką zdobyczą. - Spojrzenie matki opiekunki padło z powrotem na Berg'inyona. - Znamy wartość tej wyprawy - powiedziała głosem przypominającym zwierzęcy warkot. Nie kłopotała się wspominaniem, że ostateczne cele jej i Berg'inyona nie są takie same.

Efekt wywarty na młodym fechmistrzu był natychmiastowy. Stanął z powrotem na baczność i odjechał na swym jaszczurze, zaraz gdy matka machnęła ręką, dając znak, że jest wolny.

Baenre odwróciła się do Quenthel.

- Dopilnuj, żeby wśród żołnierzy Uthegentala zostali umieszczeni szpiedzy - delikatnie zasygnalizowały jej palce. Baenre przerwała na chwilę, by zastanowić się nad zaciekłym fechmistrzem i nad tym, co zrobi, jeśli tacy szpiedzy zostaną wykryci. - Mężczyźni - dodała do swej córki, a Quenthel zgodziła się.

Mężczyźni byli zbędni.

Siedząc sama na swym dryfdysku, pośród armii, opiekunka Baenre skierowała myśli ku ważniejszym sprawom. Rywalizacja Berg'inyona i Uthegentala nie miała większego znaczenia, podobnie jak wyraźna pogarda Uthegentala wobec odpowiednich rozkazów. Bardziej niepokojąca była nieobecność svirfhebli. Czy paskudne gnomy mogły planować jakiś szturm na Menzoberranzan, gdy Baenre i jej siły oddalały się od miasta?

Była to głupia myśl i opiekunka Baenre szybko ją odrzuciła. W Menzoberranzan pozostała ponad połowa mrocznych elfów pod bacznymi oczyma Mez'Barris Armgo, Triel i Grompha. Gdyby gnomy

zaatakowały, zostaną całkowicie zniszczone, ku jeszcze większej chwale Pajęczej Królowej.

Kiedy jednak zastanawiała się nad ową ochroną miasta, na skraju jej świadomości pojawiła się myśl o konspiracji.

- Triel jest lojalna i pod kontrolą - dobiegła telepatyczna odpowiedź od Methila, który pozostawał dość niedaleko i czytał każdą myśl Baenre.

Baenre trochę to uspokoiło. Zanim opuściła Menzoberranzan, poprosiła Methila, by sprawdził reakcję jej córki na jej plany i ilithid wrócił z całkowicie pozytywnym raportem. Triel nie była zadowolona z decyzji pójścia do Mithrilowej Hali. Obawiała się, że jej matka może przekraczać swoje granice, była jednak przekonana, jak najprawdopodobniej wszyscy pozostali, że w związku ze zniszczeniem domu Oblodra Lloth usankcjonowała wojnę. Tak więc Triel nie zorganizuje zamachu, by przejąć kontrolę nad domem Baenre pod nieobecność swej matki, w żaden sposób nie wystąpi teraz przeciwko niej.

Baenre uspokoiła się. Wszystko szło zgodnie z planem i to, że tchórzliwe gnomy uciekły, nie było istotne.

Wszystko szło lepiej niż z planem, uznała Baenre, bowiem rywalizacja między Uthegentalem a Berg'inyonem dostarczy dużo rozrywki. Możliwości były intrygujące. Być może po tym, jak Uthegental zabije Drizzta, w trakcie uśmiercając Berg'inyona, opiekunka Baenre zmusi tego dzikusa o spiczastych włosach, by wstąpił do domu Baenre i służył jej jako jej fechmistrz. Mez'Barris nie ośmieli się zaprotestować, nie po tym jak Mithrilowa Hala zostanie podbita.

ROZDZIAŁ 18

NIESPOKOJNE ZBIOROWISKA

Właśnie teraz Regweld, który będzie nami dowodził, spotyka się z Bruenorem, który jest królem - powiedział jeździec, rycerz noszący na sobie najniezwyklejszą ze zbroi. Nie było na niej żadnego gładkiego miejsca - była kanciasta i powyginana, w każdą stronę wystawały pręty, których zadaniem było odtrącanie ciosów, zamiast je wchłaniać.

Jego pięćdziesięciu towarzyszy - naprawdę dziwnie wyglądająca grupa - byli podobnie odziani, co można było z łatwością wyjaśnić, spoglądając na ich niezwykły proporzec. Przedstawiał on chudego jak patyk mężczyznę, z włosami postawionymi dęba i podniesionymi wysoko rękoma, stojącego na grzbiecie konia i ciskającego błyskawicami w niebo (bądź też chwytającego błyskawicę rzuconą na niego spomiędzy obłoków - nie było co do tego pewności). Był to sztandar Longsaddle, zaś oni byli Longriderami, żołnierzami Longsaddle, zdolną acz ekscentryczną grupą. Przybyli do Settlestone tego zimnego i ponurego dnia, ścigając pierwsze płatki pierwszego śniegu.

- Regweld będzie dowodził tobą - odpowiedział inny jeździec, po którym widać było blizny niezliczonych bitew, siedząc wyprostowany i pewny w siodle. Był bardziej konwencjonalnie opancerzony, podobnie jak jego czterdziestu towarzyszy jadących pod przedstawiającym konia i włócznię sztandarem Nesme, dumnego granicznego miasta na skraju przerażających Trollowych Wrzosowisk. - Jednak nie nami. Jesteśmy Jeźdźcami z Nesme, którzy nie walczą pod żadną komendą poza naszą własną!

- To, że dotarliście tu pierwsi, nie oznacza, że określacie zasady! - zawołał Longjeździec.

- Nie zapominajmy o naszym celu - wtrącił się trzeci jeździec, podjeżdżając stępa wraz ze swymi dwoma towarzyszami, by powitać nowo przybyłych. Kiedy dotarł bliżej, pozostali zorientowali się z jego ostrych rysów, lśniących, złotych włosów oraz oczu w podobnym kolorze, że nie był w ogóle człowiekiem, lecz elfem, choć wysokim jak na kogoś ze swojej rasy. - Jestem Besnell z Silverymoon, przyjechałem wraz z setką żołnierzy od pani Alustriel. Każdy z nas będzie miał swoje miejsce, gdy rozgorzeje bitwa, jednak jeśli ma wśród nas być przywódca, będę nim ja, przemawiający w imieniu Alustriel.

Ludzie z Nesme oraz Longsaddle popatrzyli na siebie bezradnie. Ich miasta, zwłaszcza Nesme, z pewnością znajdowały się w cieniu Silverymoon, a ich władcy nie będą podważać autorytetu Alustriel.

- Jednak nie jesteście w Silverymoon - dobiegł w odpowiedzi ryk Berkthgara, który stał w cieniu pobliskich odrzwi, słuchając kłótni i niemal mając nadzieję, że wyniknie z niej więcej zabawy niż

tylko wymiana słów. - Jesteście w Settlestone, gdzie rządzi Berkthgar, więc w Settlestone dowodzi wami Berkthgar!

Każdy się napiął, zwłaszcza dwaj żołnierze z Silverymoon, otaczający Besnella. Elfi wojownik siedział w milczeniu przez chwilę, przyglądając się Berkthgarowi, gdy wielki barbarzyńca, ze swym gigantycznym mieczem przypiętym w poprzek pleców, zbliżał się miarowo i spokojnie. Besnell nie był nadmiernie dumny i sama jego ranga w kontyngencie z Silverymoon dowodziła, że nigdy nie pozwalał, by pycha przysłoniła mu dobry osąd.

- Dobrze powiedziane, Berkthgarze Śmiały - odparł grzecznie. - I to prawda. - Odwrócił się do pozostałych dwóch konnych dowódców. - My przybyliśmy tu z Silverymoon, wy z Nesme, zaś wy z Longsaddle, aby służyć sprawie Berkthgara oraz sprawie Bruenora Battlehammera.

- My przybyliśmy na wezwanie Bruenora - mruknął Longjeździec - nie Berkthgara.

- Zabrałbyś swego konia do ciemnych tuneli pod Mithrilową Halą? - spytał Besnell, który dzięki swym spotkaniom z Berkthgarem i Catti-brie rozumiał, że krasnoludy zajmą się podziemiami, podczas gdy jeźdźcy dołączą do wojowników z Settlestone, by zabezpieczyć okoliczne tereny.

- Jego koń i on sam mogą znaleźć się pod ziemią szybciej, niż się spodziewa - wtrącił się Berkthgar i ta otwarta groźba dość mocno wstrząsnęła Longjeźdźcem.

- Dość tego - szybko przerwał Besnell. - Zgromadziliśmy się wszyscy jako sprzymierzeńcy i sprzymierzeńcami pozostaniemy, połączeni wspólną sprawą.

- Połączeni strachem - odparł żołnierz z Nesme. - My w Nesme poznaliśmy kiedyś Bruenora... - przerwał, spoglądając na twarze pozostałych dowódców i ponurych ludzi, gdy szukał odpowiednich słów. - Poznaliśmy ciemnoskórego przyjaciela króla Bruenora - powiedział w końcu z wyraźną drwiną. - Co dobrego mogą dać powiązania ze złymi drowami?

Słowa te ledwo co opuściły jego usta, gdy Berkthgar rzucił się na niego, wyciągając ręce, by chwycić go za kant w zbroi, i pociągając, by mógł spojrzeć prosto w wykrzywioną twarz barbarzyńcy. Stojący niedaleko żołnierze z Nesme wyciągnęli broń, jednak to samo zrobili ludzie Berkthgara, wyłaniając się z każdego kamiennego domu i zza każdego rogu.

Besnell jęknął, a Longriderzy, co do jednego, potrząsnęli z pogardą głowami.

- Jeśli kiedykolwiek jeszcze powiesz źle o Drizzcie Do'Urdenie - warknął Berkthgar, nie dbając ani trochę o wymierzone w niego miecze i włócznie - postawisz mnie przed interesującym wyborem. Czy przetnę cię na pół i zostawię martwego na polu, czy też zaprowadzę do Drizzta, aby miał zaszczyt sam obciąć ci głowę?

Besnell podprowadził swego konia tuż do barbarzyńcy i naparł nim, by odsunąć Berkthgara od oszołomionego żołnierza z Nesme.

- Drizzt Do'Urden nie zabiłby człowieka za jego słowa - rzekł z całą pewnością Besnell, spotkał go bowiem wielokrotnie podczas licznych wizyt mrocznego elfa w Silverymoon.

Berkthgar wiedział, że elf mówi prawdę, odpuścił więc, cofając się kilka kroków.

- Bruenor by go zabił - powiedział jednak.

- Zgadzam się - powiedział Besnell. - Podobnie jak wielu innych wyciągnęłoby broń w obronie mrocznego elfa. Wszakże, jak już powiedziałem, dość tego. Połączeni ze sobą stanowimy stu dziewięćdziesięciu jeźdźców, przybyłych by pomóc. - Mówiąc to, rozglądał się i wydawał się wyższy, robiący większe wrażenie niż normalnie pozwalałaby jego elfia sylwetka. - Stu dziewięćdziesięciu przybyło, by dołączyć do Berkthgara i jego dumnych wojowników. Rzadko cztery takie grupy stykały się jako sprzymierzeńcy. Longriderzy, Jeźdźcy z Nesme, Rycerze w Srebrze oraz wojownicy z Settlestone, wszyscy połączeni wspólną sprawą. Jeśli wojna naprawdę nadejdzie - a spoglądając na sprzymierzeńców, których odkryłem w tym dniu, mam nadzieję, że tak się stanie - nasze czyny odbiją się echem w całych Krainach! I niech armia drowów ma się na baczności!

Doskonale zagrał na dumie ich wszystkich i razem zaczęli wiwatować, chwila napięcia przeminęła. Besnell uśmiechał się i kiwał głową, gdy okrzyki trwały dalej, rozumiał jednak, że sytuacja nie jest tak dobra, jak powinna być. Longsaddle wysłało pięćdziesięciu żołnierzy plus garstkę czarodziejów, co było wielkim poświęceniem ze strony tego miasta, które w istocie miało niewielki udział w dobrobycie Bruenora. Harpellowie spoglądali bardziej na zachód, ku Waterdeep, tam szukając partnerów do handlu i sojuszów, niż na wschód, a jednak przybyli na wezwanie Bruenora, wraz z córką swego przywódcy.

Zaangażowanie Silverymoon było podobne, zarówno z powodu Bruenora oraz Drizzta, jak i dlatego, że Alustriel była wystarczająco rozsądna, by rozumieć, że jeśli armia drowów wymaszeruje na powierzchnię, cały świat stanie się smutniejszym miejscem. Alustriel posłała setkę rycerzy Berkthgarowi, zaś kolejna jechała niezależnie od nich, okrążając wschodnie podnóża pod Mithrilową Halą, sprawdzając bardziej nierówne szlaki prowadzące od północy do Doliny Strażnika na wschodzie. Zebrawszy to wszystko razem, otrzymywało się dwustu konnych wojowników, całe dwie piąte osławionych Rycerzy w Srebrze, wielki kontyngent i wielkie poświęcenie, zwłaszcza zważywszy na to, że w powietrzu wiały już pierwsze zimowe wichry.

Besnell rozumiał, że poświęcenie Nesme było mniejsze i najprawdopodobniej podobne będzie zaangażowanie Jeźdźców. To miasto miało najwięcej do stracenia, poza oczywiście Settlestone, a mimo to Nesme wysłało zaledwie jedną dziesiątą swego doświadczonego garnizonu. Napięte relacje pomiędzy Mithrilową Halą a Nesme nie były tajemnicą, spór rozpoczął się, zanim jeszcze Bruenor odnalazł swą ojczyznę, kiedy to krasnolud wraz ze swymi towarzyszami przejeżdżał w pobliżu Nesme. Bruenor i jego przyjaciele ocalili kilku jeźdźców przed bagiennymi kłodami tylko po to, by konni zwrócili się przeciwko nim po zakończeniu walki. Z powodu koloru skóry Drizzta oraz reputacji jego rasy drużyna Bruenora została zawrócona i choć wściekłość krasnoluda została później utemperowana trochę przez fakt, że żołnierze z Nesme dołączyli do nich przy odzyskiwaniu Mithrilowej Hali, związki pozostały dość napięte.

Tym razem spodziewanymi przeciwnikami były mroczne elfy i, bez wątpienia, sam ten fakt przypominał ostrożnym ludziom z Nesme o ich nieufności wobec najbliższego przyjaciela Bruenora. Przybyli jednak i czterdziestu było lepszych niż żaden, mówił sobie Besnell. Elf otwarcie obwieścił Berkthgara dowódcą wszystkich czterech grup i tak będzie (choć, kiedy rozgorzeje bitwa, każdy oddział zacznie działać według własnej taktyki, o ile szczęście dopisze, uzupełniając się nawzajem), jednak Besnell ujrzał rolę dla siebie, mniej wyraźną, choć nie mniej ważną. Będzie dbał o pokój, utrzyma grupy w porządku i harmonii.

Wiedział, że jeśli mroczne elfy przybędą, jego zadanie będzie znacznie łatwiejsze, bowiem w obliczu tak groźnego przeciwnika szybko zapomni się o błahych pretensjach.

* * *

Belwar nie wiedział, czy czuć ulgę, czy strach, gdy od szpiegującego żywiołaka dotarła wiadomość, że przynajmniej jeden drow rzeczywiście wszedł do Blingdenstone i że armia drowów przemaszerowała obok opuszczonego miasta, odnajdując tunele prowadzące z powrotem na wschód, drogę do Mithrilowej Hali.

Wielce szanowany nadzorca kopaczy usiadł z powrotem na swej już zwyczajowej krawędzi, wpatrując się w puste tunele. Pomyślał o Drizzcie, drogim przyjacielu, oraz o miejscu, które mroczny elf nazywał teraz domem. Drizzt opowiedział Belwarowi o Mithrilowej Hali, kiedy mijał Blingdenstone w drodze do Menzoberranzan kilka miesięcy temu. Jakże szczęśliwy był Drizzt, mówiąc o swych przyjaciołach, tym krasnoludzie o imieniu Bruenor i ludzkiej kobiecie, Catti-brie, która przeszła przez Blingdenstone, depcząc Drizztowi po piętach i, zgodnie z późniejszymi doniesieniami, pomogła Drizztowi uciec z miasta drowów.

Belwar wiedział, że właśnie owa ucieczka ułatwiła ten marsz, a mimo to gnom pozostawał zadowolony, że jego przyjaciel wydostał się ze szponów opiekunki Baenre. Teraz Drizzt był w domu, jednak mroczne elfy zamierzały go odnaleźć.

Belwar przypomniał sobie prawdziwy smutek, który widniał w lawendowych oczach Drizzta, gdy drow opowiadał o utracie jednego ze swych znalezionych na powierzchni przyjaciół. Jakich łez zazna Drizzt teraz, zastanawiał się gnom, gdy armia drowów wmaszeruje, by zniszczyć jego nowy dom?

- Decyzje podjąć musimy - dobiegł głos zza krzepkiego gnoma. Belwar klapnął o siebie swymi mithrilowymi „dłońmi", bardziej by oczyścić myśli niż z jakiegokolwiek innego powodu, po czym odwrócił się w stronę Firble'a.

Jedną z dobrych rzeczy, jakie wyniknęły z tego zamieszania, była narastająca przyjaźń pomiędzy Firble'em a Belwarem. Jako dwaj ze starszych gnomów Blingdenstone znali się nawzajem i wiedzieli

sporo o sobie od bardzo długiego czasu, jednak dopiero gdy oczy Belwara (z powodu jego przyjaźni z Drizztem) skierowały się na świat poza miastem gnomów, Firble znalazł się tak naprawdę w swoim żywiole. Z początku wydawali się całkowicie niedopasowani, jednak obydwaj znaleźli siłę w tym, co oferował ten drugi, i narosłą między nimi więź - choć żaden z nich tego jeszcze nie przyznał otwarcie.

- Decyzje?

- Drowy przeszły - powiedział Firble.

- Prawdopodobnie wrócą. Firble przytaknął.

- Oczywiście - zgodził się doradca o okrągłych barkach. - Król Schnicktick musi zdecydować, czy mamy wrócić do Blingdenstone.

Myśl ta ugodziła Belwara niczym plaśnięcie zimnym, mokrym ręcznikiem. Wrócić do Blingdenstone? Oczywiście, że mieli wrócić do swych domów! - wrzeszczały na wielce szanowanego nadzorcę kopaczy jego myśli. Każda inna możliwość byłaby zbyt śmieszna, by się nią zajmować. Uspokoiwszy się jednak i zastanowiwszy nad ponurą miną Firble'a, Belwar zaczął dostrzegać w tym wszystkim prawdę. Drowy wrócą, a jeśli dokonają podboju w pobliżu powierzchni bądź na niej, podboju Mithrilowej Hali, co większość uważała za ich zamiar, to najprawdopodobniej pomiędzy Menzoberranzan a tamtym odległym miejscem pozostanie otwarta droga, droga przechodząca zbyt blisko Blingdenstone.

- Słowa krążą, że powinniśmy dalej na zachód się udać, żeby nowe jaskinie znaleźć, nowe Blingdenstone - rzekł Firble. Z jego tonu widać było wyraźnie, że niski doradca nie jest poruszony tą perspektywą.

- Nigdy - powiedział bez przekonania Belwar.

- Król Schnicktick poprosi cię o opinię w tej najważniejszej z kwestii - rzekł Firble. - Zastanów się nad nią dobrze, Belwarze Dissengulpie. Życie wielu z nas może zależeć od twojej odpowiedzi.

Minęła długa chwila milczenia, po czym Firble ukłonił się lekko i odwrócił, by odejść.

- Co mówi Firble? - spytał go Belwar, zanim zdołał umknąć. Doradca obrócił się powoli, ze zdecydowaniem, wpatrując się Belwarowi prosto w oko.

- Firble mówi, że jest tylko jedno Blingdenstone - odpowiedział z większym zacięciem, niż Belwar kiedykolwiek słyszał w jego głosie bądź spodziewał się usłyszeć. - Odejść, gdy drowy przechodzą, jest dobrą rzeczą. Pozostać poza nim, nie jest takie dobre.

- O niektóre rzeczy walczyć warto - dodał Belwar.

- Umierać warto? - szybko wtrącił się Firble, po czym doradca odwrócił się i odszedł.

Belwar siedział samotnie z myślami o swym domu i przyjacielu.

ROZDZIAŁ 19

IMPROWIZOWANIE

Catti-brie wiedziała wszystko, zaraz gdy ujrzała twarz krasnoludzkiego kuriera. Jego rysy wyrażały mieszankę niepokoju i żądzy bitwy. Wiedziała, pobiegła więc przed posłańcem krętymi korytarzami Mithrilowej Hali poprzez Podmiasto, które teraz wydawało się opuszczone, którego paleniska dogasały. Skierowało się na nią wiele oczu, obserwując pilność w jej krokach i rozumiejąc jej cel. Wiedziała i oni wszyscy też wiedzieli.

Mroczne elfy nadeszły.

Krasnoludy strzegące ciężkich wrót prowadzących z właściwej Mithrilowej Hali skinęli jej głową, gdy ich mijała.

- Pędź prosto, moja dziewczynko! - jeden z nich wrzasnął jej w plecy i, choć była strasznie przerażona, choć wydawało jej się, jakby ziścił się jej najgorszy koszmar, wywołało to na jej twarzy uśmiech.

Odnalazła Bruenora, z którym był Regis, w rozległej jaskini, w tej samej komnacie, w której krasnoludy nie tak dawno temu pokonały plemię goblinów. Teraz miejsce to zostało przygotowane, by być posterunkiem dowodzenia krasnoludzkiego króla, centralnym mózgiem obrony zewnętrznych i niższych tuneli. Niemal wszystkie korytarze prowadzące do tej komnaty z czeluści Podmroku zostały całkowicie zastawione pułapkami lub zupełnie zawalone, czyniąc jaskinię najbezpieczniejszym miejscem, jakie można było znaleźć poza właściwą Mithrilową Halą.

- Drizzt? - spytała Catti-brie.

Bruenor spojrzał na drugą stronę groty, ku szerokiemu tunelowi prowadzącemu w głębsze regiony.

- Tam - powiedział. - Z kotem.

Catti-brie rozejrzała się. Zostały dokonane przygotowania, wszystko było ustawione na miejscu najlepiej, jak na to pozwalał czas. Niedaleko Stumpet Rakingclaw oraz inni kapłani kucnęli i uklęknęli na podłodze, ustawiając i sortując tuziny małych buteleczek z eliksirami oraz szykując bandaże, koce i ziołowe maście dla rannych. Catti-brie skrzywiła się, wiedziała bowiem, że wszystkie te bandaże będą potrzebne, zanim to się skończy.

Na bok od kapłanów troje Harpellów - Harkle, Bidderdoo i Bella don DelRoy - dyskutowali nad małym, okrągłym stolikiem, pokrytym tuzinami map oraz innych pergaminów.

Bella podniosła wzrok i wskazała na Bruenora, zaś krasnoludzki król ruszył spiesznie do niej.

- Mamy tu siedzieć i czekać? - Catti-brie spytała Regisa.

- Na razie - odparł halfling. - Jednak wkrótce Bruenor i ja wraz z jednym z Harpellów wyprowadzimy grupę na spotkanie z Drizztem i Pwentem w Grocie Tunulta. Jestem pewien, że Bruenor chce, abyś poszła z nami.

- Niech spróbuje mnie zatrzymać - mruknęła pod nosem Catti-brie. W milczeniu zastanowiła się nad spotkaniem. Grota Tunulta była największą jaskinią poza Mithrilową Halą, a jeśli tam zamierzali spotkać się z Drizztem, zamiast jakiegoś miejsca na uboczu - i jeśli mroczne elfy rzeczywiście znajdowały się w tunelach w pobliżu Mithrilowej Hali - to spodziewana bitwa będzie miała miejsce wkrótce. Catti-brie wzięła głęboki oddech i podniosła Taulmaril, swój magiczny łuk. Sprawdziła jego naciąg, po czym zerknęła do kołczanu, by upewnić się, że jest pełen, choć nałożone na niego zaklęcie zapewniało, że zawsze był pełen.

- Jesteśmy gotowe - rozległa się myśl w jej głowie, myśl, jak wiedziała, wysłana przez Khazid'heę. Catti-brie ucieszyła się, słysząc najnowszą towarzyszkę. Ufała teraz swej klindze, wiedziała, że są do siebie podobne. I rzeczywiście były gotowe, podobnie jak wszyscy.

Mimo to, gdy Bruenor i Bidderdoo odeszli od pozostałych Harpellów, a krasnolud dał gestem znak swej osobistej eskorcie oraz Regisowi i Catti-brie, serce młodej kobiety zgubiło kilka uderzeń.

* * *

Brygada Pogromców Flaków miotała się i szamotała, odbijając od ścian i od siebie. Drowy w tunelach! Zauważyli drowy w tunelach i teraz musieli złapać je lub zabić.

Dla garstki mrocznych elfów, które rzeczywiście były tak blisko Mithrilowej Hali, straży przedniej fali, która miała nastąpić za nimi, grzmot podkomendnych Pwenta wydawał się niemal ogłuszający. Drowy były cichą rasą, tak cichą jak sam Podmrok, a harmider żyjących na powierzchni krasnoludów skłaniał je do myślenia, że pościg podejmuje tysiąc zaciekłych wojowników. Tak więc mroczne elfy cofnęły się, rozciągnęły swe szeregi do cienkiej linii. Ważniejsze kobiety objęły prowadzenie odwrotu, zaś mężczyźni byli zmuszeni utrzymywać linię i opóźniać przeciwnika.

Pierwszy kontakt nastąpił w wąskim, lecz wysokim tunelu. Pogromcy Flaków natarli szybko i gwałtownie ze wschodu, a trzy drowy, lewitujące pośród stalaktytów, wystrzeliły ze swych jednoręcznych kusz, wbijając zatrute bełty w Pwenta oraz dwóch innych krasnoludów z pierwszego szeregu.

- Co? - ryknął szałojownik, podobnie jak jego towarzysze zaskoczony przez nagłe ukłucie. Wiecznie czujny Pwent, sprytny i rozsądny, rozejrzał się dookoła, po czym wraz z pozostałą dwójką rzucił się na ziemię.

Z wrzaskiem przerażenia reszta Pogromców Flaków odwróciła się i uciekła, nie myśląc nawet o zabraniu swych kompanów.

- Dwóch zabić. Jednego zabrać na przesłuchanie - zasygnalizował najważniejszy z mrocznych elfów, gdy wraz ze swymi towarzyszami zaczął opuszczać się z powrotem na podłogę.

Dotknęli lekko podłoża i wyciągnęli ostre miecze.

Trzej szałojownicy zerwali się na nogi, pedałując pod sobą szaleńczo swymi krótkimi nóżkami. Żadna trucizna, nawet osławiona usypiająca trucizna drowów, nie mogła przedostać się przez paskudne wywary, które owa grupa niedawno wchłonęła. Pogromca Flaków nie był jedynie nazwą brygady, lecz również napitku, a jeśli krasnolud był w stanie przetrwać trunek, nie musiał się przez jakiś czas martwić, że zostanie otruty (albo że będzie mu zimno).

Znajdujący się najbliżej mrocznych elfów Pwent opuścił głowę wraz z długim szpikulcem na hełmie i przebił elfowi pierś, przedzierając się łatwo i brutalnie przez doskonałą plecionkę pancerza drowa.

Drugi drow zdołał odbić atak następnego szałojownika, odtrącając na bok szpikulec za pomocą obydwu swych mieczy. Opancerzona pięść, której knykcie były nabijane zagiętymi kolcami, trafiła jednak drowa pod brodę i wyrwała mu ziejący otwór w gardle. Walcząc o złapanie tchu, drow zdołał dwukrotnie trafić paskudnie swego adwersarza, jednak owe dwa uderzenia niewiele zdziałały w obliczu furii, w jaką wpadł rozszalały krasnolud.

Jedynie trzeci drow przeżył początkowe natarcie. Podskoczył wysoko w powietrze, kolejny raz uruchamiając swój czar lewitacji, i przedostał się nad dudniącą szarżą krasnoluda - gównie dlatego, że szałojownik poślizgnął się na krwi ofiary Thibbledorfa Pwenta.

Drow wzniósł się w gąszcz stalaktytów, znikając z pola widzenia.

Pwent wyprostował się, otrząsając z martwego drowa.

- Tędy! - ryknął, pokazując na dalszą część korytarza. - Znaleźć otwarty kawałek stropu i objąć straż! Nie damy mu uciec!

Zza wschodniego załomu wyłoniła się reszta Pogromców Flaków, pohukując i pokrzykując oraz brzęcząc zbrojami, gdy liczne nierówności oraz szpikulce ocierały się o siebie i zgrzytały niczym paznokcie na płycie.

- Obserwować! - zagrzmiał Pwent, wskazując na strop i wszystkie krasnoludy zaczęły się ochoczo

krzątać.

Jeden zaskrzeczał, dostawszy z kuszy prosto w twarz, jednak ten wrzask bólu stał się okrzykiem radości, bowiem krasnolud musiał jedynie podążyć pod odpowiednim kątem wzrokiem z powrotem do miejsca, w którym znajdował się dryfujący drow. Natychmiast ten obszar stalaktytów otoczyła kula ciemności, jednak teraz krasnoludy wiedziały, gdzie go znaleźć.

- Lasso! - zaryczał Pwent i kolejny krasnolud wyciągnął zza pasa linę, po czym podbiegł do szałojownika. Na końcu liny znajdowała się pętla związana w wąski węzeł, więc krasnolud, błędnie rozumiejąc zamiary Pwenta, zaczął kręcić lassem nad głową i spojrzał ku zaciemnionemu obszarowi, starając się określić, jak najlepiej rzucić.

Pwent chwycił go za nadgarstek i ścisnął mocno, w wyniku czego lina opadła bezwładnie na podłogę.

- Lasso szałojownika - wyjaśnił Pwent.

Pozostałe krasnoludy zebrały się dookoła, nie wiedząc, co dowódca ma na myśli. Na wszystkich twarzach poszerzyły się uśmiechy, gdy Pwent nasunął pętlę na swą stopę, zacieśnił ją wokół kostki i poinformował resztę, że trzeba będzie więcej niż jednego z nich, by posłać tego chwytacza drowów w powietrze.

Każdy chętny krasnolud złapał linę i zaczął szarpać dziko, nie robiąc w rezultacie nic poza tym, że Pwent został zwalony z nóg. Stopniowo, otrzeźwieni przez rozwścieczonego dowódcę, szałojownicy zdołali odnaleźć rytm i wkrótce Pwent przemykał już nad ziemią.

Następnie znalazł się w powietrzu, lecąc szaleńczo w kółko i w kółko. Lina miała jednak zbyt dużo luzu i Pwent szorował ostro o jedną ze ścian korytarza, szpikulec na jego hełmie krzesał linię jasnych iskier.

Grupa uczyła się jednak szybko - zważywszy na fakt, że byli krasnoludami spędzającymi dnie na wpadaniu głową na drzwi wzmocnione stalą - i szybko doskonale wyliczyli prędkość obrotów oraz długość liny.

Dwa obroty, pięć obrotów i szałojownik poleciał wysoko w powietrze, by wpaść pomiędzy stalaktyty. Pwent chwycił się natychmiast jednego z nich, jednak odłamał się on od stropu i spadł wraz z krasnoludem.

Pwent spadł dzieżko, po czym odbił się z powrotem na nogi.

- Jedna bariera mniej dla naszego przeciwnika! - zaryczał jeden z krasnoludów i zanim oszołomiony Pwent zdołał zaprotestować, pozostali zawiwatowali i pociągnęli, znów uruchamiając lasso szałojownika.

Pwent wzniósł się w górę z podobnie bolesnym rezultatem, po czym trzeci raz i czwarty, który okazał się wart zachodu, bowiem biedny drow, oślepiony, odważył się w końcu wyjść na zewnątrz.

Wyczuł zbliżające się żywe lasso i zdołał umknąć za długi, cienki stalaktyt, jednak nie miało to większego znaczenia, bowiem Pwent z łatwością odłupał głaz, otoczył rękoma jego oraz znajdującego się za nim drowa, i drow, krasnolud oraz kamień spadli razem, uderzając mocno o podłogę. Zanim drow zdołał się otrząsnąć, rzuciła się na niego połowa brygady, maltretując go do nieprzytomności.

Minęło kolejnych pięć minut, zanim zdołali oderwać półprzytomnego Pwenta od swej ofiary.

Wkrótce potem zebrali się szybko i wyruszyli wraz z Pwentem, przywiązawszy drowa za kostki i nadgarstki do długiej tyczki, trzymanej na ramionach dwóch z grupy. Nie pokonali jednak nawet korytarza, kiedy najdalej wysunięte na zachód krasnoludy, dwóch, których Pwent wysłał na zwiady, krzyknęły - Drow! - i obróciły się natychmiast, stając w gotowości.

Do korytarza wszedł samotny, poruszający się powoli mroczny elf i zanim Pwent zdołał wrzasnąć - Ten nie! - dwa krasnoludy opuściły głowę i rzuciły się na niego.

W ułamku sekundy mroczny elf rzucił się w lewo, następnie z powrotem w prawo, zatoczył pełen okrąg w prawo, po czym odsunął się szeroko, a dwaj Pogromcy Flaków potknęli się i wpadli mocno na ścianę. Uświadomili sobie swą głupotę, gdy chwilę później pojawiła się wielka pantera, podążając za swym drowim towarzyszem. Drizzt znalazł się zaraz przy krasnoludach, pomagając im wstać.

- Pędźcie - wyszeptał, a oni milczeli wystarczająco długo, by usłyszeć harmider niezbyt odległego natarcia.

Źle go rozumiejąc, Pogromcy Flaków uśmiechnęli się szeroko i przygotowali do kontynuacji swej szarży na zachód, prosto na zbliżające się siły, jednak Drizzt przytrzymał ich stanowczo.

- Nasi wrogowie są tu w wielkiej liczbie - rzekł. - Będziecie mieć swoją walkę, więcej walki niż kiedykolwiek marzyliście, ale nie tutaj.

Kiedy Drizzt, dwa krasnoludy oraz pantera dotarli do Pwenta, odgłos nadchodzącej armii był już wyraźny.

- Mówiłeś chyba, że cholerne drowy poruszają się cicho - stwierdził Pwent, biegnąc na krótkich nogach obok szybkiego tropiciela.

- Nie drowy - odparł Drizzt. - Koboldy i gobliny. Pwent zatrzymał się nagle, z poślizgiem.

- Uciekamy przed śmierdzącymi koboldami? - spytał.

- Tysiącami śmierdzących koboldów - odparł pewnie Drizzt. - I większych potworów, za nimi zaś idą najprawdopodobniej tysiące drowów.

- Och - odrzekł szałojownik, uspokoiwszy się nagle.

W znajomych tunelach Drizzt i Guenhwyvar nie mieli kłopotów z utrzymaniem się przed pędzącą armią. Drizzt tym razem nie szedł naokoło, lecz biegł prosto na wschód, obok tunelów, które krasnoludy uszkodziły tak, by się zawaliły.

- Biegnijcie - rozkazał drow wyznaczonym do uruchamiania pułapek, garstce krasnoludów stojących w gotowości obok korb, które wyzwolą liny podtrzymujące strukturę tunelu. Każdy z nich spojrzał się w ogłupieniu, słysząc zdumiewającą komendę.

- Nadchodzą - stwierdził jeden, bowiem po to właśnie krasnoludy były w tunelach.

- Wszystkim, co złapiecie, będą koboldy - poinformował ich Drizzt, znający taktykę drowów. - Biegnijcie, a zobaczymy, czy nie uda nam się złapać też paru drowów.

- Ale nie będzie kto miał uruchomić pułapek! - wtrącił się niejeden, wśród nich Pwent.

Paskudny uśmieszek Drizzta był przekonujący, tak więc krasnoludy, które wielokrotnie nauczyły się ufać tropicielowi, wzruszyły ramionami i rzuciły się za wycofującymi Pogromcami Flaków.

- Gdzie biegniemy? - chciał wiedzieć Pwent.

- Kolejne sto kroków - poinformował go Drizzt. - Do Groty Tunulta, gdzie będziecie mieć swoją walkę.

- Obiecanki, cacanki - mruknął zaciekły Pwent.

Grota Tunulta, najbardziej otwarty obszar z tej strony Mithrilowej Hali, był tak naprawdę serią siedmiu jaskiń połączonych szerokimi, sklepionymi tunelami. Nigdzie tam podłoga nie była równa - niektóre komnaty znajdowały się wyżej niż inne, a w niejednej przez podłogę biegły głębokie szczeliny.

Czekał tu Bruenor i jego eskorta, wraz z niemal tysiącem najlepszych wojowników z Mithrilowej Hali. Pierwotny plan mówił, że Grota Tunulta będzie zewnętrznym posterunkiem dowodzenia, miejscem łączącym pozostałe, mniej bezpośrednie tunele, po tym jak natarcie drowów zostanie powstrzymane przez zrzucone kamienie.

Drizzt zmienił ten plan i ruszył do Bruenora, rozmawiając z krasnoludzkim królem oraz Bidderdoo Harpellem, na którego widok drow odczuł sporą ulgę.

- Oddałeś stanowisko, z którego można uruchamiać pułapki! - zagrzmiał Bruenor na tropiciela,

gdy tylko zrozumiał, że tunele z tyłu są wciąż nienaruszone.

- Nie całkiem - odparł pewnie Drizzt. Gdy jego spojrzenie poprowadziło wzrok Bruenora ku wschodniemu tunelowi, wypadły stamtąd pierwsze szeregi koboldów, wlewając się jak woda z pękniętej tamy prosto na oczekujące krasnoludy.

- Po prostu usunąłem z drogi mięso armatnie.

ROZDZIAŁ 20

BITWA O GROTĘ TUNULTA

Zamieszanie było natychmiastowe i całkowite. Koboldy wlewały się tuzinami, zaś krasnoludy uformowały się w zwarte oddziały i ruszyły im szybko naprzeciw.

Catti-brie uniosła swój magiczny łuk i wystrzeliwała strzałę za strzałą, celując w główne wejście. Strzałom towarzyszyła błyskawica, gdy zaklęty pocisk odbijał się od ściany, krzesząc iskry. Koboldy padały całymi kolumnami, jedna strzała często zabijała kilka z nich, jednak wydawało się to niewiele znaczyć, tak wielki był atakujący motłoch.

Guenhwyyar zerwała się do skoku, a Drizzt szybko ruszył za nią. Dwie dziesiątki koboldów przedostały się jakoś przez początkowe walki i kierowały się na stanowisko Bruenora. Strzał Catti-brie powalił jednego, skok Guenhwyvar rozproszył resztę, zaś Drizzt, poruszając się szybciej niż kiedykolwiek, dźgnął jednego i obrócił się gwałtownie w lewo, posyłając jaśniejący błękitem sejmitar przeciwko próbie parowania przez innego kobolda. Gdyby Błysk miał proste ostrze, mały miecz stwora odbiłby go wysoko, jednak Drizzt zwinnie obrócił zakrzywioną broń w dłoni i lekko zmienił nachylenie ataku. Błysk przetoczył się po mieczu kobolda i zanurzył w jego piersi.

Drow nawet na chwilę nie przestał biec i teraz rzucił się z powrotem na prawo, obsuwając na jedno kolano. Błysk przemknął w poprzek, uderzając o ostrze jednego kobolda i wpadając na broń drugiego. Będąc silniejszym niż dwa stwory razem, a poza tym mając lepsze nachylenia klingi, Drizzt zmusił ich do podniesienia mieczy oraz obrony, po czym jego drugi sejmitar ciął w przeciwną stronę, patrosząc jednego i wyrywając nogi spod drugiego.

- Cholerny drow psuje całą zabawę - mruknął Bruenor, podbiegając, by zająć się resztkami. Kiedy tam dotarł, pomiędzy Drizztem, panterą a nieprzerwaną salwą Catti-brie wciąż stało kilka z dwudziestu koboldów, które odwróciły się natychmiast do ucieczki.

- Jest dużo więcej do zabicia - powiedział Drizzt, widząc grymas Bruenora i rozpoznając powód tego kwaśnego spojrzenia.

Zaraz gdy te słowa opuściły usta drowa, przemknęła pomiędzy nimi ciągnąca za sobą strugę srebra strzała. Kiedy zniknęły im plamki z oczu, obydwaj odwrócili się i spojrzeli na spopielone oraz martwe koboldy, powalone ostatnim strzałem Catti-brie.

Wtedy ona również znalazła się przy nich, z Khazid'heą w dłoni, obok niej zaś był Regis, trzymając mały buzdygan, który dawno temu wykuł dla niego Bruenor. Catti-brie wzruszyła ramionami, gdy jej przyjaciele zwrócili uwagę na zmianę broni, lecz, rozglądając się, zrozumieli jej

taktykę. W związku z tym, że wlewało się coraz więcej koboldów, zaś coraz więcej krasnoludów wychodziło z zewnętrznych komnat, by odpierać natarcie, panowało po prostu zbyt wielkie zamieszanie i tłok, by kobieta mogła dalej bezpiecznie posługiwać się łukiem.

- Dalej - powiedziała Catti-brie, a jej piękne rysy przeciął przebiegły uśmiech.

Drizzt odwzajemnił to spojrzenie, a Bruenor i Regis mieli iskrę w oku. Nagle wszystko wydawało się znów jak za dawnych czasów.

Guenhwyvar prowadziła ich natarcie, a Bruenor starał się trzymać blisko ogona pantery. Catti-brie oraz Regis znajdowali się po bokach krasnoluda, zaś Drizzt, pędząc i wirując, osłaniał z boków całą grupę, najpierw z lewej, następnie z prawej, wydając się być wszędzie tam, gdzie rozpoczynała się walka.

* * *

Bidderdoo Harpell wiedział, że się pomylił. Drizzt poprosił go, by dostał się do drzwi, aby poczekać, aż w grocie pokażą się pierwsze drowy, a następnie puścić w tunel ognistą kulę, żeby płomienie przepaliły podtrzymujące liny i zawaliły głazy.

- Nietrudne zadanie - zapewnił Bidderdoo Drizzta i rzeczywiście nie powinno było takim być. Czarodziej zapamiętał czar, który ustawi go w odpowiednim miejscu i znał inne, które uczynią go bezpiecznie ukrytym, dopóki nie dokończy podmuchu. Tak więc gdy wszyscy wokół niego rzucili się, by dołączyć do awantury, odeszli pewni, że pułapki zostaną uruchomione, że tunele się zawalą i że przypływ nieprzyjaciół zostanie zatamowany.

Coś poszło nie tak. Bidderdoo zaczął rzucać czar, który miał go zanieść do wejścia do tunelu, zrobił już nawet zarys pozawymiarowego portalu, który otworzy się w pożądanym miejscu, wtedy jednak czarodziej ujrzał grupę koboldów, a one zobaczyły jego. Nie było to trudne do zrobienia, bowiem Bidderdoo, człowiek nie pobłogosławiony wzrokiem, który mógł sięgać do spektrum podczerwieni, miał na sobie lśniący klejnot. Koboldy nie były głupimi stworzeniami, nie, gdy przychodziło do walki, i rozpoznały, kim był ten znajdujący się nie na miejscu człowiek. Nawet najbardziej niedoświadczeni z koboldzkich wojowników rozumieli znaczenie dotarcia do czarodzieja, zmuszenia niebezpiecznego maga do walki wręcz, związania jego rąk bronią zamiast zbyt często wybuchowych komponentów do czarów.

Mimo to Bidderdoo mógł pokonać ich natarcie, mógł przejść przez wymiary, by dostać się na wyznaczoną pozycję.

Przez siedem lat, aż do Trudnych Czasów, Bidderdoo Harpell żył wraz z efektami eliksiru, który

zadziałał nieprawidłowo, żył jako pies rodzinny Harpellów. Kiedy magia oszalała, Bidderdoo powrócił do ludzkiej postaci - przynajmniej na wystarczająco długo, by zebrać składniki potrzebne do zneutralizowania kapryśnego eliksiru. Wkrótce potem Bidderdoo wrócił do swego gryzionego przez pchły ja, pomógł jednak swej rodzinie odnaleźć sposób na wydostanie go z zaklęcia. W Bluszczowej Posiadłości rozgorzała wielka dyskusja, czy powinno się wyleczyć Bidderdoo, czy nie. Wydawało się, że wielu Harpellów polubiło psa bardziej niż kiedykolwiek kochało Bidderdoo jako człowieka.

Bidderdoo służył nawet za psa przewodnika Harkle'a na długim odcinku podróży do Mithrilowej Hali, kiedy Harkle nie miał oczu.

Wtedy jednak magia wróciła do normy i dyskusja stała się akademicka, bowiem zaklęcie po prostu zniknęło.

Czy jednak? Bidderdoo nie miał żadnych wątpliwości co do swego wyleczenia, dopóki nie zauważył zbliżających się koboldów. Jego górna warga zadarła się do góry w wyraźnym warknięciu. Poczuł jak włosy na karku marszczą się, a kość ogonowa prostuje - gdyby wciąż miał ogon, stałby on dęba za jego plecami!

Zaczął przykucać i dopiero wtedy zauważył, że nie ma łap, lecz dłonie, dłonie, w których nie było broni. Jęknął, bowiem koboldy były zaledwie trzy metry dalej.

Zamiast tego czarodziej rozpoczął czar. Zetknął ze sobą czubki palców, rozłożył szeroko dłonie na boki i zaczął szaleńczo śpiewać.

Koboldy zaatakowały, prosto i z boków, zaś najbliższy z nich trzymał wysoko miecz, szykując się do uderzenia.

Dłonie Bidderdoo wybuchnęły płomieniem, jęzorami palącego ognia rozpościerającego się w półokręgu.

Pół tuzina koboldów legło martwych, zaś kilka innych mrugało ze zdumienia przez spalone brwi.

- Ha! - krzyknął Bidderdoo i strzelił palcami.

Koboldy znów zamrugały i rzuciły się do ataku, a Bidderdoo nie miał żadnych czarów wystarczająco szybkich, by je zatrzymać.

Z początku koboldy i gobliny wydawały się mrowiącą się masą i takową pozostały, biorąc pod uwagę wielu niezdyscyplinowanych osiłków. Kilka grup było jednak intensywnie ćwiczonych do wojny w jaskiniach pod kompleksem domu Oblodra. Jedna z nich, w sile pięćdziesięciu żołnierzy, uformowała się w ciasny klin, z trzema wielkimi koboldami na przedzie i zwartą linią, rozciągającą się do tyłu oraz na boki.

Koboldy weszły do głównej komnaty, unikając walki wystarczająco długo, by się uformować, i skierowały prosto na lewo, w kierunku majaczącego wejścia do jednej z bocznych grot. Krasnoludy ich zazwyczaj unikały, bowiem dostępnych było wielu łatwiejszych przeciwników, i grupa koboldów niemal bez szwanku dotarła do bocznej komnaty.

Z owej komnaty wyłoniła się jednak grupa tuzina krasnoludów. Brodaci wojownicy zahuczeli, ryknęli i natarli zaciekle, jednak formacja koboldów nie załamała się, działała w idealnym zgraniu, rozszczepiając linię krasnoludów niemal na pół, po czym poszerzając przerwę, gdy znajdujące się na przedzie koboldy docisnęły się do wejścia bocznego pomieszczenia. Kilka koboldów padło w tej szarży i zginął jeden krasnolud, jednak szeregi stworów zwarły się niemal natychmiast z powrotem i te krasnoludy, które utkwiły wzdłuż wewnętrznej linii pomiędzy koboldami a lekko pochyłą ścianą głównej groty, znalazły się w naprawdę kiepskiej sytuacji.

Po przeciwległej stronie „wolna" połowa krasnoludów uświadomiła sobie swój błąd, zdała sobie sprawę, że potraktowała koboldy zbyt lekko, nie spodziewając się tak wyszukanej taktyki. Ich pobratymcy zginą, a oni nie mogą nic zrobić, by przedostać się przez tą zaskakująco zwartą, zdyscyplinowaną formację - uformowaną jeszcze ciaśniej przez fakt, że podszedłszy do ściany, koboldy weszły pod wiszące nisko stalaktyty.

Krasnoludy mimo to zaatakowały zaciekle, pobudzane przez krzyki swych skazanych najwyraźniej na zagładę towarzyszy.

Guenhwyvar przypadła nisko do ziemi, wystarczająco nisko, by przemknąć pod każdym stalaktytem. Pantera wpadła na tył formacji koboldów w pełnym biegu, odtrącając dwa koboldy i tratując trzeciego, po drodze zagłębiając w nim pazury, by mieć lepsze oparcie dla łap.

Drizzt zjawił się za nią, znów padając na jedno kolano i zabijając dwa koboldy w szybkim manewrze ataku. Za nim zaszarżował Regis, nie wyższy niż koboldy, i natarł pewnie na jednego z nich.

Przy swoim monumentalnym, zamaszystym stylu walki toporem Bruenor uważał zwarte szeregi za co najmniej niewygodne. Jeszcze gorzej miała Catti-brie, nie tak zwinna czy szybka jak Drizzt. Gdyby padła na jedno kolano, jak zrobił drow, znalazłaby się w naprawdę niedogodnej sytuacji.

Stojąc wszakże wyprostowana, ze stalaktytem przed twarzą, nie miała dużo lepiej.

Khazid'hea dała jej odpowiedź.

Występowała ona przeciwko wszelkim posiadanym przez kobietę instynktom, była przeciwieństwem wszystkiego, czego Bruenor (który spędził sporą część swego życia, naprawiając uszkodzoną broń), nauczył ją o walce. Mimo to, niewiele myśląc, Catti-brie ujęła oburącz rękojeść miecza i cięła wspaniałą bronią wysoko w poprzek.

Czerwona linia Khazid'hei zalśniła wściekle, gdy miecz zetknął się z wiszącą skałą. Catti-brie

straciła rozpęd, lecz jedynie trochę, bowiem Przecinaczka, godna swego imienia, przedarła się przez kamień. Catti-brie rzuciła się na bok, gdy miecz opuścił stalaktyt, bowiem byłaby w tej chwili odsłonięta - tyle że dwa koboldy znajdujące się przed nią nagle zaczęły się bardziej troszczyć tym, że zawala im się dach.

Jeden został zmiażdżony przez stalaktyt, zaś śmierć drugiego była równie szybka, bowiem Bruenor, widząc lukę, zaatakował zamachem znad głowy, który niemal przeciął plugawego stwora na pół.

Te krasnoludy, które zostały rozdzielone na zewnątrz, nabrały otuchy z przybycia tak potężnej grupy i nacisnęły mocno na linię koboldów, wołając do swych uwięzionych kamratów, by się trzymali, i obiecując, że wkrótce przybędzie pomoc.

Regis nienawidził walczyć, przynajmniej gdy przeciwnik widział, że atakuje. Był jednak teraz potrzebny. Wiedział to i nie zamierzał wymigać się od obowiązków. Obok niego Drizzt walczył na kolanach - jak mógł halfling, który musiałby stanąć na palcach, by uderzyć głową o stalaktyt, usprawiedliwić stanie w tej chwili obok swego przyjaciela drowa?

Z obydwoma dłońmi na rękojeści buzdyganu Regis zaatakował zaciekle. Uśmiechnął się, gdy trafił, dobrze wykuta broń zmiażdżyła koboldowi rękę.

Kiedy jednak ten przeciwnik rzucił się do tyłu, inny wcisnął się i uderzył, a jego miecz trafił Regisa pod podniesione ramię. Ocaliła go jedynie krasnoludzka zbroja - zapamiętał, by kupić Busterowi Bracerowi kilka dużych kubków miodu, jeśli wyjdzie z tego żywym.

Krasnoludzka zbroja była twarda, nie była taką jednak głowa kobolda, czego dowiódł chwilę później buzdygan halflinga.

- Dobra robota - pogratulował mu Drizzt, bowiem walka wokół niego osłabła na tyle, by mógł być świadkiem ciosu halflinga.

Regis próbował się uśmiechnąć, lecz zamiast tego skrzywił się, czując ból w posiniaczonych żebrach.

Drizzt dostrzegł ten grymas i przemknął przed Regisa, przyjmując natarcie, gdy formacja koboldów przesunęła się, by wypełnić poszerzającą się lukę. Sejmitary drowa rozpoczęły szalony taniec, tnąc i siekając, często uderzając w wiszące nisko stalaktyty i krzesząc iskry, lecz częściej trafiając w koboldy.

Z boku Catti-brie oraz Bruenor zawiązali naprędce sojusz - Bruenor powstrzymywał przeciwników, podczas gdy Catti-brie i Przecinaczka wycinały dalej drogę, usuwając wiszące skały jedna po drugiej.

Po drugiej jednak stronie krasnoludy wciąż znajdowały się w opałach, dwa padły, zaś

pozostałych pięć otrzymało liczne obrażenia. Żadne z przyjaciół nie mogło dotrzeć do nich na czas, wiedzieli o tym. Nikt nie mógł się przedostać przez zwartą formację.

Nikt poza Guenhwyvar.

Lecąc niczym czarna strzała, wierciła otwór, tratując jednego kobolda po drugim, otrząsając się z wielu paskudnych trafień. Krew spływała panterze po bokach, lecz nie odstraszało jej to. Dotarła do krasnoludów i podparła ich szereg, zaś wiwaty, jakie wznieśli na jej widok, zawierały w sobie czy sta radość i nadzieją na ratunek.

Z pieśnią na ustach krasnoludy walczyły, pantera walczyła, a koboldy nie mogły dokończyć tego, co zaczęły. Naciskana z drugiej strony formacja załamała się wkrótce i krasnoludzka grupa znów się połączyła, aby ranni mogli zostać zabrani z groty.

Troska Drizzta oraz Catti-brie o Guenhwyvar została rozproszona przez ryk pantery oraz jej skok, gdy Guenhwyvar poprowadziła przyjaciół do następnego miejsca, w którym byli wielce potrzebni.

* * *

Bidderdoo zamknął oczy, zastanawiając się, jakie tajemnice odkryje przed nim śmierć.

Miał nadzieję, że przynajmniej trochę z nich.

Usłyszał przed sobą ryk, a następnie brzęk stali. Dobiegł jęk oraz nieprzyjemny odgłos rozerwanego ciała, uderzającego na twardą podłogę.

Walczą o to, kto mnie zabije, pomyślał mag.

Więcej ryków - krasnoludzkich ryków! - i więcej jęknięć. Kolejne rozerwane ciała upadające na podłogę.

Bidderdoo otworzył oczy, by ujrzeć, jak szeregi koboldów są dziesiątkowane, by ujrzeć, jak garstka najbrudniejszych i najbardziej cuchnących krasnoludów, jakie można tylko sobie było wyobrazić, podskakuje wokół niego, wskazując w tę i we w tę, jakby Brygada Pogromców Flaków starała się określić, gdzie może spowodować największe zamieszanie.

Bidderdoo poświęcił chwilę, by przyjrzeć się koboldom, tuzinowi ciał, które były martwe.

- Rozerwane - wyszeptał i przytaknął, uważając, że to lepsze słowo.

- Teraz masz rację - powiedział jeden z krasnoludów. - Bidderdoo uznał, że słyszał, jak był on nazywany Thibbledorfem Pwentem czy jakoś tak (nie to, że ktoś zwany Bidderdoo mógł ciskać zniewagi związane z imionami). - A ja i moi znikamy! - prychnął szałojownik.

Bidderdoo przytaknął, po czym uświadomił sobie, że wciąż ma poważny problem. Dopiero przygotowywał czar, który mógł otworzyć pozawymiarowe wrota i stracił go, bowiem zaklęcie przerwało się, gdy walczył z koboldami.

- Czekaj! - wrzasnął na Pwenta i zdumiał siebie oraz krasnoluda, bowiem wraz ze słowami wydostał się z niego psi skowyt.

Pwent przyjrzał się z ciekawością Harpellowi. Doskoczył tuż przed Bidderdoo i przekrzywił głowę na bok, który to ruch został podkreślony przez kołyszący się szpikulec na hełmie.

- Czekaj. Proszę, nie uciekaj, dobry i szlachetny krasnoludzie - powiedział Bidderdoo przymilnie, potrzebując wsparcia.

Pwent rozejrzał się dookoła, jakby starając się określić, do kogo mówi ten mag. Pozostali Pogromcy Flaków byli podobnie zakłopotani, niektórzy stali, wpatrując się głupawo i drapiąc się po głowach.

Pwent wymierzył sękaty, brudny paluch w swą pierś, a jego mina pokazywała, że nie za bardzo uważa się za dobrego i szlachetnego.

- Nie zostawiaj mnie - poprosił Bidderdoo.

- Wciąż żyjesz - odparował Pwent. - A tu już nie ma za bardzo kogo zabijać. - Jakby to było dostatecznym wyjaśnieniem, szałojownik odwrócił się i zaczął odchodzić.

- Ale mi się nie udało! - zaskowyczał Bidderdoo i na końcu zdania spomiędzy jego warg wydostało się wycie.

- Nie udałooouuuu? - spytał Pwent.

- Och, wszyscy jesteśmy zguuuubieni! - ciągnął dramatycznie wyjący mag. - To za dalekooouuuu!

Do tego czasu wokół Bidderdoo znaleźli się wszyscy szałojownicy, zaintrygowani dziwnym akcentem, czy czymkolwiek to było. Najbliżsi wrogowie, banda goblinów, mogli teraz zaatakować, jednak nikt nie chciał zbliżać się do szalonej grupy, a stanowisko to było dodatkowo podkreślone przez oddział koboldów, leżący w pobliżu w krwawych strzępach.

- Lepiej pospiesz się i przejdź do sedna - warknął na Bidderdoo pragnący znów zabijać Pwent.

- Uuu.

- I przestań, do cholery, wyć! - zażądał szałojownik.

Tak naprawdę biedny Bidderdoo nie wył celowo. W stresowej sytuacji mag, który tak długo żył jako pies, niezamierzenie przypominał sobie te doświadczenia, odkrywał na nowo owe pierwotne psie instynkty. Wziął głęboki oddech i stanowczo przypomniał sobie, że jest człowiekiem, nie psem.

- Muszę dostać się do wejścia do tunelu - powiedział bez wycia czy skamlania. - Drow tropiciel poprosił mnie, bym posłał czar w korytarze.

- Nie obchodzą mnie te wasze czarodziejskie sztuczki - przerwał Pwent i znów się odwrócił.

- Nie chcesz zrzucić tego śmierdzącego tunelu drowom na łby? - zapytał Bidderdoo, najlepiej jak mógł imitując szałojownika.

- Ba! - parsknął Pwent, a wszędzie wokół niego krasnoludzkie głowy kiwały ochoczo. - Ja i moi zabierzemy cię tam!

Bidderdoo uważał, by zachować stanowczą minę, jednak w myślach uznał, że sprytnie postąpił, przemawiając do żądzy rzezi szalonych krasnoludów.

W mgnieniu psiego oka Bidderdoo został porwany przez falę biegnących Pogromców Flaków. Czarodziej zasugerował okrężną drogę, przemknięcie z lewej strony lub też wzdłuż pomocnej części groty, gdzie walka stała się mniej intensywna.

Głupi mag.

Brygada Pogromców Flaków pobiegła prosto, tratując koboldy i większe gobliny, które szły za szeregami koboldów. Niemal powaliła dwóch krasnoludów, którzy nie byli wystarczająco szybcy, by rzucić się na bok. Zanim Bidderdoo zdołał zaprotestować przeciwko tej taktyce, zauważył, że zbliża się do wyznaczonego miejsca, wejścia do tunelu.

Spędził krótką chwilę, zastanawiając się, co jest szybsze - czar otwierający wymiarowe drzwi czy garstka żądnych bitwy szałojowników. Pomyślał nawet o stworzeniu nowego zaklęcia, Eskorta szałojowników, jednak odrzucił tę myśl, gdy ważniejszy problem, para wielkich, bykogłowych minotaurów, za nimi zaś mroczny elf, wkroczyła do groty.

- Postawa defensywna! - krzyknął Bidderdoo. - Musicie ich powstrzymać! Postawa defensywna!

Głupi mag.

Najbliżsi dwaj Pogromcy Flaków rzucili się głowami naprzód, wpadając w stopy wielkich, dwuipółmetrowych potworów. Zanim minotaury zdały sobie w ogóle sprawę, co je trafiło, już przewracały się do przodu. Żaden z nich nie dotarł jednak bez przeszkód do podłogi, bowiem Pwent oraz inny krasnolud o szalonych oczach rzucili się na nie, zderzając się z minotaurami głowa w

głowę.

Za szamotaniną pojawiła się kula ciemności i nigdzie nie było widać drowa.

Bidderdoo roztropnie zaczął czarować. Drow był tutaj! Dokładnie tak jak odgadł Drizzt, mroczne elfy szły za koboldzim mięsem armatnim. Gdyby mógł teraz rzucić kulę ognistą, gdyby mógł zawalić tunel.

Musiał zmuszać słowa, by przedostawały się przez chrapliwy, instynktowny warkot, dobiegający skądś z głębi jego gardła. Czuł pragnienie, by dołączyć do Pogromców Flaków, którzy szamotali się nad leżącymi minotaurami, rozrywając je bezlitośnie na strzępy. Czuł pragnienie, by dołączyć do uczty.

- Uczty? - spytał się na głos.

Bidderdoo potrząsnął głową i zaczął od nowa, koncentrując się na zaklęciu. Najwyraźniej usłyszawszy rytmiczną inkantację czarodzieja, drow wyłonił się z ciemności, trzymając dłoń na podniesionej kuszy.

Bidderdoo zamknął oczy, zmuszając słowa, by płynęły tak szybko, jak to tylko możliwe. Poczuł ukąszenie bełtu prosto w żołądek, jednak był w pełni skoncentrowany i nie wzdrygnął się, nie przerwał czaru.

Nogi pod nim osłabły. Usłyszał, jak drow się zbliża, wyobraził sobie miecz wymierzony do zabójczego ciosu.

Bidderdoo utrzymał koncentrację. Dokończył dweomer i mała, jaśniejąca kula ognia wyskoczyła mu z dłoni, lecąc przez rozpościerającą się dalej ciemność do tunelu.

Bidderdoo chwiał się z osłabienia. Otworzył oczy, jednak grota wokół niego była zamglona i niewyraźna. Następnie przewrócił się do przodu, czując, jakby podłoga podnosiła się, by go połknąć.

Gdzieś w zakamarku umysłu spodziewał się uderzyć mocno o skałę, jednak wtedy ognista kula eksplodowała.

W tym momencie zawalił się tunel.

ROZDZIAŁ 21

JEDEN DLA TYCH DOBRYCH

Ciężkie brzemię, spoczywało na silnych ramionach wielce szanowanego nadzorcy kopaczy, lecz Belwar nie pochylał się, maszerując długimi, krętymi tunelami. Podjął decyzję z czystym umysłem oraz określonym celem i po prostu nie dopuszczał do siebie przewidywań przez całą drogę do Mithrilowej Hali.

Jego przeciwnicy w debacie kłócili się, że Belwarem kierowała osobista przyjaźń, nie leżąca w najlepszym interesie svirfhebli. Firble dowiedział się, że Drizzt Do'Urdendrowi przyjaciel Belwara, uciekł z Menzoberranzan i że wyprawa drowów, według wszelkich wskazówek, kierowała się prosto na Mithrilową Halę, bez wątpienia motywowana w części przez obwieszczoną przez Lloth nienawiść wobec renegata.

Czy Belwar poprowadzi więc Blingdenstone na wojnę dla dobra jednego drowa?

W końcu ta zażarta kłótnia została rozstrzygnięta nie przez Belwara, lecz Firble'a, kolejnego z najstarszych svirfnebli, kolejnego z tych, którzy najdotkliwiej odczuwali ból, gdy Blingdenstone zostało porzucone.

- Jasny wybór mamy - powiedział Firble. - Iść teraz i sprawdzić, czy możemy pomóc wrogom mrocznych elfów, albo też nowy dom znaleźć, bowiem drowy z pewnością powrócą, a jeśli wtedy staniemy przeciwko nim, sami będziemy.

Była to straszna, trudna decyzja dla rady i dla króla Schnickticka. Gdyby podążyli za mrocznymi elfami i ich podejrzenia sprawdziły się, gdyby odnaleźli wojnę na powierzchni, czy mogliby liczyć na sojusz z krasnoludami z powierzchni oraz ludźmi, rasami, których głębinowe gnomy nie znały?

Belwar zapewnił ich, że mogliby. Całym swym sercem wielce szanowany nadzorca kopaczy wierzył, że Drizzt oraz wszyscy przyjaciele, jakich sobie zdobył, go nie zawiodą. Firble zaś, który tak dobrze znał świat zewnętrzny (jednak, jak sam przyznał, był sporym laikiem, jeśli chodzi o powierzchnię), zgodził się z Belwarem, kierując się prostą logiką, że każda rasa, nawet niezbyt inteligentne gobliny, z chęcią powitałaby sojuszników przeciwko mrocznym elfom.

Tak więc Schnicktick oraz rada zgodzili się w końcu, lecz, jak w przypadku każdej innej decyzji wyjątkowo konserwatywnych svirfhebli, nie posunęli się dalej. Belwar mógł wymaszerować w pościg za drowami, a Firble z nim, wraz ze wszystkimi gnomami, które zgłoszą się na ochotnika. Byli zwiadowcami, podkreślił Schnicktick, a nie maszerującą armią. Król svirmebli oraz wszyscy ci, którzy sprzeciwiali się Belwarowi, byli zaskoczeni, dowiadując się, jak wielu zgłosiło się do tej

długiej, niebezpiecznej wyprawy. Wręcz tak wielu, że Schnicktick, po prostu dla dobra funkcjonowania miasta, musiał ograniczyć ich liczbę do trzydziestu setek.

Belwar wiedział, dlaczego svirfnebli poszli i znał prawdę w kwestii swej własnej decyzji. Jeśli mroczne elfy udadzą się na powierzchnię i pokonają Mithrilową Halę, nie pozwolą gnomom wrócić do Blingdenstone. Menzoberranzan nie podbijało, by później odejść.

Nie, oni zniewolą krasnoludy i będą wykorzystywać kopalnie jako własne, na nieszczęście dla Blingdenstone, bowiem miasto svirfnebli będzie zbyt blisko najkrótszych dróg do podbitej krainy.

Tak więc, choć wszyscy ci svirfnebli, wliczając w to Belwara i Firble'a, odchodzili od Blingdenstone dalej niż kiedykolwiek wcześniej, wiedzieli, że w rezultacie będą walczyć o własną ojczyznę.

Belwar nie rozważał ponownie tej decyzji, a gdy miał na to baczenie, jego brzemię było lżejsze.

* * *

Bidderdoo skierował ognistą kulę tunelem, lecz wąski korytarz nie był w stanie pomieścić w sobie głośności wybuchu. Z tunelu wypadł z powrotem do groty język ognia, niczym dech rozwścieczonego czerwonego smoka, i zapaliły się od niego szaty Bidderdoo. Mag wrzasnął - jak każdy kobold i krasnolud obok niego, jak następna linia minotaurów pędząca do jaskini, jak mroczne elfy czające się za nimi.

W chwili trwania kuli ognistej czarodzieja wszyscy oni wrzasnęli i równie szybko owe krzyki zamilkły, zdusiły się, zostały przygniecione setkami ton opadających skał.

Znów do groty wpadła fala uderzeniowa, podmuch tak silny, że zdmuchnął płomienie liżące szaty Bidderdoo. Czarodziej nagle wzniósł się w powietrze, jak wszyscy, którzy go otaczali. Leciał oszołomiony, zasypywany kamieniami, i miał niezwykłe szczęście, bowiem nie zmiażdżył go żaden z opadających stalaktytów czy ciężkich głazów.

Ziemia zatrzęsła się i zakołysała. Jedna ze ścian jaskini zawaliła się, a jedna z bocznych jaskiń zasypała. Nagle wszystko się skończyło, a tunel zniknął, po prostu zniknął, jakby nigdy wcześniej nie istniał, zaś komnata, która została nazwana na cześć krasnoluda Tunulta, wydawała się znacznie mniejsza.

Trzęsąc się Bidderdoo wydostał się ze sterty pyłu i gruzu, po czym otrzepał kurz ze swego błyszczącego klejnotu. Przy całym fruwającym w powietrzu pyle światło z zaklętego kamienia wydawało się naprawdę mizerne. Czarodziej spojrzał na siebie, widząc więcej skóry niż ubrania,

widząc tuziny zadrapań i jaskrawą czerwień na jednym ręku, pod klejącym się do niej kurzem, tam, gdzie płomienie dotarły do skóry.

Z kupy niedaleko wystawał szpikulec, wygięty lekko na bok. Bidderdoo zamierzał wyrazić żal z powodu śmierci szałojownika, który doprowadził go do odpowiedniego miejsca, jednak Pwent wyskoczył nagle spod pyłu, plując kamykami i uśmiechając się szaleńczo.

- Dobra robota! - ryknął szałojownik. - Zrób to znowu!

Bidderdoo zaczął odpowiadać, lecz zaczął omdlewać, podstępna trucizna drowów pokonała chwilowy zastrzyk adrenaliny. Następną rzeczą, jakiej nieszczęsny czarodziej był świadom, było to, że Pwent go podnosi i krztusi go najpaskudniej smakującym trunkiem, jaki kiedykolwiek pił. Paskudnym, lecz skutecznym, bowiem odurzenie zniknęło.

- Pogromca Flaków! - zaryczał Pwent, wkładając zaufaną flaszkę za szeroki pas.

Gdy kurz osiadł, ciała zaczęły się poruszać, jedno po drugim. Brygada Pogromców Flaków, twardsza niż kamień, przetrwała co do krasnoluda, zaś ta garstka koboldów, która przeżyła, została ścięta, zanim zdołała poprosić o litość.

Wskutek tego, w jaki sposób grota się zawaliła, gdy najbliższa boczna komnata zniknęła, a przeciwległa do niej ściana rozpadła się, mała grupka została odcięta od głównych sił. Szałojownicy nie byli jednak uwięzieni, bowiem na lewo, z powrotem do serca Groty Tunulta, prowadził wąski korytarz. Walka tam została podjęta na nowo, tak wnioskowali po brzęku metalu oraz krzykach krasnoludów i koboldów.

Nieoczekiwanie Thibbledorf Pwent nie poprowadził swych sił prosto w zamieszanie. Na tym końcu tunel był wąski i wydawał się zwężać kawałek dalej tak bardzo, że Pwent nie mógł nawet myśleć o przeciśnięciu się. Poza tym szałojownik zauważył coś nad ramieniem Bidderdoo, głębokie pęknięcie w skale z boku zawalonego tunelu. Zbliżywszy się do tego miejsca, Pwent poczuł pędzące ze szczeliny powietrze - ciśnienie w tunelach wyrównywało się po katastrofie.

Pwent zahuczał i uderzył z całej siły w ścianę pod pęknięciem. Luźny kamień puścił i wpadł do środka, odsłaniając przejście kierujące się do rozciągających się dalej głębszych korytarzy.

- Powinniśmy wrócić i złożyć raport królowi Bruenorowi - stwierdził Bidderdoo. - Albo pójść tak daleko, jak doprowadzi nas ten tunel, aby dać im znać, że tu jesteśmy, aby mogli nas odkopać.

Pwent parsknął.

- Niewiele by nam przyszło ze zwiadu, gdybyśmy pominęli ten tunel - zgodził się. - Jeśli drowy go znajdą, wrócą szybciej, niż się Bruenor spodziewa. To jest raport, który warto dać!

Tak naprawdę trudno było rozwścieczonemu krasnoludzkiemu wojownikowi ignorować kuszące

odgłosy walki, lecz z drugiej strony serce Pwenta szukało obietnic większych przeciwników, drowów i minotaurów w otwartych korytarzach.

- A jeśli utkniemy w tamtym tunelu - ciągnął Pwent, wskazując z powrotem na to, co zostało z Groty Tunulta - te cholerne drowy przejdą nam po plecach!

Brygada Pogromców Flaków uformowała się za swym dowódcą, jednak Bidderdoo potrząsnął głową i wcisnął się w korytarz. Jego najgorsze obawy szybko się ziściły, bowiem rzeczywiście się zwężał i czarodziej nie mógł dostać się do rozciągającej się dalej otwartej przestrzeni, nie mógł nawet zbliżyć się na tyle, by mieć nadzieję zwrócić na siebie uwagę nad harmidrem bitwy.

Być może miał zaklęcie, które mu pomoże, uznał Bidderdoo, sięgając do niemożliwie głębokiej kieszeni, by wyciągnąć swą cenną księgę czarów. Wyciągnął bryłę pomarszczonych stron, rozmazanych i nadpalonych, z licznymi plamami atramentu od ogromnego gorąca. Klej oraz szwy oprawy również się stopiły i gdy Bidderdoo podniósł księgę do góry, rozpadła się.

Czarodziej zaczął nagle ciężko oddychać, poczuł, jakby cały świat się do niego zbliżał. Zebrał tyle kartek, ile mógł, i wycofał się z powrotem z korytarza, by odkryć ku swemu zaskoczeniu oraz uldze, że Pwent oraz pozostali wciąż na niego czekają.

- Uznałem, że zmienisz zdanie - stwierdził szałojownik, po czym poprowadził Brygadę Pogromców Flaków, plus jednego, dalej.

- Pięćdziesięciu drowów i cala grupa minotaurów - błysnęły dłonie Quenthel Baenre, a z ostrych, urywanych ruchów jej matka odgadła, że jest rozwścieczona.

Głupia, zamyśliła się opiekunka Baenre. Zaczęła rozmyślać, ile serca jej córka wkłada w tę ekspedycję. Quenthel była potężną kapłanką, nie można było temu zaprzeczać, jednak dopiero wtedy wyniszczona stara opiekunka uświadomiła sobie, że młoda Quenthel nigdy nie widziała tak naprawdę bitwy. Dom Baenre nie toczył wojen od wielu setek lat, a w związku z jej przyspieszoną edukacją w Akademii Quenthel oszczędzono obowiązków eskortowania zwiadowczych patroli w tunelach poza Menzoberranzan.

Uderzyło wtedy Baenre, że jej córka nigdy nie była poza miastem drowów.

- Główna droga do Mithrilowej Hali już nie istnieje - ciągnęły dłonie Quenthel. - I zawaliło się też kilka równoległych korytarzy. Co gorsza - Quenthel przerwała nagle, musiała wziąć głęboki oddech, by się uspokoić. Kiedy zaczęła na nowo, jej twarz zastygła z gniewu - wiele z martwych drowów było kobietami, znajdowało się tam kilka potężnych kapłanek i jedna wysoka kapłanka.

Jej ruchy wciąż były przesadzone, zbyt gwałtowne i zbyt szybkie. Czy Quenthel naprawdę sądziła że ten podbój będzie prosty? - zastanawiała się Baenre. Czy uważała, że nie zostaną zabite żadne drowy?

Baenre rozmyślała i to nie po raz pierwszy, czy nie popełniła błędu, zabierając Cjuenthel. Być może powinna była wziąć Triel, najzdolniejszą z kapłanek.

Quenthel przyjrzała się skierowanej na nią stanowczej twarzy i zorientowała się, że jej matka nie jest zadowolona. Minęła chwila, zanim zdała sobie sprawę, że zirytowała Baenre bardziej, niż mógł to zrobić niepomyślny raport.

- Szeregi się przesuwają? - spytała na głos Baenre. Quenthel odchrząknęła.

- Bregan D'aerthe odkryli wiele innych dróg - odpowiedziała. - Nawet korytarze, o których nie wiedzą krasnoludy, dochodzące blisko do tuneli wiodących do Mithrilowej Hali.

Opiekunka Baenre zamknęła oczy i skinęła głową, pochwalając nagłe odzyskanie optymizmu przez córkę. Rzeczywiście istniały tunele, o których krasnoludy nie wiedziały, małe korytarze pod najniższymi poziomami Mithrilowej Hali, zapomniane, gdy krasnoludy przesunęły operacje górnicze ku bogatszym żyłom. Stary Gandalug znał jednak te pradawne, sekretne ścieżki i dzięki szczegółowym przesłuchaniom przez Methila drowka również je znała. Owe sekretne tunele nie łączyły się tak naprawdę z krasnoludzkim kompleksem, lecz czarodzieje mogli otwierać wrota tam, gdzie ich nie było, zaś ilithidy potrafiły przechodzić przez skałę i zabierać ze sobą drowich wojowników na psioniczne podróże.

Oczy Baenre otworzyły się nagle.

- Wieści od Berg'inyona? - zapytała.

Quenthel potrząsnęła głową.

- Wyszedł z tuneli, jak brzmiał rozkaz, jednak od tego czasu nie było o nim słychać.

Na twarzy Baenre pojawiło się zdenerwowanie. Wiedziała, że Berg'inyon dąsa się za to, iż jest wysyłany na zewnątrz. Prowadził największy ze zwartych oddziałów, liczbowo rzecz biorąc, niemal tysiąc drowów oraz pięć razy tyle goblinów i koboldów, zaś wiele mrocznych elfów dosiadało jaszczurów. Obowiązki Berg'inyona wszakże, choć istotne dla podboju Mithrilowej Hali, skierowały go na zbocze górskie za krasnoludzkim kompleksem. Najprawdopodobniej Drizzt Do'Urden będzie w środku, działając w środowisku odpowiedniejszym dla mrocznego elfa. Najprawdopodobniej to Uthegental Armgo, nie Berg'inyon, skosztuje pierwszy krwi renegata.

Grymas Baenre przerodził się w uśmiech, gdy pomyślała o swym synu oraz jego napadzie złości, gdy dała mu to zadanie. Oczywiście, że musiał udawać rozgniewanego, nawet rozwścieczonego. Oczywiście, że musiał protestować, że to on, nie Uthegental powinien prowadzić natarcie w tunelach. Berg'inyon był jednak z Drizztem w jednej klasie i podczas lat spędzonych w Melee-Magthere, drowiej szkole wojowników, byli rywalami. Znał chyba Drizzta lepiej niż jakikolwiek inny żyjący drow z Menzoberranzan. Opiekunka Baenre znała zaś Berg'inyona.

Prawda była taka, że Berg'inyon nie chciał mieć nic wspólnego z niebezpiecznym renegatem.

- Poszukaj swego brata magią - powiedziała nagle Baenre, strasząc Quenthel. - Jeśli nadal trwa w swym uporze, zastąp go.

Oczy Quenthel rozszerzyły się przerażeniem. Była z Berg'inyonem, gdy oddział wyszedł z tuneli, wchodząc na półkę, skalną na zboczu, wychodzącą na głęboki parów. Widok ją przytłoczył, oszołomił, podobnie jak wiele innych drowów. Czuła się tam zagubiona, nic nie znacząca i odsłonięta. Ta jaskinia, którą był świat powierzchni, ta wielka komnata, której czarna kopuła jaśniała punktami nieznanego światła, była zbyt ogromna jak na jej zmysły.

Opiekunka Baenre nie pochwalała jej przerażonej miny.

- Idź! - warknęła, a Quenthel cicho się wymknęła.

Ledwo co zniknęła z pola widzenia, gdy następna składająca raport drowka stanęła przed jaśniejącym błękitem dryfdyskiem Baenre.

Jej raport o postępach sił poruszających się w sekrecie dolnymi tunelami był lepszy, lecz Baenre ledwo słuchała. Szczegóły szybko stawały się dla niej nużące. Krasnoludy były dobre i miały wiele miesięcy na przygotowania, jednak w końcu opiekunka Baenre nie wątpiła w rezultat, wierzyła bowiem, że przemówiła do niej sama Lloth. Drowy wygrają, a Mithrilowa Hala upadnie.

Wy słuchała jednak raportu, a później następnego i jeszcze jednego, i kolejnego po nim, strumienia, który wydawał się nieskończony, zmuszając się, by wyglądać na zainteresowaną.

ROZDZIAŁ 22

ŚWIATŁO GWIAZD, ICH BLASK

Z jej wysokiego stanowiska, dzięki wzrokowi wzmocnionemu przez magiczne dweomery, wydawali się armią mrówek rozlewających się po wschodnim i najbardziej stromym zboczu góry, wypełniających każdą dolinę, wspinających się na każdą skałę. Za nimi, w zwartych formacjach, podążała głębsza czerń, wojownicy drowów.

Nigdy wcześniej pani Silverymoon nie widziała tak niepokojącego obrazu, nigdy wcześniej nie była tak pełna trwogi, choć przeżyła wiele wojen oraz liczne niebezpieczne przygody. Wygląd Alustriel nie odzwierciedlał tych bitew. Była ona tak piękna, jak żadna żyjąca kobieta, jej skóra była gładka i blada, niemal przezroczysta, a włosy długie i srebrzyste - nie siwe od wieku, choć była naprawdę bardzo stara, lecz lśniące i bujne, ciche światło nocy i migocząca jasność gwiazd zmieszane ze sobą. Rzeczywiście, piękna pani przeżyła wiele wojen, a smutek owych konfliktów odbijał się w jej oczach, podobnie jak mądrość karząca jej gardzić wojną.

Na drodze ku południowemu zboczu, za załomem stożkowatej góry, Alustriel widziała sztandary zgromadzonych wojsk, najbardziej wyróżniała się spośród nich srebrna flaga jej własnych rycerzy. Alustriel wiedziała, że są dumni i niespokojni, bowiem większość z nich była młoda i nie znała żalu.

Pani Silverymoon otrząsnęła z siebie te niepokojące myśli i skupiła na tym, co najprawdopodobniej się wydarzy oraz jaka może być jej w tym rola.

Trzon wrogich sił stanowiły koboldy i uznała, że wielcy barbarzyńcy oraz opancerzeni jeźdźcy nie powinni mieć większych kłopotów z rozpędzeniem ich.

Jak jednak poradzą sobie z drowami? - zastanawiała się Alustriel. Wykonała swym latającym rydwanem szeroką pętlę, obserwując i czekając.

* * *

Wzdłuż przednich szeregów wybuchły potyczki, gdy ludzcy zwiadowcy spotkali się z koboldami.

Na odgłos bitwy oraz z powodu dochodzących raportów Berkthgar pragnął wypuścić swe siły, rzucić się do ataku i zginąć z pieśnią do Tempusa na ustach.

Besnell, który dowodził Rycerzami w Srebrze, był zahartowanym wojownikiem i w większym stopniu strategiem.

- Zatrzymaj swych ludzi - poprosił rozochoconego barbarzyńcę. - Tej nocy ujrzymy więcej walki, niż podobałoby się komukolwiek z nas, a nawet Tempusowi, twojemu bogu walki. Lepiej toczyć bitwę na terenie wybranym przez nas. - Rzeczywiście, rycerz starannie wybrał to właśnie miejsce i kłócił się z Berkthgarem oraz samym królem Bruenorem, by zdobyć poparcie dla swego planu. Siły zostały podzielone na cztery grupy rozmieszczone wzdłuż południowego zbocza góry, Czteroszczytu, w której znajdowały się obydwa wejścia do Mithrilowej Hali. Na północnym zachodzie, po przeciwległej stronie, leżała Dolina Strażnika, szeroki, głęboki, usiany głazami i zasłany mgłą parów, w którym leżały sekretne zachodnie wrota do krasnoludzkiego kompleksu.

Na północny wschód od pozycji żołnierzy, za górą oraz rozległymi obszarami otwartych skał i wąskich, przecinających się szlaków znajdowała się dłuższa, powszechniej używana ścieżka do wschodnich wrót Hali.

Wysłannicy Bmenora chcieli, aby wojska zostały rozdzielone, aby jeźdźcy udali się bronić Doliny Strażnika, a ludzie z Settlestone strzegli wschodnich szlaków. Besnell trzymał się jednak stanowczo swego stanowiska i pozyskał Berkthgara, odwracając sytuację przeciwko dumnym krasnoludom, nalegając, że powinni być w stanie ukryć i obronić swe własne wejścia.

- Jeśli drowy wiedzą, gdzie leżą wejścia - spierał się - to właśnie tam będą się spodziewać oporu.

Tak więc wybrano południowe zbocze Czteroszczytu. Pod pozycjami obrońców znajdowało się wiele szlaków, jednak nad nimi klify stawały się bardziej strome, więc nie spodziewali się ataku z tej strony. Grupy obrońców były wymieszane zależnie od terenu. Jedna, składająca się wyłącznie z barbarzyńców, zajmowała wąskie, poszarpane szlaki, w dwóch byli barbarzyńcy oraz jeźdźcy, zaś jedna, na płaskowyżu nad szerokim, gładkim, lekko pochyłym urwiskiem, była złożona w całości z Jeźdźców z Nesme.

Besnell oraz Berkthgar obserwowali i czekali teraz na drugiej pozycji. Wiedzieli, że bitwa jest nieuchronna. Otaczający ich mężczyźni wyczuwali ciszę, czającą się, zbliżającą armię. Obszary niżej na stoku, na wschodzie, wybuchły nagle rozbłyskami jaskrawego światła, gdy ulewa zaczarowanych kulek, dar od krasnoludzkich kapłanów, wyleciała od barbarzyńców z pierwszego stanowiska.

Jakże koboldy się miotały! Podobnie jak garstka mrocznych elfów wśród przednich szeregów niewielkich stworów. Potwory znajdujące się najwyżej na zboczu, w pobliżu ukrytych pozycji, zostały przytłoczone, spadła na nie horda barbarzyńców, rozszczepiając je na pół wielkimi mieczami i bitewnymi toporami lub też po prostu podnosząc koboldy wysoko i ciskając nimi w dół zbocza.

- Musimy wyjść im na spotkanie! - zaryczał Berkthgar, widząc, że jego pobratymcy angażują się w walkę. Uniósł wysoko w powietrze wielkiego Bankenfuere. - Ku chwale Tempusa! - ryknął i okrzyk ten został powtórzony przez wszystkich barbarzyńców na drugiej pozycji, a także tych na trzeciej.

- To by było na tyle, jeśli chodzi o zasadzkę - mruknął Regweld Harpell, siedząc na swym żabokoniu, Kałużoskoczku. Skinąwszy głową do Besnella, bowiem nadchodził odpowiedni czas, Regweld pociągnął lekko za lejce Kałużoskoczka, a dziwaczna bestia zaskrzeczała gardłowym rżeniem i skoczyła na zachód, pokonując dziesięć metrów.

- Jeszcze nie - Besnell poprosił Berkthgara, bowiem barbarzyńca trzymał w dłoni około tuzina dających światło kulek. Rycerz wskazał Berkthgarowi ruchy wrogich sił poniżej, wyjaśniając, że choć wielu wspięło się, by zetrzeć z obrońcami chroniącymi pozycji najbardziej wysuniętych na wschód, znacznie, znacznie więcej prześlizgiwało się niższymi szlakami na zachodzie. Poza tym światło nie było już tak intensywne, bowiem mroczne elfy użyły swych wrodzonych umiejętności, by odeprzeć rażąco jasne zaklęcia.

- Na co czekasz? - zażądał odpowiedzi Berkthgar. Besnell wciąż trzymał rękę w powietrzu, wciąż opóźniał atak. Jakiś barbarzyńca wrzasnął, ujrzawszy, że jego sylwetka została nagle otoczona błękitnymi płomieniami, ogniem, który nie parzył. Nie były one jednak całkowicie nieszkodliwe, bowiem w nocy zdradzały wyraźnie położenie mężczyzny. Gdzieś z dołu rozbrzmiał brzęk wielu kusz i nieszczęsny barbarzyńca krzyknął ponownie i jeszcze raz, po czym zamilkł.

Było to już zdecydowanie dość dla Berkthgara, który cisnął swe kulki. Jego znajdujący się w pobliżu pobratymcy zrobili to samo i ta druga sekcja obróconej na południe brygady rozbłysła nagle magią. Ludzie z Settlestone zaszarżowali w dół, ku nieprzerwanemu niepokojowi Besnella. Najpierw powinni pojechać jeźdźcy, jednak jeszcze nie teraz, nie, zanim nie przeszła większość sił nieprzyjaciela.

- Musimy - wyszeptał rycerz za elfim dowódcą z Silverymoon, a Besnell w milczeniu skinął głową. Przyglądał się scenerii zaledwie przez chwilę. Berkthgar i jego setka już walczyli na stoku i nie mieli szans na dołączenie do tych odważnych mężczyzn, utrzymujących teren wyżej, na wschodzie. Pomimo złości na porywczego barbarzyńcę Besnell podziwiał wyczyny Berkthgara. Potężny Bankenfuere zdjął trzy koboldy za jednym zamachem, posyłając je, w całości bądź w częściach, wysoko w powietrze.

- Światło się nie utrzyma - stwierdził rycerz za Besnellem.

- Pomiędzy dwa oddziały - odparł Besnell, mówiąc wystarczająco głośno, by mogli go usłyszeć wszyscy otaczający go jeźdźcy. - Musimy zjechać pod kątem pomiędzy dwa oddziały, aby ludzie na wschodzie mogli uciec za nas.

Nie wróciło do niego nawet słowo skargi, choć wybrana przez niego trasa była naprawdę zdradziecka. Oryginalny plan głosił, aby Rycerze w Srebrze ruszyli prosto na nieprzyjaciela, zarówno z tej pozycji, jak i z następnej na zachód, podczas gdy Berkthgar i jego ludzie połączyliby się za nimi i cała siła obrońców potoczyłaby się stopniowo na zachód. Teraz Berkthgar, w swej żądzy krwi, zniweczył ten plan i Rycerze w Srebrze mogą za to drogo zapłacić. Żaden człowiek czy elf się jednak nie poskarżył.

- Trzymajcie swe kulki - rozkazał Besnell - dopóki drowy nie zlikwidują tego światła, które jest teraz dostępne.

Dla efektu poderwał konia na tylne nogi.

- Ku chwale Silverymoon! - krzyknął - I dobra całego dobrego ludu! - dobiegła zgodna odpowiedź.

Ich tętent wstrząsnął zboczem Czteroszczytu, rozbrzmiał głęboko w krasnoludzkich tunelach pod skałami. Z dźwiękiem rogów zaszarżowali w dół, setka jeźdźców z opuszczonymi lancami, zaś gdy owe długie włócznie zaplątały się bądź pękły, przebiwszy wrogów, zostały wyciągnięte błyszczące miecze.

Bardziej śmiercionośne były krzepkie wierzchowce, miażdżące koboldy pod swymi dudniącymi kopytami, roztrącające i przerażające zarówno gobliny, jak i drowy, bowiem owi najeźdźcy z najgłębszego Podmroku nigdy wcześniej nie widzieli takiej szarży kawalerii.

W przeciągu zaledwie paru minut natarcie przeciwników w górę zbocza zostało zatrzymane i zawrócone, przy czym zaledwie garstka obrońców została powalona. Kiedy zaś mroczne elfy dalej kontrowały świetlne kulki, ludzie Besnella reagowali na ich czary kolejnymi kulkami.

Mroczne siły wciąż jednak toczyły się niskimi szlakami, o czym świadczyło dudnienie rogów na zachodzie, wołanie do Tempusa i za Longsaddle, a także ponowny tętent, gdy Longjeźdźcy podążyli za przewodem Rycerzy w Srebrze.

Szarżę z owego trzeciego stanowiska poprowadziło pierwsze prawdziwe użycie magii, wystrzelona przez Regwelda błyskawica, która spowodowała więcej przerażenia niż zniszczeń.

Co zdumiewające, nie nastąpiła żadna magiczna odpowiedź ze strony drowów, nie licząc drobnych zaklęć ciemności czy ogni faerie oświetlających wybranych obrońców.

Pozostałe siły barbarzyńców zrobiły tak, jak zakładał plan, kierując się pomiędzy Longriderów oraz obszar tuż pod drugim stanowiskiem, łącząc się nie z Rycerzami w Srebrze, jak pierwotnie planowano, lecz z Berkthgarem i jego oddziałem.

* * *

Wysoko ponad bitwą Alustriel używała całej swej dyscypliny, by się powstrzymywać. Obrońcy, jak oczekiwano, siekali szeregi koboldów oraz goblinów na strzępy, zabijając nieprzyjaciół w stosunku dalece przekraczającym pięćdziesiąt do jednego.

Liczba ta zostałaby z łatwością podwojona, gdyby Alustriel wyzwoliła swą magię, jednak nie mogła tego zrobić. Drowy czekały cierpliwie, a ona szanowała moce tych złych elfów na tyle, by wiedzieć, że jej pierwszy atak może być jedynym.

Wyszeptała komendę do zaklętych koni ciągnących powietrzny rydwan i sfrunęła niżej, kiwając ponuro głową, gdy potwierdziła, że bitwa toczy się tak, jak przewidywano. Rzeź na wyższym fragmencie południowego zbocza była zakończona, jednak mroczna masa wciąż przelewała się poniżej ku zachodowi.

Alustriel rozumiała, że pomiędzy szeregami tej niższej grupy znajduje się wiele drowów.

Rydwan pomknął na wschód, szybko zostawiając za sobą pole bitwy, i pani Silverymoon uspokoiła się trochę, zdawszy sobie sprawę, że wrogie szeregi nie były takie długie, nie wykraczały zbyt daleko za najbardziej wysunięte na wschód pozycje obrońców.

Zrozumiała dlaczego, kiedy usłyszała kolejną bitwę za górą na wschodzie. Nieprzyjaciel znalazł wschodnie wrota Mithrilowej Hali, wszedł do kompleksu i walczył z krasnoludami w środku!

W cieniu owych niskich wrót wybuchały błyskawice i płomienie, zaś istotami, które wkraczały do wewnątrz, nie były niewielkie koboldy czy głupie gobliny. Były to mroczne elfy, wiele, wiele mrocznych elfów.

Chciała tam zjechać, zalać nieprzyjaciela magiczną, wybuchową furią, jednak musiała wierzyć w lud Bruenora. Wiedziała, że tunele zostały przygotowane, a atak z zewnątrz góry był spodziewany.

Jej rydwan leciał dalej na pomoc i Alustriel pomyślała, że zamknie trasę, udając się przez Dolinę Strażnika na wschodzie, gdzie oczekiwali kolejni sprzymierzeńcy, następna setka jej Rycerzy w Srebrze.

To, co ujrzała, ani się jej nie spodobało, ani nie uspokoiło.

Północna ściana Czteroszczytu była zdradzieckim, nagim obszarem, praktycznie nie nadających się do wspinaczki zboczy oraz poszarpanych parowów, których nie mógłby pokonać żaden człowiek.

Była praktycznie nie nadająca się do wspinaczki, lecz nie dla kleistych łap wielkich podziemnych jaszczurów.

Berg'inyon Baenre oraz jego elitarny oddział, czterystu osławionych jaszczurczych jeźdźców domu Baenre, wdrapywali się po owej pomocnej ścianie, prąc szybko na zachód, ku Dolinie Strażnika.

Oczekujący rycerze byli ustawieni tak, by wspierać ostatnie stanowiska przeciwko siłom nacierającym na południową ścianę. Ich szarża, jeśli by nastąpiła, otworzyłaby ostatnią flankę, aby pozwolić Besnellowi, Longriderom oraz ludziom z Nesme i Settlestone dostać się do doliny, która

była dostępna jedynie przez jedną wąską przełęcz.

Alustriel wiedziała, że jaszczurczy jeźdźcy znajdą się tam pierwsi i będą przewyższać liczebnie czekających rycerzy - poza tym byli drowami.

* * *

Najdalej wychodząca na wschód pozycja była otoczona. Barbarzyńcy, a raczej to, co zostało z ich szeregów, biegli szybko na zachód, przemykając za Rycerzami w Srebrze, by dołączyć do Berkthgara.

Po tym jak przebiegli, Besnell również obrócił swe siły na zachód, popychając do przodu oddział Berkthgara, który napęczniał tak, że mieścił w sobie niemal wszystkich żyjących wojowników z Settlestone.

Dowódca Rycerzy w Srebrze zaczął sądzić, że pomyłka Berkthgara może nie być tak fatalna w skutkach, że odwrót może nastąpić tak, jak planowano. Trafił na wysoki płaskowyż i przyjrzał się okolicy, kiwając ponuro głową, gdy zauważył, że wrogie siły przetoczyły się wokół pierwszych trzech stanowisk.

Oczy Besnella rozszerzyły się i mężczyzna wciągnął raptownie powietrze, uświadomiwszy sobie dokładne położenie prowadzących szeregów tej mrocznej chmury. Jeźdźcy z Nesme przegapili swą kolej! Mieli szybko zjechać w dół zbocza, by utrzymać tę flankę, a mimo to z jakiegoś powodu zawahali się i pierwsze szeregi nieprzyjaciela wydawały się już znajdować za tym czwartym i ostatnim stanowiskiem.

Teraz Jeźdźcy z Nesme ruszyli i ich szarża w dół najgładszej skały południowego zbocza była naprawdę dewastująca, czterdziestu konnych w przeciągu zaledwie paru chwil powaliło trzy razy tyle koboldów.

Besnell wiedział jednak, że nieprzyjaciel mógł sobie na to pozwolić, a także na wiele więcej. Plan nawoływał do zorganizowanego odwrotu na zachód, do Doliny Strażnika, a nawet przez zachodnie wrota Mithrilowej Hali, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Był to dobry plan, jednak teraz flanka została stracona i droga na zachód była zamknięta.

Besnell mógł jedynie obserwować z przerażeniem.

Część 5

STARZY KRÓLOWIE I STARE KRÓLOWE

Przybyli jako armia, lecz nie do końca. Osiem tysięcy mrocznych elfów oraz jeszcze większa liczba humanoidalnych niewolników, potężna i masywna siła parła w stronę Mithrilowej Hali. Miana te są odpowiednie w kategoriach samych liczb i potęgi, a jednak „armia" i „siła" sugerują coś więcej, poczucie spójności i wspólnego celu. Z pewnością drowy należą do najlepszych wojowników w Krainach, są szkolone do walki od najmłodszych lat, same bądź w grupach, i z pewnością cel wydaje się jasny, gdy wojna jest rasowa, gdy drowy walczą z krasnoludami. Wszakże, choć ich taktyka jest doskonała, a oddziały współpracują, by nawzajem się wspierać, owa spójność w szeregach drowów pozostaje powierzchowna.

Niewiele mrocznych elfów, jeśli w ogóle jakieś w armii Lloth, oddałoby swe życie, by ocalić innego, chyba że ona bądź on byliby przekonani, iż taka ofiara zagwarantuje im zaszczytne miejsce w życiu po śmierci u boku Pajęczej Królowej. Jedynie fanatyk spośród mrocznych elfów wziąłby na siebie ranę, jakkolwiek drobną, by uratować innemu życie, i to jedynie dlatego, iż ów fanatyk sądziłby, że leży to w jego najlepszym interesie. Drowy przyszły, nawołując o chwałę dla Pajęczej Królowej, lecz tak naprawdę szukały części jej chwaty dla siebie.

Osobisty zysk był zawsze podstawową zasadą mrocznych elfów.

Taka była różnica pomiędzy obrońcami Mithrilowej Hali a tymi, którzy przyszli ją podbić. To była jedyna nadzieja, jaką żywiliśmy w obliczu strasznej przewagi liczebnej nieprzyjaciela, wyszkolonych drowich wojowników!

Gdyby pojedynczy krasnolud przybył do walki, w której jego kamratom grozi klęska, zaryczałby butnie i rzucił się na łeb na szyję, niezależnie od przewagi liczebnej wroga. Mimo to, gdybyśmy schwytali grupę drowów, może patrol, w zasadzkę, owe wspierające oddziały otaczające swych pechowych towarzyszy nie pomogłyby im, nie będąc pewnymi zwycięstwa.

To my, nie oni, mieliśmy prawdziwy wspólny cel. My, nie oni, rozumieliśmy spójność, walczyliśmy dla podzielanych wyższych zasad, rozumieliśmy i akceptowaliśmy wszelkie ofiary, które mogłyby nas popchnąć w stronę większego dobra.

W Mithrilowej Hali istnieje komnata - a wręcz wiele komnat - w której składa się honor bohaterom wojen i dawnych walk. Znajduje się tam miot Wulfgara, a i był tam łuk - elfi łuk - który Catti-brie przywróciła z powrotem do służby. Choć używa go od lat i dodała wiele do jego legendy, wciąż mówi o nim jako o łuku Anariel, zmarłej dawno elfki. Jeśli po stuleciach od tej chwili łuk znów zostanie użyty przez przyjaciela klanu Battlehammer, będzie nazywany łukiem

Catti-brie, dawniej lukiem Anariel.

W Mithrilowej Hali jest jeszcze jedno miejsce, Hali Królów, gdzie wykuto sylwetki patronów klanu Battlehammer, gigantyczne i ponadczasowe.

Drowy nie mają takich pomników. Moja matka, Malice, nigdy nie mówiła o poprzedniej matce opiekunce domu Do'Urden, najprawdopodobniej dlatego, że sama przyłożyła rękę do jej śmierci. A w Akademii nie ma tablic dawnych mistrzyń czy mistrzów. Tak naprawdę, gdy teraz się nad tym zastanawiam, jedynymi pomnikami w Menzoberranzan są statuy tych, którzy zostali ukarani przez Baenre lub ugodzeni przez Yendes i jej okrutny bicz. Ich skóra stała się kamieniem, aby mogli zostać ustawieni na widoku, na płaskowyżu Tier Breche poza Akademią, jako świadectwa nieposłuszeństwa.

Taka była różnica pomiędzy obrońcami Mithrilowej Hali a tymi, którzy przyszli ją podbić. To była jedyna nadzieja.

Drizzt Do'Urden

ROZDZIAŁ 23

KIESZENIE MOCY

Bidderdoo nigdy nie widział niczego, co mogłoby się z tym równać. Była to dosłownie ulewa koboldów spadających wszędzie wokół przerażonego Harpella, gdy Brygada Pogromców Flaków wpadła w prawdziwy szał bitewny. Dotarli do małej, szerokiej komnaty i natknęli się tam na oddział koboldów wielokrotnie przewyższający ich liczebnie. Zanim Bidderdoo zdołał zasugerować odwrót (lub „taktyczny manewr oskrzydlający", jak zamierzał to nazwać, wiedział bowiem, że w słowniku Thibbledorfa Pwenta nie ma słowa „odwrót"), Pwent poprowadził bezpośrednią szarżę.

Biedny Bidderdoo został wessany przez brygadę, siódemkę rozszalałych krasnoludów, ślepo i radośnie podążającą za najwyraźniej samobójczym przewodem Pwenta prosto do serca groty. Teraz była to furia, masakra z rodzaju tych, w które pilny Harpell, żyjący od urodzenia w zacisznej Bluszczowej Posiadłości (z czego sporą część jako pies rodzinny), nie mógł uwierzyć.

Pwent przemknął obok niego z nadzianym na szpikulec i powiewającym bezwładnie martwym koboldem. Rozłożywszy szeroko ręce, szałojownik skoczył na grupę koboldów i przyciągnął do siebie tyle, ile tylko mógł, ściskając je mocno. Następnie zaczął się trząść, wpadając w konwulsje tak gwałtowne, że Bidderdoo zastanawiał się, czy jakaś bolesna trucizna nie przedarła się do żył krasnoluda.

Nie bardzo, bowiem było to kontrolowane szaleństwo. Pwent trząsł się, a paskudne zadziory na jego zbroi zrywały skórę ze ściśniętych przeciwników, rozrywały ich i darły. Skończył to (pozostawiając trzy konające koboldy) lewym sierpowym, który wbił jego pancerną, nabijaną kolcami rękawicę na kilkanaście centymetrów w czoło kolejnego nieszczęsnego przeciwnika.

Bidderdoo doszedł do zrozumienia, że szarża nie była samobójcza, że za pomocą samej furii Pogromcy Flaków mogli z łatwością zwyciężyć z przeważającymi siłami. Zdał sobie również sprawę, że koboldy szybko nauczyły się omijać rozszalałe krasnoludy. Sześć z nich przemknęło szerokim, pełnym szacunku łukiem obok Pwenta. Sześć z nich obróciło się i skierowało na wroga, którego mogły mieć nadzieję pokonać.

Bidderdoo gmerał w podartych strzępach księgi czarów, przeskakując do jednej strony, na której atrament nie został zbyt mocno rozmyty. Trzymając pergamin w jednej dłoni, drugą wyciągnął prosto przed siebie i zaczął szybko śpiewać, wymachując palcami.

Z każdego opuszka wydostała się magiczna energia, zielone pociski, które pędziły, by nieomylnie uderzyć w cel.

Pięć koboldów padło martwych, a szósty, wydawszy z siebie wrzask, rzucił się ze swym małym mieczem na brzuch Bidderdoo.

Pergamin wypadł przerażonemu Harpellowi z dłoni. Wrzasnął myśląc, że zaraz zginie, i zadziałał, kierując się czystym instynktem, pochylił się nad ostrzem, wyginając tors tak, by pogrzebać niewielkiego kobolda pod sobą. Poczuł palący ból, gdy miecz małego stwora wbił mu się między żebra, jednak za ciosem nie szła siła i broń nie wdarła się głęboko.

Bidderdoo, tak nienawykły do walki, wrzasnął z przerażeniem. I ten ból, ból...

Wrzaski Bidderdoo stały się wyciem. Spuścił wzrok i ujrzał szamoczącego się kobolda, a jeszcze wyraźniej zobaczył odsłonięte gardło szamoczącego się kobolda.

Następnie spróbował ciepłej krwi i nie odrzuciło go to.

Powarkując, Bidderdoo zamknął oczy i trzymał. Kobold przestał się miotać.

Po jakimś czasie biedny Harpell zauważył, że odgłosy walki wokół niego zanikły. Stopniowo otworzył oczy i obrócił lekko głowę, by spojrzeć na Thibbledorfa Pwenta, stojącego nad nim i kiwającego głową.

Dopiero wtedy Bidderdoo zdał sobie sprawę, że zabił kobolda, że przegryzł mu gardło.

- Dobra technika - odezwał się Pwent, po czym odszedł.

* * *

Podczas gdy manewry Brygady Pogromców Flaków były donośne i bezpośrednie, całkowicie polegały na dzikości, u innej grupy były one tańcem skradania się i zasadzek. Drizzt, Guenhwyvar, Catti-brie i Bruenor poruszali się cicho od jednego tunelu do drugiego, drow i pantera pro wadzili. Guenhwyvar pierwsza wyczuwała zbliżającego się nieprzyjaciela, a Drizzt szybko przekazywał sygnały, gdy pantera kładła po sobie uszy.

Cała piątka pracowała wspólnie, ustawiając się tak, by Catti-brie ze swym śmiercionośnym łukiem mogła zaatakować pierwsza, po niej następował skok pantery, niemożliwie szybkie wpadnięcie drowa w zamieszanie oraz typowo krasnoludzka rycząca szarża Bruenora. Regis zawsze znajdował sposób, by włączyć się do walki, zwykle zachodząc z tyłu, by uderzyć swym buzdyganem w plecy drowa bądź głowę kobolda, gdy jedno z jego przyjaciół było zbyt mocno atakowane.

Tym razem jednak Regis postanowił pozostać całkowicie poza walką. Grupa znajdowała się w

szerokim, wysokim korytarzu, gdy Guenhwyvar, zbliżając się do załomu, przykucnęła, kładąc uszy. Drizzt wślizgnął się w cień alkowy, podobnie jak Regis, zaś Bruenor wyszedł przed swą córkę łuczniczkę, aby za pomocą rogów na jego hełmie Catti-brie mogła wymierzyć strzał.

Zza rogu wyłonił się nieprzyjaciel, grupa złożona z pięciu minotaurów oraz takiej samej ilości drowów, biegnących szybko w kierunku Mithrilowej Hali.

Catti-brie roztropnie strzeliła w drowa. Rozbłysnęło srebro i żołnierz padł martwy.

Guenhwyvar zaatakowała szybko i mocno, grzebiąc pod sobą kolejnego mrocznego elfa i zaraz odłączając się, by rzucić się na trzeciego drowa.

Pojawił się drugi błysk i następny elf przewrócił się.

Minotaury atakowały jednak i Catti-brie nie mogła wystrzelić po raz trzeci. Sięgnęła po miecz, zaś Bruenor ryknął i rzucił się na spotkanie najbliższego potwora.

Minotaur pochylił swą byczą głowę. Bruenor przełożył topór nad głową, zaciskając mocno oburącz rękojeść.

Stwór zaatakował, a topór zamachnął się. Trzask zabrzmiał niczym pęknięcie gigantycznego drzewa.

Bruenor nie wiedział, co go uderzyło. Nagle leciał do tyłu przewrócony przez trzysta kilo minotaura.

* * *

Drizzt wyskoczył, obracając się. Ugodził pierwszego minotaura z boku, sejmitar wbił się stworowi głęboko w udo, zatrzymując jego natarcie. Tropiciel odwrócił się i padł na jedno kolano, dźgając przed siebie Błyskiem i zahaczając czubkiem jaśniejącego błękitem sejmitara rzepkę kolanową następnego potwora.

Minotaur zawył i na wpół przewrócił się, na wpół rzucił w stronę Drizzta, jednak stopy drowa już pracowały szybko pod nim i osiłek uderzył mocno o skałę.

Drizzt odwrócił się z powrotem ku Catti-brie, Bruenorowi oraz dwóm pozostałym stworom, kierującym się na jego przyjaciół. Z niewyobrażalną prędkością dopadł je niemal natychmiast i jego sejmitary zabrały się do roboty przy jednym, znów atakując nogi i zatrzymując natarcie.

Ostatni minotaur dopadł jednak Catti-brie. Zamachnął się swą wielką pałką, zrobioną ze wzmocnionego trzonka grzyba, a Catti-brie uchyliła się szybko, kierując miecz nad głowę.

Khazid'hea przecięła pałkę, a gdy minotaur wpatrywał się głupawo w pozostałą mu w ręku część, Catti-brie skontrowała cięciem na odlew.

Minotaur spojrzał na nią z zaciekawieniem. Nie mogła uwierzyć, że chybiła.

* * *

Regis obserwował z cieni, wiedząc, że w tej walce nie może dorównać przeciwnikom. Starał się jednak oceniać szansę swych przyjaciół, chciał być gotowy, gdyby okazał się potrzebny. Głównie spoglądał na Drizzta, zauroczony szybkością ataków i uników drowa. Drizzt zawsze miał szybkie nogi, jednak ten pokaz był po prostu zdumiewający. Stopy tropiciela poruszały się tak szybko, iż Regis ledwo mógł je odróżnić. Nie raz Regis próbował przewidzieć posunięcie Drizzta jedynie po to, by przyłapać się na tym, że patrzy tam, gdzie drowa nie ma.

Bowiem Drizzt rzucał się w bok lub całkowicie zmieniał kierunek szybciej, niż halfling uważał za możliwe.

Regis potrząsnął w końcu głową i odłożył pytania na inną okazję, przypominając sobie, że są inne, ważniejsze sprawy do przemyślenia. Rozejrzał się i dostrzegł ostatniego wrogiego drowa przemykającego na bok, odsuwającego się od pantery.

* * *

Ostatni drow ani trochę nie chciał Guenhwyvar i był naprawdę szczęśliwy, że ta kobieta ze śmiercionośnym łukiem była zaangażowana w walkę wręcz. Dwaj z jego mrocznoelfich towarzyszy leżeli martwi od strzał, trzeci wił się po podłodze, pół jego twarzy zostało zdarte przez pazury pantery, zaś wszystkie pięć minotaurów padło lub walczyło. Czwarty drow uciekł z powrotem za załom, lecz ta paskudna pantera była jedynie kilka kroków dalej i ukrywający się mroczny elf wiedział, że jego towarzysz zginie w przeciągu chwili.

Mimo to drowa niezbyt to obchodziło, ujrzał bowiem Drizzta Do'Urdena, renegata, tego, który był najbardziej znienawidzony. Tropiciel był całkowicie zaangażowany w walkę i odsłonięty, starał się zaciekle dobić trzy zranione przez siebie minotaury. Gdyby drow zdołał wykorzystać sposobność i

dostać Drizzta, to chwała jego oraz jego domu zostałaby przypieczętowana. Nawet gdyby zabili go przyjaciele Drizzta, otrzymałby zaszczytne miejsce u boku Lloth, Pajęczej Królowej.

Załadował swój najpotężniejszy pocisk, bełt zaklęty runami ognia oraz błyskawicy, do ciężkiej, dwuręcznej kuszy, broni naprawdę niezwykłej jak na mroczne elfy, i wycelował.

Coś trafiło mocno w kuszę z boku. Drow instynktownie nacisnął na spust, jednak bełt upadł mu pod nogi, eksplodując pod stopami. Wybuch posłał go w powietrze, a podmuch płomieni osmalił włosy i oślepił na chwilę.

Przetoczył się na podłodze i zdołał wydostać z płonącego piwajwi. Oszołomiony zauważył mały buzdygan leżący na ziemi oraz sięgającą po niego małą, pulchną dłoń. Drow próbował zareagować, gdy naga stopa, owłosiona od góry - coś, czego drow z Podmroku nigdy wcześniej nie widział - zbliżała się miarowo.

Następnie wszystko stało się ciemne.

* * *

Catti-brie krzyknęła i odskoczyła, jednak minotaur nie zaatakował. Zamiast tego stał całkowicie nieruchomo, spoglądając na nią z zaciekawieniem.

- Nie chybiłam - powiedziała Catti-brie, jakby sprzeciw wobec tego, co wydawało się oczywiste, mógł zmienić jej sytuację. Ku swemu zaskoczeniu odkryła, że ma rację.

Lewa noga minotaura, odcięta czysto przez zamach Khazid'heą, załamała się pod nim i osiłek upadł jak długi na podłogę, brocząc obficie krwią.

Catti-brie spojrzała na bok i ujrzała mamroczącego oraz stękającego Bruenora, który wyczołgiwał się spod zabitego przez siebie minotaura. Krasnolud wstał gwałtownie, potrząsnął energicznie głową, by pozbyć się wirujących gwiazd, po czym spojrzał na swój topór, trzymając dłonie na biodrach i potrząsając z konsternacją głową. Potężna broń była na trzydzieści centymetrów zagłębiona w grubej czaszce minotaura.

- Jak, na dziewięć piekieł, mam wyciągnąć to cholerstwo? - spytał Bruenor, patrząc na swą córkę.

Drizzt skończył podobnie jak Regis, a zza rogu wróciła Guenhwyvar, ciągnąc ostatniego z mrocznych elfów za złamany kark.

- Kolejna wygrana po naszej stronie - stwierdził Regis, gdy przyjaciele przegrupowali się.

Drizzt pokiwał twierdząco, lecz nie wydawał się taki zadowolony. Wiedział, że robią niewiele, ledwo zarysowują powierzchnię sił, które przybyły do Mithrilowej Hali. Pomimo zaś szybkości tego ostatniego spotkania oraz trzech wcześniejszych, przyjaciele mieli niezwykłe szczęście. Co by się stało, gdyby kolejna grupa drowów lub minotaurów, a nawet koboldów, wyłoniła się zza rogu, gdy szalała walka?

Wygrali szybko i zdecydowanie, jednak margines ich zwycięstwa był cienki i bardziej chwiejny, niż wskazywałaby ta potyczka.

- Nie jesteś zbyt zadowolony - powiedziała cicho Catti-brie do tropiciela, gdy znów wyruszyli.

- W dwie godziny zabiłem tuzin drowów, garść minotaurów i dwudziestkę koboldów - odparł Drizzt.

- A zostały jeszcze tysiące - dodała kobieta, rozumiejąc niepokój Drizzta.

Drizzt nic nie powiedział. Jedyną nadzieją jego oraz całej Mithrilowej hali było to, że oni oraz inne podobne grupy zabiją wystarczająco wiele drowów, by pozbawić wroga otuchy. Mroczne elfy były chaotyczną oraz niezwykle nielojalną bandą i obrońcy Mithrilowej Hali będą mieć szansę, tylko jeśli zdołają pokonać wolę armii drowów do walki.

Guenhwyyar znów położyła po sobie uszy i wślizgnęła się bezszelestnie w mrok. Przyjaciele, odczuwający nagłe znużenie tym wszystkim, zajęli swoje pozycje i odczuli prawdziwą ulgę, gdy w polu widzenia pojawiła się najnowsza grupa. Tym razem nie były to drowy, koboldy czy minotaury. Pozdrowiła ich kolumna krasnoludów, ponad dwie dziesiątki, po czym zbliżyła się. Ta grupa również brała udział w bitwie w Grocie Tunulta. Wielu nosiło świeże rany, a broń każdego krasnoluda była splamiona krwią wroga.

- Jak nam idzie? - spytał Bruenor, wychodząc na czoło. Dowódca krasnoludzkiej kolumny skrzywił się, a Bruenor miał swą odpowiedź.

- Walczą w Podmieście, mój królu - powiedział krasnolud. - Jak tam się dostali, nie wiemy! Według wszelkich doniesień walczą również na górnych poziomach. Wschodnie wrota zostały sforsowane.

Barki Bruenora wyraźnie opadły.

- Ale trzymamy się w Wąwozie Garumna! - rzekł krasnolud z większą determinacją.

- Skąd i dokąd idziecie? - chciał wiedzieć Bruenor.

- Z ostatniego pomieszczenia straży - wyjaśnił krasnolud. - Wyruszyliśmy na mały obchód, by cię odnaleźć, mój królu. Tunele są pełne drowich szumowin i cieszymy się, widząc cię! - Wskazał za Bruenora, po czym skierował palec w lewo. - Nie jesteśmy daleko, a droga do ostatniego

pomieszczenia straży wciąż jest wolna...

- Ale już niedługo - wtrącił się posępnie inny krasnolud.

- Wolna stąd aż do Podmiasta - dokończył dowódca.

Drizzt odciągnął Bruenora na bok i rozpoczął szeptem rozmowę. Catti-brie i Regis czekali cierpliwie, podobnie jak krasnoludy.

- ...szukać dalej - usłyszeli, jak mówi Drizzt.

- Moje miejsce jest przy moim ludzie! - szorstko odparł Bruenor. - A twoje przy mnie!

Drizzt przerwał mu długim strumieniem słów. Catti-brie oraz pozostali wychwycili strzępki takie jak „polowanie na głowę" czy „okrężna droga" i wiedzieli, że Drizzt stara się przekonać Bruenora, by pozwolił mu kontynuować polowanie w zewnętrznych, niższych tunelach.

Catti-brie zdecydowała wtedy, że jeśli Drizzt i Guenhwyvar zamierzają iść dalej, to ona, wraz ze swą opaską Kocie Oko, którą dała jej Alustriel, by umożliwić jej widzenie w ciemnościach, pójdzie z nimi. Regis, czując się niezwykle odważny i użyteczny, doszedł w milczeniu do tego samego wniosku.

Mimo to oboje byli zaskoczeni, gdy Drizzt oraz Bruenor wrócili do grupy.

- Dostańcie się do ostatniego pomieszczenia straży oraz aż do Podmiasta, jeśli zajdzie taka potrzeba - rozkazał Bruenor dowódcy kolumny.

Szczęka opadła krasnoludowi ze zdumienia.

- Ale, mój królu - wyjąkał. - Powiedziałem! - warknął Bruenor.

- I mamy zostawić cię tu samego? - spytał oszołomiony krasnolud.

Bruenor uśmiechał się szeroko i paskudnie, gdy przenosił wzrok z krasnoluda na Drizzta, Catti-brie, Regisa, Guenhwyvar, po czym z powrotem na dowódcę.

- Samego? - odparł Bruenor, a krasnolud, znając dzielność towarzyszy króla, zgodził się z nim.

- Wróćcie tam i wygrajcie - powiedział mu Bruenor. - Ja i moi przyjaciele musimy iść na małe polowanie.

Obydwie grupy znów się rozdzieliły, obydwie ponuro zdeterminowane, lecz żadna szczególnie optymistyczna.

Drizzt wyszeptał coś do pantery i Guenhwyvar objęła prowadzenie tak jak wcześniej. Do tej

chwili towarzysze czekali w ukryciu na wszystkie nieprzyjacielskie grupy, które szły w ich stronę, lecz teraz, usłyszawszy posępne wieści o Podmieście i wschodnich wrotach, Drizzt zmienił tę taktykę.

Jeśli nie będą mogli uniknąć małych grup drowów i potworów, to będą walczyć, lecz inaczej ich droga będzie bardziej bezpośrednia. Drizzt chciał odnaleźć kapłanki (a wiedział, że to muszą być kapłanki), które dowodziły tą wyprawą. Jedyną szansą krasnoludów było pozbawienie wrogie siły głowy.

Tak więc teraz towarzysze, jak Drizzt powiedział to cicho Bruenorowi, „polowali na głowę".

Regis, ostatni w szeregu, potrząsał głową i nie raz spojrzał w stronę, w którą udała się krasnoludzka kolumna.

- Dlaczego zawsze pakuję się w coś takiego? - wyszeptał halfling. Po chwili, spojrzawszy na plecy swych twardych, czasami beztroskich przyjaciół, wiedział już, że ma odpowiedź.

Catti-brie usłyszała zrezygnowane westchnienie halflinga. Znała jego źródło i zdołała ukryć uśmiech.

ROZDZIAŁ 24

ZACIEKŁA FURIA

Alustriel obserwowała ze swego wysokiego stanowiska, jak południowe zbocze Czteroszczytu miga światłami wyglądającymi niczym gwiazdy na niebie. Wymiana zaklętych kulek ze strony obrońców oraz kontrującej je mrocznej magii najeźdźców była szaleńcza. Gdy pani Silverymoon skierowała swój rydwan wokół południowo-zachodnich zboczy, odczuła niezwykły strach, bowiem obrońcy zostali zepchnięci do formacji o kształcie litery U, ze wszystkich stron otaczały je gobliny, koboldy i zaciekli drowi wojownicy.

Mimo to wojska czterech armii walczyły dobrze, praktycznie plecy w plecy, a ich linia była silna. Żadne większe siły nie mogły ugodzić w nich ze szczeliny na górze U, logicznie rzecz biorąc słabego miejsca, z powodu niemal pionowych klifów, zaś obrońcy byli wystarczająco mocno ściśnięci wzdłuż całej linii, by wytrzymać wszelkie zmasowane natarcia.

W chwili gdy Alustriel nad tym rozmyślała, jej nadzieje zostały wystawione na próbę. Grupa goblinów, prowadzona przez wielkie niedźwieżuki, siedmiometrowe włochate wersje goblinów, uformowała zwartą formację diamentu i skierowała się na wschodnią flankę obrońców.

Linia załamała się. Alustriel niemal zatopiła się w ataku wybuchową magią.

Pośród chaosu i natarcia jeden miecz wzniósł się jednak nad inne, jedna pieśń nad inne.

Berkthgar Śmiały, którego rozpuszczone włosy powiewały szaleńczo, śpiewał z całego serca do Tempusa, a Bankenfuere brzęczał, przecinając powietrze. Berkthgar zignorował mniejsze gobliny i zaszarżował prosto na niedźwieżuki, a każdy jego potężny zamach powalał jednego z nich. Przywódca Settlestone otrzymał paskudną ranę, i następną, lecz żaden ślad bólu nie przeciął jego stanowczej twarzy ani nie spowolnił zdeterminowanego marszu.

Te niedźwieżuki, które przetrwały pierwsze szaleńcze chwile natarcia wielkiego mężczyzny, uciekły od niego, a w związku z tym, że ich dowódcy byli tak przerażeni, gobliny szybko straciły chęć do ataku i diament rozpadł się w uciekającą zgraję.

Alustriel wiedziała, że wiele pieśni będzie sławić Berkthgara, lecz tylko jeśli obrońcy wygrają. Jeśli mrocznym elfom powiedzie się podbój, to wszystkie takie bohaterskie czyny będą stracone na wieki, wszystkie pieśni zostaną zagrzebane pod czarnym tumanem ucisku. To nie mogło się stać, zdecydowała pani Silverymoon. Nawet gdyby Mithrilowa Hala miała upaść tej nocy lub następnej, wojna nie będzie przegrana. Całe Silverymoon zmobilizuje się przeciwko drowom, ona zaś uda się do Sundabar, na wschodzie, do cytadeli Adbar, fortecy króla Harbromme'a oraz jego krasnoludów i

aż do Waterdeep na Wybrzeżu Mieczy, by zebrać siły potrzebne do odepchnięcia drowów z powrotem do Menzoberranzan!

Ta wojna nie była stracona, przypominała sobie, po czym spojrzała w dół na zdeterminowanych obrońców opierających się zgrai napastników, walczących i umierających.

Tragedia nadeszła, tak jak przez cały czas się spodziewała i obawiała - magiczna salwa, wybuchy kul ognistych oraz błyskawic, linii pochłaniającej, magicznej energii oraz wirujących pocisków zniszczenia.

Natarcie skupiło się na południowo-zachodnim krańcu U, rozerwało szeregi jeźdźców z Nesme, pochłaniając zarówno konie, jak i ludzi. Wielu humanoidalnych niewolników również padło, byli wszak zaledwie mięsem armatnim i niegodziwi drowi czarodzieje nie przejmowali się nimi.

Łzy spływały Alustriel po twarzy, gdy obserwowała tę katastrofę, gdy usłyszała pełne bólu okrzyki mężczyzn i zwierząt oraz dostrzegła, że ta część góry została spopielona potęgą salwy. Złajała się za to, że nie przewidziała tej wojny, że nie doceniła wielkości wyprawy drowów, że nie skierowała w pełni swej armii, zarówno wojowników, czarodziejów, jak i kapłanów, do obrony Mithrilowej Hali.

Masakra ciągnęła się przez wiele sekund, wydających się godzinami dla przerażonych obrońców. Ciągnęła się i ciągnęła, wybuchy i krzyki trwały.

Alustriel znów nabrała otuchy i rozejrzała się, szukając źródła, a gdy je ujrzała, doszła do przekonania, że czarodzieje mrocznych elfów, w swej nieznajomości świata powierzchni, pomylili się.

Byli skoncentrowani w kępie gęstych drzew, pod osłoną, zza której ciskali śmiercionośną salwę czarów.

Twarz Alustriel rozjaśniła się w paskudnym uśmiechu, uśmiechu zemsty, i skręciła rydwanem pod ostrym kątem, opadając z wysoka w dół zbocza, lecąc niczym strzała w serce swych wrogów.

Drowy się pomyliły, były pomiędzy drzewami.

Przeleciawszy nad północnym skrajem pola bitwy, Alustriel krzyknęła rozkaz i jej rydwan oraz ciągnąca go grupa zaklętych koni rozjarzyły się jaskrawymi płomieniami.

Pod sobą usłyszała okrzyki strachu zarówno przyjaciół, jak i wrogów, oraz trąbki Rycerzy w Srebrze, którzy rozpoznali rydwan i wiedzieli, że przybywa ich władczyni.

Pędziła w dół, a poprzedzała ją ogromna kula ognia, wybuchając w sercu kępy. Alustriel podleciała tuż do krawędzi drzew, po czym skręciła ostro i ruszyła wzdłuż gęstej linii, a płomienie jej rydwanu zapalały mijane przez nią gałęzie.

Czarodzieje drowów pomylili się!

Wiedziała, że mroczne elfy rozstawiły najprawdopodobniej antymagiczne osłony - być może nawet na sobie - które mogłyby pokonać nawet najintensywniejsze ognie, nie rozumiały jednak palnej natury drzew. Nawet jeśli ogień ich nie pochłonie, oślepią płomienie, i w rezultacie wykluczą z walki.

I ten dym! Bujny zagajnik był wilgotny od poprzednich deszczy i szronu, więc w powietrzu gęstniały czarne chmury. Co gorsza dla drowów, czarodzieje walczyli z ogniem tak jak zawsze, czarami wytwarzającymi wodę. Tak potężna była ich odpowiedź, że płomienie zostałyby zaduszone, jednak Alustriel nie ustępowała, wciąż pędziła wokół kępy, a nawet wjeżdżała w głąb zagajnika, gdy tylko trafiała na lukę. Żadna woda, nawet cały ocean, nie mogłaby zgasić ogni jej zaklętego rydwanu. Gdy podsycała dalej płomienie, wodne zaklęcia czarodziejów jedynie wzmacniały dym, zgęszczały powietrze tak bardzo, że mroczne elfy w ogóle nie widziały i nie mogły oddychać.

Alustriel ufała swym koniom, była pewna, że zrozumieją jej zamiary i utrzymają rydwan na odpowiednim kursie. Ona zaś obserwowała, przygotowawszy czary, wiedziała bowiem, że nieprzyjaciel nie może pozostać w kępie. Jak oczekiwała, z drzew wzniósł się w górę drow, wzlatując nad inferno, lewitując w powietrzu i starając się zorientować w scenerii za zagajnikiem.

Błyskawica Alustriel trafiła go w tył głowy i spowodowała, że zaczął koziołkować. Wisiał w powietrzu do góry nogami, martwy, dopóki nie wyczerpał mu się czar, zrzucając go z powrotem między drzewa.

Kiedy jednak zabiła tego czarodzieja, w powietrzu tuż przed rydwanem pojawiła się kula ognia i Alustriel i jej pojazd przelecieli dokładnie przez nią. Pani Silverymoon była chroniona przed płomieniami własnego zaklęcia, jednak nie przed kulą ognistą, krzyknęła więc, poczuwszy ból na oparzonej twarzy.

Wyżej na stoku góry Besnell oraz jego żołnierze byli świadkami ataku na Alustriel. Elf spoglądał stanowczo swymi złotymi oczyma, a jego ludzie krzyknęli z wściekłością. Jeśli ich wcześniejsze wyczyny były szaleńcze, teraz stały się czysto dzikie, zaś walczący u ich boku ludzie Berkthgara nie potrzebowali zachęty.

Gobliny i koboldy, niedźwiężuki i orki, nawet wielkie minotaury i wyszkolone drowy ginęły dziesiątkami w następnych chwilach bitwy.

Wydawało się to niewiele znaczyć. Kiedy tylko jeden ginął, dwóch zajmowało jego miejsce, i choć rycerze oraz barbarzyńcy mogliby przebić się przez szeregi nieprzyjaciela, nie mieliby dokąd się udać.

Dalej na zachodzie Longjeźdźcy Regwelda byli podobnie naciskani i czarodziej zrozumiał ich jedyną szansę. Skoczył Kałużo-skoczkiem do miejsca, w którym nie było wrogów, i rzucił czar, by przesłać wiadomość Besnellowi.

- Na zachód! - polecił mag dowódcy rycerzy.

Następnie Regweld objął przywództwo i skierował swych ludzi oraz najbliższych barbarzyńców na zachód, w kierunku Doliny Strażnika, jak głosił pierwotny plan. Czarodzieje drowów zostali uciszeni, przynajmniej chwilowo, i teraz była jedyna szansa dla Regwelda.

Błyskawica przecięła ciemniejące niebo. Podążyła za nią kula ognista, po niej zaś Regweld, skacząc Kałużoskoczkiem nad szeregami nieprzyjaciół i w locie wyrzucając pod siebie salwę magicznych pocisków.

W szeregach wroga zapanował zamęt, wystarczający, by Longriderzy, mężczyźni walczący u boku Harpellów przez całe swe życie i znający taktykę Regwelda, byli w stanie przebić się przez nie, otwierając szczelinę.

Obok nich ruszyło wielu wojowników z Settlestone oraz garstka pozostałych konnych z Nesme. Za nimi poruszała się reszta sił barbarzyńców oraz Rycerze w Srebrze. Potężny Berkthgar zabezpieczał tyły, niemal w pojedynkę odpierając ścigające ich stwory.

Obrońcy przebili się szybko, jednak zostali spowolnieni, gdy kolejne siły, głównie drowy, zaszły ich od frontu, formując zwarte szeregi.

Regweld wciąż kontynuował swą magiczną salwę i pędził Kałużoskoczkiem przed siebie, spodziewając się zginąć.

I zginąłby, lecz Alustriel, odepchnięta od zagajnika przez coraz skuteczniejsze kontry drowich czarodziejów, ruszyła z powrotem w górę zbocza wzdłuż linii drowów, wystarczająco nisko, by te mroczne elfy, które nie uciekły, zostały przejechane i sparzone przez jej ognisty rydwan.

Besnell i jego ludzie pogalopowali na przód uciekających sił, wznosząc okrzyki za Alustriel i za powodzenie wszystkich dobrych ludów, po czym wpadli w zamęt w szeregach drowów, tuż za torem rydwanu.

Wielu kolejnych mężczyzn zginęło w tych kilku chwilach piekielnej walki, wielu ludzi i wiele drowów, jednak obrońcy przedarli się na zachód i odnaleźli ścieżkę do Doliny Strażnika, zanim wrogowie zdołali ją zablokować.

Znalazłszy się znów nad bitwą, Alustriel pochyliła się ciężko z wyczerpania. Od wielu, wielu lat nie wypuściła z siebie tak skoncentrowanej salwy magii i nie zaangażowała się tak blisko w żaden konflikt, odkąd zaczęła władać Silverymoon. Teraz była zmęczona i ranna, oparzona i osmalona, poza tym otrzymała kilka ran od mieczy i bełtów, gdy pędziła wzdłuż szeregów drowów. Wiedziała o dezaprobacie, na jaką natknie się po powrocie do Silverymoon. Wiedziała, że jej doradcy, oraz rada miejska, a także koledzy z innych miast uznają ją za nieostrożną, nawet głupią. Mithrilowa Hala jest drobnym królestwem nie wartym jej życia, powiedzieliby jej krytycy. Podejmować takie ryzyko przeciwko tak niebezpiecznemu wrogowi, było głupotą.

Tak by powiedzieli, jednak Alustriel wiedziała lepiej, wiedziała, że swobody oraz prawa odnoszące się do Silverymoon nie wywodziły się jedynie z wielkości oraz siły jej miasta. Odnosiły się do wszystkiego, do Silverymoon, do Waterdeep i do najmniejszego z królestw, które tak ich pragnęło, bowiem inaczej promowane przez nie wartości byłyby pozbawione znaczenia i małostkowe.

Teraz była ranna, niemal ją zabito, i zgasiła płomienie swego rydwanu, gdy wzniosła się wysoko w niebo. Tak otwarte ukazywanie się prowadziłoby do ciągłych magicznych ataków, które najprawdopodobniej by ją zniszczyły. Alustriel wiedziała, że jest poważnie ranna, jednak uśmiechała się. Nawet gdyby pani Silverymoon zginęła tej nocy, zrobiłaby to z uśmiechem, bowiem wiedziałaby, że podąża za swym sercem. Walczyła o coś większego niż jej życie, o wartości, które były wieczne i jak najbardziej słuszne.

Obserwowała z satysfakcją, jak siły prowadzone przez Besnella oraz jej własnych rycerzy wydostają się i pędzą do Doliny Strażnika, po czym wspięła się wyżej na chłodne niebo, kierując ku zachodowi.

Nieprzyjaciel podejmie pościg, zaś jeszcze więcej przeciwników zbliżało się szybko od północy. Bitwa dopiero się zaczęła.

* * *

Podmiasto, w którym dwa tysiące krasnoludów często pracowało ciężko przy swym najukochańszym zajęciu, nigdy wcześniej nie widziało takiej krzątaniny i zgiełku co dzisiaj. Nawet gdy smok Shimmergloom oraz jego zastępy złych, szarych krasnoludów napadły na Halę, kiedy dziadek Bruenora był królem, Podmiasto nie było ogarnięte taką bitwą.

Gobliny, minotaury, koboldy oraz paskudne stworzenia, których krasnoludy nie potrafiły nazwać, wlewały się z niższych tuneli i przez samą podłogę, w miejscach naruszonych przez magię ilithidów. A także drowy, dziesiątki mrocznych elfów walczących na każdym kroku rozległej podłogi. Ich taniec był makabryczną mieszaniną migoczących cieni w blasku licznych dogasających pochodni.

Mimo to główne tunele na niższe poziomy nie zostały naruszone i największa koncentracja przeciwników, głównie drowów, pozostawała poza samą Mithrilową Halą. Teraz mroczne elfy, które zdobyły Podmiasto, zamierzały otworzyć tę drogę, aby połączyć się z siłami Uthegentala oraz opiekunki Baenre.

Krasnoludy zaś zamierzały je powstrzymać, wiedząc, że jeśli dojdzie do połączenia, Mithrilową Hala zostanie stracona.

Jaśniały błyskawice, zielone, czerwone i syczące czarne pociski od strony drowów, na które odpowiadali z góry Harkle oraz Bella don DelRoy.

Najniższe poziomy zaczęły się zaciemniać, gdy drowy używały swej magii, by uzyskać dogodne pole bitwy.

Spadające na podłogę świetlne kulki zabrzmiały niczym delikatny deszczyk. Stumpet Rakingclaw oraz jej szeregi krasnoludzkich kapłanów walczyły z magią, oświetlając okolicę, rzucając czar za czarem, wyrywając każdy cień z każdego zakamarka. Krasnoludy potrafiły walczyć w ciemności, jednak równie dobrze szło im to w świetle, zaś drowy oraz inne stworzenia z Podmroku nie przepadały zbytnio za jasnością.

Grupa dwudziestu krasnoludów uformowała na rozległej podłodze zwartą formację i przetoczyła po bandzie uciekających goblinów. Ich buty brzmiały niczym ciężkie, toczące się koło, ogólny harmider, poruszający się wszędzie tam, gdzie jakikolwiek potwór ośmielił się wejść im w drogę.

Garstka mrocznych elfów wystrzeliła żądlące bełty, jednak krasnoludy otrząsnęły się z trafień - w związku, że ich krew była aż gęsta od eliksirów mających na celu neutralizować wszelkie trucizny, otrząsnęły się również z okrytego zła sławą nasennego środka drowów.

Widząc, że ich atak jest nieskuteczny, drowy rozproszyły się, a krasnoludzki klin potoczył się ku następnej przeszkodzie, dwóm dziwnie wyglądającym stworzeniom, których brodacze nie znali, dwóm paskudnym istotom z pokrytymi śluzem głowami, opatrzonymi w macki tam, gdzie powinny być usta, oraz z mlecznobiałymi oczyma bez źrenic.

Krasnoludzki klin wydawał się niepowstrzymany, kiedy jednak ilithidy odwróciły się w jego stronę i wypuściły dewastującą mentalną salwę, klin zakołysał się i rozpadł, a oszołomione krasnoludy zaczęły miotać się bez celu.

- Och, tam są! - pisnął Harkle z trzeciej kondygnacji Podmiasta, ponad dwadzieścia metrów nad podłogą.

Twarz Belli don DelRoy wykrzywiła się z odrazy, gdy po raz pierwszy spojrzała na łupieżców umysłu. Wraz z Harkle'em spodziewała się tych stworzeń, bowiem Drizzt opowiedział im o pupilu opiekunki Baenre. Pomimo swego wstrętu Bella, jak wszyscy Harpellowie, była bardziej zaciekawiona niż wystraszona. Ilithidy były spodziewane - po prostu ona nie spodziewała się, że będą tak cholernie paskudne!

- Jesteś tego pewien? - spytała niewysoka kobieta Harkle'a, który obmyślił strategię walki z tymi istotami o miękkich głowach. Jej zdrowe oko odzwierciedlało jednak jej prawdziwe nadzieje, bowiem gdy rozmawiała z Harkle'em, pozostawało skupione na brzydkich ilithidach.

- Czy kłopotałbym się tym całym uczeniem czarowania z różnej perspektywy? - odparł Harkle, wydając się być zraniony jej wątpliwościami.

- Oczywiście - odrzekła Bella. - Cóż, te krasnoludy potrzebują naszej pomocy.

- W istocie.

Szybki zaśpiew córki DelRoya przywołał tuż przed dwojgiem czarodziejów jaskrawobłękitne pole o kształcie drzwi.

- Ty pierwszy - powiedziała grzecznie Bella.

- Och, ranga przed pięknem - odparł Harkle, machając ręką ku drzwiom i wskazując, że Bella powinna prowadzić.

- Nie ma czasu do stracenia! - dobiegł zza nich wyraźny głos i zdumiewająco silne dłonie przycisnęły się do bioder Belli oraz Harkle'a, pchając ich ku drzwiom. Przeszli przez nie razem, zaś Fret, schludny krasnolud, przepchnął się tuż za nimi.

Drugie drzwi pojawiły się na podłodze, pomiędzy ilithidami a ich oszołomioną krasnoludzką zdobyczą, i wyskoczyła z nich trójka wymiarowych podróżników. Fret pomknął na bok, starając się okrążyć odsłonięte krasnoludy, zaś Harkle i Bella don DelRoy odwrócili się ku stworom o ośmiornicowych głowach.

- Rozumiem twój gniew - zaczął Harkle i wraz ze swoją towarzyszką wzdrygnęli się, gdy fala mentalnej energii przetoczyła się przez ich piersi, ramiona i głowy, pozostawiając za sobą mrowienie.

- Gdybym był tak brzydki jak ty... - ciągnął Harkle i przeszła druga fala.

- ...byłbym też skąpy! - dokończył Harkle i nastąpiło trzecie wyładowanie energii, po którym ilithidy zbliżyły się. Bella wrzasnęła, a Harkle niemal zemdlał, gdy potworne istoty podeszły blisko, smagając ich mackami po policzkach i brodach. Jedna weszła Harkle'owi prosto do nosa, w poszukiwaniu mózgu do pożarcia.

- Jesteś pewien?! - krzyknęła Bella.

Harkle jednak, pogrążony głęboko w wirze swego ostatniego czaru, nie słyszał jej. Nie walczył z ilithidem, nie chciał bowiem, by stwór wstrząsnął nim zbyt mocno. Wystarczająco trudno było koncentrować się, gdy te wijące się macki zagłębiały mu się pod skórę twarzy!

Owe macki napęczniały teraz, wyciągając swą nagrodę.

Nie dające się pomylić z niczym innym spojrzenie pojawiło się na zwykle beznamiętnych twarzach obydwu stworów.

Harkle uniósł powoli dłonie grzbietami do góry. Jego kciuki stykały się, a pozostałe palce były

szeroko rozpostarte. Z dłoni wydostał się błysk ognia, parząc zdumionego ilithida, paląc mu szaty. Stwór starał się oderwać i skóra Harkle'a zafalowała dziwnie, gdy macki zaczęły się wysuwać.

Harkle przechodził już do następnego czaru. Sięgnął do swych szat i wyciągnął strzałkę, liść starty na pył oraz długi, śliski przedmiot, jelito smoka, po czym zgniótł to wszystko razem, kończąc śpiew.

Z jego dłoni wystrzelił mały pocisk, pokonując sześćdziesiąt centymetrów i wbijając się we wciąż płonący brzuch ilithida.

Stwór zagulgotał coś niezrozumiałego i w końcu się odsunął, chwiejąc i trzymając za najnowszą ranę, bowiem choć ognie go zaledwie połaskotały, ten ostatni atak bolał bardziej.

Zaklęty bełt wpompował w ofiarę kwas.

Ilithid przewrócił się, wciąż trzymając za cieknący pocisk. Nie docenił swego przeciwnika i telepatycznie posłał tę wiadomość do swego najbliższego towarzysza oraz do Methila, znajdującego się głęboko w jaskiniach obok opiekunki Baenre.

Bella nie mogła się skoncentrować. Choć jej czar polimorfii był doskonały, jej mózg znajdował się bezpiecznie tam, gdzie ilithid nie mógł go znaleźć, po prostu nie była w stanie skupić się, gdy te oślizłe macki błąkały się wokół jej czaszki. Złajała się, powiedziała sobie, że córka DelRoya powinna się bardziej kontrolować.

Usłyszała dudnienie, zbliżający się wóz, i otworzywszy oczy, ujrzała Freta ciągnącego wóz oraz ścigającą go grupę drowów. Powstrzymując nerwy na wodzy, schludny krasnolud zeskoczył z wozu i wyciągnął mały krasnoludzki młot.

- Puść ją! - krzyknął Fret, opuszczając paskudną, małą broń. Ku zdumieniu i odrazie krasnoluda, jego młot zanurzył się w bulwowatej głowie zajętego ilithida i po podłodze rozlały się płyny ustrojowe, opryskując krasnoluda i plamiąc mu ubranie.

Fret wiedział, że drowy kierują się na niego. Postanowił zaatakować jeden raz ilithida, po czym odwrócić się defensywnie do mrocznych elfów. Plany te poszły jednak w niwecz w obliczu tego krwistego nieporządku, jedynej rzeczy, która mogła wprowadzić schludnego krasnoluda w pełen szał bojowy.

Żaden dzięcioł nigdy nie stukał tak szybko w drzewo. Młot Freta poruszał się tak szybko, że jego kształty wydawały się rozmywać, każde zaś trafienia rozrzucało jeszcze więcej mózgu ilithida, co jedynie wzmacniało szał schludnego krasnoluda.

Mimo to byłby to koniec dla Freta, dla wszystkich z nich, gdyby Harkle nie uaktywnił szybko swego następnego czaru. Czarodziej skupił się na obszarze przed szarżującymi drowami, rzucił w powietrze odrobinę smalcu i wywołał swój następny dweomer.

Podłoga stała się śliska od tłuszczu i szarża dobiegła końca.

Z głową roztrzaskaną w ociekającą miazgę ilithid osunął się przed Bellę, a wciąż trzymające macki pociągnęły w dół również ją. Chwyciła szaleńczo za te wypustki i wyszarpnęła je, po czym wyprostowała się i wzdrygnęła z czystą odrazą.

- Mówiłem ci, że tak walczy się z łupieżcami umysłu! - powiedział radośnie Harkle, bowiem był to od początku jego plan.

- Zamknij się - odezwała się do niego Bella, której kotłowało się w żołądku. Rozejrzała się dookoła, widząc przeciwników zbliżających się z wielu kierunków. - I wydostań nas stąd!

Harkle popatrzył na nią, zakłopotany i trochę zraniony jej pogardą. W końcu plan podziałał!

Chwilą później Harkle również stał się dość mocno wystraszony, zdał sobie bowiem sprawę, że zapomniał o tym ostatnim szczególe i nie miał zaklęć, które przetransportowałyby ich z powrotem na górne kondygnacje.

- Emmm - wyjąkał, starając się odnaleźć słowa najlepiej wyjaśniające jego dylemat.

Odczuł ulgę, podobnie jak Bella, kiedy wokół nich uformował się na nowo krasnoludzki klin, z Fretem spajającym szeregi.

- Zaprowadzimy was z powrotem na górę - obiecał dowódca wdzięcznych krasnoludów i potoczyli się, znów grzebiąc wszystko na swej drodze.

Teraz ich marsz był jeszcze bardziej destrukcyjny, bowiem Harkle i Bella dołączyli się do zabawy i co jakiś czas z ich szeregów wylatywała błyskawica bądź struga palącego ognia.

Mimo to Bella pozostawała niespokojna i chciała, żeby to wszystko się skończyło i żeby mogła wrócić do swej zwyczajnej fizjologii. Harkle badał uważnie ilithidy i wiedział o nich chyba więcej niż jakikolwiek inny czarodziej w całych Krainach. Ich mentalne ogłupiające uderzenia miały kształt stożka, zapewnił ją, tak więc jeśli zdołają się do nich zbliżyć, jedynie górna połowa ich ciał zostanie poddana ich wpływom.

Tak więc za pomocą zaklęcia dokonali fizycznej transformacji, po której Harkle i Bella wyglądali tak samo, jednak zamieniły się miejscami dwa fragmenty ich ciał - mózgi i pośladki.

Harkle uśmiechnął się ze swojej przebiegłości, gdy klin toczył się dalej. Taka transformacja była delikatną rzeczą, wymagającą wielu godzin badań i przygotowań. Każda ta chwila była jednak warta kłopotów, uważał Harpell, przypominając sobie skwaszone miny na paskudnych twarzach ilithidów!

* * *

Hałas zawalających się mostów oraz wszystkich przedsionków w okolicach Wąwozu Garumna był odczuwany w najniższych tunelach Mithrilowej Hali, a nawet dalej, w wyższych korytarzach samego Podmroku. Jakże wiele pracy czeka lud Bruenora, gdy kiedykolwiek zechce na nowo otworzyć wschodnie wrota!

Natarcie drowów zostało jednak powstrzymane i było to warte swej ceny. Teraz bowiem generał Dagna i jego oddział obrońców miał swobodę ruchu.

Gdzie jednak? - zastanawiał się twardy, zaprawiony w bitwach krasnolud. Docierały do niego raporty, że Podmiasto było w pełni atakowane, zdawał sobie wszak również sprawą, że zachodnie wrota, Dolina Strażnika, są odsłonięte, zaledwie kilka setek krasnoludów strzeże licznych krętych tuneli, poza tym nie mają one możliwości podjęcia takich środków jak tu na wschodzie. Tuneli na zachodzie nie można było całkowicie zawalić, nie było czasu na przygotowanie ich do tego.

Dagna spojrzał na swój tysiąc wojowników, wielu rannych, lecz wszystkich pragnących nowej bitwy, pragnących bronić swej uświęconej ojczyzny.

- Podmiasto - oznajmił generał chwilę później. Jeśli zachodnie wrota zostaną sforsowane, najeźdźcy będą musieli odnaleźć drogę do wewnątrz, co nie było łatwym zadaniem, zważywszy na liczne warianty, jakie przed nimi staną. W Podmieście już trwała walka, więc tam Dagna powinien się znaleźć.

W normalnych okolicznościach zajęłoby wiele minut, pół godziny lub więcej, aby krasnoludy dotarły na dół, nawet gdyby całą drogę przebyły w pełnym biegu. To jednak również zostało przewidziane, więc Dagna poprowadził swych podkomendnych do wyznaczonego miejsca, nowych drzwi, które zostały wykute w ścianach przylegających do kominów wychodzących z wielkich pieców. Kiedy tylko owe drzwi zostały otwarte, Dagna i jego żołnierze usłyszeli bitwę, weszli więc bez ociągania, jeden po drugim, na ciężkie liny, które zostały tam umocowane.

Zjechali na dół bez strachu, śpiewając pieśni do Clangeddona. Wypadli z ciepłych pieców prosto w zamieszanie, pojawiając się bez końca, jak się wydawało, podobnie jak drowy przychodzące z niższych tuneli.

Walka w Podmieście stała się jeszcze bardziej zażarta.

ROZDZIAŁ 25

DOLINA STRAŻNIKA

Siły Berg'inyona wdzierały się do Doliny Strażnika, jaszczury o kleistych łapach znajdywały ścieżki tam, gdzie nie zrobiłby tego nikt inny. Zeszli po północnej ścianie, gładkiej jak powierzchnia wody, do zamglonej doliny. Niczym złowieszcze cienie prześlizgnęli się obok wysokich, kamiennych kolumn.

Choć było tu cieplej niż na otwartym północnym stoku, drowy czuły się nieswojo. W Podmroku nie było takich formacji jak ta, nie było zamglonych dolin, poza tymi wypełnionymi trującymi oparami niewidocznych wulkanów. Raporty zwiadowców były jednak kompletne i określały, że przez to właśnie miejsce, próg zachodnich wrót Mithrilowej Hali, można bezpiecznie przejść. Tak więc jaszczurczy jeźdźcy Baenre wjechali do doliny bez pytania, bardziej obawiając się swej zmiennej matki opiekunki niż jakichkolwiek ewentualnych toksycznych oparów.

Wszedłszy do doliny, usłyszeli walkę na południowym zboczu góry. Berg'inyon zauważył po chwili, że bitwa się zbliża. Skinął głową - wszystko działo się tak, jak zaplanowano. Wróg był bez wątpienia w odwrocie, był pędzony niczym głupie rothy do doliny, w której zacznie się całkowita rzeź.

Ruchome cienie, którymi były siły Berg'inyona, przemknęły w ciszy przez mgłę obok kamiennych strażników, starając się przejrzeć dolinę i znaleźć optymalne miejsca na zasadzkę.

Ponad mgłą ciemność nocnego nieba przełamała linia ognia, pędząca szybko i kierująca się do doliny. Berg'inyon obserwował ją, podobnie jak tak wielu pozostałych, nie wiedząc, co to może być.

Mijając wojska, Alustriel wypuściła ostatnią salwę swej magii, błyskawice, deszcz zielonkawych impulsów palącej energii oraz ulewę wybuchowych kul ognia, które topiły skały.

Czujne mroczne elfy odpowiedziały, zanim rydwan przemknął nad północną krawędzią doliny, oddając salwę zaklętymi bełtami oraz destrukcyjnymi czarami.

Ognie pochwyconego przez kulę ognistą rydwanu rozjarzyły się, zaś gdy błyskawica uderzyła w jego podstawę, cały pojazd przechylił się gwałtownie na bok.

Magia Alustriel zabiła niejednego, a wielu innych pozbawiła wierzchowców, jednak prawdziwym celem przelotu czarodziejki było posłużenie za przynętę, bowiem oczy każdego drowa były skierowane w niebiosa, gdy do walki włączył się drugi batalion Rycerzy w Srebrze, pędząc przez Dolinę Strażnika z ogłuszającym stukotem kopyt o litą skałę.

Z opuszczonymi lancami rycerze wbili się w pierwsze szeregi drowów, tratując je swymi większymi wierzchowcami.

Byli to jednak jaszczurczy jeźdźcy Baenre, najbardziej elitarny oddział w całym Menzoberranzan, składający się z wojowników i czarodziejów nie znających pojęcia strachu.

Od Berg'inyona wyszły ciche rozkazy, natychmiast przekazywane dalej od jednych poruszających się palców do drugich. Nawet po zdumiewającej salwie z nieba oraz nagłej szarży wojsk, o których obecności w Dolinie Strażnika drowy nie wiedziały, szeregi mrocznych elfów wciąż przewyższały Rycerzy w Srebrze stosunkiem większym niż trzy do jednego. Gdyby ów stosunek wynosił tylko jeden do jednego, Rycerze w Srebrze i tak nie mieliby szans.

Kierunek fali odwrócił się szybko i ci rycerze, którzy nie zostali powaleni, nieuchronnie cofali się i przegrupowywali w ciaśniejsze formacje. Jedynie mgła oraz nieznany teren nie dopuszczały, by masakra rozgorzała na pełną skalę. Jedynie fakt, że przytłaczające siły drowów nie mogły znaleźć wszystkich celów, pozwalał walecznym rycerzom kontynuować opór.

W tylnych szeregach mrocznych elfów Berg'inyon usłyszał zamieszanie, gdy jeden pechowy człowiek został oddzielony i niecelowo galopował na północ, oddalając się od swych towarzyszy.

Syn Baenre zasygnalizował swym osobistym strażnikom, by podążyli za nim, lecz pozostali z tyłu. Sam podjął pościg, klucząc swym jaszczurem, by dogonić tamtego. Ujrzał niewyraźną sylwetkę - i za jakąż wspaniałą istotę Berg'inyon uznał jeźdźca, tak wysokiego na swym potężnym rumaku.

Obraz ten nie zniechęcił fechmistrza pierwszego domu Menzoberranzan. Okrążył kamienną kolumnę tuż obok rycerza i krzyknął do niego.

Wielkiego konia zarzuciło i zahamował, a rycerz obróci się w stronę Berg'inyona. Powiedział coś, czego Berg'inyon nie mógł zrozumieć, bez wątpienia jakieś postanowienie oporu, po czym opuścił swą długą lancę i kopnięciem ponaglił konia do szarży.

Berg'inyon opuścił własną cętkowaną lancę i wbił pięty w boki jaszczura, popędzając bestię. Nie mógł dorównać szybkością koniowi jeźdźca, jednak koń ustępował jaszczurowi zwinnością. Gdy przeciwnicy zbliżyli się, Berg'inyon skręcił gwałtownie w bok, kierując swego wierzchowca prosto na ścianę grubej, kamiennej kolumny.

Rycerz, zaskoczony szybkością uniku, nie mógł przesunąć lancy wystarczająco szybko, by wymierzyć skuteczny atak, jednak kiedy się mijali, Berg'inyon zdołał szturchnąć biegnącego konia w bok. Nie było to poważne zranienie, zaledwie zadrapanie, jednak nie była to zwyczajna lanca. Trzymany przez Berg'inyona trzymetrowy drąg był diabelską lancą śmierci, jedną z najsprytniejszych i najokrutniejszych broni drowów. Gdy tylko czubek lancy dotknął ciała konia, rozcinając metalowy pancerz, który miało na sobie zwierzę, jakby to był zwyczajny materiał, popłynęły wzdłuż niej wijące się macki czarnego światła.

Koń zarżał żałośnie, wierzgnął, podskoczył i zatrzymał się gwałtownie. W jakiś sposób rycerz zdołał utrzymać się w siodle.

- Biegnij! - krzyknął do swego drżącego wierzchowca, nie rozumiejąc. - Biegnij!

Rycerz poczuł nagle, jakby koń pod nim stawał się w jakiś sposób mniej materialny, poczuł na swych łydkach żebra zwierzęcia.

Koń zarzucił głowę do tyłu i znów zarżał, wydając z siebie nieziemski krzyk, a rycerz zbladł, gdy spojrzał mu w oczy, które płonęły czerwienią złego zaklęcia.

Lanca śmierci skradła zwierzęciu siłę życiową, przemieniła dumnego, silnego ogiera w wychudzoną, szkieletowatą istotę, niemartwe złe stworzenie. Myśląc szybko, rycerz upuścił lancę, wyciągnął wielki miecz i jednym zamachem odciął potworowi głowę. Odtoczył się na bok, gdy koń przewrócił się pod nim, i wstał miotając się dookoła w zakłopotaniu.

Otoczyły go ciemne kształty i usłyszał syk znajdujących się niedaleko jaszczurów, odgłosy zasysania, gdy kleiste łapy odrywały się od skał.

Berg'inyon Baenre zbliżał się powoli. On również opuścił lancę. Obrót nadgarstka uwolnił go z siodła i wojownik ześlizgnął się ze swego wierzchowca, zdecydowany sprawdzić jednego z tych ludzi z powierzchni w pojedynczej walce, zdecydowany pokazać stojącym w pobliżu drowom umiejętności ich przywódcy.

Fechmistrz wyciągnął swe bliźniacze miecze, ostre i zaklęte, jedne z najlepszych broni drowów.

Rycerz, o głowę wyższy od swego adwersarza, lecz znający reputację mrocznych elfów, słusznie się obawiał. Przełknął jednak swój strach i spotkał się z Berg'inyonem twarzą w twarz, mieczem w miecz.

Rycerz był dobry, ćwiczył ciężko przez całe swe dorosłe życie, nawet jednak gdyby trenował również przez wszystkie pozostałe mu lata, nie równałyby się one dekadom, jakie żyjący dłużej Berg Mnyon spędził z mieczem.

Rycerz był dobry. Żył prawie pięć minut.

* * *

Alustriel czuła, jak chłodne, wilgotne powietrze lecącej nisko chmury ociera się jej o twarz i przywraca jej przytomność. Poruszyła się szybko, starając wyrównać bieg rydwanu, i poczuła wzdłuż

boku ukąszenie bólu.

Została trafiona czarami i bronią, jej spalone i podarte szaty były mokre od krwi.

Co świat pomyślałby, gdyby ona, pani Silverymoon, tu zginęła? - zastanawiała się. Dla jej wyniosłych kolegów była to drobna wojenka, bitwa nie mająca większego wpływu na wydarzenia świata, bitwa, której, w ich oczach, Alustriel z Silverymoon powinna była uniknąć.

Alustriel otarła długie, srebrzyste włosy - które również były splamione krwią - ze swej pięknej twarzy. Zakipiał w niej gniew, gdy pomyślała o argumentach, z jakimi walczyła po prośbie króla Bruenora o pomoc. Żaden doradca czy radny z Silverymoon, za wyjątkiem Freta, nie chciał odpowiedzieć na to wołanie i Alustriel musiała stoczyć długą, męczącą bitwę na słowa, by móc skierować do Mithrilowej Hali choć tę setkę Rycerzy w Srebrze.

Co działo się z jej miastem? - zastanawiała się teraz pani, unosząc się wysoko nad Czteroszczytem. Silverymoon zdobyło reputację miasta wielce szczodrego, obrońcy uciśnionych, szerzyciela dobra. Rycerze udali się na wojnę z ochotą, jednak to nie oni stanowili kiedykolwiek problem.

Problem, co uświadomiła sobie ranna Alustriel, leżał w wygodnie zakorzenionej klasie biurokratycznej, w politycznych przywódcach, którzy stali się zbyt bezpieczni w kategoriach ich własnego życia. Wydawało się to teraz kryształowo jasne dla Alustriel, która ranna, starała się ciężko utrzymać kontrolę nad swym zaklętym rydwanem na chłodnym niebie ponad polem bitwy.

Znała serce Bruenora i jego ludu, znała dobroć Drizzta oraz wartość krzepkich ludzi z Settlestone. Alustriel wierzyła, że warto ich bronić. Nawet gdyby całe Silverymoon zostało pochłonięte przez wojnę, osób tych warto było bronić, bowiem, jak napiszą w końcu w rocznikach przyszli historycy, to będzie miarą Silverymoon - owa szczodrość będzie najważniejszą cechą miasta, będzie tym, co odróżni Silverymoon od tak wielu innych drobnych państewek.

Jednak co działo się z jej miastem? - zastanawiała się Alustriel i zaczęła rozumieć raka, który toczył jej szeregi. Uznała, że wróci do Silverymoon i wypleni tę zarazę, lecz nie teraz.

Teraz potrzebowała odpoczynku. Odegrała swą rolę najlepiej jak mogła i być może za cenę własnego życia, co uświadomiła sobie, gdy kolejna fala bólu przeszyła jej ranny bok.

Jej koledzy będą opłakiwać jej śmierć, powiedzą, że poszła na marne, zważywszy na małą skalę tej wojny o Mithrilową Halę.

Alustriel wiedziała lepiej, wiedziała, że to ona, podobnie jak jej miasto, zostanie ostatecznie osądzona.

Zdołała skierować gwałtownie rydwan na szeroką półkę skalną i wytoczyła się z niego, gdy ognisty dweomer rozpłynął się w nicość.

Pani Silverymoon siedziała na skale, w chłodzie, spoglądając na odległą szamotaninę pod sobą. Była wyłączona z walki, lecz odegrała swą rolę.

Wiedziała, że może umrzeć bez winy obciążającej jej serce.

* * *

Berg'inyon Baenre przejechał przez szeregi siedzących na jaszczurach drowów, trzymając wysoko obydwa zakrwawione miecze. Mroczne elfy jechały za swym przywódcą, przemykając od obelisku do obelisku, przecinając pole bitwy w połowie.

Mobilność oraz szybkość większych koni działała na korzyść rycerzy, lecz sprytna taktyka mrocznych elfów pozbawiała ich jej.

Rycerzom należy przyznać, że zabijali drowy w stosunku jeden do jednego, co było znaczącym wyczynem, zważywszy na większą liczbę drowów oraz ich wyszkolenie. Mimo to jednak szeregi rycerzy topniały.

Nadzieja przybyła w postaci grubego czarodzieja, jadącego na bestii będącej w połowie koniem, w połowie żabą i prowadzącego za sobą pozostałości obrońców południowego zbocza, setki ludzi jadących i biegnących z jednej bitwy w drugą.

Siły Berg'inyona zostały odepchnięte na szerokość doliny z powrotem ku pomocnej ścianie i broniący się rycerze znów odzyskali swobodę.

Szeregi obrońców szybko się przegrupowały, krzepcy wojownicy Berkthgara skupili się za swym potężnym przywódcą, a rycerze Besnella połączyli z siłami, które utrzymywały Dolinę Strażnika. Podobnie Longriderzy ustawili się za Regweldem, a Jeźdźcy z Nesme - dwaj, którzy przetrwali - dołączyli do swych braci z zachodu.

Magia błyskała, metal dźwięczał, a ludzie i zwierzęta wrzeszczeli z bólu. Mgła zgęstniała od potu, a kamienne podłoże doliny zaciemniła krew.

Obrońcy woleliby uformować solidną linię obrony, jednak zrobiwszy to, odsłoniliby się strasznie przed czarodziejami, tak więc podążali za przewodem dzikiego Berkthgara, wbijali prosto w szeregi nieprzyjaciela, zgadzając się znaleźć w sercu panującego chaosu.

Berg'inyon wjechał na swym wierzchowcu do połowy pomocnej ściany, wysoko nad dolinę, by przyjrzeć się chwalebnej rzezi. Fechmistrz nie dbał ani trochę o swych martwych towarzyszy, których powyginane ciała zaścielały podłoże doliny.

Ta walka zostanie wygrana z łatwością, pomyślał Berg' inyon, i zachodnie wrota do Mithrilowej Hali będą jego.

Cała chwała dla domu Baenre.

* * *

Kiedy Stumpet Rakingclaw przeszła z Podmiasta do zachodnich wrót Mithrilowej Hali, poczuła konsternację - nie z powodu doniesień o okrutnych walkach w Dolinie Strażnika, lecz z faktu, że krasnoludzcy strażnicy nie wyszli pomóc walecznym obrońcom.

Ich rozkazy były wyraźne. Mieli pozostać wewnątrz kompleksu, aby bronić ciaśniejszych tuneli, następnie zaś, gdyby sekretne wrota zostały znalezione przez nieprzyjaciela, a obrońcy zepchnięci do tyłu, krasnoludy były przygotowane, by zawalić tunele w pobliżu drzwi. Rozkazy te, dane przez generała Dagnę, drugiego dowódcę po Bruenorze, nie przewidywały bitwy o Dolinę Strażnika.

Bruenor mianował Stumpet wysoką kapłanką Mithrilowej Hali i zrobił to tak publicznie oraz z takimi fanfarami, że nie mogło być nieporozumień związanych z rangą, gdyby rozgorzała bitwa. Owa decyzja, owa publiczna ceremonia, dała Stumpet władzę, której teraz potrzebowała, pozwoliła jej zmienić rozkazy i pięciuset krasnoludów, którym wyznaczono pilnowanie zachodnich wrót, którzy z przerażeniem obserwowali z dala rzeź, uradowało się, słysząc nową komendę.

Pod ziemią w całej Dolinie Strażnika rozległo się dudnienie, zgrzytanie kamienia o kamień. Na północnej ścianie doliny Berg'inyon trzymał się mocno swego wierzchowca o kleistych łapach i miał nadzieję, że nie zostanie strącony ze zbocza. Słuchał uważnie echa, rozróżniając poszczególne tony, po czym spojrzał ku południowo-wschodniemu skrajowi doliny.

Wspaniałe, palące światło rozbłysnęło stamtąd, gdy zachodnie wrota Mithrilowej Hali rozsunęły się.

Serce Berg'inyona przegapiło uderzenie. Krasnoludy otworzyły drogę!

Wyszli na zewnątrz, setki brodatego ludu, ruszając na pomoc swym sprzymierzeńcom, śpiewając i bębniąc toporami oraz młotami w błyszczące tarcze, wylewając się z drzwi, które nie były już tajemnicą. Doszli do linii Berkthgara i dalej, ich zwarte regimenty wycinały szczeliny w szeregach koboldów, goblinów i drowów, wdzierając się głębiej w motłoch.

- Głupcy! - wyszeptał fechmistrz Baenre, bowiem nawet gdyby do Doliny Strażnika wszedł tysiąc lub dwa tysiące krasnoludów, rezultat bitwy nie zmieniłby się. Berg'inyon wiedział, że wyszli, ponieważ domagała się tego ich moralność. Otworzyli drzwi i porzucili najlepsze stanowiska

obronne dlatego, że ich uszy nie mogły znieść wrzasków ludzi ginących w ich obronie.

Jakże słabi byli ci mieszkańcy powierzchni, pomyślał groźny drow, bowiem w Menzoberranzan nigdy nie myliło się odwagi ze współczuciem.

Zaciekłe krasnoludy mocno włączyły się do bitwy, bez opamiętania wbijając się w drowy i gobliny. Ich szarżą dowodziła Stumpet Rakingclaw, wypoczęta po wyczynach w Podmieście. Nie miała już świetlnych kulek, jednak zawołała teraz do swego boga, uruchamiając zaklęcia, które miały rozjaśnić Dolinę Strażnika. Mroczne elfy szybko kontowały każdy czar, jak krasnoludka się spodziewała, uznała jednak, że każdy drow koncentrujący się na kuli ciemności jest wyłączony z walki, przynajmniej chwilowo. Przez kapłankę płynęła swobodnie magia Moradina, Dumathoina i Clangeddona. Czuła się, jakby była czystym przewodnikiem, ogniwem łączącym krasnoludzkich bogów z powierzchnią.

Krasnoludy odzyskiwały otuchę dzięki jej głośnym modlitwom, gdy z całego serca krzyczała do swych bogów. Pozostali obrońcy zebrali się wokół krasnoludów i nagle zaczęli odzyskiwać stracone tereny. Nagle idea pojedynczej linii obrony nie była już taka śmieszna.

Wysoko na ścianie, po przeciwległej stronie, Berg'inyon chichotał z nieskuteczności tego wszystkiego. Wiedział, że to jedynie chwilowy podryw, a obrońcy zachodnich wrót zebrali się razem do ostatecznego, płonnego natarcia. Siły Berg'inyona wciąż kilkakrotnie przewyższały liczebnie obrońców.

Fechmistrz skierował swego wierzchowca w dół ściany, zebrał wokół siebie swe elitarne oddziały i zastanowił, jak odwrócić sytuację. Kiedy Dolina Strażnika upadnie, stanie się to również z zachodnimi wrotami.

A Dolina Strażnika upadnie, Berg'inyon zapewnił swych towarzyszy z całym przekonaniem, w przeciągu godziny.

ROZDZIAŁ 26

WARKOT PRZECIWKO WARKOTOWI

Główne korytarze prowadzące do dolnych drzwi Mithrilowej Hali zostały zawalone i zapieczętowane, jednak najeźdźcza armia spodziewała się tego. Nawet mimo tego, że największa koncentracja drowów była zmuszona zwolnić prawie zupełnie w tunelach za drzwiami, krasnoludzki kompleks poddany był silnemu naciskowi. I choć do Uthegentala nie docierały żadne doniesienia o walkach na zewnątrz góry, potężny fechmistrz mógł sobie dobrze wyobrazić rzeź na stokach, krasnoludy i słabowitych ludzi umierających dziesiątkami. Uthegental przypuszczał, że do tego czasu zostały już najprawdopodobniej sforsowane jedne i drugie wrota do Mithrilowej Hali, a jaszczurczy jeźdźcy zalewali górne tunele.

Myśl ta dość mocno zaniepokoiła fechmistrza Barrisonade del'Armgo. Jeśli Berg'inyon był w Mithrilowej Hali, to renegat, Drizzt Do'Urden, może polec z ręki syna domu Baenre. Tak więc Uthegental oraz jego mała grupa pół tuzina elitarnych wojowników, których zabrał ze sobą, szukała teraz wąskich korytarzy, które doprowadzą ich do najniższej bramy do właściwej Mithrilowej Hali. Tunele te powinny być otwarte, bowiem mroczne elfy wysączały się z Podmiasta, by oczyścić drogę.

Fechmistrz i jego eskorta dotarli do groty, która wcześniej służyła Bruenorowi za posterunek dowodzenia. Teraz była opuszczona, jedynie kilka pergaminów oraz pozostałości po przygotowaniach kapłanów pokazywały, że ktokolwiek tu był. Po zawaleniu tuneli oraz części Groty Tunulta (a także wielu bocznych korytarzy, w tym głównego, który biegł do tej komnaty) dolne grupy Bruenora najwyraźniej się rozproszyły bez żadnego centralnego dowodzenia.

Uthegental przeszedł przez to miejsce, ledwo poświęcając mu myśl. Drużyna drowów przemieszczała się szybko korytarzami, kierując zasadniczo na wschód, w milczeniu podążając za natarczywym przewodem fechmistrza. Dotarli do szerokiego rozwidlenia szlaku i zauważyli leżące pod ścianą bardzo stare kości dwugłowego olbrzyma - którego, co było ironią, Bruenor Battlehammer zabił przed wiekami. Bardziej przejmowali się jednak rozwidleniem.

Sfrustrowany kolejnym opóźnieniem Uthegental posłał zwiadowców w lewo i w prawo, po czym wraz z resztą grupy udał się w prawo, wschodnią trasą.

Kiedy jego zwiadowca oraz inna drowka, kapłanka, spotkali się z nim kilka chwil później, Uthegental westchnął, czując ulgę, że odnalazł w końcu dolne drzwi.

- Witaj, fechmistrzu drugiego domu - przywitała go kapłanka, okazując potężnemu Uthegentalowi więcej szacunku, niż zazwyczaj otrzymywali zwyczajni mężczyźni.

- Dlaczego jesteś tu w tunelach? - chciał wiedzieć Uthegental. - Jesteśmy jeszcze daleko od Podmiasta?

- Dalej niż sądzisz - odparła kapłanka, spoglądając z pogardą z powrotem ku wschodowi, wzdłuż długiego tunelu, który kończył się przy dolnych drzwiach. - Droga nie jest czysta.

Uthegental wydał z siebie niski warkot. Tamte mroczne elfy powinny już do tej pory zająć Podmiasto i otworzyć na nowo korytarze. Przeszedł obok kobiety, a jego tempo odzwierciedlało jego gniew.

- Nie przebijesz się - zapewniła go kapłanka, a on obrócił się, krzywiąc, jakby uderzyła go w twarz.

- Atakujemy drzwi od godziny - wyjaśniła kapłanka. - I spędzimy tydzień, zanim przedostaniemy się przez tę barykadę. Krasnoludy dobrze jej bronią.

- Ultrin sargtlin! Uthegental wyryczał swój ulubiony tytuł, przypominając kapłance o swej reputacji. Mimo to, pomimo faktu, że zasłużył sobie na owo miano największego wojownika, kobieta nie wyglądała, jakby robiło to na niej wrażenie.

- Setka drowów, pięciu czarodziejów i dziesięć kapłanek nie sforsowało tych drzwi - powiedziała pewnym głosem. - Krasnoludy odpowiadają na naszą magię wielkimi włóczniami i kulami płonącej smoły. Zaś tunel prowadzący do drzwi jest wąski i pełen pułapek, równie chroniony jak sam dom Baenre. Zginęło tam dwadzieścia minotaurów, zaś ten tuzin, który przedostał się przez pułapki, natknął się na czekających na nich krzepkich krasnoludów, wychodzących z ukrycia w małych, sekretnych niszach. Dwadzieścia minotaurów zginęło w przeciągu kilku minut.

- Nie przebijesz się - powtórzyła kapłanka beznamiętnym, w żadnym stopniu nie obraźliwym, tonem. - Nikt z nas się nie przebije, dopóki ci, którzy weszli do krasnoludzkiego kompleksu, nie zaatakują obrońców od tyłu.

Uthegental chciał uderzyć kobietę, głównie dlatego, że wierzył w jej słowa.

- Dlaczego chciałbyś wejść do kompleksu? - spytała nieoczekiwanie kobieta, z przebiegłą miną.

Uthegental przyjrzał się jej podejrzliwie, zastanawiając, czy nie kwestionuje jego odwagi. W końcu dlaczego miałby nie chcieć znaleźć walki?

- Krążą pogłoski, że zamierzasz dopaść Drizzta Do'Urdena - ciągnęła kapłanka.

Mina Uthegentala przeszła z podejrzliwości w zaintrygowanie.

- Inne pogłoski mówią, że renegat jest w tunelach poza Mithrilową Halą - wyjaśniła. - Poluje ze swoją panterą i zabił paru drowów.

Uthegental przejechał dłonią po nastroszonych włosach i spojrzał z powrotem ku zachodowi, ku szalonej plątaninie tuneli, którą pozostawił za sobą. Poczuł, jak zastrzyk adrenaliny zaczyna krążyć mu po ciele, wywołując mrowienie, które napina jego mięśnie i zaciska ryzy w ponurą minę. Wiedział, że wiele grup wrogów działa w tunelach za krasnoludzkim kompleksem, rozrzuconych band uciekających z siedmiu połączonych jaskiń, w których została stoczona pierwsza bitwa. Uthegental i jego towarzysze napotkali taką grupę krasnoludów po drodze do tego miejsca i rozgromili ją.

Teraz, gdy o tym pomyślał, wydawało mu się rozsądne, że Drizzt również tam jest. Było bardzo prawdopodobne, że renegat brał udział w bitwie w grotach, zaś jeśli była to prawda, dlaczego miałby uciekać do Mithrilowej Hali?

Drizzt był łowcą, dawnym dowódcą patrolu, wojownikiem, który przeżył dekadę sam ze swą panterą w dzikim Podmroku - co było niemałym wyczynem, nawet Uthegental to szanował.

Tak, teraz, gdy kapłanka opowiedziała mu o pogłoskach, Uthegentalowi wydało się całkowicie słuszne, że Drizzt Do'Urden będzie gdzieś tam, gdzieś w tunelach na zachodzie, wałęsając się i zabijając. Fechmistrz roześmiał się w głos i ruszył w stronę, z której przyszedł, nie dając żadnych wyjaśnień.

Żadne nie były potrzebne, ani dla kapłanki, ani dla towarzyszy Uthegentala, który ruszyli za nim w szeregu.

Fechmistrz drugiego domu polował.

* * *

- Wygrywamy - oznajmiła opiekunka Baenre.

Nikt z tych, którzy ją otaczali - ani Methil, ani Jarlaxle, ani opiekunka Zeerith Q'Xorlarrin z czwartego domu, ani Auro'pol Dyrr, matka opiekunka domu Agrach Dyrr, teraz piątego, ani Bladen'Kerst czy Quenthel Baenre - nie spierał się z tym bezceremonialnym stwierdzeniem.

Gandalug Battlehammer, brudny i zmaltretowany, z nadgarstkami skutymi ciasno wąskimi kajdanami, zaklętymi tak mocno, że nawet gigant by ich nie rozerwał, oczyścił gardło, a w dźwięku tym rozbrzmiał pewien triumf. W zachowaniu krasnoluda było więcej przechwałek niż prawdy, bowiem Gandalug niósł na sobie wielkie brzemię. Nawet mimo tego, że jego lud toczył straszną walkę, mroczne elfy dostały się do Podmiasta. Przybyły zaś do tego miejsca dzięki Gandalugowi, dzięki jego znajomości sekretnych przejść. Stary krasnolud rozumiał, że nikt nie był w stanie wytrzymać ataków ilithida, jednak wina pozostawała, świadomość, że w jakiś sposób nie był

wystarczająco silny.

Quenthel poruszyła się, zanim Bladen'Kerst zdołała zareagować, uderzając upartego więźnia w plecy, a jej paznokcie wyrysowały strużki krwi.

Gandalug znów parsknął i tym razem Bladen'Kerst smagnęła go swym pięciogłowym wężowym biczem, a cios ten posłał krzepkiego krasnoluda na kolana.

- Dość! - warknęła opiekunka Baenre na swe córki, zdradzając wyraźnie w głosie dręczącą ją frustrację.

Wszyscy wiedzieli - i wydawało się, iż Baenre również, pomimo swej proklamacji - że wojna nie toczy się zgodnie z planem. Zwiadowcy Jarlaxle'a poinformowali ich o wąskiej gardzieli w pobliżu najniższych drzwi Mithrilowej Hali oraz o tym, że wschodnie wrota z powierzchni zostały zablokowane wkrótce po sforsowaniu, kosztem życia wielu drowów. Magiczna komunikacja Quenthel z jej bratem powiedziała, że bitwa wciąż toczy się zaciekle na południowych i zachodnich zboczach Czteroszczytu i że nie zbliżono się jeszcze do zachodnich wrót od powierzchni. Methil zaś, który stracił dwóch towarzyszących mu ilithidów, zapewniał telepatycznie opiekunkę Baenre, że bitwa o Podmiasto nie została jeszcze wygrana, zdecydowanie nie.

Mimo to w prognozowanym przez Baenre zwycięstwie była doza prawdy, wszyscy o tym wiedzieli, a jej pewność siebie nie była jedynie powierzchowna. Bitwa na zewnątrz góry nie zakończyła się jeszcze, lecz Berg'inyon zapewnił Quenthel, że wkrótce tak się stanie - a zważywszy na potęgę wojsk, które udały się wraz z Berg'inyonem, Quenthel nie miała powodów, by wątpić w te roszczenia.

Wielu zginęło w tych dolnych tunelach, jednak większość stanowili humanoidalni niewolnicy, nie mroczne elfy. Teraz te krasnoludy, które utkwiły poza swym kompleksem, zostały zmuszone do taktyki gry w kotka i myszkę, rodzaju walki, który z pewnością dawał przewagę bezszelestnym mrocznym elfom.

- Wszystkie dolne tunele zostaną wkrótce zabezpieczone - rozwinęła myśl Baenre, a stwierdzenie to czynił oczywistym fakt, iż owa grupa, która nie ryzykowałaby żadnych spotkań, znów się przemieszczała. Otaczające Baenre elitarne siły były odpowiedzialne za prowadzenie i strzeżenie pierwszej matki opiekunki. Nie pozwoliłyby Baenre na jakiekolwiek przemieszczenie, jeśli teren przed nimi nie zostałby uznany za bezpieczny.

- Tereny nad ziemią, wokół Mithrilowej Hali, również zostaną zabezpieczone - dodała Baenre - gdy jedne i drugie wrota z powierzchni zostaną sforsowane.

- I najprawdopodobniej zawalone - odważył się wtrącić Jarlaxle.

- Co zamknie krasnoludy w ich norze - szybko odparła opiekunka Baenre. - Przebijemy się przez te dolne drzwi i nasi czarodzieje oraz kapłanki znajdą i otworzą nowe drogi do tuneli kompleksu,

abyśmy mogli wlać się w szeregi wrogów.

Jarlaxle zgadzał się z tym tak jak pozostali, jednak to, o czym mówiła Baenre, zajmie trochę czasu, zaś przypuszczanie oblężenia nie było częścią planu. Perspektywa taka nie przemawiała do nikogo ze zgromadzonych wokół opiekunki Baenre, szczególnie do pozostałych dwóch matek opiekunek. Baenre naciskała, żeby poszły, i zrobiły to, choć ich domy i całe miasto były w stanie zamętu. W zamian za osobistą obecność matek opiekunek w długiej wyprawie domowi Xorlarrin oraz domowi Agrach Dyrr pozwolono zatrzymać większość żołnierzy w mieście, podczas gdy pozostałe domy, zwłaszcza reszta rządzących, wysłała aż połowę swych oddziałów. Przez te kilka miesięcy, przez które armia miała przebywać poza miastem, czwarty i piąty dom wydawały się bezpieczne.

Zeerith i Auro'pol miały jednak inne troski, martwiły się o walki o władzę we własnych rodzinach. Hierarchia każdego domu, poza może Baenre, zawsze była chwiejna i obydwie matki opiekunki wiedziały, że jeśli będą pozostawać zbyt długo poza miastem, mogą po powrocie dowiedzieć się, że zostały zastąpione.

Wymieniły teraz zatroskane, powątpiewające spojrzenia, których wiecznie czujny Jarlaxle nie przegapił.

Sztab Baenre poruszał się powoli i zdecydowanie. Trzy matki opiekunki leciały na swych dryfdyskach, otoczone przez dwie córki Baenre (ciągnące krasnoluda) oraz ilithida, który wydawał się raczej ślizgać niż iść, ukrywając swe stopy pod długimi, ciężkimi szatami. Krótką chwilę później opiekunka Baenre poinformowała ich, że znajdą odpowiednią grotę i ustanowią salę tronową, z której będzie można kierować trwającą walką.

Była to kolejna wskazówka, że wojna będzie długa, i Zeerith oraz Auro'pol znów wymieniły zaniepokojone spojrzenia.

Bladen'Kerst Baenre zmrużyła oczy, grożąc im w milczeniu.

Jarlaxle wychwycił to wszystko, każdą konotację, każdą wskazówkę, gdzie opiekunka Baenre może natrafić na największe kłopoty.

Dowódca najemników skłonił się nisko i przeprosił, wyjaśniając, że dołączy do swej drużyny i spróbuje uzyskać aktualniejsze informacje.

Baenre machnęła ręką, zwalniając go bez zastanowienia. Jeden z członków jej eskorty nie był taki beztroski.

- Ty i twoi najemnicy uciekniecie - odezwała się w umyśle Jarlaxle'a niespodziewana wiadomość.

Myśli najemnika zawirowały i zbity z tropu nie mógł powstrzymać telepatycznej odpowiedzi, że myśl o porzuceniu wojny rzeczywiście przeszła mu przez umysł. Znalazłszy się w większej

desperacji niż kiedykolwiek w życiu, Jarlaxle spojrzał przez ramię na beznamiętną twarz ilithida.

- Strzeż się Baenre, jeśli wróci - odezwał się Methil od niechcenia, po czym ruszył w swoją drogę z Baenre i pozostałymi.

Jarlaxle stał przez długą chwilę, gdy grupa zniknęła z pola widzenia, zastanawiając się nad ostatnim przekazem ilithida. Doszedł do wniosku, że Methil nie poinformuje Baenre o jego chwiejącej się lojalności. Jakoś, ze sposobu, w jaki wiadomość została przekazana, Jarlaxle to wiedział.

Najemnik oparł się o kamienną ścianę, myśląc usilnie, jaki powinien być jego następny ruch. Jeśli armia drowów pozostanie razem, Baenre w końcu wygra - w to nie wątpił. Straty będą większe niż przewidywano (już były), lecz nie będzie to miało większego znaczenia, gdy Mithrilowa Hala zostanie przejęta wraz z obiecywanymi bogactwami.

Cóż więc Jarlaxle miał zrobić? To kłopotliwe pytanie wciąż obijało się po myślach najemnika, gdy natknął się na poruczników swych Bregan D'aerthe, z których wszyscy nieśli wieści o ciągłym korku przy dolnych drzwiach oraz informację, że w zewnętrznych tunelach zginęło jeszcze więcej mrocznych elfów, które padły ofiarą błąkających się band krasnoludów oraz ich sprzymierzeńców.

Krasnoludy broniły się i walczyły dobrze.

Jarlaxle podjął decyzję i przekazał ją bezszelestnie porucznikom w zawiłej mowie znaków. Bregan D'aerthe nie zdezerterują, jeszcze nie. Nie będą jednak już prowadzić ataków, ryzykując zwiadowcami.

- Unikać wszelkich walk - błysnęły palce Jarlaxle'a, a zebrani żołnierze pokiwali głowami. - Odsuwamy się z drogi i obserwujemy, nic więcej.

- Dopóki Mithrilowa Hala nie zostanie sforsowana - uznał jeden z poruczników.

Jarlaxle przytaknął.

- Albo dopóki wojna nie stanie się daremna - odparły jego palce, zaś z jego miny widać było wyraźnie, że przywódca najemników nie uważa swych ostatnich słów za śmieszne.

* * *

Pwent i jego banda pędzili jednym tunelem po drugim, stając się coraz bardziej sfrustrowani, nie znajdywali bowiem żadnych drowów, ani nawet koboldów, do rozgniecenia.

- Gdzie my, na dziewięć piekieł, jesteśmy? - zażądał odpowiedzi szałojownik. Nie dobiegła żadna odpowiedź, a gdy Pwent się nad tym zastanowił, uznał, że tak naprawdę nie mógł się jej spodziewać. Znał te tunele lepiej niż ktokolwiek z grupy i jeśli on nie miał pojęcia, gdzie są, to pozostali z pewnością także byli zagubieni.

Nie martwiło to zbytnio Pwenta. On i jego szaleńcza banda naprawdę nie dbali o to, gdzie są, jeśli mieli z kim walczyć. Prawdziwym problemem był brak przeciwników.

- Zacząć bębnić! - ryknął Pwent, a Pogromcy Flaków podbiegli do ścian w wąskim korytarzu i zaczęli stukać młotami o skałę, powodując taki hałas, że każde stworzenie w promieniu dwustu metrów z łatwością domyśliłoby się, gdzie są.

Biedny Bidderdoo Harpell, wessany w środek najbardziej szalonych samobójczych krasnoludów, stał na środku tunelu, używając swego błyszczącego klejnotu, by przejrzeć kilka pergaminów pozostałych ze zniszczonej księgi czarów, szukając zaklęcia, dowolnego zaklęcia (choć najlepiej takiego, które zabrałoby go z tego miejsca!).

Hałas trwał przez kilka minut, a następnie sfrustrowany Pwent kazał swym krasnoludom ustawić się i popędzili dalej. Przeszli pod naturalnym łukiem, wokół kilku zakrętów w korytarzu, po czym natknęli się na szerszy i równiejszy tunel o ścianach z obrobionego kamienia i gładkiej podłodze. Pwent strzelił palcami, zdając sobie sprawę, że zawędrowali na południowy zachód od Mithrilowej Hali. Znał to miejsce i wiedział, że za następnym rogiem znajdzie obronne krasnoludzkie stanowisko. Podskoczył radośnie, po czym wspiął się na barykadę, która sięgała niemal do stropu, w nadziei że znajdzie jakichś sojuszników, których „dopisze" do swej grupy. Wspiąwszy się na ścianę, Pwent zatrzymał się gwałtownie, a jego uśmiech zniknął.

Na kamiennej podłodze leżało dziesięciu martwych krasnoludów, pośród sterty porozrywanych goblinów i orków.

Pwent wpadł na drugą stronę i wylądował ciężko, lecz odbił się z powrotem na stopy. Potrząsał głową, chodząc pośród miejsca masakry. Pozycja ta była silnie ufortyfikowana, z wysoką ścianą z tyłu oraz niższą z przodu, tam gdzie korytarz zakręcał ostro w lewo.

O lewą ścianę, tuż obok bocznego tunelu, oparty był dziwny wynalazek, krasnoludzka boczna katapulta, z krótkim, silnym ramieniem, które strzelało w bok, nie w górę jak konwencjonalne katapulty. Było ono teraz naciągnięte, gotowe do strzału, lecz Pwent zauważył natychmiast, że cała amunicja zniknęła, że waleczne krasnoludy trzymały się do końca.

Pwent czuł pozostałości pocisków z tej katapulty i widział migoczące cienie małych płomieni. Zanim zajrzał za załom, wiedział już, że rozciągający się dalej korytarz zasłany jest licznymi martwymi przeciwnikami.

- Dobrze zginęli - powiedział szałojownik do swych podwładnych, gdy wraz z Bidderdoo przeszli przez tylną ścianę i chodzili pośród ciał.

Atak zza rogu był szybki i bezszelestny, grupa mrocznych elfów wyskoczyła z wyciągniętymi mieczami.

Gdyby Bidderdoo Harpell nie był czujny (i gdyby nie znalazł ostatniej zdatnej do zużycia strony swej księgi czarów), byłby to szybki koniec Brygady Pogromców Flaków, jednak czarodziej rzucił swoje zaklęcie, wywołując oślepiającą (dla drowów) kulę jasnego światła.

Zaskoczone mroczne elfy zawahały się zaledwie na chwilę, lecz wystarczyło to, by Pogromcy Flaków przyjęli postawę bojową. Nagle było siedmiu krasnoludów przeciwko pięciu mrocznym elfom, pozbawionym elementu zaskoczenia. Siedmiu szałojowników przeciwko pięciu mrocznym elfom, lecz co gorsza dla drowów, ci szałojownicy stali akurat pośród ciał swych martwych ziomków.

Uderzali pięściami i kopali, skakali, ściskali i grzmocili głowami bez zastanowienia, ignorując wszelkie trafienia, walcząc tak, by najdzikszy z nich, ich dowódca, był z nich dumny. Powalili dwa drowy i jeden krasnolud wydostał się, porykując, gdy wpadał za zakręt.

Pwent dorwał drowa znajdującego się z boku, chwycił jego wymachujący miecz jedną metalową rękawicą i uderzył prosto przed siebie drugą, zanim mroczny elf zdołał podnieść drugi miecz.

Głowa drowa wręcz eksplodowała pod ciężarem nabijanej rękawicy, rozszalały Pwent wbił pięść prosto w czaszkę zgubionej istoty.

Znów uderzył drowa, a następnie trzeci raz, po czym cisnął połamane ciało obok czterech pozostałych martwych mrocznych elfów. Pwent rozejrzał się po swych świeżo zakrwawionych żołnierzach, zauważył, że jednego brakuje oraz że Bidderdoo trzęsie się szaleńczo, aż policzki klapią mu głośno. Szałojownik zapytałby czarodzieja o to, jednak nagle dobiegający z bocznego korytarza krzyk bólu zmroził szpik nawet w kościach krzepkiego Thibbledorfa Pwenta. Doskoczył do rogu i rozejrzał się.

Rzeź wzdłuż piętnastometrowego korytarza była jeszcze straszniejsza, niż Pwent się spodziewał. Dziesiątki humanoidów leżało martwych, a kilka małych ogni wciąż płonęło, tak gęsto smoła z pocisków pokrywała podłogę i ściany.

Pwent obserwował, jak z drugiego końca korytarza wchodzi wielka sylwetka, niewyraźna', jednak szałojownik wiedział, że to mroczny elf, choć większy niż wszystkie, jakie widział. Drow niósł duży trójząb, na którego końcu, wciąż wijąc się w ostatnich chwilach życia, znajdował się przebity Pogromca Flaków Pwenta. Zza wielkiego fechmistrza wyłonił się kolejny drow, lecz Pwent ledwo zauważał drugą sylwetkę i niewiele by go obchodziło, nawet gdyby zamierzała stamtąd wyjść cała setka.

Szałojownik zaryczał w proteście, lecz nie zaatakował. W jednej z tych rzadkich chwil, podczas których rozwaga przeważała nad szałem, Pwent odskoczył z powrotem za róg.

- O co chodzi, wielce dziki szałojowniku? - wrzasnęli razem trzej Pogromcy Flaków.

Pwent nie odpowiedział. Wskoczył w kosz katapulty i przejechał nabijaną rękawicą po linie spustowej, z łatwością ją przecinając.

Uthegental Armgo właśnie strząsnął kłopotliwą ofiarę, kiedy katapulta wystrzeliła, posyłając pwentowy pocisk w głąb korytarza. Oczy fechmistrza rozszerzyły się. Wrzasnął podobnie jak Pwent. Nagle Uthegental żałował, że nie ma już pod ręką martwego krasnoluda i nie może wykorzystać jego ciała jako tarczy. Kierując się czystym instynktem, wojownik zrobił inną, najlepszą w tej sytuacji rzecz. Chwycił swego drowiego towarzysza za kotittazpiwafwi i pociągnął go przed siebie.

Szpikulec na hełmie Pwenta oraz pół jego głowy wbiło się w nieszczęsnego mrocznego elfa, przedostając się wystarczająco daleko, by ugodzić również Uthegentala.

Potężny fechmistrz wydostał się z plątaniny, gdy Pwent wyrywał się z rozszarpanego drowa. Starli się ze sobą w furii, w szale przeciwko szałowi, w warkocie przeciwko warkotowi. Pwent trafił kilkakrotnie, lecz Uthegental, tak silny i wyszkolony, kontratakował zaciekle.

Tępy koniec trójzębu uderzył Pwenta w twarz i oczy szałojownika zrobiły zeza. Krasnolud zachwiał się do tyłu i uświadomił sobie, ku swemu przerażeniu, że dał właśnie temu potężnemu przeciwnikowi wystarczająco miejsca, by go przebił.

Srebrna bestia, wielki wilk biegnący na tylnych łapach, wpadła na Uthegentala z boku, przewracając go na podłogę.

Pwent potrząsnął energicznie głową, oczyszczając myśli, po czym przyjrzał się najnowszemu potworowi z więcej niż tylko drobną obawą. Zerknął za siebie w korytarz i ujrzał zbliżających się szybko Pogromców Flaków, wszyscy trzej wskazywali na wilka i wyli z zachwytu.

- Bidderdoo - mruknął Pwent.

Uthegental odrzucił wilkołaka Harpella na bok i podniósł się gwałtownie. Zanim jednak zdołał odzyskać całkowicie równowagę, Pwent skoczył na niego.

Na niego zaś drugi krasnolud, a później trzeci i czwarty, cała Brygada Pogromców Flaków.

Uthegental ryknął dziko i nagle posiadł siłę giganta. Wstał z uczepionymi do siebie krasnoludami i rozłożył szeroko ramiona, zrywając krasnoludy i ciskając nimi, jakby były byle szczurami.

Pwent uderzył go w pierś ciosem, który zabiłby sporą krowę.

Uthegental warknął i rąbnął szałojownika na odlew tak, że Pwent poleciał trzy metry do tyłu.

- Dobry jesteś - przyznał wstrząśnięty Pwent, podnosząc się na jedno kolano, gdy Uthegental się

zbliżał.

Po raz pierwszy w swym szalonym życiu (poza może przypadkiem, kiedy niecelowo walczył z Drizztem), Thibbledorf Pwent wiedział, że nie dorównuje przeciwnikowi - wiedział, że cała jego brygada mu nie dorównuje! - i uznał, że jest już martwy. Krasnoludy leżały dookoła pojękując i żaden z nich nie byłby w stanie zmagać się z niemożliwie silnym drowem.

Zamiast wstać, Pwent krzyknął i rzucił się do przodu na kolanach. Podniósł się w ostatniej chwili, wkładając cały swój ciężar w prawy sierpowy.

Uthegental chwycił dłoń w połowie zamachu i całkowicie zatrzymał Pwenta. Wolna ręka potężnego drowa zamknęła się na twarzy Pwenta i Uthegental zaczął wyginać biednego krasnoluda do tyłu.

Pwent widział wy krzywioną twarz przez rozczapierzone szeroko palce. W jakiś sposób zdołał znaleźć siłę, by zamachnąć się wolną ręką, i trafił mocno w przedramię drowa.

Uthegental wydawał się tym nie przejąć.

Pwent zaskamlał.

Fechmistrz odrzucił nagle głowę do tyłu.

Pwent pomyślał, że drow zamierza wydać z siebie ryk zwycięstwa, jednak z ust Uthegentala nie wydostawał się żaden dźwięk, absolutnie żaden, dopóki chwilę później nie zacharczał niezrozumiale.

Pwent poczuł, jak uścisk drowa słabnie, i szałojownik szybko się odsunął. Wyprostowawszy się, Pwent zrozumiał. Srebrny wilkołak zaszedł Uthegentala od tyłu i ugryzł drowa w kark. Bidderdoo trzymał mocno, całą siłą swej wielkiej paszczy miażdżąc kręgi i nerwy.

Obydwaj utrzymywali tę makabryczną pozę przez wiele sekund. Wszyscy zgromadzeni wokół nich przytomni Pogromcy Flaków zdumiewali się siłą pyska Bidderdoo oraz faktem, że ten straszny drowi wojownik wciąż trzymał się na nogach.

Rozległ się głośny trzask i Uthegental zadrżał nagle. Upadł, a wilk zanim, nadal trzymając mocno.

Pwent pokazał na Bidderdoo.

- Muszę go skłonić, żeby pokazał mi, jak to robi - stwierdził zachwycony szałojownik.

Bidderdoo, ściskając mocno swą ofiarę, nie słyszał tego.

ROZDZIAŁ 27

NAJDŁUŻSZA NOC

Belwar słyszał echo, subtelne wibracje grubych skał, których nie zauważyłby nigdy żaden mieszkaniec powierzchni. Pozostałych trzystu svirfhebli również je słyszało. Taka była natura głębinowych gnomów - w głębszych tunelach Podmroku porozumiewały się często, wysyłając przez skały ciche wibracje. Słyszeli teraz echo, ciągłe echo, niepodobne do wielkiej eksplozji, jaką usłyszeli kilka godzin wcześniej, dudnienie zawalającej się całej sieci tuneli. Doświadczeni wojownicy svirfnebli zastanowili się nad tym najnowszym odgłosem, osobliwym rytmem, i wiedzieli, co on oznacza. Rozgorzała bitwa, wielka bitwa, i to niedaleko.

Belwar wielokrotnie rozmawiał ze swymi dowódcami, gdy przedzierali się przez nieznany teren, starając się podążać za najsilniejszymi wibracjami. Często jeden ze svirfhebli z boku lub przodu grupy stukał lekko swym młotkiem w skałę, starając się wyczuć gęstość kamienia. Polowanie na echo bywało kapryśne, bowiem gęstość skał nigdy nie była jednorodna i wibracje często były zakłócane. Tak więc svirfnebli, zdecydowanie najlepiej podążający za echem ze wszystkich ras świata, nieraz stwierdzali, że na rozwidleniu szlaku poszli w złą stronę.

Będąc zdeterminowaną i cierpliwą grupą, utrzymywali jednak kurs i po wielu frustrujących minutach kapłan o imieniu Suntunavick podskoczył do Belwara oraz Firble'a i oznajmił im z całą pewnością, że są najbliżej odgłosów, jak mogły ich doprowadzić te tunele.

Obydwaj podążyli za kapłanem do wyznaczonego miejsca i jeden po drugim przyłożyli uszy do skały. Rzeczywiście, dochodzący zza niej hałas był głośny, oględnie mówiąc.

I stały, co Belwar zauważył z pewnym zakłopotaniem, bowiem nie było to echo wymiany ciosów, nie echo, które słyszeli wcześniej, a przynajmniej w tym dźwięku było coś więcej.

Suntunavick zapewnił nadzorcę kopaczy, że było to odpowiednie miejsce. Z tym bardziej stałym dźwiękiem mieszał się znajomy odgłos toczącej się bitwy.

Belwar spojrzał na Firble'a, który skinął głową, a następnie na Suntunavicka. Nadzorca kopaczy stuknął w miejsce na ścianie, po czym odsunął się, aby Suntunavick i inni kapłani mogli się tam zebrać.

Zaczęli śpiewać, chrapliwie, dudniąco i najwyraźniej bez słów, a co jakiś czas jeden z kapłanów rzucał o ścianę garść jakiejś podobnej do błota substancji.

Śpiew osiągnął crescendo. Suntunavick ruszył do ściany, wyciągając przed siebie ściśnięte ze

sobą dłonie. Z okrzykiem ekstazy mały gnom wyrzucił palce prosto w kamień. Następnie stęknął, a mięśnie na jego rękach i barkach napięły się, gdy rozciągał ścianę, otwierał ją, jakby nie była niczym więcej niż tylko zasłoną z grubego materiału.

Kapłan odskoczył do tyłu, podobnie jak wszyscy pozostali, gdy echo stało się rykiem i spadł na nich drobny deszcz, opar znad wodospadu.

- Powierzchnia to jest - mruknął Firble, ledwo będąc w stanie oddychać.

I tak właśnie było, jednak ta spływająca woda nie występowała w wyobrażeniach gnomów o świecie powierzchni, nie przypominała w niczym opisów z licznych opowieści, które słyszeli o tym dziwnym miejscu. Wielu z grupy pomyślało, czy nie zawrócić, lecz Belwar, który nie tak dawno temu rozmawiał z Drizztem, wiedział, że coś tutaj było niezwykłe.

Nadzorca kopaczy wyciągnął swym kilofem linę zza pasa i podał ją Firble'owi, pokazując, że doradca ma zawiązać mu ją wokół nadgarstka. Firble zrobił to i ujął drugi koniec, opierając się pewnie.

Z jedynie lekkim wahaniem odważny Belwar przecisnął się przez ścianę, przez zasłonę mgły. Znalazł wodospad i prowadzącą wokół niego półkę skalną, po czym spojrzał na gwiazdy.

Tysiące gwiazd!

Serce gnoma zaczęło bić mocniej. Był jednocześnie zachwycony i przerażony. To był świat powierzchni, tej największej z jaskiń, pod kopułą, której nie mógł dosięgnąć.

Chwila zadumy oraz zachwytu była krótkotrwała, zakłóciły ją wyraźne odgłosy bitwy. Belwar nie był w Dolinie Strażnika, widział jednak światło walki, ognie z pochodni i magicznych zaklęć, a także słyszał brzęk metalu o metal i znajome wrzaski umierających.

Z Belwarem na czele trzystu svirmebli wydostało się z jaskiń i rozpoczęło cichy marsz na wschód. Natrafili na wiele obszarów, które wydawały się nie do przejścia, jednak przyjazny żywiołak, przyzwany przez gnomich kapłanów, otwierał drogę. Po zaledwie kilku minutach bitwa pojawiła się w polu widzenia, kotłowanina w zamglonej dolinie, odziani w pancerze konni oraz jeżdżące na jaszczurach drowy, paskudne gobliny i koboldy oraz wielcy ludzie, ponad dwa razy wyżsi od najwyższych svirfnebli.

Teraz Belwar się zawahał, zdając sobie w pełni sprawę, że jego trzystuosobowe wojsko zatopi się w bitwie tysięcy, w bitwie, w której gnomy nie mogły stwierdzić, kto wygrywa.

- Po to tu przyszliśmy - wyszeptał Firble do ucha nadzorcy kopaczy.

Belwar spojrzał stanowczo na swego nietypowo odważnego towarzysza.

- Za Blingdenstone - powiedział Firble.

Belwar prowadził.

* * *

Drizzt wstrzymał oddech, podobnie jak wszyscy, i nawet Guenhwyvar była wystarczająco roztropna, by stłumić instynktowny warkot.

Pięcioro towarzyszy stłoczyło się na wąskiej półce skalnej w wysokim, szerokim korytarzu, podczas gdy obok maszerowała kolumna drowów, wielu drowów, linią, która ciągnęła się i ciągnęła, wydając się nie mieć końca.

Dwa tysiące? - zastanawiał się Drizzt. Pięć tysięcy? Nie miał możliwości, by zgadnąć. Było ich zbyt wielu, a on nie mógł wystawić głowy i zacząć liczyć. Drizzt rozumiał jednak, że siły drowów były połączone ze sobą i maszerowały ze wspólnym celem. Mogło to oznaczać tylko to, że droga była czysta, przynajmniej do dolnych drzwi Mithrilowej Hali. Drizzt nabrał otuchy, gdy pomyślał o owych drzwiach, o wielu przebiegłych środkach obronnych, które zostały zamocowane w tamtej okolicy. Nawet tak potężne wojsko będzie miało kłopoty z przedostaniem się przez wrota, a tunele w pobliżu dolnych drzwi zapełnią się stertami ciał zarówno krasnoludów, jak i drowów.

Drizzt odważył się przesunąć lekko głowę, by spojrzeć za Guenhwyvar, przyciśniętą mocno do ściany obok niego, na Bruenora, tkwiącego niewygodnie pomiędzy tylnym końcem pantery a ścianą. Drizzt niemal uśmiechnął się na ten widok i na myśl, że lepiej, żeby ruszał się szybko, gdy tylko kolumna drowów przejdzie, bowiem Bruenor przerzuci najprawdopodobniej panterę przez krawędź półki, a wraz z nią Drizzta.

Uśmiech ten nie pojawił się jednak na twarzy Drizzta, nie w obliczu jego wątpliwości. Czy dobrze zrobił, przyprowadzając tu Bruenora? - zastanawiał się nie po raz pierwszy. Mogli wrócić do dolnych drzwi wraz z krasnoludami, których spotkali kilka godzin temu, i król Mithrilowej Hali mógł znajdować się pośród swej armii. Drizzt nie podważał tego, jak bardzo ognista obecność Bruenora wspomogłaby obronę tych dolnych drzwi oraz Podmiasta. Każdy krasnolud w Mithrilowej Hali zaśpiewałby trochę głośniej i walczył wkładając w to więcej serca, gdyby wiedział, że król Bruenor Battlehammer jest w pobliżu w związku z tą samą sprawą, a jego potężny topór wskazuje drogę.

Rozumowanie Drizzta utrzymało Bruenora na zewnątrz i teraz drow zastanawiał się, czy jego czyny nie były samolubne. Czy mogli w ogóle znaleźć przywódczynie nieprzyjaciela? Najprawdopodobniej kapłanki, które dowodziły tą armią, są dobrze ukryte, używają magii z dala, kierując swymi siłami z nie większym współczuciem, niż gdyby żołnierze byli pionkami na gigantycznej szachownicy.

Matka opiekunka lub ktokolwiek, kto dowodził tym wojskiem, nie podejmie osobistego ryzyka, bowiem takie były zwyczaje drowów.

Nagle, siedząc ściśnięty na tej półce, Drizzt Do'Urden poczuł się bardzo głupio. Polowali na głowę, jak wyjaśnił Bruenorowi, jednak owa głowa nie będzie łatwa do odnalezienia. Zaś zważywszy na wielkość sił, które maszerowały pod nimi w kierunku Mithrilowej Hali, Drizzt, Bruenor oraz pozostali towarzysze nie dotrą w najbliższej przyszłości w pobliże krasnoludzkiego kompleksu.

Tropiciel opuścił głowę i wciągnął głęboki, cichy oddech, uspokajając się, przypominając sobie, że obrał jedyną możliwą drogę do zwycięstwa, że choć dolne drzwi nie będą łatwe do sforsowania, w końcu padną, niezależnie od tego, czy Bruenor Battlehammer znajduje się wśród obrońców. W związku jednak z tak wieloma drowami i tak wieloma tunelami, Drizzt zaczął doceniać ogrom stojącego przed nim zadania. Jak mógł mieć w ogóle nadzieję na odnalezienie dowódczyń armii drowów?

Tym, czego Drizzt nie wiedział, było to, iż nie tylko on znajdował się na polowaniu.

- Żadnych wieści od Bregan D'aerthe.

Opiekunka Baenre siedziała na swym dryfdysku, przetrawiając te słowa oraz kryjące się za nimi znaczenie. Quenthel zaczęła je powtarzać, jednak groźny grymas matki powstrzymał ją.

Mimo to w myślach opiekunki Baenre rozbrzmiewało echem zdanie - Żadnych wieści od Bregan D'aerthe.

Jarlaxle przeczekiwał, uświadomiła sobie Baenre. Pomimo całej swej brawury dowódca najemników był tak naprawdę konserwatywny, bardzo ostrożny przy wszelkich zagrożeniach dla grupy, na której skompletowanie poświęcił stulecia. Jarlaxle nie palił się zbytnio do marszu na Mithrilową Halę, tak naprawdę poszedł tylko dlatego, że nie dano mu żadnego wyboru w tej kwestii.

Podobnie jak Triel, córka i najbliższa doradczyni Baenre, najemnik miał nadzieję na szybki i łatwy podbój oraz rychły powrót do Menzoberranzan, gdzie należało odpowiedzieć jeszcze na tak wiele pytań. Fakt, że od zwiadowców Bregan D'aerthe nie przyszły ostatnio żadne wieści, mógł być zbiegiem okoliczności, jednak Baenre podejrzewała co innego. Jarlaxle przeczekiwał, a to mogło oznaczać tylko to, że, zgodnie z doniesieniami, jakie otrzymywał nieustannie od przebiegłych zwiadowców ze swojej sieci, uważał, że natarcie zostało zatrzymane, że tak jak sama Baenre doszedł do wniosku, iż Mithrilową Hala nie zostanie tak łatwo pokonana.

Wyniszczona stara matka opiekunka zaakceptowała te wieści ze stoickim spokojem, z pewnością, że Jarlaxle wróci, zaraz gdy sytuacja przechyli się z powrotem na korzyść mrocznych elfów. Będzie musiała wymyślić oczywiście jakąś twórczą karę dla dowódcy najemników, taką, która da Jarlaxle'owi poznać głębię jej złości, jednocześnie nie będzie go wiele kosztowała.

Krótką chwilę później powietrze w małej komnacie, którą Baenre wykorzystywała jako swą salę tronową, zaczęło drżeć od narastającej energii zaklęcia. Wszyscy w pomieszczeniu popatrzyli nerwowo po sobie i odetchnęli lżej, gdy Methil wyszedł z nicości w środek kapłanek.

Jego mina nic nie ujawniała, była ciągle tym samym beznamiętnym, bacznym spojrzeniem, które widniało na członkach nieziemskiej rasy Methila. Baenre uważała tę wiecznie nieprzeniknioną twarz za najbardziej frustrujący aspekt kontaktów z ilithidami. Nigdy nie dawały najlżejszej wskazówki co do swych prawdziwych intencji.

- Uthegental Armgo nie żyje - odezwała się myśl w głowie Baenre, bezceremonialny raport ze strony Methila.

Teraz przyszła kolej, by Baenre przybrała stoicką, nic nie ujawniającą fasadę. Wiedziała, że Methil przekazał tę niepokojącą myśl jej i tylko jej. Pozostali, szczególnie Zeerith i Auro'pol, które stawały się coraz bardziej niespokojne, nie musiały wiedzieć, że wieści są bardzo, bardzo złe.

- Marsz do Mithrilowej Hali idzie dobrze - dobiegła następna telepatyczna wiadomość Methila. Ilithid podzielił się nią ze wszystkimi w pomieszczeniu, co opiekunka Baenre uświadomiła sobie po nagle rozjaśnionych minach. - Tunele są czyste aż do dolnych drzwi, gdzie zbiera się i przygotowuje armia.

Do ilithida skierowało się wiele skinięć i uśmiechów, a opiekunka Baenre nie miała większych niż Methil problemów z odczytaniem myśli kryjących się za tymi minami. Ilithid starał się mocno poprawić morale - co zawsze było niepewne w kontaktach z mrocznymi elfami. Jednak, jak raport Quenthel, czy też brak raportu o Bregan D'aerthe, pierwsza przekazana przez ilithida wiadomość odbijała się niepokojąco echem w myślach Baenre. Uthegental Armgo nie żył! Co mogą zrobić żołnierze Barrison del'Armgo, znacząca siła istotna dla sprawy, gdy odkryją, że ich dowódca został zabity?

A co z Jarlaxle'em? - zastanawiała się Baenre. Jeśli dowiedział się o śmierci wielkiego fechmistrza, wyjaśniało to z pewnością milczenie Bregan D'aerthe. Jarlaxle mógł się obawiać utraty garnizonu Barrison del'Armgo, dezercji, która wstrząsnęłaby do głębi szeregami armii.

- Jarlaxle nie wie, podobnie jak żołnierze drugiego domu - odpowiedział jej telepatycznie Methil, najwyraźniej czytając jej myśli.

Mimo to Baenre zdołała utrzymać radosną (względnie mówiąc) fasadę, wydając się poruszona wieściami o zbliżaniu się armii do dolnych drzwi. Wyraźnie widziała jednak potencjalnego raka, który mógł zacząć toczyć jej szeregi, serię wydarzeń, które mogłyby zniszczyć i tak już wstrząśniętą integralność jej armii oraz sojuszów, oraz kosztować ją wszystko. Czuła się, jakby powracała do tego okresu całkowitego chaosu w Menzoberranzan, kiedy to K'yorl wydawała się mieć przewagę.

Wtedy sytuację umocniło zniszczenie domu Oblodra i opiekunka Baenre czuła, że teraz potrzebuje czegoś podobnego, jakiegoś dramatycznego zwycięstwa, które nie pozostawiłoby wątpliwości w

szeregach i sztabie. Rozwijaj lojalność przez strach. Znów pomyślała o domu Oblodra i bawiła się wizją podobnego pokazu przy dolnych drzwiach Mithrilowej Hali. Baenre szybko ją odrzuciła, zdając sobie sprawę, że to, co stało się w Menzoberranzan, było jednorazowym wydarzeniem. Nigdy wcześniej (i najprawdopodobniej nigdy później, a na pewno nie tak szybko!) Lloth nie przybędzie w takiej krasie i chwale na Plan Materialny. Przy okazji upadku domu Oblodra, opiekunka Baenre była czystym przewodnikiem boskiej mocy Pajęczej Królowej.

To sienie stanie ponownie.

Myśli Baenre zawirowały w innym kierunku, łatwiejszym tropem do podążania.

- Kto zabił Uthegentala? - pomyślała, wiedząc, że Methil ją usłyszy.

Ilithid nie miał odpowiedzi, rozumiał jednak, co sugeruje Baenre. Wiedziała, czego szukał Uthegental, znała jedyną nagrodę, która tak naprawdę liczyła się dla potężnego fechmistrza. Być może znalazł Drizzta Do'Urdena.

Jeśli tak, oznaczałoby to, że Drizzt Do'Urden był w dolnych tunelach, nie za barykadami Mithrilowej Hali.

- Podążasz niebezpieczną drogą - ostrzegł ją na osobności Methil, zanim Baenre zdołała w ogóle snuć czary, które pozwoliłyby jej znaleźć renegata.

Opiekunka Baenre odrzuciła tę myśl, niewiele się przejmując. Była pierwszą matką opiekunką Menzoberranzan, przewodnikiem Lloth, posiadała moce zdolne wysączyć życie z każdego drowa w mieście, z każdej matki opiekunki, każdego czarodzieja, każdego fechmistrza, z niewielkim wysiłkiem. Droga Baenre była naprawdę niebezpieczna, zgadzała się - niebezpieczna dla Drizzta Do'Urdena.

* * *

Najbardziej niszczące były siły krasnoludów oraz środek blokującej linii, wielka masa dudniących, śpiewających wojowników, miażdżących gobliny i orki swymi ciężkimi młotami i toporami, wskakujących w gromadach na wielkie minotaury i samą swą wagą powalających potwory.

Jednak wzdłuż wschodniego krańca Doliny Strażnika nacisk był zbyt duży z każdej strony. Konni rycerze pędzili w tę i z powrotem wzdłuż linii barbarzyńców, wzmacniając szeregi, kiedy tylko nieprzyjaciel wydawał się przebijać, i dzięki ich pomocy linia wytrzymywała. Mimo to jednak ludzie Berkthgara byli nieuchronnie spychani.

Ciała koboldów i goblinów spiętrzały się wysoko w Dolinie Strażnika, dwie ich dziesiątki ginęły za każdego obrońcę. Drowy mogły sobie jednak pozwolić na takie straty, spodziewały się ich, a Berg'inyon, siedzący na grzbiecie swego jaszczura i spokojnie obserwujący trwającą bitwę z dala od reszty jeźdźców Baenre, wiedział, że zbliża się czas rzezi. Był świadomy, że obrońcy stają się zmęczeni. Minuty przeszły w godzinę, a ta we dwie, a natarcie nie słabło.

Linia obrońców cofnęła się i górujące wschodnie ściany Doliny Strażnika były już niedaleko za nimi. Kiedy owe ściany zatrzymają odwrót, drowi czarodzieje będą mogli mocno uderzyć. Wtedy Berg'inyon poprowadzi szarżę, a Dolina Strażnika jeszcze bardziej spłynie krwią ludzi.

* * *

Besnell wiedział, że przegrywają, wiedział, że tuzin martwych goblinów nie był wart centymetra ziemi. W elfie zaczęło narastać zrezygnowanie, powstrzymywane jedynie przez fakt, że nigdy wcześniej nie widział swych rycerzy w lepszej formie. Ich zwarte oddziały pędziły w tę i z powrotem, depcząc przeciwników, i choć każdy mężczyzna dyszał tak ciężko, że ledwo był w stanie śpiewać pieśń wojenną, a każdego konia pokrywał gęsty pot, nie ustępowali, nie zatrzymywali się.

Z ponurą satysfakcją, lecz strasznie zmartwiony - nie tylko o swych ludzi, ale i o Alustriel, która nie pokazała się już na polu - elf skierował uwagę na Berkthgara i naprawdę się zdumiał. Wielki miecz, Bankenfuere, świszczał przecinając powietrze, a każdy jego zamach niszczył wrogów na tyle głupich, by stanąć w pobliżu wielkiego mężczyzny. Krew, w dużej części jego własna, pokrywała barbarzyńcę od stóp do głowy, lecz jeśli Berkthgar odczuwał jakikolwiek ból, nie dawał tego po sobie poznać. Swą pieśń i taniec kierował do Tempusa, boga bitwy, tak więc śpiewał i tańczył, a wrogowie ginęli.

Besnell pomyślał, że jeśli drowy wygrają tutaj i podbiją Mithrilową Halę, jedną z najtragiczniejszych konsekwencji tego będzie to, że opowieść o wyczynach potężnego Berkthgara Śmiałego nigdy nie opuści Doliny Strażnika.

Niezwykły błysk z boku wyrwał elfa z rozmyślań. Spojrzał wzdłuż szeregów i ujrzał Regwelda Harpella otoczonego przez tuzin martwych lub umierających, dymiących goblinów. Regweld i Kałużoskoczek również byli otoczeni magicznymi płomieniami, tańczącymi jęzorami czerwieni i zieleni, jednak czarodziej i jego niezwykły wierzchowiec nie wydawali się tym przejmować i kontynuowali walkę, nie zważając na ognie. Tak naprawdę owe otaczające ich płomienie stały się bronią, rozszerzeniem furii Regwelda, gdy czarodziej skoczył Kałużoskoczkiem niemal tuzin metrów, lądując u stóp dwóch ogromnych minotaurów. Czerwone i zielone płomienie stały się białe i wyskoczyły z torsu czarodzieja, otaczając wielkie osiłki. Kałużoskoczek skoczył prosto do góry, zanosząc Regwelda na poziom paskudnych twarzy wrzeszczących minotaurów. Mag wyciągnął

różdżkę i w potwory wbiły się zielone promienie energii.

Następnie Regweld zniknął, skacząc do następnej walki i pozostawiając chwiejące się, pochłaniane przez ogień minotaury.

- Dla dobra całego dobrego ludu! - krzyknął Besnell, trzymając miecz wysoko. Jego bitewna grupa ustawiła się za nim i grzmot szarży rozpoczął się na nowo. Wojownicy tym razem wpadli w pełnym tempie w masę koboldów. Roztrącili stwory i dotarli do gęstszego tłumu większych przeciwników, gdzie szarża została zatrzymana. Wciąż siedząc na swych wierzchowcach, Rycerze w Srebrze przecinali się przez gąszcz, zabijając wrogów jasnymi mieczami.

Besnell był szczęśliwy. Czuł, jak po jego ciele krąży satysfakcja, uczucie spełnienia i słuszności. Elf wierzył całym sercem w Silverymoon, wierzył w zasadę, którą wykrzykiwał przy każdej sposobności.

Nie był smutny, gdy włócznia goblina odnalazła szczelinę w boku jego napierśnika, wdarła się między żebra i zawadziła płuco. Zachwiał się w siodle i w jakiś sposób zdołał wyrwać włócznię z boku.

- Dla dobra całego dobrego ludu! - powiedział z całą siłą, na jaką mógł się zdobyć. Przy jego wierzchowcu znalazł się goblin zamachujący się mieczem.

Besnell skrzywił się z bólu, gdy podnosił swój własny miecz, by się zastawić. Poczuł słabość i nagłe zimno. Ledwo zarejestrował stratę, gdy miecz wysunął mu się z dłoni i brzęknął o ziemię.

Następne uderzenie goblina cięło mocno udo rycerza, wykonana przez drowy broń rozdarła zbroję Besnella, rysując linię jaskrawej krwi.

Goblin zawył, po czym padł, przecięty na pół przez potężny zamach Bankenfuere.

Berkthgar chwycił Besnella wolną dłonią, gdy rycerz ześlizgiwał się ze swego wierzchowca. Barbarzyńca czuł się w tej chwili w jakiś sposób odsunięty od bitwy, jakby on oraz szlachetny elf byli sami, w swoim prywatnym miejscu. Wokół nich, niedaleko, rycerze kontynuowali rzeź, więc nie zbliżały się żadne potwory.

Berkthgar delikatnie opuścił Besnella na ziemię. Elf podniósł wzrok, jego złote oczy wydawały się puste.

- Dla dobra całego dobrego ludu - wyszeptał Besnell, jednak dzięki łasce Tempusa bądź też innego boga, który spoglądał na bitwę o Dolinę Strażnika, Berkthgar usłyszał każdą sylabę.

Barbarzyńca skinął głową i w milczeniu położył głowę nieżywego elfa na kamieniu.

Następnie Berkthgar podniósł się z powrotem i ze zwielokrotnioną wściekłością rzucił na szeregi

nieprzyjaciela, robiąc szeroki pokos swym wielkim mieczem.

* * *

Regweld Harpell nigdy nie doznał takiego podniecenia. Wciąż otoczony płomieniami, które nie raniły jego ani żabokonia, lecz atakowały każdego, kto się zbliżył, czarodziej w pojedynkę wspierał południowy kraniec linii obrońców. Szybko kończyły mu się czary, lecz nie obchodziło go to, wiedział, że znajdzie jakiś sposób, by się przydać, jakiś sposób, by niszczyć tych łajdaków, którzy przyszli, by podbić Mithrilową Halę.

Ruszyła na niego grupa minotaurów, wystawiając daleko przed siebie wielkie włócznie, by nie dopuścić do siebie ogni.

Regweld uśmiechnął się i skłonił Kałużoskoczka do kolejnego długiego lotu, prosto między otaczające go potwory, wyżej niż minotaury i ich długie włócznie mogły dosięgnąć.

Harpell wydał z siebie okrzyk zwycięstwa, po czym uciszyła go błyskawica.

Nagle Regweld leciał swobodnie, wirując w powietrzu, zaś Kałużoskoczek obracał się w drugą stronę tuż pod nim.

Drugi piorun dobiegł z innej strony, a później trzeci, rozwidlając się tak, że trafił zarówno czarodzieja, jak i jego dziwnego wierzchowca.

Każdy z nich został znowu ugodzony, a później jeszcze raz, gdy się toczyli, upadając bardzo nieruchomo na kamienie.

Czarodzieje drowów dołączyli do walki.

Najeźdźcy ryknęli i zaatakowali, i nawet Berkthgar, rozwścieczony przez śmierć walecznego elfa, nie mógł zmotywować swych ludzi, by utrzymali linię. Jaszczurczy jeźdźcy przesączali się przez szeregi humanoidów, swymi długimi lancami spychając konnych rycerzy nieuchronnie do tyłu, w stronę blokującej drogę ściany.

Berg'inyon znajdował się pośród pierwszych, którzy ujrzeli kolejny zwrot w bitwie. Rozkazał jeźdźcowi wspiąć się po boku kamiennej kolumny, by uzyskać lepsze pole widzenia, po czym skierował uwagę na pobliską grupę, wskazując na północną ścianę doliny.

- Wejdźcie wysoko - zasygnalizowały im palce fechmistrza. - Wysoko i dookoła wrogich szeregów, aby spuszczać na nich śmierć z góry, gdy zostaną przyparci do ściany.

Paskudne uśmiechy towarzyszyły skinieniom, jednak chwilę tę przerwał krzyk z drugiej strony, od żołnierza, którego Berg'inyon posłał wysoko.

Kamienna kolumna ożyła jako wielki żywiołowy potwór. Berg'inyon i inni popatrzyli po sobie bezradnie, gdy kamienny behemot ścisnął wielkie ramiona, miażdżąc drowa i jego jaszczura.

Zza szeregów drowów, z zachodu, dobiegł ogromny zgiełk, zaś nad łomotem szarży svirfnebli słychać było okrzyk - Bivrip! - którego to słowa Belwar Dissengulp używał do uaktywnienia magii w swych wykutych dłoniach.

* * *

Minęło dużo czasu, zanim Berkthgar oraz pozostali obrońcy ze wschodniego krańca Doliny Strażnika w ogóle zrozumieli, że z zachodu przybyli sojusznicy. Pogłoski te przedostały się w końcu jednak przez harmider bitwy, dając otuchę obrońcom i wzbudzając strach w najeźdźcach. Gobliny oraz mroczne elfy walczące w pobliżu tej wschodniej ściany zaczęły spoglądać w drugą stroną, zastanawiając się, czy nie nadciąga katastrofa.

Teraz Berkthgar dodał otuchy tym, którzy pozostali z niekrasnoludzkich obrońców - dwóm trzecim swoich barbarzyńców, mniej niż setce Rycerzy z Nesme, dwudziestce Longriderów i jedynie dwóm ludziom z Nesme. Ich szeregi zostały przerzedzone, jednak wróciła nadzieja i linia znów trzymała, a nawet sunęła z powrotem w kierunku środka Doliny Strażnika.

Wkrótce potem w dolinie zniknęły wszelkie pozory porządku, linie żołnierzy nie określały już wrogów. Na zachodzie kapłani svirfnebli walczyli z czarodziejami drowów, a wojownicy Belwara nacierali mocno na szeregi mrocznych elfów. Byli najzacieklejszymi wrogami, pradawnymi, drowami i svirfnebli. O wschodniej stronie doliny nie dałoby się powiedzieć niczego innego, krasnoludy i gobliny siekały się tam nawzajem bez opamiętania.

Ciągnęło się to przez noc, szaloną i straszną noc. Berg'inyon Baenre nie angażował się zbytnio w walkę i utrzymywał również na tyłach większość swych elitarnych jaszczurczych jeźdźców, używając mięsa armatniego, by zmęczyć obronę. Nawet mimo nieoczekiwanego przybycia małego, lecz potężnego oddziału svirfnebli, drowy wkrótce znów przechyliły szalę na swą korzyść.

- Wygramy - obiecał młody Baenre tym żołnierzom, którzy byli najbliżej niego. - A wtedy jaka obrona zostanie za zachodnimi wrotami krasnoludzkiego kompleksu?

ROZDZIAŁ 28

WRÓŻBY

Quenthel Baenre siedziała obrócona w stronę niszy w ścianie małej komnaty, wpatrując się w sadzawkę spokojnej wody. Skrzywiła się, gdy sadzawka szpiegowska rozjaśniła się, gdy świt pojawił się w świecie powierzchni, niedaleko stąd, na wschód od Czteroszczytu.

Quenthel wstrzymała oddech, choć chciała krzyczeć z rozpaczy. Po przeciwległej stronie małej komnaty opiekunka Baenre również wróżyła. Wykorzystała swe czary, by stworzyć ogólną mapę okolicy, a następnie by zakląć małe piórko. Znów śpiewając, Baenre cisnęła piórko w powietrze nad rozłożonym pergaminem i dmuchnęła lekko. - Drizzt Do'Urden - wyszeptała pod nosem i znów dmuchnęła, gdy piórko opadało na mapę. Na twarzy Baenre rozkwitł paskudny uśmiech, gdy magiczny wskaźnik dotknął mapy, a jego czubek wskazywał na niedaleką grupę tuneli.

Baenre wiedziała już, że to prawda. Drizzt Do'Urden rzeczywiście był w tunelach poza Mithrilową Halą.

- Idziemy - powiedziała nagle matka opiekunka, zaskakując wszystkich w małej komnacie.

Quenthel spojrzała nerwowo przez ramię, obawiając się, że jej matka w jakiś sposób dostrzegła to, co było widoczne w jej sadzawce szpiegowskiej. Córka Baenre odkryła jednak, że nie może widzieć przeciwległej strony pomieszczenia, ponieważ widok blokuje jej skrzywiona Bladen'Kerst, spoglądająca na nią i na zbliżające się widowisko.

- Gdzie mamy iść? - spytała na głos Zeerith, znajdująca się w pobliżu środka komnaty, a w jej tonie słychać było wyraźnie, iż miała nadzieję, że opiekunka Baenre odkryła sposób na przełamanie trwającej sytuacji patowej.

Opiekunka Baenre zastanowiła się nad tym tonem oraz kwaśną miną na twarzy drugiej matki opiekunki. Nie była pewna, czy Zeerith i Auro'pol, która się podobnie krzywiła, wolałyby usłyszeć, że droga do Mithrilowej Hali jest czysta, czy też że atak został odwołany. Spoglądając na nie obie, jedne z najwyższych rangą dowódczyń armii drowów, Baenre nie mogła stwierdzić, czy wolą zwycięstwo, czy odwrót.

To wyraźne przypomnienie, jak chwiejny był jej sojusz, rozgniewało Baenre. Wolałaby odwołać je, albo jeszcze lepiej stracić tu i teraz. Zdawała sobie jednak sprawę, że nie może tego zrobić. Morale armii nigdy by tego nie przetrwało. Poza tym chciała, by przynajmniej jedna z nich była świadkiem jej chwały, by widziała, jak Drizzt Do'Urden jest oddawany Lloth.

- Pójdziemy do dolnych drzwi, by koordynować i wzmocnić atak - powiedziała ostro Baenre do Zeerith, uznając, że gdy one obydwie pozostają razem, stają się zbyt niebezpieczne. - A Auro'pol pój dzieże mną.

Auro'pol nie ośmieliła się zadać tego oczywistego pytania, jednak Baenre dostrzegała je dostatecznie wyraźnie w jej minie.

- Mamy sprawy w zewnętrznych tunelach - to było wszystko, co powiedziała opiekunka Baenre.

- Berg'inyon wkrótce ujrzy świt - palce Quenthel wskazały jej siostrze.

Bladen'Kerst, wiecznie zagniewana, lecz teraz kipiąca wściekłością, odwróciła się od Quenthel oraz niechcianych obrazów w sadzawce szpiegowskiej i spojrzała z powrotem na matkę.

Zanim jednak zdołała przemówić, w umyśle jej oraz Quenthel pojawiło się telepatyczne wtargnięcie.

- Nie mówcie źle o innych bitwach - polecił im obu Methil. - Zeerith i Auro'pol już rozważają dezercję.

Bladen'Kerst zastanowiła się nad wizją oraz jej konsekwencjami i roztropnie wstrzymała swą informację.

Sztab rozdzielił się, Zeerith i kontyngent elitarnych żołnierzy udali się na wschód, ku Mithrilowej Hali, zaś opiekunka Baenre, prowadząca Quenthel, Bladen'Kerst, Methila, pół tuzina wyszkolonych wojowniczek Baenre oraz skutego łańcuchami Gandaluga, udała się na południe, w kierunku miejsca wskazanego przez wróżebne piórko.

* * *

Na innym planie, pośród szarych mgieł, szlamu i strasznego smrodu Errtu obserwował sytuację w szklanym lustrze, które Lloth stworzyła na boku grzyba naprzeciwko jego tronu.

Wielki balor nie był zadowolony. Errtu wiedział, że opiekunka Baenre poluje na Drizzta Do'Urdena i wiedział również, że Baenre znajdzie najprawdopodobniej renegata i go zabije.

Z psiej paszczy tanar'ri wydostały się setki przekleństw, wszystkie wymierzone w Lloth, która obiecała mu wolność - wolność, jaką mógł mu dać jedynie żyjący Drizzt Do'Urden.

Aby jeszcze bardziej pogorszyć sytuację, kilka minut później opiekunka Baenre rzuciła kolejny

czar, otwierając planarną bramę do otchłani i przyzywając potężnego glabrezu, by pomógł jej w polowaniu. W swym pokręconym, zawsze podejrzliwym umyśle Errtu doszedł do przekonania, że owo przywołanie jest jedynie po to, by go bardziej udręczyć, by zabrać jednego z jego rodzaju i wykorzystać bestię, by ułatwić koniec paktu. Tak to było z tanar'ri oraz wszystkimi innymi łajdakami otchłani, wliczając w to Lloth. Stworzenia te nie miały zaufania do siebie nawzajem, bowiem im samym nie mógłby zaufać nikt inny niż tylko głupiec. Wszystkie były również niezwykle samolubne, co do jednego. W oczach Errtu wszystko kręciło się wokół niego, bowiem nic innego się nie liczyło, więc to, że Baenre przywoływała teraz glabrezu nie było zbiegiem okoliczności, lecz sztyletem wbijanym przez Lloth w czarne serce Errtu.

Errtu znalazł się pierwszy przy otwierającej się bramie. Nawet jednak gdyby nie był związany przez wygnanie do otchłani, nie byłby w stanie przejść, bowiem Baenre, tak wyszkolona w takich przywołaniach, miała baczenie, by wypowiedzieć zaklęcie tylko dla określonego tanar'ri. Errtu oczekiwał jednak momentu, gdy glabrezu wyłoni się z wirujących mgieł, kierując się ku otwartemu, płonącemu portalowi.

Balor wyskoczył i smagnął swym biczem, chwytając glabrezu za rękę. Nie będący pomniejszym czartem glabrezu odsunął się, by oddać, lecz zatrzymał się, widząc, że Errtu nie zamierza kontynuować ataku.

- To oszustwo! - ryknął Errtu.

Glabrezu o trzymetrowej sylwetce pochylił się nisko i słuchał, skubiąc nerwowo powietrze swymi wielkimi szczypcami.

- To ja miałem pojawić się na Planie Materialnym - ciągnął Errtu.

- Jesteś wygnany - stwierdził od niechcenia glabrezu.

- Lloth obiecała załatwić mi koniec wygnania! - zripostował Errtu, a glabrezu skulił się bardziej, jakby spodziewał się, że chwiejny czart skoczy na niego.

Errtu uspokoił się jednak szybko.

- Koniec, abym mógł powrócić, zabierając ze sobą armię tanar'ri. - Errtu znów przerwał. Improwizował teraz, lecz w jego wykrzywionym umyśle zaczął się formować plan.

Znów dobiegło wołanie Baenre i glabrezu potrzebował całej swej znacznej siły woli, by powstrzymać się przed wskoczeniem w płonący portal.

- Pozwoli ci tylko na jedno zabójstwo - powiedział szybko Errtu, widząc wahanie glabrezu.

- Jedno jest lepsze niż żadne - odrzekł glabrezu.

- Nawet jeśli nie dopuści to do mojej wolności na Planie Materialnym? - spytał Errtu. - Nawet jeśli nie pozwoli mi to wrócić i zabrać cię jako mojego generała, abyśmy mogli siać zniszczenie wśród tych słabych ras?

Baenre zawołała ponownie i tym razem glabrezu nie było już tak trudno ją zignorować.

Errtu podniósł swe wielkie ręce, pokazując, by glabrezu poczekał jeszcze parę chwil, po czym zniknął pospiesznie w wirze, by przynieść coś, co pomniejszy czart dał mu nie tak dawno temu, pozostałość po Trudnych Czasach. Wrócił szybko z metalową skrzynką i otworzył ją delikatnie, wyciągając lśniący, czarny szafir. Kiedy tylko Errtu go podniósł, płomienie magicznego portalu przygasły, niemal całkowicie znikając. Errtu szybko schował przedmiot z powrotem do pojemnika.

- Kiedy nadejdzie czas, wyciągnij to, mój generale - polecił balor.

Cisnął skrzynkę glabrezu, niepewny, jak się to wszystko rozegra. Nie mógł zrobić nic więcej. Mógł powstrzymać tego czarta przed pójściem Baenre na pomoc, jednak co by to dało? Baenre nie potrzebowała zbytnio glabrezu, by poradzić sobie z Drizztem Do'Urdenem, zwyczajnym wojownikiem.

Wezwanie z Planu Materialnego dobiegło znowu i tym razem glabrezu odpowiedział, przechodząc przez portal, by dołączyć do wyprawy łowieckiej opiekunki Baenre.

Errtu obserwował ze zdenerwowaniem, jak portal się zamyka, kolejna stracona brama do Planu Materialnego, kolejna brama, przez którą nie mógł się przedostać. Teraz balor zrobił wszystko, co mógł, choć nie miał sposobu, by wiedzieć, czy to wystarczy, choć tak dużo postawił na rezultat. Wrócił następnie do swego grzybowego tronu, by obserwować i czekać.

I mieć nadzieję.

* * *

Bruenor przypominał sobie. W ciszy tuneli, kiedy nie widać było żadnych nieprzyjaciół, ósmy król Mithrilowej Hali przystanął i pogrążył się w refleksji. Na zewnątrz rozpocznie się chyba wkrótce świt, kolejny rześki, chłodny dzień. Czy będzie on jednak ostatnim dniem klanu Battlehammer?

Bruenor spojrzał na swych czworo przyjaciół, gdy zjadali szybki posiłek i odpoczywali krótko. Żadne z nich nie było krasnoludem, żadne. Mimo to Bruenor Battlehammer nie potrafiłby określić żadnych innych przyjaciół poza tą czwórką: Drizztem, Catti-brie, Regisem, a nawet Guenhwyvar. Po raz pierwszy prawda ta wydała się nagle krasnoludzkiemu królowi dziwna. Choć krasnoludy nie były

ksenofobiczne, zazwyczaj trzymały się własnej rasy. Przykładem mógł służyć generał Dagna, który, gdyby dano mu swobodę, wykopałby Drizzta z Mithrilowej Hali i zabrał Catti-brie Taumaril, by powiesić łuk z powrotem w Sali Dumathoina. Dagna nie ufał nikomu, kto nie był krasnoludem.

Byli jednak tutaj, Bruenor oraz czwórka jego niekrasnoludzkich przyjaciół, w chyba najważniejszej i najniebezpieczniejszej walce w całej obronie Mithrilowej Hali.

Z pewnością ich przyjaźń ogrzała serce starego krasnoludzkiego króla, jednak zastanawianie się teraz nad tym spowodowało również coś innego.

Spowodowało, że Bruenor pomyślał o Wulfgarze, barbarzyńcy, który był dla niego jak syn i który poślubiłby Catti-brie, stając się jego zięciem, nietypowym, ponad dwumetrowym księciem Mithrilowej Hali. Bruenor nigdy nie zaznał takiego żalu, jaki zgiął jego silne barki po śmierci Wulfgara. Choć powinien przeżyć jeszcze ponad stulecie, Bruenor czuł się w tych tygodniach żalu bliski śmierci i uważał, że byłaby ona ulgą.

Już nie. Wciąż tęsknił za Wulfgarem - jego szare oko zawsze będzie łzawić na myśl o szlachetnym wojowniku - był jednak ósmym królem, przywódcą swego dumnego, silnego klanu. Żal Bruenora minął obszar rezygnacji i przesunął się do krainy gniewu. Mroczne elfy wróciły, te same mroczne elfy, które zabiły Wulfgara. Najeźdźcy byli wyznawcami Lloth, złej Lloth, a teraz zamierzali zabić Drizzta i zniszczyć całą Mithrilową Halę, jak się wydawało.

Tej nocy Bruenor wielokrotnie zmoczył swój topór krwią drowów, jednak jego wściekłość była daleka od zaspokojenia. Narastała w powolnym, lecz zdecydowanym tempie. Drizzt obiecał, że będą polować na głowę swych przeciwników, że znajdą dowódczynie, kapłanki stojące za tym szturmem. Bruenor musiał zobaczyć, jak drowi tropiciel dotrzymuje tej przysięgi.

Milczał przez większość walk, nawet podczas przygotowań do wojny. Bruenor milczał również teraz, pozwalając Drizztowi i panterze prowadzić, znajdując swe miejsce pośród przyjaciół, kiedykolwiek tylko rozpoczynała się walka.

W tych nielicznych chwilach spokoju i odpoczynku Bruenor nie raz widział baczne spojrzenia kierowane w swoją stronę i wiedział, że jego przyjaciele boją się, iż znów popada w melancholię, że nie przykłada serca do walki. Nic nie mogłoby być dalsze od prawdy. Te drobne potyczki nie znaczyły wiele dla Bruenora. Mógł zabić sto - tysiąc! - drowich żołnierzy, a jego ból i gniew nie zelżałyby. Gdyby mógł jednak dostać stojące za tym kapłanki, ściąć je, pozbawiając tym samym głowy najeźdźczą armię...

Bruenor mógłby zaznać spokoju.

Ósmy król Mithrilowej Hali nie był w melancholii. Czekał na właściwą chwilę, a jego energia dochodziła powoli do wrzenia.

Czekał na moment, w którym zemsta będzie najsłodsza.

* * *

Grupa Baenre, prowadząc za sobą gigantycznego glabrezu, właśnie wyruszyła na nowo. Matka opiekunka prowadziła ich w stronę wskazaną przez wróżbę, zaś Methil telepatycznie informował ją, że opiekunki Auro'pol i Zeerith bezustannie myślą o jej śmierci. Jeśli Zeerith nie zdoła odnaleźć drogi przez dolne drzwi Mithrilowej Hali, po prostu zorganizuje odwrót. Nawet teraz, według Methila, Auro'pol rozważała możliwość zawrócenia całej armii i pozostawienia za sobą martwej opiekunki Baenre.

- Czy spiskują przeciwko mnie? - chciała wiedzieć Baenre.

- Nie - szczerze odparł Methil. - Jednak jeśli zostaniesz zabita, z radością zawrócą do Menzoberranzan bez ciebie, aby mogła powstać nowa hierarchia.

Tak naprawdę informacja Methila nie była niespodziewana. Nie trzeba było czytać umysłów, by dostrzec niepokój oraz cichą wściekłość na twarzach czwartego i piątego domu Menzoberranzan. Poza tym Baenre doświadczała takiej nienawiści od słabszych od siebie, nawet od rzekomych sojuszników jak Mez'Barris Armgo, nawet od własnych córek, przez całe swe długie życie. Był to oczekiwany koszt bycia pierwszą matką opiekunką chaotycznego i zazdrosnego Menzoberranzan, miasta będącego bezustannie w stanie wojny.

Myśli Auro'pol były oczekiwane, jednak potwierdzenie ze strony ilithida rozwścieczyło i tak już zdenerwowaną opiekunkę Baenre. W jej wykręconym umyśle nie była to w końcu zwyczajna wojna. Była to wola Lloth, a Baenre była posłanniczką Pajęczej Królowej. Było to ukoronowanie mocy opiekunki Baenre, wyżyny otrzymywanej od Lloth chwały. Jak Auro'pol i Zeerith śmiały wysuwać tak bluźniercze myśli? - dąsała się pierwsza matka opiekunka.

Rzuciła pełne złości spojrzenie na Auro'pol, która jedynie parsknęła i odwróciła wzrok - robiąc chyba najgorszą rzecz, jaką mogła zrobić.

Baenre wysłała telepatyczne rozkazy do Methila, który z kolei przekazał je glabrezu. Lecące obok siebie dryfdyski właśnie wchodziły za córkami Baenre w zakręt tunelu, gdy wielkie szczypce zacisnęły się wokół szczupłej talii Auro'pol. Zerwawszy jaz dryfdysku, potężny glabrezu z łatwością trzymał ją w powietrzu.

- Co to jest? - zażądała odpowiedzi Auro'pol, szamocząc się na próżno.

- Życzysz mi śmierci - odpowiedziała Baenre.

Quenthel i Bladen'Kerst pospieszyły do boku swej matki i obydwie były zszokowane, że Baenre

wystąpiła tak otarcie przeciwko Auro'pol.

- Życzy mi śmierci - poinformowała Baenre swe córki. - Ona i Zeerith sądzą, że Menzoberranzan stanie się lepszym miejscem bez opiekunki Baenre.

Auro'pol spojrzała na ilithida, najwyraźniej tego, który ją zdradził. Córki Baenre, które wysuwały podobnie zdradzieckie myśli przy niejednej okazji podczas tego długiego, kłopotliwego marszu, również popatrzyły na Methila.

- Opiekunka Auro'pol będzie świadkiem twojej chwały - wtrąciła się Quenthel. - Będzie świadkiem śmierci renegata i dowie się, że Lloth jest z nami.

Rysy Auro'pol uspokoiły się na te słowa i znów się zaczęła wić, starając się osłabić podobny do imadła uścisk tanar'ri.

Baenre przyjrzała się groźnie swej przeciwniczce, a Auro'pol, czupurna aż do końca, dorównała jej intensywnością spojrzenia. Auro'pol wierzyła, że Quenthel ma rację. Baenre potrzebowała jej, by była świadkiem. Przekonanie jej do wojny wzmocni również lojalność Zeerith, tak więc armia drowów będzie znacznie silniejsza. Baenre była starą, podłą istotą, zawsze jednak była wyrachowana, nie poświęcała nawet centymetra potęgi dla dobra emocjonalnej satysfakcji. Przykładem mógł być Gandalug Battlehammer, wciąż żywy, choć podczas długich stuleci niewoli Baenre z pewnością wielokrotnie wyrwałaby mu z chęcią serce z piersi.

- Opiekunka Zeerith ucieszy się, słysząc o śmierci Drizzta Do'Urdena - powiedziała Auro'pol, opuszczaj acz szacunkiem oczy. Wierzyła, że ten gest uległości wystarczy.

- Głowa Drizzta Do'Urdena będzie wystarczającym dowodem, jakiego potrzebuje opiekunka Zeerith - odparła Baenre.

Wzrok Auro'pol wystrzelił do góry, a córki Baenre również spojrzały na swą zaskakującą matkę.

Baenre zignorowała je wszystkie. Wysłała wiadomość do Methila, który znów przekazał ją glabrezu i wielkie szczypce znów zaczęły zaciskać się wokół talii matki opiekunki.

- Nie możesz tego zrobić! - sprzeciwiła się Auro'pol, gwałtownie wciągając powietrze, by wypowiadać każde słowo. - Lloth jest ze mną! Osłabiasz własną kampanię!

Quenthel całym sercem się zgadzała, lecz zachowywała milczenie, zdając sobie sprawę, że glabrezu wciąż ma puste szczypce.

- Nie możesz tego zrobić! - wrzasnęła Auro'pol. - Zeerith się... - jej słowa zatonęły w bólu.

- Drizzt Do'Urden zabił cię, zanim ja zabiłam jego - opiekunka Baenre wyjaśniła Auro'pol. - Jest to jak najbardziej wiarygodne i czyni śmierć renegata jeszcze słodszą. - Baenre skinęła glabrezu i

szczypce zacisnęły się, przedzierając przez ciało i kości.

Quenthel odwróciła wzrok, a podła Bladen'Kerst obserwowała spektakl z szerokim uśmiechem.

Auro'pol próbowała jeszcze krzyczeć, starała się cisnąć w stronę Baenre ostatnią klątwę, jednak pękł jej kręgosłup i opuściła ją cała siła. Szczypce zamknęły się i ciało Auro'pol Dyrr upadło w dwóch częściach na podłogę.

Bladen'Kerst krzyknęła z zachwytem, poruszona przez pokaz kontroli i potęgi swej matki. Quenthel była jednak rozwścieczona. Baenre przekroczyła niebezpieczną linię. Zabiła matkę opiekunkę i zrobiła to, by zaszkodzić marszowi na Mithrilową Halę, jedynie dla osobistej korzyści. Poświęcająca się całym sercem Lloth, Quenthel nie mogła znieść takiej bezmyślności i jej myśli były podobne do tych, które doprowadziły do przecięcia Auro'pol Dyrr na pół.

Quenthel rzuciła groźne spojrzenie na Methila, zdając sobie sprawę, że ilithid czyta jej myśli. Czy Methil .zdradzi teraz ją?

Zawęziła swe myśli.

- To nie jest wola Lloth! - wrzasnął jej umysł do Methila. - Pajęcza Królowa nie stoi już za czynami mej matki.

Myśl ta miała większe implikacje dla Methila, emisariusza ilithidów do Menzoberranzan, nie do opiekunki Baenre, niż Quenthel mogła się domyślać i jej ulga była naprawdę ogromna, gdy Methil rzeczywiście jej nie zdradził.

* * *

Guenhwyvar położyła po sobie uszy, a Drizzt również pomyślał, że usłyszał lekki, odległy wrzask. Nie widzieli nikogo, wrogów czy przyjaciół, od kilku godzin i tropiciel wierzył, że każda grupa mrocznych elfów, jaką teraz napotkają, może zawierać w sobie dowodzące armią wysokie kapłanki.

Wskazał gestem pozostałym, by poruszali się z całą ostrożnością. Guenhwyvar pro wadziła, a Drizzt wczuł się w swoje podmroczne instynkty. Znów był łowcą, który przeżył samotnie dekadę w dzikim Podmroku. Spoglądał często za siebie, na Bruenora, Regisa i Catti-brie, bowiem, choć poruszali się najciszej, jak tylko mogli, w bystrych uszach Drizzta wciąż brzmieli niczym maszerująca armia opancerzonych żołnierzy. Martwiło to drowa, ponieważ wiedział, że ich przeciwnicy będą znacznie cichsi. Rozważał pójście daleko w przedzie wraz z Guenhwyvar, samodzielne podjęcie polowania.

Myśl ta była przelotna. To byli jego przyjaciele i nikt nie mógłby zapragnąć lepszych sojuszników.

Przemknęli wąskim, nie wyróżniającym się tunelem do komnaty, która otwierała się szeroko na lewo i prawo, choć gładka ściana, znajdująca się dokładnie naprzeciwko tunelu, była niedaleko. Strop był tu wyższy niż w korytarzu, lecz w kilku miejscach zwisały stalaktyty, często dotykając ziemi.

Guenhwyvar znów położyła po sobie uszy i przystanęła przy wejściu. Drizzt znalazł się przy niej i poczuł to samo uczucie mrowienia.

Nieprzyjaciel był blisko, bardzo blisko. Wykraczający poza normalne zmysły instynkt wojownika mówił drowiemu tropicielowi, że wróg jest praktycznie tuż przy nich. Dał sygnał pozostałej trójce, po czym wszedł z panterą powoli i ostrożnie do komnaty, wzdłuż ściany z prawej strony.

Catti-brie dotarła do wejścia jako następna i uklęknęła na jedno kolano, naciągając łuk. Jej wzrok, wspomagany przez opaskę Kocie Oko, sprawiającą, że nawet najciemniejsze tunele wydawały się skąpane w jasnym świetle gwiazd, przeszukał komnatę, błądząc wśród kęp stalaktytów.

Po chwili znalazł się przy niej Bruenor, a Regis przeszedł obok niej z lewej. Halfling zauważył wnękę kilka kroków dalej wzdłuż ściany. Pokazał na siebie, następnie na niszę, po czym zaczął się powoli do niej przesuwać.

Na ścianie, naprzeciwko drzwi, pojawiło się zielone światło, rozpraszając mrok. Powiększyło się, tworząc otwór w ścianie, i ze środka wyskoczyła opiekunka Baenre, za nią zaś wyszły jej córki z więźniem oraz ilithid.

Drizzt rozpoznał wyniszczoną starą drowkę i uświadomił sobie swoje najgorsze obawy, wiedział od razu, że wraz z przyjaciółmi znajduje się w zdecydowanie niekorzystnej sytuacji. Pomyślał, by rzucić się prosto na Baenre, jednak zdał sobie sprawę, że on i Guenhwyvarnie byli sami po tej stronie komnaty. Kącikiem czujnego oka Drizzt wychwycił jakiś ruch na górze, wśród stalaktytów.

Catti-brie wystrzeliła srebrzysty pocisk, niemal z przyłożenia. Strzała eksplodowała deszczem wielokolorowych, nieszkodliwych iskier, nie będąc w stanie przebić magicznych osłon pierwszej matki opiekunki.

Regis wszedł wtedy do niszy i krzyknął w nagłym bólu, gdy uruchomiła się magiczna pułapka. Wokół halflinga zaiskrzyła elektryczność, rzucając go w tę i z powrotem, po czym powalając na podłogę. Kręcone, brązowe włosy halflinga stanęły dęba.

Guenhwyvar skoczyła na prawo, powalając drowią żołnierkę, gdy sfrunęła spomiędzy stalaktytów. Drizzt znów zastanowił się nad rzuceniem prosto na Baenre, jednak nagle został zaangażowany w walkę, gdy trzy kolejne elitarne strażniczki Baenre wychynęły z ukrycia, okrążając

go. Drizzt potrząsnął przecząco głową. Zaskoczenie podziałało teraz nie na korzyść jego oraz przyjaciół, lecz przeciwko nim. Wiedział, że wrogowie się ich spodziewali, polowali na niego, gdy on polował na nich. I była to sama opiekunka Baenre!

- Uciekajcie! - krzyknął Drizzt do swych przyjaciół. - Opuśćcie to miejsce!

ROZDZIAŁ 29

KRÓL PRZECIWKO KRÓLOWEJ

Długa noc przeszła w poranek, a mroczne elfy znów przechyliły szalę na swoją korzyść w bitwie o Dolinę Strażnika. Stwierdzenie Berg'inyona o płonności obrony, nawet z posiłkami krasnoludów i svirfnebli, wydawało się słuszne, gdy szeregi drowów otoczyły stopniowo svirfnebli, po czym popchnęły na nowo linię na wschód ku ścianie. Lecz wtedy to się stało.

Po całej nocy walki, go godzinach kształtowania bitwy, wstrzymywania czarodziejów, wykorzystywania jaszczurczych jeźdźców w ściśle określonych momentach i nigdy nie angażowaniu ich w pełni w konflikt, wszystkie dopracowane plany potężnej armii drowów legły w gruzach.

Krawędź gór na wschód od Doliny Strażnika rozjaśniła się srebrnawą linią, która sygnalizowała nadchodzący świt. Dla drowów i innych potworów z Podmroku było to niemałe wydarzenie.

Jeden drowi czarodziej, skupiony na błyskawicy, którą pokonałby najbliższych przeciwników, przerwał swój czar i zamiast niego wywołał kulę ciemności, kierując ją w słońce wyglądające zza horyzontu, chcąc przesłonić światło. Czar uaktywnił się i nie zrobił nic poza umieszczeniem czarnej kropki daleko w powietrzu, zaś gdy czarodziej skrzywił się z powodu blasku, zastanawiając, czego mógłby teraz spróbować, owi najbliżsi obrońcy rzucili się na niego i ścięli.

Kolejny drow walczący z krasnoludem już prawie pokonał przeciwnika. Tak przejęty był chęcią zabicia go, że ledwo zauważał nadchodzący świt - dopóki krawędź słońca nie wyłoniła się zza horyzontu, wysyłając linię światła, linię bólu dla czułych oczu drowów. Oślepiony i przerażony mroczny elf wymachiwał szaleńczo bronią, jednak nie zdołał trafić celu.

Następnie poczuł w żebrach gorący wybuch.

Wszystkie te mroczne elfy patrzyły już wcześniej na okolicę w spektrum zwyczajnego światła, jednak nie tak wyraźnie, nie w tak intensywnym blasku, nie z tak bogatymi i jaskrawymi kolorami. Słyszeli o strasznym świetle słońca - Berg'inyon był przed wielu laty świadkiem świtu, obserwował go przez ramię, gdy uciekał wraz z wyprawą łupieżczą drowów do bezpiecznej ciemności tuneli. Teraz fechmistrz i jego podkomendni nie wiedzieli, czego się spodziewać. Czy piekielne słońce spali ich, tak jak oślepiało? Mówiono im, że nie, jednak ostrzegano, że w świetle słonecznym będą bardziej odsłonięci, że ich przeciwnicy zostaną zmitygowani przez blask.

Berg'inyon wezwał swe siły, by ustawiły się w zwarte formacje i spróbowały przegrupować. Fechmistrz wiedział, że wciąż mogą wygrać, choć to ostatnie wydarzenie mogło wiele drowów kosztować życie. Mroczne elfy potrafiły walczyć na ślepo, jednak Berg'inyon obawiał się o więcej

niż tylko stratę wzroku. Promienie opadające znad gór przekraczały doświadczenia jego oraz żołnierzy. I choć chodzenie pod baldachimem niedosięgalnych gwiazd wzbudzało strach, ten świt był przerażający.

Berg'inyon porozumiał się szybko ze swymi czarodziejami, starając się sprawdzić, czy mogliby w jakiś sposób zneutralizować świt. To, czego dowiedział się, zaniepokoiło go tak bardzo jak piekielne światło. Drowi czarodzieje z Doliny Strażnika mieli również oczy w innych miejscach i od tych widzących daleko magów dobiegły pogłoski, że mroczne elfy dezerterują z dolnych tuneli, że te drowy, które zostały zatrzymane w korytarzach w pobliżu wschodnich wrót, wycofały się z Mithrilowej Hali i uciekły do głębszych tuneli na wschodnim zboczu Czteroszczytu. Berg'inyon z łatwością zrozumiał tę informację - drowy te znajdowały się już na szlakach wiodących do Menzoberranzan.

Berg'inyon nie mógł zignorować implikacji tego raportu. Wszelkie sojusze między mrocznymi elfami były chwiejne i fechmistrz mógł jedynie zgadywać, jak rozległy był zakres dezercji. Pomimo świtu wierzył, że jego siły mogą wygrać w Dolinie Strażnika i sforsować zachodnie wrota, lecz nagle musiał się zastanowić, na co natrafią w Mithrilowej Hali, gdy już się tam znajdą.

Na opiekunkę Baenre i ich sojuszników? Króla Braenora oraz renegata, Drizzta, wraz z hordą gotowych do walki krasnoludów? Wizja ta nie przemawiała zbytnio do zmartwionego fechmistrza.

Tak więc to nie przewaga liczebna zwyciężyła tego dnia w Dolinie Strażnika. Nie odwaga Berkthgara czy Besnella, nie zajadłość Belwara i jego gnomów, ani nie mądrość Stumpet Rakingclaw. Zwyciężył świt oraz nieufność w szeregach drowów, brak spójności oraz bardzo rzeczywisty strach, że wsparcie nie nadejdzie, bowiem każdy drowi żołnierz, od Berg'inyona do najzwyklejszego szeregowca, rozumiał, że ich sojusznicy nie mieliby trudności z pozostawieniem ich na rzeź.

Berg'inyon Baenre nie był kwestionowany przez żadnego ze swych żołnierzy, gdy dawał rozkaz opuszczenia Mithrilowej Hali. Jaszczurczy jeźdźcy, wciąż jeszcze w sile ponad trzech setek, wyjechali na nierówny teren na północy, ich wierzchowce o kleistych łapach zostawiły za sobą zarówno wrogów, jak i sojuszników.

Samo powietrze Doliny Strażnika drżało z tragedii i podniecenia, jednak odgłosy bitwy zamarły, powietrze wypełniła cisza, rozpraszana czasami przez okrzyk bólu. Berkthgar Śmiały stał dumnie, otoczony przez Stumpet Rakingclaw oraz Terriena Doucarda, nowego dowódcę Rycerzy w Srebrze, zaś ich zwycięscy żołnierze oczekiwali w napięciu za nimi.

Trzy metry dalej Belwar Dissengulp stał na czele przerzedzonych szeregów svirfhebli. Wielce szanowany nadzorca kopaczy trzymał przed sobą swe silne ramiona, tuląc ciało szlachetnego Firble'a, jednego z wielu synfnebli, którzy zginęli tego dnia, z dala, lecz w obronie swego domu.

Nie wiedzieli, co myśleć o sobie nawzajem, ponad dwumetrowy barbarzyńca i gnom ledwo sięgający mu wzrostem do połowy. Nie mogli ze sobą porozmawiać albo wymienić zrozumiałych

oznak przyjaźni.

Jedyną wspólną płaszczyznę porozumienia znajdywali wśród ciał znienawidzonych wrogów i ukochanych przyjaciół, spiętrzonych w Dolinie Strażnika.

* * *

Ogień faerie pojawił się wzdłuż rąk i nóg Drizzta, oświetlając go, by stał się lepszym celem. Zneutralizował to, opuszczając na siebie kulę ciemności w próbie pozbawienia przeciwnika przewagi wynikającej ze stosunku liczebnego trzy do jednego.

Tropiciel wyszarpnął swe sejmitary i poczuł od jednego dziwne pragnienie, nie od Błysku, lecz od drugiego ostrza, tego, które znalazł w leżu smoka Dracosa Lodowej Śmierci, klingi wykutej jako postrach dla stworzeń ognia.

Sejmitar był wygłodniały. Drizzt nie czuł od niego takiego pragnienia, odkąd...

Sparował pierwszy atak i jęknął, przypominając sobie pierwszy raz, kiedy to sejmitar ujawnił swój głód, kiedy walczył z balorem Errtu. Drizzt wiedział, co to oznaczało.

Baenre przyprowadziła przyjaciół.

* * *

Catti-brie wystrzeliła kolejną strzałę prosto w roześmianą twarz wyniszczonej, starej opiekunki. Zaklęty pocisk znów jedynie rozpłynął się w piękny pokaz bezużytecznych iskier. Młoda kobieta odwróciła się do ucieczki, jak nakazał Drizzt. Złapała swego ojca, zamierzając pociągnąć go za sobą.

Bruenor nie ruszył się z miejsca. Spojrzał na Baenre i wiedział, że to ona jest powodem. Spojrzał na Baenre i nabrał przekonania, że to ona osobiście zabiła chłopaka. Następnie Bruenor spojrzał za Baenre, na starego krasnoluda. Znał go skądś. W sercu ósmy król Mithrilowej Hali rozpoznawał patrona swego klanu, choć nie był w stanie tego ze sobą świadomie połączyć.

- Uciekaj! - wrzasnęła do niego Catti-brie, wytrącając go na chwilę z rozmyślań. Bruenor zerknął na nią, po czym spojrzał dalej, z powrotem na tunel.

Usłyszał w oddali, gdzieś za nimi, walkę.

Quenthel uruchomiła wtedy swój czar i w wąskim tunelu rozgorzała ściana ognia, odcinając ucieczkę. Nie obchodziło to zbytnio zdeterminowanego Bruenora, już nie. Wyrwał się z uścisku Cattibrie i odwrócił, by stanąć przed Baenre - w jego myślach, tą złą mroczną elfką, która zabiła jego chłopaka.

Podszedł krok do przodu.

Baenre zaśmiała się z niego.

* * *

Drizzt sparował i uderzył, po czym, pod osłoną kuli mroku, przeszedł szybko na bok, zbyt szybko by mroczna elfka zamierzająca się na jego plecy zdała sobie sprawę z tego ruchu. Zaatakowała silnie, trafiając tę samą drowkę, którą Drizzt właśnie zranił, i dobijając ją.

Słysząc ruch, Drizzt natychmiast wrócił, posyłając obydwa ostrza w ruch wirowy. Kobieta zarejestrowała manewr kontrujący akurat na czas, by sparować pierwszy atak, drugi, trzeci, nawet czwarty.

Drizzt jednak nie ustępował. Wiedział, że jego furia jest niebezpieczna. W kuli ciemności pozostała jeszcze jedna przeciwniczka i gdyby natarł tak mocno na jedną, pozostałby zbyt odsłonięty przed drugą. Tropiciel wiedział jednak również, że przyjaciele bardzo go potrzebowali, że każda chwila, jaką poświęcał na walkę z tymi wojowniczkami, dawała potężnym kapłankom czas, by zniszczyć ich wszystkich.

Piąty atak tropiciela, szeroki zamach z lewej, został z łatwością przechwycony, podobnie jak szósty, proste prawe pchnięcie. Drizzt naciskał mocno, nie osłabiał ofensywy. Wiedział, podobnie jak kobieta, że jej jedyna nadzieja leży w pozostałej sojuszniczce.

Stłumiony krzyk, po którym nastąpił pomruk pantery, zakończył tę nadzieję.

Furia Drizzta zwiększyła się, a kobieta wciąż się cofała, potykając się w ciemności i odczuwając nagły strach. W owej chwili strachu uderzyła głową o niski stalaktyt, w przeszkodę, którą jej czujne drowie zmysły powinny były wyczuć. Otrząsnęła się i zdołała wyprostować, wyrzucając jeden miecz przed siebie, by zablokować kolejne szaleńcze pchnięcie tropiciela.

Chybiła.

Drizzt nie, i Błysk rozszczepił doskonałą drowią kolczugę, zatapiając się głęboko w płucu kobiety.

Drizzt wyszarpnął ostrze i obrócił.

Jego kula ciemności zniknęła raptownie, rozproszona przez magię tanar'ri.

* * *

Bruenor wykonał kolejny krok, po czym rzucił się do biegu. Catti-brie wrzasnęła, uważając go już za martwego, gdy wystrzeliła w niego struga ognia.

Rozwścieczona i zdenerwowana młoda kobieta znów wystrzeliła ze swego łuku i w powietrzu eksplodowały kolejne nieszkodliwe iskry. Poprzez łzy wściekłości, które płynęły jej z oczu, ledwo zauważyła, że Bruenor otrząsnął się z kąśliwego uderzenia i znów rzucił do ataku.

Bladen'Kerst zatrzymała krasnoluda, wyzwalając czar, który otoczył Bruenora wielką bryłą magicznej, przezroczystej galarety. Bruenor wciąż się poruszał, lecz tak wolno, że było to ledwo dostrzegalne, podczas gdy trzy drowie kapłanki śmiały się z niego.

Catti-brie wystrzeliła ponownie i tym razem jej pocisk trafił w galaretę, zagłębiając się na kilkadziesiąt centymetrów, zanim się zatrzymał, wisząc bezużytecznie nad głową jej ojca.

Catti-brie spojrzała na Bruenora, na Drizzta oraz strasznego, czterometrowego czarta, który pojawił się z prawej strony, oraz na Regisa, jęczącego i próbującego się czołgać na lewo od niej. Czuła, jak w tunelu z tyłu szaleje gorący ogień, słyszała tam również trwającą walkę, choć nie rozumiała jej natury.

Potrzebowali przerwy, przechylenia szali na drugą stronę, i Catti-brie uznała wtedy, że dostrzegła szansę, przyszła do niej nadzieja. Dobiwszy ofiarę, Guenhwyvar warknęła i skuliła się, gotowa by skoczyć na tanar'ri.

Ta chwila nadziei Catti-brie była krótkotrwała, bowiem gdy pantera skoczyła, jedna z kapłanek niedbale cisnęła coś w powietrze, w stronę Guenhwyvar. Pantera w pół skoku rozpłynęła się w szarą mgłę i zniknęła, odesłana z powrotem na Plan Astralny.

- A więc zginiemy - wyszeptała Catti-brie, bowiem ci przeciwnicy byli zbyt silni. Upuściła Taulmarila na podłogę i wyciągnęła Khazid'heę. Uspokoiła się, zaczerpnąwszy głęboko powietrza, przypominając sobie, że przez większość swego dorosłego życia uciekała śmierci od progu jej drzwi. Spojrzała na ojca i przygotowała się do ataku, przygotowała na śmierć.

Przed bryłą galarety, pomiędzy Catti-brie a Bruenorem, zamigotała sylwetka i wyraz determinacji na twarzy młodej kobiety przerodził się w odrazę, gdy paskudny potwór o ośmiomicowej głowie zmaterializował się po tej stronie magicznej galarety, bezszelestnie podchodząc - nie, płynąc w powietrzu - w jej kierunku.

Catti-brie podniosła miecz, po czym zatrzymała się, ogarnięta nagle przez psioniczny podmuch, jakiego jeszcze nigdy nie zaznała.

Methil wdzierał się do środka.

* * *

Siły Berg'inyona zebrały się i przegrupowały. Kiedy tylko opuściły Dolinę Strażnika, zostawiły daleko za sobą harmider bitwy i były już blisko ostatniego odcinka drogi do tuneli powrotnych do Podmroku. W pobliżu jaszczurczych jeźdźców otworzyły się wymiarowe wrota i przeszli przez nie drowi czarodzieje (oraz te pozostałe mroczne elfy, które miały na tyle szczęścia, by znajdować się blisko czarodziejów, gdy czary zostały uaktywnione). Maruderzy, piechota i rój humanoidalnych sojuszników starali się dotrzymać tempa, nie potrafili się jednak poruszać po niedostępnym terenie po tej stronie góry. I nie obchodziło to fechmistrza Baenre.

Wszyscy ci, którzy uciekli z Doliny Strażnika, spojrzeli na Berg'inyona, szukając przewodnictwa, gdy dzień stawał się coraz jaśniejszy.

- Moja matka się myliła - powiedział bezceremonialnie Berg'inyon, co było aktem bluźnierstwa w społeczeństwie drowów, w którym słowo każdej matki opiekunki było prawem danym przez Lloth.

Żaden drow nie wytknął tego jednak, nie podniósł się żaden głos sprzeciwu. Berg'inyon wskazał na wschód i wojsko potoczyło się ku wstającemu słońcu, żałosne i pokonane.

- Powierzchnia jest dla mieszkańców powierzchni - powiedział Berg'inyon do jednej ze swoich doradczyń, gdy podjechała do niego swym wierzchowcem. - Nigdy tu nie wrócę.

- A co z Drizztem Do'Urdenem? - spytała kobieta, nie było bowiem tajemnicą, że opiekunka Baenre chciała, by jej syn zabił renegata.

Berg'inyon zaśmiał się z niej, bowiem odkąd widział wyczyny Drizzta w Akademii, nigdy nie myślał poważnie o walce z tym renegatem.

* * *

Drizzt nie widział zbyt wiele poza gigantycznym glabrezu i widok ten wystarczał, bowiem tropiciel wiedział, że nie jest przygotowany na takiego przeciwnika, wiedział, że potężny glabrezu najprawdopodobniej go zniszczy.

Nawet jeśli potwór go nie pokona, najprawdopodobniej zatrzyma na wystarczająco długo, by opiekunka Baenre mogła zabić ich wszystkich.

Drizzt czuł dziki głód swego sejmitara, ostrza wykutego do zabijania takich bestii, zwalczył jednak pragnienie, by zaatakować, wiedział, że musi znaleźć drogę omijającą te śmiercionośne szczypce.

Dostrzegł bezowocny skok i zniknięcie Guenhwyvar. Kolejna sojuszniczka stracona.

Drizzt zdał sobie sprawę, że walka skończyła się, zanim się zaczęła. Zabili garstkę elitarnych strażniczek i nic więcej. Weszli na łeb na szyję na szczyt potęgi Menzoberranzan, do najwyższych kapłanek Pajęczej Królowej, i przegrali. Zalały go fale winy, jednak odrzucił je, nie zgodził się ich zaakceptować. Przyszedł tu, a jego przyjaciele wraz z nim, bowiem to była jedyna szansa Mithrilowej Hali. Nawet gdyby Drizzt wiedział, że wyprawą tą kieruje sama opiekunka Baenre, i tak by tu przyszedł i nie zabroniłby Bruenorowi, Regisowi oraz Catti-brie sobie towarzyszyć.

Przegrali, lecz Drizzt zamierzał sprawić swym przeciwniczkom ból.

- Walcz, ty demoniczny pomiocie - warknął do glabrezu, po czym przykucnął, wymachując ostrzami, chcąc dać swemu sejmitarowi tak upragniony przez niego posiłek.

Tanar'ri wyprostował się i podniósł zagadkową metalową skrzyneczkę.

Drizzt nie czekał na wyjaśnienia i niemal niechcący zniszczył jedyną szansę, jaką miał wraz z przyjaciółmi, bowiem gdy tanar'ri zaczynał otwierać pudełko, Drizzt, dzięki zaklętym bransoletom przyspieszającym jego ruchy, wrzasnął i zaszarżował tuż obok opuszczonych szczypiec, wbijając sejmitar w brzuch czarta.

Poczuł przypływ mocy, gdy sejmitar się karmił.

* * *

Catti-brie była zbyt zagubiona, by uderzyć, zbyt przytłoczona, by nawet krzyknąć w proteście, gdy Methil podszedł do niej i plugawe macki polizały jej twarz. Wtedy, poprzez zakłopotanie, w jej głowie odezwał się głos, głos Khazid'hei, jej miecza.

- Uderz!

Zrobiła to i choć nie trafiła idealnie, okrutne ostrze Khazid'hei ugodziło Methila w ramię, niemal odcinając ilithidowi rękę.

Wytrącona z otumanienia Catti-brie otarła wolną ręką macki z twarzy.

Uderzyła w nią kolejna psioniczna fala, znów ją paraliżując, pozbawiając siły i osłabiając nogi. Zanim upadła, ujrzała, jak ilithid zatrząsł się dziwacznie, po czym przewrócił, a następnie zobaczyła chwiejącego się Regisa, którego włosy wciąż stały dęba. Buzdygan halflinga pokryty był krwią i po chwili Regis przewrócił się jak długi na Methila.

Byłby to koniec ilithida, zwłaszcza że Catti-brie na tyle odzyskała zmysły, by włączyć się do walki, tyle że Methil przewidział taką katastrofę i zgromadził wystarczająco wiele psionicznej energii, by się wydostać. Regis uniósł buzdygan do kolejnego ciosu, poczuł jednak, że się zapada, gdy leżący pod nim ilithid rozpłynął się. Halfling krzyknął ze zdumienia i przerażenia, po czym uderzył i tak, lecz jego buzdygan zadźwięczał donośnie, uderzając jedynie w pustą podłogę.

* * *

Wszystko to stało się w jednej chwili, podczas której biedny Bruenor nawet na centymetr nie przesunął się w stronę szydzących z niego przeciwniczek.

Glabrezu, odczuwając ból większy niż wszystko, co kiedykolwiek zaznał, mógł wtedy zabić Drizzta. Każdy instynkt w podłym stworzeniu mówił mu, by przeciąć tego impertynenckiego drowa na pół. Każdy instynkt poza jednym - strachem przed odwetem Errtu, gdy tylko tanar'ri wróci do otchłani, i gdy ten okrutny sejmitar wbijał mu się w brzuch, tanar'ri wiedział, że wkrótce odbędzie tę podróż.

Czart tak bardzo chciał przeciąć Drizzta na pół, został tu jednak wysłany z innego powodu, a zły Errtu nie przyjmie wyjaśnień w przypadku porażki. Powarkując na renegata Do'Urdena i odczuwając przyjemność jedynie z wiedzy, że Errtu wkrótce ukarze go osobiście, glabrezu zerwał pokrywę z pudełka, wyciągając lśniący, czarny szafir.

Z sejmitara Drizzta zniknął głód. Nagle stopy tropiciela nie poruszały się już tak szybko.

W całych Krainach najwyraźniejszą pamiątką po Trudnych Czasach były tereny nazywane martwymi strefami, w których wszelka magia przestawała istnieć. Ów szafir zawierał w sobie negatywną energię takiej strefy, posiadał antymagię pozwalającą kraść magiczną energię, i ani sejmitary Drizzta, ani jego bransolety, ani Khazid'hea czy magia drowich kapłanek nie były w stanie przełamać tej negatywnej siły.

Trwało to jedynie chwilę, kiedy to stało się jasne, że szafir był sposobem odejścia przyzwanego tanar'ri z Planu Materialnego, i odchodzący glabrezu zabrał go ze sobą.

Jedynie na chwilę ognie w tunelu za Catti-brie zgasły. Jedynie na chwilę kajdany więżące Gandaluga straciły swe zaklęcie. Jedynie na chwilę zniknęła otaczająca Bruenora bryła galarety.

Jedynie na chwilę, lecz to wystarczyło, by Gandalug, przez stulecia gromadzący wściekłość, zerwał swe nagle mizerne kajdany, a Bruenor rzucił do przodu, tak że gdy bryła galarety pojawiła się na nowo, był poza jej wpływem, nacierając ostro i krzycząc z całej siły.

Opiekunka Baenre upadła na podłogę, a jej dryfdysk pojawił się na nowo, gdy magia wróciła, unosząc się jej nad głową.

Gandalug wymierzył pięścią w lewo cios na odlew, uderzając Quenthel w twarz i rzucając ją na ścianę. Następnie skoczył w prawo i chwycił w dłoń pięciogłowy wężowy bicz Bladen'Kerst, otrzymując niejedno otępiające ugryzienie.

Stary krasnolud zignorował ból i parł dalej, wpadając na zaskoczoną córkę Baenre. Sięgnął jej przez drugie ramię i chwycił wolną dłonią rękojeść bicza, po czym zacisnął go mocno wokół jej szyi, dusząc ją jej własną okrutną bronią.

Przewrócili się w zwarciu.

* * *

W całych Krainach nie było istoty bardziej chronionej magią niż opiekunka Baenre, żadnej istoty skuteczniej osłoniętej przed ciosami, lepiej nawet niż pradawne smoki o grubych łuskach. Większość tych osłon zniknęła jednak teraz, zabrana jej w chwili antymagii. W całych Krainach nie było zaś istoty bardziej ogarniętej szałem niż Bruenor Battlehammer, rozwścieczony na widok starego, udręczonego krasnoluda, o którym wiedział, że powinien go rozpoznać. Rozwścieczony na myśl, że jego przyjaciele, jego droga córka, byli martwi albo wkrótce będą. Rozwścieczony na wyniszczoną drowią kapłankę, w jego umyśle personifikację zła, które zabrało jego chłopaka.

Ciął znad głowy swym toporem i wyszczerbione ostrze spadło w dół, roztrzaskując błękitne

światło dryfdysku, rozwiewając zaklęcie w nicość. Bruenor poczuł oparzenie, gdy ostrze trafiło w jedną z pozostałych magicznych osłon i energia natychmiast popłynęła wzdłuż ostrza i rękojeści broni, wpływając w rozszalałego króla.

Topór przechodził z koloru zielonego poprzez pomarańczowy do niebieskiego, gdy rozrywał jedną magiczną osłonę za drugą, szał przeżerał potężne dweomery. Bruenor czuł straszny ból, lecz nie przyznawał się do tego.

Topór przebił się przez kruchą rękę, którą Baenre uniosła, by się zasłonić, przez jej czaszkę, szczękę i szyję, zanurzając głęboko w piersi.

* * *

Quenthel otrząsnęła się po ciężkim ciosie Gandaluga i instynktownie pospieszyła do siostry. Wtedy, nagle, jej matka zginęła, więc kapłanka ruszyła gwałtownie w stronę ściany, przez portal o zielonych krawędziach, z powrotem do rozciągającego się dalej korytarza. Przechodząc, rozsypała trochę srebrzystego pyłu, który miał rozproszyć portal i uczynić ścianę na powrót gładką oraz litą.

Skała zwinęła się, szybko transformując z powrotem w solidną barierę.

Jedynie Drizzt Do'Urden, poruszający się z prędkością zaklętych stóp, przedostał się przez otwór, zanim zdołał się zatrzasnąć.

* * *

Jarlaxle i jego porucznicy byli niedaleko. Wiedzieli, że grupa szalonych krasnoludów i wilkoczłowiek spotkali się w pobliżu z innymi elitarnymi strażnikami Baenre i że krasnoludy oraz ich sojusznik pokonali mroczne elfy, po czym skierowały się pospiesznie do komnaty.

Ze swego wysokiego punktu obserwacyjnego, wyglądając z niszy w tunelu za ową komnatą, Jarlaxle widział, że zbliżająca się banda rozszalałych krasnoludów przegapiła już walkę. Pojawienie się Quenthel, a tuż za nią Drizzta, powiedziało obserwującemu dowódcy najemników, że podbój Mithrilowej Hali dobiegł gwałtownego końca.

Porucznik obok Jarlaxle'a uniósł w stronę Drizzta jednoręczną kuszę i wydawał się mieć doskonałą okazję, bowiem Drizzt skupiał się wyłącznie na uciekającej córce Baenre. Tropiciel nigdy

się nie dowie, co go trafiło.

Jarlaxle chwycił porucznika za nadgarstek i zmusił go do opuszczenia ręki. Wskazał na rozciągające się dalej tunele i wraz ze swą dość zmieszaną, lecz całkowicie lojalną drużyną bezszelestnie zniknął.

Kiedy odchodzili, Jarlaxle usłyszał śmiertelny wrzask Quenthel, okrzyk - Bluźnierstwo! - Wykrzykiwała oczywiście to słowo sprzeciwu w twarz Drizzta Do'Urdena, swego zabójcy, jednak Jarlaxle zdawał sobie sprawę, że równie dobrze, i słusznie, mogłoby się ono odnosić do niego.

Niech tak będzie.

* * *

Świt był jasny lecz zimny i stawał się jeszcze zimniejszy, gdy Stumpet i Terrien Doucard z Rycerzy w Srebrze wchodzili na trudne zbocze Doliny Strażnika, wspinając się ręka za ręką po niemal pionowej ścianie.

- Jesteś pewien? - Stumpet spytała Terriena, półelfa o lśniących, brązowych włosach oraz rysach zbyt pięknych, by mogła je zaćmić nawet tragedia zeszłej nocy.

Rycerz nie trudził się odpowiedzią inną niż szybkie skinienie, bowiem Stumpet zadała to pytanie ponad tuzin razy w przeciągu ostatnich dwudziestu minut.

- To jest dobra ściana? - Stumpet zadała kolejne ze swych zbędnych pytań.

Terrien przytaknął.

- Blisko - zapewnił krasnoludkę.

Stumpet dotarła do małej półki skalnej i wspięła się na nią, opierając plecy o ścianę i trzymając nogi nad znajdującym się ponad sześćdziesiąt metrów niżej dnem doliny. Czuła, że powinna być tam na dole, zajmować się wieloma, wieloma rannymi, jednak jeśli to, co rycerz jej powiedział, było prawdą, jeśli pani Alustriel z Silverymoon tu spadła, to wyprawa ta może być najważniejszym zadaniem, jakie Stumpet Rakingclaw wykonała kiedykolwiek w swoim życiu. Usłyszała pod sobą wspinającego się Terriena i przechyliła, wyciągając rękę, by chwycić półelfa pod ramię. Potężne mięśnie Stumpet napięły się i z łatwością wciągnęła szczupłego rycerza na półkę, kierując go na miejsce obok siebie, pod ścianą. Półelf i krasnoludka dyszeli ciężko, powietrze przed nimi wypełniało się kłębami pary.

- Utrzymaliśmy dolinę - powiedziała radośnie Stumpet, starając się zetrzeć półelfowi z twarzy ból.

- Czy zwycięstwo byłoby tego warte, gdybyś obserwowała, jak ginie Bruenor Battlehammer? - odparł półelf, szczękając lekko zębami na mroźnym powietrzu.

- Nie wiesz, czy Alustriel zginęła! - zripostowała Stumpet i zdjęła plecak, grzebiąc w środku. Chciała poczekać chwilę, zanim to zrobi, miała nadzieję zbliżyć się bardziej do miejsca, w którym według doniesień spadł rydwan Alustriel.

Wyciągnęła małą miseczkę zrobioną ze srebrnawego mithrilu i zdjęła przez głowę pękaty bukłak.

- Pewnie jest zamrożona - stwierdził przybity półelf, wskazując na bukłak.

Stumpet parsknęła. Krasnoludzka woda święcona nigdy nie zamarzała, przynajmniej nie ta, którą warzyła Stumpet. Wyciągnęła korek z bukłaka i rozpoczęła rytmiczny zaśpiew, wlewając złoty płyn do mithrilowej miseczki. Miała szczęście - wiedziała o tym - bowiem choć obraz wywołany przez jej czary był zamazany i przelotny, pokazujący obszar mały kawałek dalej, znała tę okolicę i wiedziała, gdzie znaleźć wskazaną półkę skalną.

Wyruszyli natychmiast w szaleńczym i nieostrożnym tempie. Stumpet nie trudziła się nawet zabraniem swej miski i bukłaka. Półelf ześlizgnął się nie raz, lecz został złapany za nadgarstek przez silną Stumpet, a Stumpet nie raz spadała i ocalały ją jedynie szybkie dłonie Terriena Doucarda.

W końcu dotarli do półki i znaleźli Alustriel leżącą nieruchomo, zimną. Jedynym świadectwem, że był tu jej magiczny rydwan, był wypalony ślad w miejscu, w którym pojazd się roztrzaskał pod górską ścianą. Nie pozostały żadne resztki, bowiem rydwan był całkowicie stworzony z magii.

Półelf podbiegł do swej leżącej władczyni i delikatnie ujął Alustriel pod głowę jednym ramieniem. Stumpet wyciągnęła z sakiewki przy pasku małe lusterko i podetknęła je pod usta pani.

- Żyje! - oznajmiła krasnoludka, ciskając swój plecak Terrienowi. Słowa te wydały się rozpalić półelfa. Delikatnie położył głowę Alustriel na półce, po czym zaczął gmerać w plecaku, wyszarpując kilka grubych koców, którymi owinął swą panią, po czym zaczął szorstko pocierać nagie, zimne dłonie Alustriel. Przez cały ten czas Stumpet wołała do swych bogów o czary leczące oraz ogrzewające i oddawała całą swą energię dla tej cudownej władczyni Silverymoon.

Pięć minut później pani Alustriel otworzyła swe piękne oczy. Wzięła głęboki oddech i wzdrygnęła się, po czym wyszeptała coś, czego ani Stumpet ani rycerz nie usłyszeli, więc półelf nachylił się bliżej, przykładając ucho do jej ust.

- Wytrzymaliśmy?

Terrien Doucard wyprostował się i uśmiechnął szeroko.

- Dolina Strażnika jest nasza! - obwieścił, a oczy Alustriel rozjarzyły się. Następnie zasnęła spokojnie, pewna, że ta starająca się szaleńczo krasnoludzka kapłanka zapewni jej ciepło oraz tego, że niezależnie od jej własnego losu przysłużono się tu większemu dobru.

Dobru całego dobrego ludu.

EPILOG Berg'inyon Baenre nie zdziwił się, znajdując Jarlaxle'a oraz żołnierzy Bregan D'aerthe czekających na niego daleko od powierzchni, daleko od Mithrilowej Hali. Zaraz po usłyszeniu raportów o dezercji, Berg'inyon zdał sobie sprawę, że pragmatyczny najemnik był najprawdopodobniej jednym z pierwszych w szeregach owych drowów, które porzuciły wojnę.

Methil poinformował Jarlaxle'a o zbliżaniu się Berg'inyona i dowódca najemników był naprawdę zaskoczony, dowiadując się, że Berg'inyon, syn opiekunki Baenre, fechmistrz pierwszego domu, również zdezerterował. Najemnik uznał, że Berg'inyon będzie walczył, by dostać się do Mithrilowej Hali, i zginie tak, jak jego matka.

Bezmyślnie.

- Wojna jest przegrana - stwierdził Berg'inyon. Spojrzał niepewnie na Methila, nie przewidział bowiem, że ilithid będzie tutaj, z dala od matriarchini. Wyraźne rany ilithida, zwisająca bezwładnie ręka oraz wielka dziura z boku ośmiornicowej głowy, z której sączył się groteskowy mózg, również zbiła Berg'inyona z tropu, nie spodziewał się bowiem, że ktokolwiek zdołałby dostać się do Methila i tak go zranić.

- Twoja matka nie żyje - rzekł bezceremonialnie Jarlaxle, odciągając uwagę młodego Baenre od rannego ilithida. - Podobnie jak dwie twoje siostry i Auro'pol Dyrr.

Berg'inyon skinął głową, nie wyglądając na zbytnio zaskoczonego.

Jarlaxle zastanawiał się, czy powinien wspominać, iż to opiekunka Baenre była tą, która zamordowała tę ostatnią. Zachował jednak tę myśl dla siebie, uznając, że być może będzie mógł wykorzystać w późniejszym czasie ten skrawek informacji przeciwko Berg'inyonowi.

- Opiekunka Zeerith Q'Xorlarrin dowodziła odwrotem spod dolnych drzwi Mithrilowej Hali - ciągnął najemnik.

- A moje siły natknęły się na te drowy, które próbowały i nie powiodło im się dostać przez wschodnie wrota - dodał Berg'inyon.

- I ukarałeś je? - chciał wiedzieć Jarlaxle, wciąż bowiem był niepewny w kwestii odczuć Berg’inyona co do tego wszystkiego, wciąż niepewny, czy on i jego drużyna mają stoczyć jeszcze jedną bitwę, tutaj w tunelach.

Berg'inyon skrzywił się na myśl o karze i Jarlaxle odetchnął trochę swobodniej.

Pomaszerowali dalej razem, ciemniejszymi i wygodniejszymi korytarzami do Menzoberranzan. Wkrótce potem połączyli się z Zeerith i jej siłami, a wiele innych grup mrocznych elfów i humanoidów dołączyło się wraz z mijającymi dniami. W sumie w szturmie na Mithrilową Halę zginęło ponad dwa tysiące drowów oraz dwa razy tyle humanoidalnych niewolników, głównie na południowych zboczach Czteroszczytu i w Dolinie Strażnika. Zaś podobna liczba humanoidów zbiegła po bitwach, uciekając na powierzchnię lub innymi korytarzami, woląc zaryzykować życie w nieznanym świecie powyżej lub w dzikim Podmroku, niż wrócić do tortur, jakie przeżywali jako niewolnicy drowów.

Wydarzenia nie potoczyły się tak, jak zaplanowała opiekunka Baenre.

Berg'inyon dołączył do szeregów, gdy ciche wojsko ruszyło dalej, pozwalając Zeerith prowadzić procesję.

- Menzoberranzan będzie się przez wiele lat leczyć na skutek głupoty opiekunki Baenre - stwierdził Jarlaxle do Berg'inyona jeszcze tego samego dnia, kiedy natknął się na młodego fechmistrza stojącego samotnie w bocznej komnacie, w czasie gdy armia obozowała w regionie poszarpanych jaskiń i krótkich, łączących się ze sobą tuneli.

Berg'inyon nie sprzeciwił się tej opinii i nie pokazał po sobie żadnego gniewu. Rozumiał prawdę słów Jarlaxle'a i wiedział, ile problemów spadnie na dom Baenre w nadchodzących dniach. Opiekunka Zeerith była rozwścieczona i tak samo będzie z Mez'Barris Armgo oraz wszystkimi pozostałymi matkami opiekunkami, gdy dowiedzą się o katastrofie.

- Propozycja wciąż jest ważna - powiedział Jarlaxle i opuścił komnatę, pozostawiając Berg'inyona samego z myślami.

Dom Baenre najprawdopodobniej przetrwa, wierzył Berg'inyon. Triel obejmie nad nim władzę i, choć dom utracił pięciuset wyszkolonych żołnierzy, pozostawało ich jeszcze niemal dwa tysiące, w tym ponad trzy setki osławionych jaszczurczych jeźdźców. Opiekunka Baenre zbudowała również wielką sieć sojuszników poza domem i nawet ta katastrofa oraz śmierć Baenre nie zniszczą najprawdopodobniej pierwszego domu.

Rzeczywiście będą jednak problemy. Opiekunka Baenre była siłą spajającą. Czego dom Baenre może się spodziewać po kłopotliwym Gromphie po jej odejściu?

A co z Triel? - zastanawiał się Berg'inyon. Gdzie znajdzie się w planach swej siostry? Teraz będzie miała swobodę w wychowywaniu własnych dzieci i dawaniu im potęgi. Pierwszy zrodzony z niej syn albo będzie przysposabiany na domowego czarodzieja, albo też stanie się kandydatem na pozycję Berg'inyona jako fechmistrza.

Jak dużo czasu ma więc Berg'inyon? Pięćdziesiąt lat? Sto? Niewiele jak na długość życia mrocznego elfa.

Berg'inyon spojrzał na wejście, na plecy oddalającego się najemnika, i rozważył dokładnie propozycje. Jarlaxle'a, by dołączyć do Bregan D'aerthe.

* * *

Mithrilowa Hala była pełna łez za zmarłych oraz wiwatów za zwycięstwo. Wszyscy opłakiwali Besnella oraz Firble'a, Regwelda Harpella i tak wielu innych, którzy zginęli walecznie. Wszyscy zaś wysławiali króla Bruenora i jego potężnych przyjaciół, a także Berkthgara Śmiałego, panią Alustriel, wciąż leczącą poważne rany, oraz Stumpet Rakingclaw, bohaterkę Podmiasta i Doliny Strażnika.

Największe wiwaty oddane były natomiast na cześć Gandaluga Battlehammera, patrona klanu Battlehammer, który, jak wyglądało, powrócił z martwych. Jakże dziwnie czuł się Bruenor, widząc swego własnego przodka, widząc, jak pierwsze popiersie w Hallu Królów ożyło.

Obydwa krasnoludy siedziały ramię przy ramieniu w sali tronowej na górnych poziomach krasnoludzkiego kompleksu, po ich bokach zaś Alustriel (wraz ze Stumpet, klęczącą obok fotela pani Silverymoon i strofującą ją, by odpoczywała) z prawej strony oraz Berkthgarz lewej.

W całym krasnoludzkim kompleksie trwały uroczystości, od Podmiasta do sali tronowej, czas gromadzenia się i rozstawania, kiedy w końcu spotkali się Belwar Dissengulp i Bruenor Battlehammer. Dzięki magii Alustriel, zaklęciu które rozwiązało problemy językowe, obydwaj byli w stanie zawiązać sojusz pomiędzy Blingdenstone a Mithrilowa Halą, który przetrwa wieki, oraz wymienić opowieści o swoim przyjacielu drowie, zwłaszcza gdy Drizzt błąkał się w pobliżu, wystarczająco blisko, by zdawać sobie sprawę, że rozmawiają o nim.

- To ten cholerny kot mi przeszkadza - prychnął przy jakiejś okazji Bruenor, na tyle głośno, by Drizzt usłyszał.

Drow podszedł, postawił stopę na podwyższeniu, na którym stały trony, i wychylił się do przodu na kolanie, zbliżając się do Belwara.

- Guenhwyvar upokarza Bruenora - powiedział Drizzt w języku drowów, który Belwar trochę rozumiał, co jednak nie zostało Bruenorowi przetłumaczone przez czar Alustriel. - Często używa krasnoluda jako posłania.

Bruenor, wiedząc, że mówią o nim, lecz nie będąc w stanie zrozumieć ani słowa, zaryczał w sprzeciwie, po czym zaprotestował jeszcze głośniej, gdy Gandalug, również znający trochę mowę drowów, dołączył się do rozmowy oraz ogólnej wesołości.

- Ale chyba kot nie używa głowy syna syna syna syna syna mojego syna jako poduszki! - huknął

stary krasnolud. - Za twarda byłaby. Za twarda!

- Na Moradina. Powinienem był odejść z cholernymi mrocznymi elfami - mruknął pokonany Bruenor.

Słowa te otrzeźwiły starego krasnoluda, w mgnieniu oka pozbawiły jego twarz radości.

Tak wyglądały uroczystości w Mithrilowej Hali, czas silnych emocji, zarówno dobrych, jak i złych.

Catti-brie obserwowała to wszystko z boku, czując się odsunięta i nagle nie na miejscu. Z pewnością była poruszona zwycięstwem, intrygowali ją svirfnebli, których już kiedyś poznała, a jeszcze bardziej ciekawił ją patron klanu jej ojca, który w cudowny sposób powrócił do założonego przez siebie krasnoludzkiego kompleksu. Wraz z tymi ekscytującymi uczuciami młoda kobieta przeżywała jednak również odczucie zakończenia. Tym razem zagrożenie dla Mithrilowej Hali ze strony drowów zostało zażegnane i pomiędzy Halą a jej sąsiadami, nawet Nesme, zostaną zawiązane nowe i silniejsze sojusze. Bruenor i Berkthgar wydawali się teraz niczym starzy przyjaciele - Bruenor napomknął nawet przy paru okazjach, że być może pozwoli barbarzyńcy dzierżyć Aegis-fanga.

Catti-brie miała nadzieję, że tak się nie stanie i nie sądziła, by mogło. Bruenor sugerował tak szczodrą propozycję głównie dlatego, iż wierzył, że tak naprawdę nic go to nie będzie kosztować, jak podejrzewała Catti-brie. Po wyczynach Berkthgara w Dolinie Strażnika jego broń, Bankenfuere, obrosła już własną legendą pośród wojowników z Settlestone.

Niezależnie jakie byłyby wyczyny Berkthgara, w myślach Catti-brie Bankenfuere nigdy nie dorówna Aegis-fangowi.

Choć Catti-brie milczała i pogrążała się w refleksji, nie była ponura czy płaczliwa. Jak każdy w Mithrilowej Hali straciła na wojnie przyjaciół. Jak każdy była zahartowana przez walkę, akceptowała zasady świata i była w stanie widzieć większe dobro, które wynikało z bitwy. Śmiała się, gdy grupa svirfnebli praktycznie wyrwała sobie resztki swych włosów, sfrustrowana próbą nauczenia paru pijanych krasnoludów słuchania wibracji w skałach. Roześmiała się jeszcze głośniej, gdy Regis wtoczył się do sali tronowej, ze stertami jedzenia zatkniętymi pod każdą z pach i już tak napchany, że guziki kamizelki niemal się odrywały.

Najgłośniej zaś roześmiała się, gdy przebiegł obok niej Bidderdoo Harpell, za czarodziejem zaś pędził na czworakach Thibbledorf Pwent, błagając Bidderdoo, by go ugryzł.

Za tym śmiechem pozostawała jednak refleksyjna samotność, to dręczące poczucie zakończenia, ciążące na ramionach kobiety, która dopiero co zaczęła otwierać oczy na szeroki świat.

* * *

W zadymionych bagniskach otchłani Errtu wstrzymał oddech, gdy kształtna drowka, delikatna katastrofa, zbliżyła się do jego grzybowego tronu.

Errtu nie wiedział, czego spodziewać się po Lloth, oboje widzieli katastrofę.

Balor obserwował, jak drowka przechodzi przez mgłę, ciągnąc za sobą więźnia, obiecany dar. Uśmiechała się, jednak w przypadku Pani Chaosu nigdy nie można było być pewnym, co to oznaczało.

Errtu siedział dumnie wyprostowany, pewien że zrobił, co mu polecono. Gdy Lloth spróbuje obwiniać go za katastrofę, będzie się spierał, uznał, choć jeśli w jakiś sposób dowiedziała się o kamieniu antymagii, jaki wysłał wraz z glabrezu...

- Przyniosłaś moją zapłatę? - zagrzmiał balor, starając się dobrze zabrzmieć.

- Oczywiście, Errtu - odparła Pajęcza Królowa.

Errtu przekrzywił swą ogromną, rogatą głowę. Wydawało sienie być żadnego podstępu ani w jej tonie, ani w ruchach, gdy pchnęła więźnia w kierunku siedzącego, gigantycznego balora.

- Wydajesz się zadowolona - ośmielił się stwierdzić Errtu. Uśmiech Lloth sięgał jej niemal od ucha do ucha i wtedy Errtu zrozumiał. Była zadowolona! Ta stara łajdaczka, najpodlejsza z podłych, cieszyła się z rezultatu. Opiekunka Baenre odeszła, podobnie jak cały porządek w Menzoberranzan. Miasto drowów pozna teraz największy chaos, walki między domami oraz istną pajęczynę intryg, warstwę za warstwą kłamstw i podstępów w każdym z rządzących domów.

- Od początku wiedziałaś, że tak się stanie! - oskarżył ją balor. Lloth roześmiała się w głos.

- Nie przewidziałam zakończenia - zapewniła go. - Nie wiedziałam, że Errtu będzie tak pomysłowy w chronieniu kogoś, kto może zakończyć jego wygnanie.

Oczy balora rozszerzyły się, a jego wielkie skórzaste skrzydła zacisnęły się ściśle wokół niego w symbolicznym acz nieefektywnym manewrze obronnym.

- Nie obawiaj się, mój czarci sojuszniku - rzekła słodko Lloth. - Dam ci szansę odkupienia się w moich oczach.

Errtu warknął nisko. Jakiej przysługi Pajęcza Królowa chciała teraz od niego?

- Obawiam się, że będę zajęta w następnych dekadach - ciągnęła Lloth - starając się zakończyć

zamieszanie w Menzoberranzan.

Errtu parsknął.

- Nigdy byś czegoś takiego nie chciała - odrzekł.

- A więc będę zajęta obserwowaniem zamieszania - ochoczo przyznała Lloth. Niemal machinalnie dodała - Obserwowaniem tego, co masz dla mnie zrobić.

Znów dobiegł ten demoniczny warkot.

- Kiedy będziesz wolny, Errtu - powiedziała pewnym głosem Lloth - kiedy już zapłaczesz Drizzta Do'Urdena w zwojach swego bezlitosnego bicza, zabij go powoli, boleśnie, abym mogła słyszeć każdy jego krzyk! - Następnie Pajęcza Królowa wyrzuciła ramiona ku górze i zniknęła z podmuchem trzeszczącej, czarnej energii.

Wargi Errtu wykrzywiły się w paskudnym uśmiechu. Spojrzał na żałosnego więźnia, klucz do złamania woli oraz serca Drizzta Do'Urdena. Wydawało się, że czasami Pajęcza Królowa nie prosiła o zbyt wiele.

* * *

Minęły dwa tygodnie od zwycięstwa, a w Mithrilowej Hali trwały uroczystości. Wielu odeszło - najpierw dwaj ocalali ludzie z Nesme oraz Longriderzy wraz z Harkle'em i Bellą don DelRoy (choć Pwent przekonał w końcu Bidderdoo, by pokręcił się tu jeszcze trochę). Następnie Alustriel i pozostali jej Rycerze w Srebrze, siedemdziesięciu pięciu wojowników, rozpoczęli drogę powrotną do Silverymoon z podniesionymi wysoko czołami. Pani była gotowa zetrzeć się z wyzwaniami swych politycznych rywali, pewna, że zrobiła dobrze, przychodząc królowi Bruenorowi na pomoc.

Svirfnebli nie spieszyli się wszakże do odejścia, ciesząc się towarzystwem klanu Battlehammer, zaś ludzie z Settlestone obiecali zostać, dopóki nie zostanie wysączona ostatnia kropla miodu w Mithrilowej Hali.

W górach, daleko od krasnoludzkiego kompleksu, na zimnym, wietrznym płaskowyżu, Catti-brie siedziała na wspaniałym dereszu - jednym z koni należących do zabitych rycerzy z Silverymoon. Siedziała cicho i pewnie, jednak ukłucie w sercu, jakie poczuła, podniósłszy wzrok na Mithrilową Halę, było nie mniej wyraźne. Jej oczy przejrzały szlaki ku skalistemu wyjściu z góry i uśmiechnęła się, widząc zjeżdżającego jeźdźca.

- Wiedziałam, że przyjedziesz tu za mną - powiedziała do Drizzta Do'Urdena, gdy tropiciel zbliżył

się.

- Wszyscy mamy swoje miejsce - odparł Drizzt.

- A moje nie jest w Mithrilowej Hali - powiedziała stanowczo Catti-brie. - Nie zmienisz mojego zdania!

Drizzt milczał przez długą chwilę, przyglądając się zdeterminowanej młodej kobiecie.

- Rozmawiałaś z Bruenorem? - spytał.

- Oczywiście - odrzekła Catti-brie. - Myślisz, że opuściłabym dom mego ojca bez jego błogosławieństwa?

- Błogosławieństwa, które bez wątpienia dał ci niechętnie - stwierdził Drizzt.

Catti-brie wyprostowała się w siodle i zacisnęła stanowczo zęby.

- Bruenor ma dużo do zrobienia - powiedziała. - I ma Regisa oraz ciebie... - przerwała i zatrzymała tę myśl, zauważając ciężkie juki przymocowane za siodłem Drizzta. - Oraz Gandaluga i Berkthgara - dokończyła. - Jeszcze nawet nie określili, który będzie rządził, a który obserwował, choć sądzę, że Gandalug pozwoli Bruenorowi zostać królem.

- Tak będzie rozsądniej - zgodził się Drizzt. Zapadła pomiędzy nimi długa chwila ciszy.

- Berkthgar mówi o odejściu - rzekł nagle Drizzt. - O powrocie do Doliny Lodowego Wichru i pradawnych zwyczajów swego ludu.

Catti-brie przytaknęła. Słyszała takie pogłoski.

Znów nadeszła ta niezręczna cisza. Catti-brie odwróciła w końcu wzrok od drowa, uważając, że ją ocenia, uważając, w chwili zwątpienia, że była dla Bruenora straszną córką, straszną i samolubną.

- Mój ojciec nie próbował mnie zatrzymywać - wypaliła tonem ostateczności. - I ty nie możesz!

- Nigdy nie powiedziałem, że jestem tu, by cię zatrzymywać - spokojnie odparł Drizzt.

Catti-brie milczała, nie do końca zaskoczona. Kiedy z początku powiedziała Bruenorowi, że odchodzi, że musi opuścić na jakiś czas Mithrilową Halę i obejrzeć cuda świata, zaskorupiały krasnolud ryknął tak głośno, że Catti-brie myślała, iż ściany zawalą się na nich oboje.

Spotkali się ponownie dwa dni później, kiedy Bruenor nie był tak pełen wody święconej i, ku zaskoczeniu i uldze Catti-brie, jej ojciec był znacznie rozsądniejszy. Zrozumiał jej serce, jak ją zapewnił, (choć jego opryskliwy głos załamywał się, gdy wypowiadał te słowa) i zdawał sobie

sprawę, że musi za nim podążyć, musi odejść i nauczyć się, kim jest oraz jakie jest jej miejsce w świecie. Catti-brie uznała te słowa za pełne zrozumienia, a teraz, spoglądając na Drizzta, była pewna ich źródła. Teraz wiedziała, z kim Bruenor rozmawiał pomiędzy ich spotkaniami.

- Przysłał cię - oskarżyła go.

- Ty odchodzisz i ja również - odparł niedbale Drizzt.

- Po prostu nie potrafiłam spędzić reszty moich dni w tunelach - powiedziała Catti-brie, czując nagle, że musi się wytłumaczyć, musi ujawnić winę, która ciążyła jej, odkąd podjęła decyzję, by opuścić dom. Rozejrzała się, przyglądając odległemu horyzontowi. - Po prostu czeka na mnie znacznie więcej. Wiem to w sercu. Wiem to, odkąd Wulfgar...

Przerwała, westchnęła i spojrzała bezradnie na Drizzta.

- I na mnie - drow powiedział z łobuzerskim uśmiechem. - Znacznie więcej.

Catti-brie zerknęła przez ramię ku zachodowi, gdzie słońce rozpoczęło już drogę w dół.

- Dni są krótkie - stwierdziła - a droga długa.

- Tak długa, jąkają uczynisz - odezwał się Drizzt, przyciągając znów do siebie jej uwagę. - A dni są tak krótkie, jakimi pozwolisz im być.

Catti-brie przyjrzała mu się uważnie, nie rozumiejąc tego ostatniego stwierdzenia.

Drizzt uśmiechał się szeroko, był równie zniecierpliwiony jak Catti-brie.

- Mój przyjaciel, ślepy tropiciel, powiedział mi kiedyś, że jeśli będziesz forsownie i szybko jechać na zachód, słońce nigdy dla ciebie nie zajdzie.

Kiedy dokończył ostatnie zdanie, Catti-brie obróciła już swego deresza i pogalopowała jak najszybciej przez zamarzniętą równinę ku zachodowi, w kierunku Nesme i leżącego za nim Longsaddle, w stronę wielkiego Waterdeep i Wybrzeża Mieczy. Pochyliła się nisko w siodle, jadąc forsownie. Jej płaszcz wzdymał się i unosił za nią na wietrze, a gęste, kasztanowe włosy powiewały szaleńczo.

Drizzt otworzył sakiewkę przy pasku i spojrzał na onyksową figurkę pantery. Nikt nie mógłby sobie wymarzyć lepszych towarzyszek, pomyślał w zadumie, po czym, spojrzawszy po raz ostatni ku górom, ku Mithrilowej Hali, gdzie jego przyjaciel był królem, tropiciel popędził swego ogiera do galopu i ruszył za Catti-brie.

Ku zachodowi i przygodom szerokiego świata.